

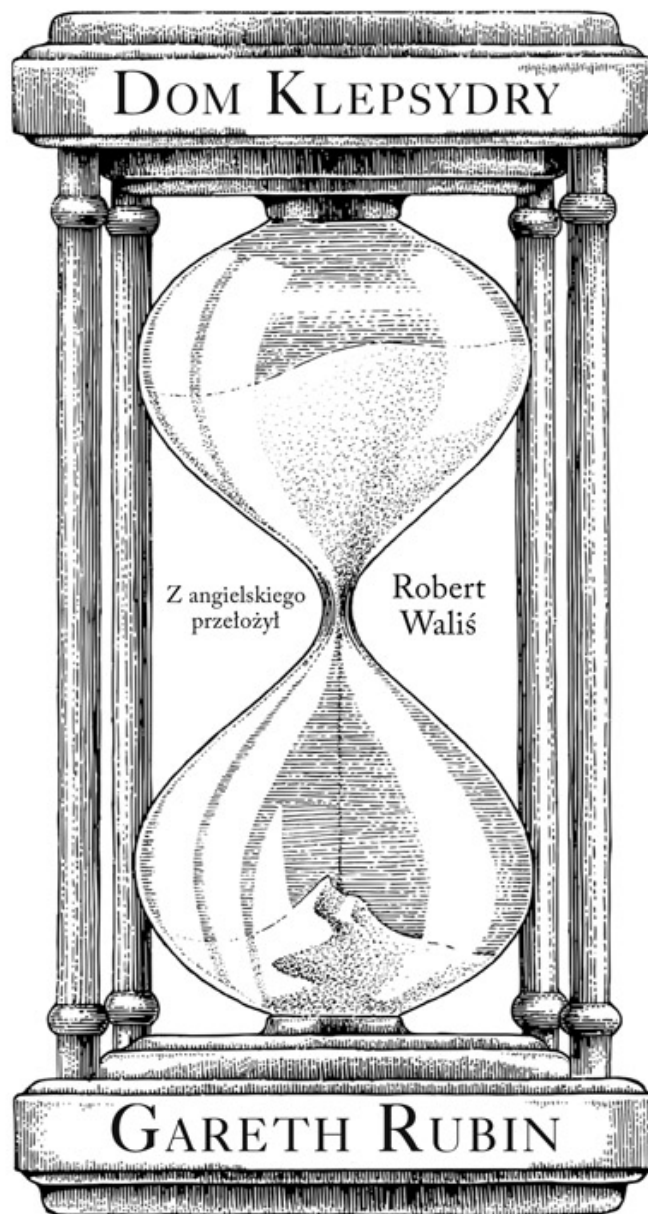
DOM KLEPSYDRY

Odwróć
klepsydrę

Rozwiąż
zagadkę

GARETH RUBIN

ALBATROS



ALBATROS

WYDANIE ELEKTRONICZNE

GARETH RUBIN

publikuje artykuły o sprawach społecznych, podróżach i sztuce w brytyjskiej prasie.

W 2013 roku wyreżyserował dokument *Bedlam* opowiadający o terapii przez sztukę prowadzonej w szpitalu Bethlem Royal w Londynie. Jest autorem powieści *The Winter Agent* o brytyjskich agentach działających w Paryżu w przededniu inwazji w Normandii, oraz *Liberation Square*, thrillera przedstawiającego historię alternatywną i osadzonego w okupowanym przez Sowietów Londynie.

garethrubin.com

twitter.com/garethrubin

Tytuł oryginału:
THE TURNGLASS

Copyright © Gareth Rubin 2023
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024
Polish translation copyright © Robert Waliś 2024

Redakcja: Anna Walenko
Projekt graficzny okładki: Pip Watkins/S&S Art Dept.
Opracowanie graficzne wydania polskiego: Agnieszka Drabek
Ilustracje na okładce: © Shutterstock

ISBN 978-83-8361-149-5



ALBATROS

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hlonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

woblink
woblink.com

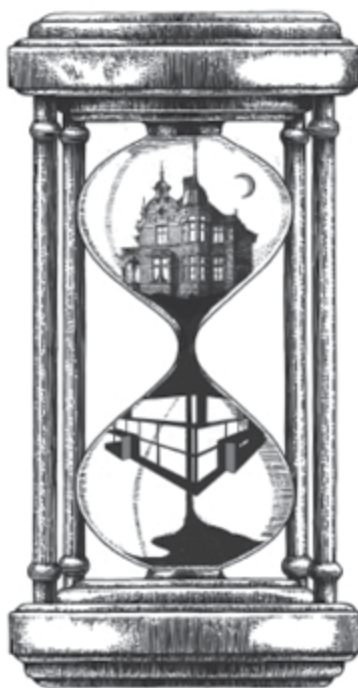
Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

ANGLIA, LATA 80. XIX WIEKU

Simeon Lee, młody lekarz, przyjmuje propozycję dalekiego krewnego, Olivera Hawesa, który jest przekonany, że ktoś go podtruwa. Mieszka w wiejącym grozą domu na małej wyspie, z bratową, która po oskarżeniu o zamordowanie męża jest więziona w szklanej celi. Jej historia jest równie tajemnicza jak przyczyna choroby jej szwagra. Wskazówki do rozwiązania tych zagadek Simeon może znaleźć w pewnej książce... jeśli otworzy ją z właściwej strony.

KALIFORNIA, LATA 30. XX WIEK

Oliver Tooke, ceniony pisarz i syn gubernatora, zostaje znaleziony martwy. Policja utrzymuje, że odebrał sobie życie. Jego przyjaciel, początkujący aktor Ken Kourian, widział jednak coś, co nie potwierdza oficjalnej wersji wydarzeń. Śmierć Olivera wiąże się z jego tragicznie zmarłą matką i porwanym przed laty bratem. A klucz do rozwiązania zagadki znajduje się w ostatniej powieści pisarza.



DWA DOMEY O TEJ SAMEJ NAZWIE W RÓŻNYCH CZĘŚCIACH ŚWIATA.

DWIE TAJEMNICZE HISTORIE, KTÓRE SPLATAJĄ SIĘ W JEDNĄ ZAGADKĘ KRYMINALNĄ.

To nie jest pierwsza lepsza książka.

Ta powieść to tetbeszka – dwie książki w jednej.

Dwie przeplatające się ze sobą i uzupełniające się historie, choć każda tworzy zamkniętą całość.

Możesz zacząć czytać od dowolnej historii lub czytać rozdziały obu naprzemiennie.

Anglia lat 80. XIX wieku czy Los Angeles na początku lat 20. XX wieku?

Decyzja należy do Ciebie.

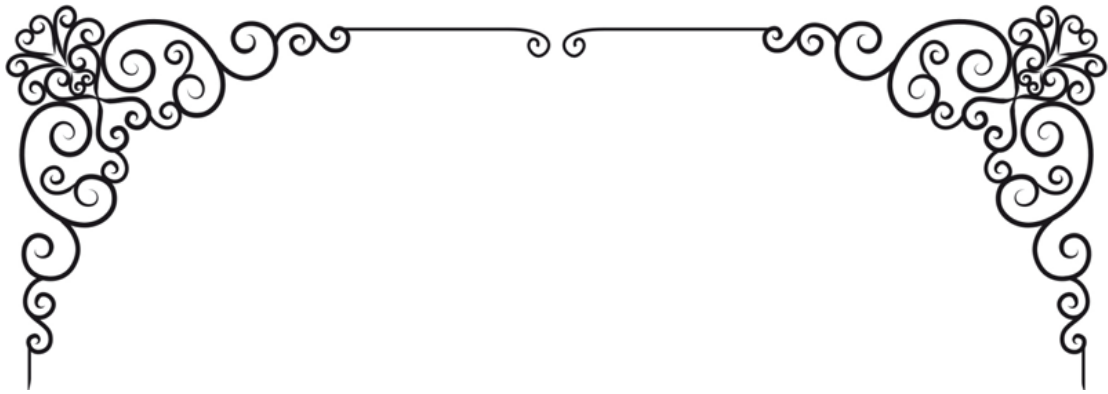
Jesteś gotowy?

W takim razie... zaczynamy!

ODWRÓĆ KLEPSYDRĘ i ROZWIĄŻ ZAGADKĘ!

ANGLIA, LATA 80. XIX WIEKU ↷

KALIFORNIA, LATA 30. XX WIEK ↷



Tête-bêche, tetbeszka

Książka podzielona na dwie części wydrukowane po przeciwnych stronach, z których jedna jest obrócona górą do dołu w stosunku do drugiej.

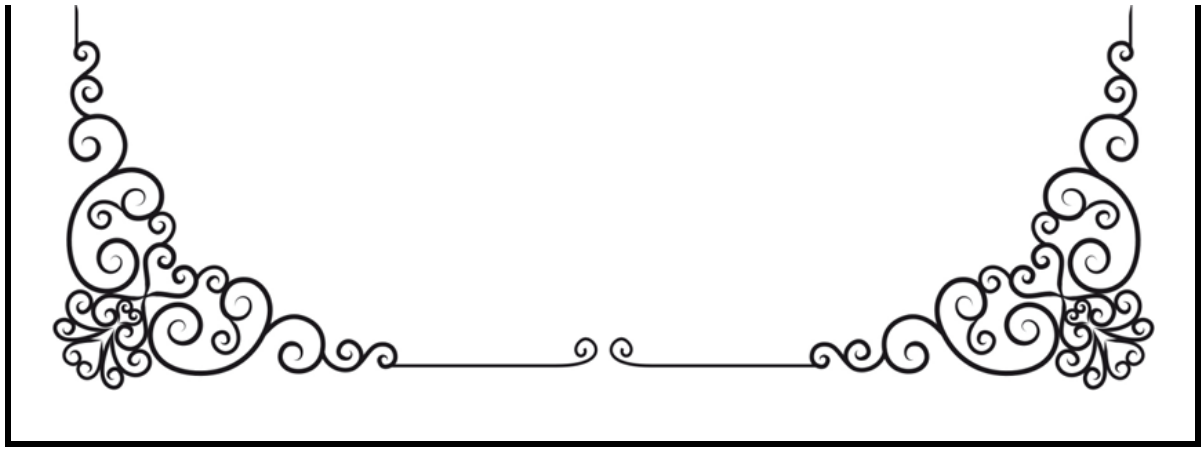
Etymologia: z francuskiego dosł. „od stóp do głów”.

Niedawno nabyłem tetbeszkę. To czarująca rzecz. Dwie opowieści są wydrukowane po przeciwnych stronach książki. Czyta się jedną z nich, a następnie odwraca tom górą do dołu i czyta drugą. Opowieści splatają się ze sobą i żywią się nawzajem. Czarujące, a także, jak sądzę, nieco osobliwe.

List od hrabiego Horace’a Manna

20 marca 1819





Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

ANGLIA, LATA 80. XIX WIEKU

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

KALIFORNIA, LATA 30. XX WIEK

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21

ANGLIA, LATA 80. XIX WIEKU

Dla Phoebe

*Chcesz już iść? Jeszcze ranek nie tak bliski,
Słowik to, a nie skowronek się zrywa
I śpiewem przeszył trwożne ucho twoje.
Co noc on śpiewa owdzie na gałązce
Granatu, wierzaj mi, że to był słowik.*

*Julia, Romeo i Julia, akt trzeci, scena piąta
przekład Józef Paszkowski*



Rozdział 1

Londyn, 1881

Szare oczy Simeona Lee były widoczne ponad chustką, którą obwiązał twarz, by chronić się przed smrodem cholery. Otaczał go odór ciał gnijących w noclegowniach i kostnicach.

– Królowa puka do drzwi – mruknął pod nosem.

– Nie możemy inaczej jej nazywać? – spytał jego przyjaciel Graham, który zakrył nos i usta wilgotnym szalem. – Nie podoba mi się to określenie. Sugeruje, że jesteśmy jej coś winni. A wcale tak nie jest.

– A jednak przyjdzie po swoje.

– Myślisz, że będzie kolejna epidemia?

– Oby nie. – Nie, Simeon miał nadzieję, że to tylko lokalne ognisko choroby.

Ci dwaj, którzy przez całe lata wspólnie przygotowywali się do pracy polegającej na leczeniu chorych i pocieszaniu zdrowych, wędrowali Grub Street, w sercu Londynu sięgającym czasów starożytnego Rzymu. Stojące tu budynki wykorzystywała branża drukarska – mieściły się w nich siedziby

dzienników i czasopism, które opisywały codzienne intrygi, przyjemności i smutki życia. Rynsztokiem na środku ulicy płynął tusz.

Gdy dotarli do wspólnego lokum, Simeon odrzucił chustkę.

– Musimy znaleźć jej słaby punkt – powiedział. Myślał o chorobie jak o zwierzęciu, na przykład wściekłym psie. Bakterie były zbyt małe, żeby je zobaczyć, a jednak wystarczająco silne, by pociągnąć całe fale mężczyzn, kobiet i dzieci do grobu. Podstępni mali mordercy. – Każda choroba go ma.

Doktor Simeon Lee miał pociągłą, szczupłą twarz i wysoką, smukłą sylwetkę, która teraz zwinnie sunęła w górę schodów prowadzących do ich pokoju – a raczej mieszkalnego strychu – nad drukarnią, gdzie prasy hałasowały przez całą dobę. To miejsce mu odpowiadało, ponieważ mógł pracować, kiedy większość ludzi odpoczywała. Poza tym pokój był tani. Bardzo tani. Jego badania przerwał po kilku miesiącach brak funduszy, więc starał się oszczędzać każdego pensa.

– Słaby punkt jest, czuję to – mówił dalej, ani na chwilę nie tracąc wątku. – Psiakrew, od stu lat jesteśmy w stanie chronić się przed ospą. Dlaczego nie przed cholera? – Wyjrzał przez brudne wypaczone okno, za którym zobaczył ciemność grudniowego smogu.

– Już to mówiłeś, kilka razy. Zaczynasz mieć obsesję. – Graham się zawahał. – Wiesz, że nie przysparza ci to zwolenników w szpitalu.

– Zdziwiasz mnie. – Simeona ani trochę nie obchodziło, co myślą o nim wiekowi wąsaci osobnicy, kierujący szpitalem King's College. Niech popracują w kamienicach i melinach wokół St Giles, a może zmienią nastawienie.

Jego przyjaciel lekceważąco wzruszył ramionami.

– Jak zamierzasz znaleźć ten cudowny lek?

– Jak? – Simeon prawie parsknął śmiechem. – Dzięki pieniądзом. Potrzebuję pieniędzy. Potrzebuję stypendium Macintosha. – Rozwiązał krawat i opadł na nadpaloną ławę, którą znaleźli na chodniku w Marylebone. – Tymczasem ludzie padają jak muchy w swoich domach, zupełnie jakbyśmy mieli do czynienia z czarną śmiercią. – Poprawił się na uszkodzonym siedzisku, żeby znaleźć wygodną pozycję. – Biedak na ulicy ma mniejszą szansę dożyć do trzydziestki, niż ja otrzymać tytuł szlachecki. Dobry Boże, gdyby Robertson i reszta tylko nas posłuchali, moglibyśmy coś z tym zrobić! – Przyjaciel mu nie przerywał, gdy Simeon rozpędził się, narzekając na władze uczelni medycznej, które wciąż wykazywały się

całkowitym brakiem otwartości na nowe pomysły. – Czas i pieniądze. Tylko tego trzeba, żeby znaleźć lekarstwo. Wystarczająco dużo czasu i pieniędzy.

Jego gniew brał się z frustracji. Niewiele rzeczy tak go irytowało jak myśl, że owoce trzech lat jego pracy kurzą się na biurku. Każdego miesiąca członkowie rad stypendialnych w uczelni medycznej kręcili nosem na jego propozycje, podczas gdy kolejnych mężczyzn, kobiety i dzieci zabierała choroba.

– Myślisz, że je dostaniesz?

– Albo ja, albo Edwin Grover. Potrzebuje funduszy na swoje badania nad analgezyją.

– Grover to bystry gość.

– Owszem, na papierze. Ale w praktyce to kretyn. Jego praca jest zbyt teoretyczna. Nie bierze pod uwagę tego, w jaki sposób miałby wbić szwaczkę igłę w rękę. – Simeon z irytacją postukał knykciami w blat stołu.

Grover spędzał całe dni na ostatnim piętrze całkiem eleganckiego domu przy Soho Square. Rzadko opuszczał mieszkanie, gdyż nie miał takiej potrzeby. I zapewne również ochoty.

– A jeśli nie dostaniesz pieniędzy?

– Wtedy, mój przyjacielu, będę musiał zamiatać ulice za marne pensy. – Simeon szarpnął loczek nad czołem.

– Zmarzniesz.

– Niewątpliwie.

Graham odchrząknął.

– A co z tamtą robotą w Essex? Byłoby z niej nieco grosza.

Simeon z zaskoczeniem uniósł brwi.

– Mój Boże, całkiem o niej zapomniałem. – Wyrzucił to z pamięci, gdy tylko poprzedniego dnia odłożył telegram.

– Chodzi o twojego wuja, zgadza się?

– Niezupełnie. O kuzyna ojca.

– Chce ci zapłacić.

To była prawda, ale propozycja wydawała się niezbyt kusząca.

– Opieka nad wiejskim proboszczem, który wmówił sobie, że stoi u wrót śmierci, chociaż pewnie wytrzymałby dziesięć rund w ringu z Danielem Mendozą.

– Potrzebujesz tych pieniędzy.

Simeon zaszepił się. To akurat nie ulegało wątpliwości. Ale czułby się jak tani wyrobnik, lecząc człowieka, który zapewne potrzebował jedynie

ograniczenia ilości porto i od czasu do czasu szybkich spacerów. Tyle że te pieniądze pozwoliłyby mu wrócić do prac nad lekarstwem.

– Biorę to pod uwagę – przyznał. – Chociaż Bóg raczy wiedzieć, ile zdołam z niego wycisnąć. Wiejski proboszcz raczej nie sypia na pieniądzach.

– To prawda. Może przynajmniej miły z niego gość?

Simeon wzruszył ramionami.

– Niewątpliwie to jeden z tych cichych starych kapłanów, którzy spędzają czas na czytaniu traktatów biskupa Usshera o tym, że świat liczy sobie sześć tysięcy lat.

– Mogłoby być gorzej. Mieszka sam?

– Ano właśnie. – Simeon zachichotał pod nosem. – Tutaj sytuacja staje się dość... intrygująca.

– To znaczy?

– To rodzinny skandal.

– Skandal? Mów dalej.

– Nie wiem wszystkiego... ojciec nie chciał zdradzić mi szczegółów. Ale o ile się nie mylę, brat proboszcza zginął w dość podejrzanych okolicznościach z ręki własnej żony. Jedno z nich chyba było obłąkane. Powinienem się tego dowiedzieć. Owszem, taka pikantna historia może stanowić odskocznię od nudnej pracy, ufam jednak Opatrzności, że rada stypendialna się opamięta.

Następnego popołudnia Simeon zajął miejsce na twardej wypolerowanej ławce przed salą komisyjną w King's College. Edwin Grover, elegancko odziany, siedział na identycznej ławie naprzeciwko.

– Wciąż zajmujesz się cholera? – spytał.

– Tak. Nic się nie zmieniło.

Grover nie miał więcej pytań.

Skrzypnęły drzwi i stary portier wyszedł z sali komisyjnej.

– Doktorze Grover? Proszę za mną.

Grover podążył za nim. Drzwi zamknęły się z hukiem, który odbił się echem na korytarzu.

Opuścił salę dopiero godzinę później, wyraźnie zadowolony z siebie. Na widok jego miny Simeon zaklął pod nosem. Przyszła jego kolej.

Wszedł, usiadł na drewnianym krześle przed grupą pięciu mężczyzn i wyłożył swoje plany wyleczenia jednej z najbardziej zabójczych chorób tej epoki.

– Doktorze Lee, zapoznaliśmy się z pana wnioskiem oraz załączoną dokumentacją – oznajmił ponurym tonem jeden z członków komisji. – Nasuwa nam się jedno pytanie.

– Tak, słucham?

– Jaki ma pan dowód na to, że pana działania przyniosą jakikolwiek skutek?

To nie było przyjazne pytanie.

– Mógłby pan uściślić?

– Pana dotychczasowe wyniki... – członek komisji zerknął do dokumentów – nie robią dużego wrażenia. Jak rozumiemy, niczego pan nie osiągnął.

– Nie sądzę, żeby...

– W odróżnieniu, na przykład, od drugiego kandydata, który opublikował dwa artykuły na łamach pisma „Lancet”.

Zapowietrzona rury w ścianach stuknęły i wyły.

– Bardzo szanuję akademickie publikacje...

– Tymczasem u pana widzimy jedynie kolejne wnioski o finansowanie. Simeon zacisnął zęby.

– Jestem przekonany, że efekt będzie wart tej inwestycji – oświadczył.

– Ale jaki to będzie efekt? No i o jak dużej inwestycji mówimy?

– Myślę, że trzysta funtów byłoby...

– Trzysta funtów? W celu leczenia choroby, która obecnie występuje jedynie w slumsach? – Wśród członków komisji rozległy się pomruki aprobaty dla słów kolegi. – Osoby, które mieszkają w takich miejscach, są do tego przyzwyczajone. Rodzą się do takiego życia.

– Gdyby panowie spędzili w ich towarzystwie tyle czasu co ja, wiedzieliby panowie, że wielu z nich wolałoby nie żyć w taki sposób.

– To znaczy? – spytał starszy lekarz.

– To znaczy, że widziałem mnóstwo dzieci w wieku poniżej pięciu lat, które były skazane na pełne bólu krótkie życie. Czasami kusił mnie, by skrócić ich cierpienia, zamiast patrzeć na nieunikniony upadek.

– No cóż, to sprawa między panem a Bogiem. Tutaj zajmujemy się pana wnioskiem o stypendium.

– Oczywiście. Przepraszam, że odbiegłem od tematu. W odpowiedzi na pana konkretne pytanie: nie udało nam się zdobyć materiału do badań nad szczepionką, pochodzącego z ludzkich źródeł. Uważam, że moglibyśmy go pozyskać od zwierząt. Na przykład jeśli wystawimy na działanie choroby naszych najbliższych krewnych, goryle, a następnie pobierzemy od nich krew, możliwe, że przy dużym stopniu powinowactwa będziemy mieli zapewnioną ochronę przed zarazkiem.

– Chce, żebyśmy wszyscy huścili się na drzewach – mruknął jeden z mężczyzn.

Kiedy Simeon wrócił do swojej kwatery, otwarta butelka czerwonego wina stała na kufrze, którego używali jako stołu. Wypił do dna, zerknął na przyjaciela, który chrapał w swoim łóżku, i wyjrzał przez okno. Na ulicy było cicho jak w grobie.

Po chwili zauważył, że butelka na czymś stoi: na telegramie. Poprzedniego dnia posłał wiadomość do ojca; zapytał o morderczy incydent wśród jego krewnych w Essex, który dwa lata wcześniej stał się obiektem jadowitych plotek. Odpowiedź nadeszła szybko: *Twoim obowiązkiem jest leczenie ludzi. Myśl tylko o tym. Na długo przed tamtymi brutalnymi wydarzeniami krążyły plotki o rzekomych nikczemnych czynach. Wcale mnie to nie dziwi. Dom Klepsydry zawsze miał w sobie coś zepsutego i chorego. Pozostaw to Bogu i władzom.*

Simeon nie mógł nie zauważyć, że ojciec – który zazwyczaj nie uciekał się do poetyckiego języka – stwierdził, iż to sam dom, a nie zamieszkująca go rodzina, miał w sobie „coś zepsutego i chorego”. Zaciekało go to.

Nie znał dalekich krewnych, którzy mieszkali w Domu Klepsydry. Dorastał setki mil na północ, na brukowanych ulicach Yorku, jako jedyne ocalałe dziecko rodziców, którzy tylko czasem się nim interesowali, a w wieku dziesięciu lat został odesłany do szkół. Jego ojciec, radca prawny, którego zakurzona kancelaria zajmowała się potrzebami zakurzonych arystokratów, uznał medycynę za rozsądny wybór ścieżki zawodowej, chociaż matka zapewne wolałaby, by Simeon praktykował w jakimś modniejszym przybytku przy Harley Street. Jej późniejszy krytyczny stosunek do jego pracy nad badaniem i leczeniem chorób zakaźnych nie zdołał go zniechęcić.

A zatem Essex, pomyślał.

Wyspa Ray leży na słonych mokradłach na skraju wybrzeża Essex. To, czy rzeczywiście jest wyspą, zależy od wód przyływu, ponieważ znajduje się między ujściami rzek Colne i Blackwater. Podczas przyływu jest odcięta od lądu, a samotny dom, który się na niej wznosi, sprawia wrażenie odosobnionego, oderwanego od świata. Fale morskie wlewające się pomiędzy ląd a wyspę pokrywa dywan splątanych wodorostów, które przypominają palce topielców. Wodorosty dryfują strumykami rozlewiska aż do wioski Peldon na stałym lądzie. Staw przed tamtejszą tawerną Peldon Rose od dawna służy jako schowek dla łowców ostryg, którzy dorabiają sobie sprzedają przywiezionych z kontynentu brandy i tytoniu, z pominięciem słonego podatku akcyzowego. Na dnie stawu znajduje się drewniana kłapa, którą można podnieść, by spuścić wodę i odsłonić ukryte beczki zapieczętowane smołą. Wewnątrz jest wino, które trafia do wszystkich tawern w Colchesterze, a także koronki, chętnie kupowane przez handlarzy sukrem.

W Essex niemal nie płaci się akcyzy, mimo że przez hrabstwo przechodzi jedna czwarta wszystkich importowanych towarów. Oczywiście poborcy podatkowi wiedzą o tym procederze, ale odkąd pewnego ranka kilka lat temu znaleziono dwudziestu dwóch z nich dryfujących na łodzi, z poderżniętymi gardłami, ich koledzy po fachu niechętnie ingerują w lokalny handel.

Na sąsiedniej wyspie, Mersei, dziesięciokrotnie większej, stoi około pięćdziesięciu domów i jest plaża zwana Hard. Na obu wyspach rosną złote kowniatki nadmorskie i fioletowe zatrwiany, a żwirowo-gliniana gleba przyciąga brodzące i latające ptactwo, takie jak ostrygojady czy kazarki.

Ludzie, którzy odwiedzają te wyspy, muszą się jednak mieć na baczności.

Podczas odpływu wyłania się spod ustępujących słonych wód wąska grobla zwana Strood. Prowadzi ona ze stałego lądu na Ray, biegnie w poprzek tej mierzającej milę wyspy, a następnie do Mersei. Ale każdy, kto nią ruszy, musi znać kalendarz przyływów. Grozi mu uwięzienie na wyspie Ray, gdzie stoi tylko jeden dom, lecz przede wszystkim zaplątanie się w wodorosty. Niemal każdego roku, odkąd przybyli tu starożytni Rzymianie, co najmniej jedna osoba pada ofiarą wodorostów. Unoszą się

w wodzie bez ruchu i w całkowitej ciszy, bez cienia skargi, a ich dłonie powoli się łączą.

Gdy tylko Simeon zsiadł z wozu przed Peldon Rose, od razu wyczuł w powietrzu woń zatrwanów. Po drodze woźnica ze śmiechem wychwalał miejscowy – nie do końca legalny – przemysł, więc teraz Simeon zerknął w toń stawu, ale zobaczył tylko mętną wodę. Czuł w ustach smak soli, aż lekko paliło go w gardle. Kilka razy przełknął ślinę, by pozbyć się tego doznania, zanim zrozumiał, że będzie musiał do niego przywyknąć.

– Dzień dobry panu – rozległ się czyjś głos. Właściciel tawerny, żyłasty jegomość z okazałymi bokobrodami, stał w progu, pykając długą fajkę. – Wejdzie pan?

– Owszem, bardzo chętnie – odpowiedział Simeon radośnie, po czym zarzucił torbę podróżną na ramię i podniósł z ziemi czarną torbę lekarską.

– To dobrze. Pewnie coś pan przekąsi i łyknie piwa.

– Doskonały pomysł.

Simeon przyjrzał się budynkowi. Była to szeroka parterowa wiejska tawerna o poszarzałych bielonych wapnem ścianach. Był głodny i perspektywa gorącego posiłku podtrzymywała go na duchu podczas godzinnej podróży ze stacji w Colchesterze do jego nowego pacjenta, proboszcza Olivera Hawesa, a raczej doktora Hawesa, ten był bowiem doktorem teologii.

– No to zapraszam, młody człowieku.

Simeon z ochotą przyjął zaproszenie.

W szynku siedziało ośmiu mężczyzn w typowych ubraniach rybaków. Każdy palił długą cienką białą fajkę, identyczną jak ta w ustach karczmarza. Simeona zaciekawilo, czy potrafią je odróżnić. Były tam także trzy kobiety, które w milczeniu obserwowały go z kąta izby, niczym boginie losu.

– Wejdz, młodzieńcze – rzekł właściciel. – W Rose zawsze ciepło witamy gości. Odstaw torbę. Właśnie tak. Jenny! Jenny! Przynies chleba i dwanaście... nie, szesnaście ostryg. Wygląda na głodnego. Chyżo, dziewczyno.

Nawet nie próbował pytać, czy to zamówienie odpowiada nowemu klientowi. Po kilku sekundach Jenny, mniej więcej dziesięcioletnia dziewczynka, pojawiła się z pieczywem i stertą ostryg. Właściciel przyniósł

mały kufel piwa i zaprosił Simeona do baru. Zdawało się, że wszyscy czekają, aż gość zacznie jeść lub oznajmi, po co tu przybył. Simeon postanowił najpierw się posilić. Ale jeśli spodziewał się, że rozmowa potoczy się dalej, gdy on będzie jadł, to się mylił. W tawernie panowała całkowita cisza, nie licząc odgłosów popijania piwa. Dziesięć minut później skończył posiłek.

– Należą się cztery szylingi, trzy pensy i jedna opowieść – poinformował go karczmarz.

Simeon roześmiał się.

– A jaka to ma być opowieść?

– O tym, co tutaj robisz.

Słowa mężczyzny zabrzmiały przyjacielsko, nie jak ostrzeżenie, więc Simeon nie miał oporów, żeby udzielić wyjaśnień.

– Jestem lekarzem. Jadę zająć się krewnym.

– A kto to taki?

Simeon zastanawiał się, jak miejscowi nazywają jego niemal wuja.

– Doktor Hawes.

– Proboszcz Hawes! – Właściciel uniósł brwi, a wokół rozległy się niskie pomruki. – A więc jesteś jego krewnym.

– Mój ojciec jest jego kuzynem.

– Czyżby? Nie sądziłem, że rodzina proboszcza pochodzi z innych okolic.

– Tak naprawdę nigdy go nie spotkałem.

– No cóż, jeśli nie jesteś z Mersei albo z Peldon, to nic dziwnego. Słyszałem, że choruje.

Ludzie zaczęli szeptać między sobą, ale właściciel najwyraźniej był ich rzecznikiem.

– Dzisiaj się z nim zobaczę i sprawdzę – powiedział Simeon.

Mężczyzna się zatroskał.

– Zaczekaj do rana. Idzie przyплыw.

– Dziękuję za radę – odrzekł Simeon. – Ale muszę pojechać dzisiaj. Doktor Hawes na mnie czeka.

– Morty, zawieziesz go? – zwrócił się karczmarz do jednego z mężczyzn, którzy nie mieli żadnych oporów, by przysłuchiwać się tej rozmowie.

– Jestem przewoźnikiem – odezwał się Morty. Był po sześćdziesiątce i miał drobną posturę, ale sprawiał wrażenie sprawnego, czego należało się

spodziewać po kimś, kto zarabia na życie wiosłowaniem po strumieniach i rozlewiskach Essex. – Mam prom.

– Wygląda pan na dobrego przewoźnika.

– Ale skończyłem już pracę. Mam wolne.

– Na grobli jest teraz bezpiecznie? – spytał właściciel.

– Pewnie tak. Nie da się biegać, ale powinien jakoś przejść.

– To mi wystarczy – rzucił Simeon. Chciał czym prędzej ruszać. – Wskażą mi panowie drogę?

Wszyscy jak jeden mąż wyjrżeli przez okno. Nie padało, ale było już po szóstej i zapadł zimowy mrok.

– Będiesz potrzebował lampy – zauważył właściciel, wyraźnie powątpiewając, że młodzieniec z miasta, zapewne z Londynu, pomyślał, by zabrać coś takiego.

– Mam lampę.

– A buty wędkarskie?

– Nie wiedziałem, że będą potrzebne. Dam sobie radę.

Simeon popatrzył na swoje skórzane trzewiki do kostek. No cóż, widziały już lepsze dni.

– To posłuchaj. Musisz iść prosto tą drogą. Po jakimś czasie zmieni się ona w groblę. Kiedy znajdziesz się na Ray, już nie sposób zabłądzić. Dom Klepsydry to jedyny dom na wyspie.

Simeonowi to wystarczyło.

– Dziwna nazwa. Skąd się wzięła?

– Przed wejściem popatrz na wiatromierz, to będziesz wiedział. – Karczmarz się zawahał, jakby zamierzał poruszyć trudny temat. – Stary proboszcz to szlachetny człek. Czasem trochę dziwak, ale był dobry dla bratowej po tym, jak... no wiesz. – Wydawało się, że sprawdza, jak wiele Simeon słyszał.

Rodziny skandal. Ci ludzie z pewnością wiedzieli o nim więcej niż on. Uznał, że warto z nimi porozmawiać.

– Tak, wiem, że zabiła jego brata.

Karczmarz jakby odetchnął z ulgą.

– Otóż to. To dobrze. Nie chciałem, żebyś był w szoku.

– Nie jestem. – Ojciec przedstawił mu podstawowe fakty, lecz nie zdradził szczegółów, w jaki sposób Florence zabiła męża, Jamesa, czyli brata Olivera. – Ale nie wiem dokładnie, co się wydarzyło.

– Nie wiesz dokładnie, tak? – W głosie właściciela tawerny brzmiało powątpiewanie. – Spytaj Morty’ego.

Morty wbił wzrok w Simeona.

– A więc nie słyszałeś, jak to było?

– Nie.

Przewoźnik wzruszył ramionami.

– No cóż, to twoja rodzina. Twoja sprawa. – W zasadzie miał rację. To była sprawa Simeona, mimo że nie poznał żadnej z zamieszanych w to osób. Rodzinne powiązania bywają dziwaczne. – Zabrałem ciało... twojego wuja Jamesa czy jak go tam nazywaliście... z domu. Było w strasznym stanie. – Simeona ogarnęła ciekawość, zarówno zawodowa, jak i typowo ludzka. – Opuchnięta twarz. Żółta. Zaczął się psuć. – Przewoźnik na chwilę zamilkł. – Nazywają to „infekcją”. – Wymówił to słowo z namaszczeniem.

– Jaka infekcja? Co się stało?

Morty wzruszył ramionami, jakby powtarzał opowieść, którą wszyscy znali.

– Rozkwasiała mu twarz. Rzuciła w nią karafką i szkło się potłukło. Ciało zaczęło się psuć. Porobiło się czarne i żółte. – Wskazał własne policzki i szczękę. – Nadał się jak świnia.

A więc Florence pokaleczyła twarz Jamesa na tyle głęboko, że zabiło go zakażenie krwi. To musiał być potężny cios.

– Wcześniej był z niego śliczny chłopak – odezwała się jedna z bogiń losu. – Największy przystojniak w hrabstwie.

– Dlaczego to zrobiła? – spytał Simeon.

Kierowała nim niezdrowa ciekawość, ale skoro wszyscy inni znali tę historię, to dlaczego on miałby jej nie poznać?

Morty ze smutkiem pokręcił głową.

– Nie pytałem. Stało się coś bardzo złego, lepiej się w to nie zagłębiać. Położyłem trumnę w łodzi, popłynąłem do Virley i zaniósłem go do Świętej Marii. Teraz leży pod ziemią. Jeśli masz jakieś pytania, idź go zapytać.

– Morty – skarciła go bogini losu.

– No cóż... – Simeon z zadumą wypił łyk piwa. Inni w milczeniu zrobili to samo. – Wiesz, gdzie teraz jest pani Florence?

– Nie. – Morty popatrzył kolejno na wszystkich przyjaciół, a oni odwzajemnili jego ciężkie spojrzenie. – Niedługo się dowiesz.



Rozdział 2

Te słowa dźwięczały Simeonowi w uszach, gdy dziękował za rady i płacił rachunek. Znów poczuł w gardle ukłucie soli, kiedy wyszedł na zewnątrz i ruszył wąską drogą, która miała się zmienić w groblę. Zostawiwszy tawernę za sobą, poczuł się całkiem sam pod nocnym niebem i cieszył się tą chwilą spokoju.

Ziemia stała się miękka, co zapowiadało bliskość mokradeł, a obok ścieżki wkrótce pojawiła się czarna woda, w której odbijały się migoczące światła tawerny, niczym urywane sygnały z latarni morskiej. Niebawem wkroczył na ścieżkę nazywaną Strood, tak wąską, że mogła iść po niej jedna osoba. Na jej końcu rozpościerała się czarna połać gruntu bez żadnych migoczących świateł: wyspa Ray, gdzie czekał jego krewny.

Z każdym krokiem stopy coraz głębiej się zapadały. Połyskująca szklista woda po obu stronach drogi kpiła ze żmudnego marszu Simeona, błoto wciągało mu pięty, a potem całe stopy, aż do kostek. Był pełen obaw, że zapadnie się po kolana i zostanie tutaj, aż woda podniesie się powyżej jego ramion. Ale postanowił zaufać ocenie Morty'ego, że grobla jest wystarczająco twarda, i brnąć naprzód. W końcu droga stała się nieco pewniejsza i Simeon znalazł się na twardym gruncie.

Ray, wyspa, którą zabierały przypływy.

Zwiększył płomień w lampie oliwnej i snop światła omiół rozleglejszy teren. Kupił ją od handlarza zaopatrującego statki, który zapewniał go, że nigdzie nie znajdzie mocniej świecącej lampy, bo jej płomień widać nawet ze statku oddalonego o milę.

Z ciemności wyłoniła się śmiertelnie ponura okolica. Po co ktoś się tutaj osiedlił? – zastanawiał się.

Podniósł wzrok. Niebo było obsypane bladymi gwiazdami, ale na horyzoncie widniała pusta przestrzeń, całkiem pozbawiona ich blasku, a z podmokłego gruntu wyłaniało się coś czarnego i szerokiego. Dom Klepsydry, jedyny budynek na wyspie Ray. Rozświetlone okno na jego skraju było jedynym śladem ludzkiej obecności.

Kiedy podszedł bliżej i poświecił lampą, zobaczył, że dom ma trzy kondygnacje i jest równie szeroki jak te w Londynie. Obok było coś, co wyglądało na niewielką stajnię. Przestronny dom wiejskiego duchownego, chociaż nawet w najjaśniejszy wiosenny dzień okolica musiała sprawiać odstręczające wrażenie.

Dom Klepsydry. Simeon przypomniał sobie radę karczmarza, by popatrzeć na wiatromierz. Podniósł wzrok, przechylił lampę i dostrzegł nietypowy przedmiot. Rzeczywiście miał kształt klepsydry, w której piasek przesypuje się między komorami, ale wiatromierz był nie z metalu, tylko ze szkła i lśnił w świetle lampy. Pewnie zrobiono go ze szkła ołowiowego, by mógł wytrzymać wiatr i deszcz. Na oczach Simeona wiatromierz leniwie obrócił się i zaskrzypiał. Widocznie zmieniał się kierunek wiatru.

Przed drzwiami Simeon znalazł staroświecki dzwonek ze sznurkiem. Gdy mocno go szarpnął, rozległo się donośne dzwonięcie, a potem kroki i zgrzyt rygla. Po co ktoś zamyka drzwi na tej wyspie? – zdziwił się. Jaki nieproszony gość może się tu pojawić?

– Doktor Lee? – Wesoła pokojówka o obfitych kształtach odsunęła się na bok i Simeon poczuł ciepły podmuch bijący z szerokiego korytarza.

– Tak.

– Wejdzie pan?

Chętnie to zrobił.

Miał wrażenie, że dom urządzono przed stu laty. Pod jedną ze ścian ustawione były popiersia dawno zmarłych poetów, a nad schodami wisiał duży olejny obraz przedstawiający polowanie. Ale największą uwagę przyciągał portret nad kominkiem – ukazywał bardzo ładną kobietę o bujnych brązowych włosach, która stała przed połyskującym domem.

– Nazywam się Tabbers, proszę pana. Eliza Tabbers.

Simeon postawił torby.

– Czy są tutaj jacyś inni służący?

– Tak. Jest Cain... Peter Cain. Lokaj, ogrodnik i tak dalej. Oboje mieszkamy na Mersei. Jestem tutaj zaraz po wschodzie słońca, żeby rozpalic ogień, i zazwyczaj wychodzę około dziewiętnastej. Cain pracuje od ósmej do siedemnastej.

Rzeczywiście, trudno byłoby namówić kogoś, by zamieszkał w takim miejscu... zaledwie milę od najbliższej wioski, ale zarazem na pustkowiu odcinanym od lądu przez kapryśne morze.

Podał jej płaszcz, a ona powiesiła go w szafie, znajdującej się obok stołu pełnego lamp i zardzewiałych żelaznych kluczy.

– Zaprowadzi mnie pani do doktora Hawesa?

– Już to robię.

Poprowadziła go w górę schodów, a następnie korytarzem, w którym każdą powierzchnię pokrywały dywany, zasłony i wiszące ozdoby. Wszystko to tworzyło osobliwą atmosferę bezruchu, a każdy ich krok wydawał się bezgłośny. Na piętrze rozciągał się długi korytarz z trojgiem drzwi: zielonymi, czerwonymi i niebieskimi. Dwoje drzwi na końcu było z niemalowanego drewna.

Zatrzymali się przed zielonymi i pokojówka zapukała: trzy razy delikatnie, a następnie trzy razy mocno. Odpowiedział jej bolesny jęk. Wtedy wpuściła Simeona do środka.

Powitał go niezwykle widok. Ciemność, niczym w uspionym kościele, przesywały promienie światła z częściowo rozbitej lampy oliwnej, która stała na ośmiokątym stole pośrodku pokoju. Na ścianie wisały lampy gazowe, lecz nie były zapalone. Dzięki pajęczynie światła, rozpościerającej się z miedzianego stolika, Simeon zorientował się, że znajdują się w bibliotece, ale bardzo różniącej się od tych, które widział, nawet w tych nielicznych bogatych domach, gdzie został przyjęty.

Zajmowała dwie kondygnacje i sięgała niemal po dach domu, a na każdym poziomie ciągnął się rząd okien. Ustawione wokół drabiny zapewniały dostęp do książek pokrywających każdą ze ścian, od podłogi po sufit. Simeon uświadomił sobie, że schody, po których się wspiał, docierają tylko na pierwsze piętro domu, zapewne tak wysokie jak urwisko. Byłby to raj dla bibliofilów, a piekło dla ludzi nienawidzących słowa pisanego.

W pomieszczeniu majaczyły sylwetki biurek do czytania oraz stołów ze stertami książek. Przepastne fotele zapewniały odpowiednie warunki, by pochłaniać kolejne stronicę. Ustawiono je w okręgu, a na środku królowała sofa, na której drzemał łysiejący chudy czterdziestokilkuletni mężczyzna. Obok niego stał ośmiokątny stół z lampą. Przeciwległa strona pokoju kryła się w cieniu, chociaż migotanie światła lampy, podobne do refleksów na ciemnej wodzie na zewnątrz, wskazywało, że jest tam jakaś szeroka szklana płyta.

– Doktorze Hawes – odezwała się pokojówka.

Mężczyzna powoli otworzył oczy skryte za grubymi kwadratowymi okularami.

– Słucham? Och... – Głos mu zadrżał. – Pewnie jesteś synem Winstona.

– Owszem.

– Cieszę się, że przyjechałeś. Bardzo się cieszę. Podejdz śmiało. – Miał serdeczny ton głosu i spróbował przywołać Simeona gestem, ale jego dłoń opadła w połowie ruchu.

Simeon podszedł i wyciągnął rękę. Gospodarz lekko ją uściskał.

– Może najpierw zbadam księdza? – spytał Simeon, zaciekawiony, czy odkryje jakąś chorobę, czy jedynie hipochondrię. – Możemy rozmawiać w trakcie badania.

– Zbadać mnie? Och, tak, tak. Oczywiście.

– Mogę zapalić lampy gazowe?

– Przykro mi, ale ich światło boleśnie mnie razi. Wolę lampy oliwne.

– Oczywiście.

Służąca wyszła z pokoju, gdy Simeon otworzył torbę lekarską i wyjął stetoskop.

– A więc na czym polega problem? – spytał.

– Och, obawiam się, że umieram – wyszeptał proboszcz. – Moje serce... a poza tym te poty i bóle. W całym ciele. W stawach i we wszystkich narządach. W głowie. Do tego szczykanie zębami. Ale w sumie zawsze było mi zimno.

Simeon uważał, że w domu jest ciepło. W kominku się nie paliło, więc ciepłe powietrze zapewne było wdmuchiwane do pokojów przez układ wentylacyjny.

– Oślucham księdza, a potem zadam kilka pytań – oznajmił. Pacjent posłusznie rozchylił koszulę. Simeon, który oczekiwał urojonej choroby,

z zaskoczeniem odkrył, że serce kapłana wcale nie brzmi zdrowo. Przyśpieszało szaleńczo na kilka sekund, a potem donośnie łomotało. Niedobrze, pomyślał. – Kiedy to się zaczęło?

– Niech no się zastanowię. Tak, to był czwartek. Zazwyczaj mam dużo siły, pomimo chłodu. Ale kiedy tylko się obudziłem, poczułem pulsowanie w głowie. Zostałem w łóżku, sądząc, że po prostu się przeziębilem, ale dzisiaj czuję się znacznie gorzej. Ból nie daje mi spokoju i nie mogę wstać ani zasnąć.

To już pięć dni choroby. Z pewnością wyglądało to na coś gorszego niż zwykła infekcja. Gdyby znajdowali się w mieście, Simeon bez wahania obwiniłby Królową Cholerę. Ale na prawie niezamieszkanym wybrzeżu wydawało się to mało prawdopodobne. Czyżby malaria? Tereny były podmokłe, jednak z tą chorobą już dawno się uporano w tej części świata.

– Zjadł ksiądz coś nietypowego? Może niedogotowane mięso?

– Nie. Jadam niewiele mięsa. Zbyttno wzburza krew.

– Rozumiem. A może pokojówka przyrządziła jakieś szczególne grzyby?

– Nie. Chleb, ser, od czasu do czasu ryba albo baranina, pospolite warzywa. To wszystko. A pani Tabbers i Cain jadają to samo i o identycznych porach. Nasze domostwo jest małe, nie ma sensu szykować osobnych posiłków.

– Spożywa ksiądz alkohol?

Proboszcz lekko się stropił.

– Zazwyczaj wypijałem odrobinę brandy przed snem, ale odkąd zachorowałem, żołądek mi na to nie pozwala.

Wskazał niewielką beczułkę w kącie pokoju. Obok niej leżał srebrny czerpak do nabierania trunku. Wyglądało na to, że w tych okolicach, gdzie bali się zapuszczać poborcy podatkowi, nawet duchowni pijali z beczek.

– Myślę, że na razie lepiej będzie trzymać się z dala od alkoholu – powiedział Simeon. – Koniec z piciem przed snem. – Ciche skrzypienie sprawiło, że obejrzał się w stronę pogrążonego w ciemności drugiego końca pokoju.

– Skoro tak twierdzisz.

Simeon zaczął rozważać w myślach wszystkie objawiające się w ten sposób dolegliwości, jakie przychodziły mu do głowy na podstawie tego, co zapamiętał ze studiów medycznych i co znał ze swojej praktyki. Nie znalazł jednoznacznej odpowiedzi. Najbardziej prawdopodobne wydawało się

zatrucie pokarmowe, dlatego przypuszczał, że będzie zmuszony zostać jeszcze kilka dni, zanim pacjent wydobrzeje. Potem wróci do Londynu, o kilka gwinei bliższy wznowienia swoich badań.

– Podam księdzu środek wzmacniający i mam nadzieję, że już wkrótce stanie ksiądz na nogi – rzekł z pewnością siebie.

– Skoro tak twierdzisz. W końcu to ty się na tym znasz.

Simeon zareagował uśmiechem na grzeczność proboszcza i wyjął z torby buteleczkę. Wlał porcję lekarstwa do szklanki, a pacjent je wypił i mlasnął z powodu gorzkiego smaku.

– Będę osobiście nadzorował przygotowywanie posiłków. Być może pokojówka coś zaniedbała.

– Jest wobec mnie lojalna od jakichś dwudziestu lat – oznajmił proboszcz. – Na pewno nie zrobiłaby tego rozmyślnie.

Simeon zmarszczył czoło.

– Z całą pewnością. – Zdziwiło go, że taka myśl w ogóle zrodziła się w głowie doktora Hawesa.

– Londyn musi być ekscytującym miejscem dla młodego człowieka – odezwał się proboszcz swobodnym tonem.

Simeon miał wrażenie, że wyczuwa cień zazdrości w jego głosie.

– Bez wątpienia jest inspirujący. Ale czasami tęsknię za spokojniejszym życiem.

– O Ray i Mersei raczej nie można powiedzieć, by były inspirujące – zauważył proboszcz. – Ale mam nadzieję, że zostaniesz kilka dni.

– Oczywiście, dopóki ksiądz nie wyzdrowieje.

Kolejne skrzypnięcie, które dobiegło z niewidocznego krańca biblioteki, sprawiło, że Simeon zaczął się zastanawiać, czy ktoś nie ukrywa się w mroku. Ponownie zerknął w tamtą stronę, ale nic nie dostrzegł.

– Jeszcze nie rozmawialiśmy o twoim honorarium – powiedział gospodarz. – Czy pięć gwinei wystarczy?

– To bardzo hojnie z księdza strony. – Simeon zerknął na otaczające ich półki. – Proszę powiedzieć: ile tu jest książek?

– Książek? Och, zgaduję, że jakieś trzy tysiące.

– To okazała biblioteka... – Nagle urwał, bo z ciemności dobiegł głośniejszy hałas. – Co to za dźwięk? Ma ksiądz psa?

– Psa? Ależ nie, na Boga. – Proboszcz Hawes popatrzył na młodego krewnego z zaskoczeniem. – Nie wiesz? Och, myślałem, że powiedzieli ci

w tawernie, jeśli nie wcześniej. – Tawerna najwyraźniej była tutejszym ośrodkiem informacji. – Najlepiej weź lampę i sam zobacz.

Nieco podejrzliwie po tak niejasnym wyjaśnieniu Simeon wziął ze stołu lampę oliwną. Rzuciła żółty blask w promieniu zaledwie dwóch jardów, oświetlając sterty książek i kilka dywaników, perskich albo tureckich. Dobrej jakości. Ruszył w stronę ciemnego końca biblioteki.

– Bądź ostrożny, mój chłopcze – rzucił proboszcz.

Simeon dostrzegł refleks światła, niczym na czarnej tafli wody. Szkło. Na końcu znajdowała się olbrzymia szklana płyta, a światło lampy tańczyło na jej powierzchni. Nagle rozległ się inny dźwięk, tym razem szelest. Simeon ujrzał w ciemnej szybie swoje odbicie, które zbliżało się z lampą w dłoni. Kiedy podszedł jeszcze bliżej, światło lampy padło na dolną część szyby i oświetliło ją w całości, ujawniając coś osobliwego. Szklana płyta nie znajdowała się na końcu biblioteki, ale stanowiła przezroczystą ścianę, oddzielającą proboszcza Olivera Hawesa i jego trzy tysiące tomów od mniejszego pomieszczenia.

– To dosyć nietypowe – zauważył Simeon.

– Ale niezbędne. Taka wściekłość.

Jaka wściekłość? – pomyślał ze zdziwieniem Simeon, zapatrzony w ciemną szybę.

Nagle za szkłem pojawiła się niewyraźna barwna plama: podobny do księżycy dysk, który po chwili wycofał się w ciemność i zniknął. Coś zielonego przemknęło tuż nad podłogą. Co to było? Z pewnością nie...? Simeon miał swoje podejrzenia, ale wydawały mu się szalone.

Uniósł lampę, żeby się upewnić. Światło z trudem przenikało przez mroczne zwierciadło, ale kiedy lampa znalazła się przy samej szybie, zdołało przesączyć się na drugą stronę. To, co tam zobaczył, całkowicie go zmroziło. Za szklaną przegrodą ujrzał biurko, stół nakryty do posiłku, jedno krzesło, szezlong oraz regał z książkami. Na szezlongu, ubrana w jasnozieloną suknię, siedziała kobieta o ciemnych włosach i jeszcze ciemniejszych oczach, które były w nim utkwione.

Gdy patrzyli sobie w oczy, jej ciało niemal niezauważalnie unosiło się i opadało w rytm jej oddechu. Rozchyliła usta, jakby miała zamiar się odezwać.

– Słyszałeś o mojej bratowej? – Głos proboszcza Hawesa dobiegał jakby z daleka.

Kobieta zacisnęła usta i wykrzywił je kwaśny, sardoniczny uśmiech. Potem przechyliła głowę na bok i zerknęła na duchownego. A więc to była Florence, która zabiła Jamesa, brata proboszcza, rzucając mu w twarz karafką tak mocno, że szkło pękło, a rana uległa zakażeniu i zatrula mu krew.

– Nic nam nie grozi, nie zdoła się wydostać – oznajmił proboszcz. Niewątpliwie. To była cela, oszklona i elegancko umeblowana, ale jednak cela. – Simeonie, mój chłopcze?

Uśmiech kobiety nie zniknął. Wciąż patrzyła na niego z takim samym wyrazem twarzy.

– Nie miałem o tym pojęcia – powiedział Simeon.

Była może dziesięć lat starsza od niego, a kształt jej podbródka i policzków czynił z niej wyjątkową piękność. Na wsi, gdzie mężczyźni byli pewni siebie, bezpośredni i nie przywiązywali wielkiej wagi do rodowodu, bez wątpienia zdawała sobie z tego sprawę. Możliwe, że z tego korzystała. Już wcześniej widział tę kobietę, bo to niewątpliwie ona była na portrecie, który wisiał nad kominkiem w holu.

– Jej obecność cię dziwi.

– Dziwi? Jestem w szoku. – Powoli dochodził do siebie. – Co ona tutaj robi? Jak to możliwe?

– Mogła trafić tutaj albo do domu wariatów – odparł proboszcz z nutą rozdrażnienia, jakby poirytowała go insynuacja kryjąca się za pytaniem młodzieńca. – Po tym, jak zabiła Jamesa, sędzia chciał ją posłać za kraty. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Ale jeśli uważasz, że powinna siedzieć w kaftanie bezpieczeństwa w Bedlam, to proszę, szczerze mi powiedz.

Głos proboszcza ucichł, a Simeon wbił wzrok we Florence. Z pewnością była oszałamiającą kobietą. No i beztrósco patrzyła mu w oczy, jakby to on był uwięziony za szybą.

– A więc ona tutaj mieszka?

– Z tyłu ma sypialnię i łazienkę. Widzisz tamte drzwi? – Z tyłu celi znajdował się wąski otwór. – Kiedy tego potrzebuje, może liczyć na prywatność. Jada takie same posiłki jak my.

– Rozumiem...

Simeon miał mętlik w głowie. Żaden człowiek nie powinien być przetrzymywany jak okaz w zoo, ale ona zabiła człowieka, a życie w Bedlam z pewnością byłoby znacznie gorsze. W ramach szkolenia

zawodowego Simeon musiał odwiedzić tę straszliwą instytucję i widział pacjentów przykutych do ścian, którzy kołysali się dniami i nocą, pogrążeni w szaleństwie; niektórzy krzyczeli, że są zdrowi, ale byli gotowi przegryźć człowiekowi gardło, gdyby tylko mieli ku temu okazję. Czasami jakiś pacjent opuszczał szpital, wyleczony z psychicznej przypadłości, ale zdarzało się to bardzo rzadko i jedynie w najłagodniejszych przypadkach. Nie, należało za wszelką cenę uchronić tę kobietę przed Bedlam. Chociaż mogło się to wydawać okrutne, tutaj naprawdę było jej lepiej.

– Nie jest łatwo. To trudny układ – ciągnął Hawes, a gniew w jego głosie ustąpił miejsca żalowi. – Dla nas wszystkich. – Z wysiłkiem otarł czoło chustką.

Simeon chciał porozmawiać z Florence, ale nie sprawiała wrażenia zainteresowanej.

– W jaki sposób otrzymuje posiłki?

– Przez klapę nad podłogą.

Simeon spuścił wzrok. W szybie zamontowano prostokątny podnoszony panel, wystarczająco duży, by pomieścić tacę z jedzeniem.

– Na pewno może jakoś wydostać się na zewnątrz.

– Ze względu na nasze pełne bezpieczeństwo nie ma takiej możliwości. Cella jest zabudowana ze wszystkich stron. Co tydzień zmieniamy pościel, by zachować czystość. Podajemy ją przez klapę. Mieszkanie ma dostęp do bieżącej wody. Poza tym nic do niego nie trafia ani go nie opuszcza. To konieczne, by spełnić wymogi władz.

Do diabła z władzami, pomyślał Simeon.

– Florence – odezwał się i mógłby przysiąc, że jej źrenice zmieniły się, gdy usłyszała swoje imię. – Słyszysz mnie? Jesteśmy rodziną... przez małżeństwo. Jestem doktor Simeon Lee. – Czekał na jakieś jej słowo, ale kobieta nie dawała żadnych oznak życia. Zauważył tylko zmianę w jej oczach. – Przyjechałem, żeby wyleczyć doktora Hawesa z pewnej przypadłości.

Czyżby dostrzegł nieznaczną zmianę na jej twarzy? Być może kąciki ust minimalnie się uniosły. Ale w celi było tak ciemno, że pewnie tylko zmylił go błysk lampy.

– Wątpię, żeby ci odpowiedziała – rzekł Hawes. – Odzywa się, gdy ma na to ochotę, ale nie zdarza się to często.

Simeon nie spuszczał z niej wzroku.

– Porozmawiasz ze mną, Florence? Powiesz choć słowo? Tylko jedno słowo.

– Nie powie, nie dzisiaj.

– Skąd może ksiądz to wiedzieć?

– Ponieważ ona też napiła się przed snem.

Simeon się obejrzał.

– Jak to? – Wyczuł w słowach krewnego niewinną groźbę.

– Lekarze, którzy ją badali, powiedzieli, że cierpi na nadmiar cukru we krwi. Najlepszym sposobem, żeby ją uspokoić, jest nieco laudanum rano i wieczorem.

Nalewkę z laudanum – opium rozpuszczone w brandy – często przepisywano nadmiernie pobudzonym pacjentom. Simeon rzeczywiście widział, jak stosuje się ją z dobrym skutkiem do uspokajania ludzi o zbyt rozgorączkowanych mózgach, ale nie był pewien, czy w tym wypadku byłoby to etyczne działanie.

– Dziś wieczorem otrzymała dawkę? – spytał.

– Taką samą jak zwykle. Ze szklanki, która tam stoi.

Simeon dopiero teraz zwrócił uwagę na mały ośmiokątny stolik, bliźniaczo podobny do tego w bibliotece, oraz na wywróconą szklankę. Zobaczył także, że kobieta opuściła na nią wzrok. Z pewnością przysłuchiwała się ich rozmowie. A zatem miała przytomny umysł, chociaż jej ciało było otępiełe. To byłaby najbardziej okrutna sztuczka, pomyślał Simeon. Czym innym jest uwięzienie za szklaną szybą, ale uwięzienie w sparaliżowanym ciele jest stukrotnie gorsze.

– Skąd pochodzi lekarstwo? – spytał.

Proboszcz wskazał zamykaną dużą szafkę w kącie i wyjął klucz z kieszeni.

– Butelka jest bezpiecznie schowana, zapewniam.

Simeon ponownie spróbował nawiązać kontakt z kobietą.

– Florence, jestem lekarzem. Czy mogę ci jakoś pomóc?

Nie liczył na odpowiedź, ale mimo wszystko na nią czekał. Kobieta milczała.

– Dobry z ciebie chłopiec, Simeonie. Masz serce na właściwym miejscu. Ale niektórych rzek nie da się przekroczyć.

Młodzieniec się zasepił.

– Od jak dawna tam przebywa?

– Zamknęliśmy ją wkrótce po tym, jak zabiła Jamesa. Prawie dwa lata temu.

– I od tamtej pory ani razu nie wyszła?

– Nie wychodzi od ponad roku. Przez jakiś czas zachowywała się spokojniej, więc wydawało się to bezpieczne. Wtedy miała drzwi prowadzące na korytarz i wieczorami pozwalałem jej siedzieć tutaj ze mną. Ale potem... zaszła w niej zmiana i uznałem, że będzie lepiej, jeśli zapieczętuję drzwi.

Lepiej dla ciebie, pomyślał Simeon. Ale czy dla niej?

Iskra wzbijała się z lampy i jej odbicie poszybowało w górę ciemnego lustra. Kobieta podążyła za nią wzrokiem, a potem znów spojrzała na Simeona. Chciał poznać tę historię, dowiedzieć się, w jaki sposób jego krewni znaleźli się w tak osobliwej sytuacji.

– Doktorze Hawes... – zaczął.

– Och, możesz mnie nazywać wujem. Wiem, że tak naprawdę nim nie jestem, ale to nam wszystko ułatwi.

– Wuju. – Młodzieniec odwrócił się do proboszcza. – Wiem tylko, w jaki sposób ona zabiła twojego brata. Czy mogę się dowiedzieć, dlaczego to zrobiła?

Duchowny odchylił się na oparcie sofy, najwyraźniej przytłoczony wspomnieniami.

– Podejrzewała Jamesa o nieprzystojne zachowanie. Tylko tyle mogę powiedzieć. – Na jego białych policzkach pojawił się lekki rumieniec wstydu.

– Rozumiem. – Ale słowa krewnego tylko rozbudziły ciekawość młodego lekarza.

– Nie wydaje mi się, żebyś rozumiał – odparł Hawes. – Mój chłopcze, Ray i Mersea leżą na odludziu. Większym, niż może się wydawać na podstawie mapy. To oddalenie jest zapisane w naszej duszy. – Poprawił się na sofie. – Byłbyś tak miły i podał mi szklanę wody?

Simeon odwrócił się od kobiety za szybą, ale wciąż ją wyczuwał, chyba jeszcze mocniej, gdy już jej nie widział. Podszedł do kredensu, na którym stało kilka butelek. Woda wyglądała na czystą, więc wręczył proboszczowi napełnioną szklanę.

– Dziękuję – rzucił Hawes. – Opowiadałem ci o duchu tej dziwacznej ludzkiej istoty. Mam czterdzieści dwa lata. Mój brat jest... był... sześć lat młodszy. Florence wiekowo jest między nami. Jej ojciec, pan Watkins, to

miejscowy dziedzic i urzędnik. Dobry człowiek. Ze względu na nasz wiek i na to, że wszystkie pozostałe dzieci w promieniu wielu mil były potomstwem rybaków lub... jak mam to nazwać?

– Szmuglerów? – podsunął Simeon.

– Powiedzmy, że ludzi, którym obce są prawa akcyzowe – przyznał Hawes. – Oczywiście jako duchowny zawsze powtarzam, że od wszystkiego, co trafia do mojego domu, zostały odprowadzone podatki. – Simeon popatrzył na beczułkę brandy i srebrny czerpak; nie byłby gotów założyć się o to, że pochodziła z całkowicie legalnych źródeł. – W każdym razie ze względu na to zbliżyliśmy się do siebie. James i Florence byli, jeśli wolno mi to powiedzieć, bardziej niesfornymi dziećmi ode mnie.

– Mów dalej. – Simeon wciąż był świadom, że jedna z osób, których dotyczy ta opowieść, uważnie słucha, pomimo oszołomienia opium.

Proboszcz zachichotał pod wpływem wspomnień.

– Pamiętam, jak pewnego razu byłem pogrążony w lekturze, zapewne jakiejś książki o historii starożytnego Rzymu, ponieważ najbardziej mnie ciekawiła. Zresztą nadal tak jest. Oni mieli lekcję francuskiego w domu Watkinsów na Mersei. Kiedy tylko nauczyciel odwrócił się do nich plecami, wyskoczyli przez okno, pobiegli na plażę, zrzucili wierzchnią odzież i popłynęli przez strumienie do tawerny. Pojawili się tam w środku dnia, przemoczeni, w samej bieliźnie. Potem mieli czelność wynająć Morty'ego, by odwiózł ich do domu. Obiecali, że mój ojciec mu zapłaci. – Znów łagodnie się roześmiał. – Łobuziaki.

– Na to wygląda.

– Och, ale potrafili zachowywać się znacznie gorzej. Nawet agresywnie. Kiedy James miał jakieś szesnaście lat, pojechali na wiejski jarmark, gdzie zaczął umizgiwać się do pewnej dziewczyny. Florence wpadła we wściekłość i podbiła biedaczce oko. Niezbyt dystygowane zachowanie, ale przecież byli dziećmi. Tylko dziećmi.

Nagle w głowie proboszcza najwyraźniej pojawiło się jakieś świeższe wspomnienie, bo wbił wzrok w ciemny koniec pomieszczenia, gdzie była zamknięta Florence.

– Dlaczego ona siedzi w ciemności? Nie ma lampy?

– Ma i czasami ją zapala. A czasem chyba woli ciemność. To jej wybór. – Hawes westchnął. – Jestem już bardzo zmęczony. Chyba się położę, chociaż wątpię, by udało mi się zasnąć. Pokażę ci twój pokój. – Dźwignął się z sofy. Simeon próbował mu pomóc, ale duchowny grzecznie

odmówił. – Poradzę sobie, chłopcze. – Powłócząc nogami, ruszył w stronę drzwi.

Simeon niechętnie odwrócił się od celi, w której siedziała jego powinowata, i podążył za proboszczem. Kiedy światło odsunęło się od szyby, cela znów pograżyła się w mroku, ale młodzieniec czuł, że kobieta wciąż go obserwuje.

– Twoja kwatera jest za czerwonymi drzwiami. Mam nadzieję, że będziesz dobrze spał – rzekł Hawes na półpiętrze i z trudem skierował się w stronę własnego pokoju.

Simeon życzył mu dobrej nocy i wszedł do sypialni w głębi korytarza. Okazała się całkiem przyjemna, chociaż nieco zakurzona i staroświecka. Tak jak słowo „szmugler”, pomyślał. Zdjął ubranie, położył się do łóżka i nakrył pościelą. Zaczął przypominać sobie wszystko, co usłyszał tego wieczoru. Wiedział, że powinien zastanawiać się nad przyczyną dolegliwości proboszcza Hawesa, ale potrafił myśleć tylko o kobiecie za szybą.



Rozdział 3

Kiedy Simeon się obudził, stado mew krzyczało i krążyło za oknem, szukając jakiejś zdobyczy w morzu lub na łądzie. Umył się w misce i ruszył na dół. Gdy przechodził przez hol, ponownie zauważył portret nad kominkiem i uważniej mu się przyjrzał. Już wiedział, że przedstawia Florence, jej głowę i ramiona pod bardzo jasnym niebem – tak jasnym, że nie mogła to być Anglia. Nie, to na pewno inne miejsce. Kobieta miała na sobie żółtą jedwabną suknię, a portret namalowano zapewne dziesięć albo dwanaście lat wcześniej – kiedy miała tyle lat co Simeon teraz. Stała przed wielce nietypowym domem, prawie w całości zbudowanym ze szkła. Malarz wykazał się niezwykłym talentem, ponieważ Florence wyglądała jak żywa, w niemal niepokojący sposób.

Pani Tabbers posilała się w kuchni serem i chlebem i towarzyszył jej służący Cain, mężczyzna o surowym wyglądzie, z kępkami jasnorudych włosów sterczących na głowie oraz z nosa i uszu. Cain zaskakująco długo przeżuwał każdy kęs jedzenia.

- Dzień dobry.
- Dzień dobry panu – odpowiedziała pani Tabbers.
- Czy doktor Hawes już się obudził?
- Owszem.

Zegar na ścianie pokazywał, że niedawno minęła ósma.

– Chcę się upewnić, że właściwie się odżywia. Zaniosę mu śniadanie, jeśli to pani nie przeszkadza.

Pani Tabbers sprawiała wrażenie rozbawionej tym pomysłem.

– Ależ może mu pan podać śniadanie, proszę bardzo. Jest w bibliotece. Musiałam pomóc mu tam wejść. – Postawiła na tacy chleb i mleko.

– Niewykluczone, że doktorowi Hawesowi zaszkodziło coś, co zjadł.

– Bardzo dobrze gotuję, proszę pana – oznajmiła chłodno. – Proboszcz często mi to powtarza.

– Z pewnością tak jest. – Nie chciał urazić kobiety, która przygotowywała także jego posiłki, więc wziął kawałek chleba. – Ale możliwe, że do jego jedzenia dostało się coś niewidocznego. Czy pani je to samo co on?

– Dokładnie to samo. Podobnie jak Cain. Nie ma sensu dwa razy gotować, prawda?

– Naturalnie. A woda i mleko... zawsze pochodzą z tego samego źródła?

– Zawsze – odezwał się Cain tonem, który sugerował, że poczuł się oskarżony i wcale mu się to nie podoba.

– Pija wino?

– Rzadko – odrzekła pani Tabbers. – W okresie Bożego Narodzenia. Oczywiście wino mszalne. Ale tylko odrobinę i pije je całe zgromadzenie.

To był ślepy zaułek.

– A co z brandy, którą raczy się przed snem?

Wzruszyła ramionami.

– Zazwyczaj wypija tylko kilka kropli. Skończył beczułkę dzień albo dwa dni przed tym, jak źle się poczuł.

– Kiedy dokładnie to było?

– Niech pomyślę, zachorował w... czwartek. Pierwszego dnia miesiąca. – To pokrywało się ze słowami proboszcza.

– Powinniśmy przebadać tę nową – rzekł Simeon. To był ciekawy zbieg okoliczności. Brandy mogła być źródłem choroby kapłana, chociaż stałe pogarszanie się jego stanu zdrowia podawało to w wątpliwość. – Ale nie wiem, kto by się tego podjął.

– Ja mogę ją sprawdzić – zaproponował Cain.

– Słucham?

– Brandy. Mogę ją sprawdzić. Upewnić się, że można ją bezpiecznie pić.

Pani Tabbers prychnęła.

– Co to za kwakier, który pije? Nie składałeś ślubów?

– Cicho bądź, kobieto – odburknął. – To z powodów medycznych.

– Zdaje pan sobie sprawę z ryzyka? – wtrącił Simeon.

– Najpierw dam trochę swojemu psu, Nelsonowi. Lubi łyknąć brandy. – Ludzie byli gotowi na największe ryzyko, byle tylko się napić. Cain zerknął na zegar. – Zrobię to koło dziewiątej. Najpierw muszę zajrzeć do żrebaka – zwrócił się do pani Tabbers.

– Jakiego żrebaka? – spytał Simeon.

Cain wziął kolejny kęs i odezwał się z pełnymi ustami.

– Kulawego. Klacz proboszcza urodziła go kilka tygodni temu. Sprawdzę, czy zwierzę czuje się lepiej. Jeśli nie... no cóż.

– Co się wtedy stanie?

– To za duże obciążenie, prawda? Spore koszta. Dla proboszcza i dla mnie. Komu potrzebne kulawe zwierzę?

– Rozumiem.

– Kulawy żrebak to zły znak. – Cain powoli przeżuwał jedzenie.

Simeon doszedł do wniosku, że ludzie na wsi przywiązują dużą wagę do zdrowia swoich zwierząt i wróżą przyszłość z ich losów. Owszem, chory żrebak był przekleństwem.

– Pochodzi pan z Mersei?

– Tam się urodziłem i wychowałem – stęknął Cain. – Nigdy nie oddaliłem się bardziej niż na dziesięć mil.

To mogło być użyteczne.

– A więc zna pan wszystkie okoliczne tajemnice – rzekł Simeon wesoło.

Po wieczornym spotkaniu z Florence zaintrygowały go niektóre tutejsze sekrety.

Cain odstawił kubek.

– Chce pan o coś spytać? Śmiało.

W jego głosie zabrzmiała nadspodziewana agresja, ale Simeon nie ukrywał zaciekawienia.

– Co się wydarzyło pomiędzy Florence a Jamesem?

Cain odkroił spory kawałek chleba, posmarował go masłem i zjadł – wyraźnie się ociągał, układając w głowie właściwą odpowiedź.

– Mówią, że pan James był w to zamieszany.
– Peter! – rzuciła ostrzegawczo pani Tabbers.
– Taka jest prawda.
– W co dokładnie? – spytał Simeon.
– Wystarczy tych plotek – stanowczo ucięła temat gospodyni.
– Pani Tabbers...
– Nie. Dosyć plotek. – Nalała sobie mleka z dzbanka i odstawiła go z hukiem na znak, że to koniec rozmowy.

Simeon uznał, że na razie lepiej będzie się wycofać. Więcej much złapie na miód niż na ocet. Wziął tacę z posiłkiem dla proboszcza i ruszył do biblioteki.

Wszedł i uważnie popatrzył na pacjenta, który siedział na tej samej sofie co poprzedniego wieczoru, okryty kocem.

– Dzień dobry – wymamrotał proboszcz.

Simeon odstawił tacę z jedzeniem i nie mógł się już powstrzymać, by nie spojrzeć w drugi koniec biblioteki. Kobieta siedziała, obserwując go, ubrana w tę samą zieloną sukienkę. Może nie wolno jej było nosić niczego innego. Możliwe, że tkwiła tam przez całą noc. Czy w ogóle spała? Simeon nie byłby zaskoczony, gdyby się okazało, że ta przyjemność i ulga nie są jej znane. Teraz jednak musiał zająć się pacjentem, który był w gorszym stanie niż poprzedniego dnia. Miał bladą skórę, a kiedy Simeon zmierzył mu puls, stwierdził, że jest szybszy, a zarazem słabiej wyczuwalny, co wskazywało na pogłębienie choroby.

– Wiesz, mój chłopcze – odezwał się duchowny – mam wrażenie, że w mojej głowie maszeruje wojsko. Cała armia.

Simeon delikatnie opuścił jego nadgarstek.

– Przykro mi to słyszeć. Zjedz śniadanie, wuju, poczujesz się lepiej.

Proboszcz zjadł nieco, po czym zaczął dygotać i osunął się na oparcie sofy.

– To prawda, że czujesz się trochę gorzej, ale jestem pewien, że z tego wyjdiesz. – Simeon kłamał. Oznaki życia u pacjenta były znacznie słabsze. Nie zdziwiłoby go, gdyby wuj zemdlął tu na jego oczach. – Gdybyś mógł...

– Ktoś mnie truje! – wykrzyknął nagle Hawes.

Wygiął się w łuk, a potem ciężko opadł. Simeon potrzebował chwili, by otrząsnąć się ze zdumienia.

– Dlaczego tak uważasz, na miłość boską? – spytał.

Hawes przez chwilę ciężko dyszał, aż w końcu doszedł nieco do siebie.

– Mam wrogów.

Kolejne zaskakujące twierdzenie. Ten mężczyzna był wiejskim duchownym, a nie tureckim paszą.

– Wrogów? Niby kogo? – zapytał Simeon sceptycznie, lecz zaraz przyszła mu do głowy pewna osoba. Popatrzył na szklaną celę. Kobieta obserwowała ich niewzruszonym wzrokiem. – Masz na myśli Florence?

– Ją. Innych.

Wątpliwości Simeona powróciły, gdy proboszcz zasugerował istnienie morderczego spisku na wyspie Ray.

– Są w stanie cię truc?

– Jak najbardziej. Jak najbardziej... Musisz odkryć, co mi podali. Na pewno jest na to jakieś lekarstwo.

Czasami zdarzało się, że gorączka wywoływała u pacjentów majaki, skłaniając ich do obwiniania nieistniejących osób o własne dolegliwości. Duchowny prawdopodobnie był dotknięty całkiem normalną organiczną chorobą bądź przypadkowym zatruciem pokarmowym. Ale jego gwałtowne zapewnienia, zabójstwo, do którego doszło w Domu Klepsydry, i wynikające z niego uwięzienie bratowej proboszcza sprawiły, że w umyśle Simeona zaczęły się rodzić niejasne wątpliwości.

Niezależnie od przyczyny choroby najlepiej było uspokoić pacjenta.

– Muszę powiedzieć, że jeśli spożyłeś truciznę, przypadkiem bądź za sprawą czyjegoś rozmyślnego działania, to działa ona w nietypowy sposób, skoro twój stan stopniowo pogarsza się przez sześć dni od zatrucia. Nie znam żadnej substancji o takim działaniu. Jedzenie i napoje, które otrzymywałeś, spożywali także twoi służący, a nie skarżyli się na żadne problemy żołądkowe. – Podszedł do nowej beczułki z brandy. – Napocząłeś ją, prawda?

– Otworzyłem ją w przeddzień wystąpienia choroby. Od tamtej pory z niej nie piję.

– Zatem wątpliwe, by stanowiła źródło szkodliwej substancji, chociaż Cain i tak koniecznie chce zbadać jej zawartość.

– Pozwól mu. Czemu nie?

Po tych słowach Hawes, wyczerpany rozmową, odwrócił się i zapadł w drzemkę. Simeon przez chwilę mu się przyglądał, po czym, nie mając innego zajęcia, zaczął krążyć między regałami. To był zaskakująco

różnorodny księgozbiór – od książek religijnych, przez historię naturalną, po fikcję literacką. Tutaj *Dwunastu cesarzy*, tam zbiór wierszy Donne’a.

Stuk. Stuk. Stuk. Podniósł wzrok. Powolne lekkie uderzenia szkła o szkło. Dobiegały od strony celi Florence, gdzie kobieta rytmicznie stukała szklanką w dzielącą ich szybę.

– Florence? – odezwał się. – Chcesz czegoś?

Wskazała coś palcem, a Simeon podążył spojrzeniem w kierunku ośmiokątnego stołu. Na blacie leżała książka, którą najwyraźniej niedawno czytano. Kiedy wziął ją do ręki, zobaczył, że to nieduża nowelka. Jej tytuł, *Złote pole*, był napisany złotymi literami.

– Chcesz ją przeczytać? – spytał, wyciągając w jej stronę tomik. – Chcesz, żebym ja ci ją przeczytał?

Opuściła dłoń i wróciła na swoje krzesło.

Simeon przewrócił suche kartki.

Opowiem wam historię. Nie jest ani przyjemna, ani szczególnie paskudna. To zwykła historia. Ale gwarantuję z ręką na sercu, że prawdziwa, ponieważ tam byłem.

Pewnie nigdy o mnie nie słyszeliście, lecz możliwe, że słyszeliście o moim ojcu. Jeśli pochodzicie z Kalifornii, to zapewne słyszeliście jego nazwisko za każdym razem, gdy kupowaliście whisky, a tym bardziej szyby do okien. Chyba nie zdradzę żadnych rodzinnych tajemnic, gdy powiem, że zakaz spożywania alkoholu był błogosławieństwem dla jego konta bankowego. Zanim Kongres postanowił, że wszyscy musimy złożyć śluby abstynencji, ojciec był niezłe prosperującym biznesmenem. Ale dzięki kuzynowi z Vancouveru – to w Kolumbii Brytyjskiej, jeśli nie wiecie – oraz naturalnemu talentowi do zarabiania pieniędzy, i to w każdy możliwy sposób, przez całe lata dwudzieste beczki z trunkiem płynęły przez Pacyfik, a tata zamieniał je na gotówkę. Mnóstwo gotówki.

Pierwszą rzeczą, którą kupił, był nowy garnitur. Drugą była żona. Trzecią – dom zbudowany ze szkła.

Oczywiście nie cały. Były w nim drewniane belki, metalowe ramy i podłogi z desek. Ale ściany niemal w całości wykonano ze szkła. Dlatego było w nim gorąco w lecie i chłodno w zimie. Ojciec kupił dom od człowieka, który go zbudował, a następnie stracił wszystkie

pieniądze przez pewne oszustwo giełdowe, na które, zdaniem ojca, nie powinien się nabrać. Sprzedawca podziękował mu za kupno nieruchomości jak za ogromną przysługę, choć tak naprawdę ojciec był jak sęp, który dostrzega padlinę leżącą na stepie i rzuca się, by ją pożreć.

A teraz już zaczynamy naszą opowieść, ponieważ musi się ona rozpocząć. Zaczyna się w lutym 1939 roku.

Simeon przytrzymał kartki kciukiem i zamknął książkę, po czym dokładniej się jej przyjrzał. Florence chciała, żeby ją przeczytał, więc musiało być w niej coś ważnego, czego na razie nie dostrzegał. Książka była nie grubsza od typowej taniej nowelki, ale została elegancko oprawiona w żyłkowaną karmazynową skórę. Kto był autorem? Popatrzył na grzbiet tomu. Widniało tam nazwisko *O. Tooke*. Ktokolwiek to był, pisał o przyszłości, opisując ją jako przeszłość. Simeon ponownie otworzył książkę.

Poprzedniego dnia spadł śnieg. Nie widzujemy go często – na wybrzeżu, gdzie wybudowano nasz dom, pojawia się raz na kilka lat. Kiedy większa część Kalifornii jeszcze nie była nazwana, nawet przez Indian, ktoś ochrzcił przylądek, na którym mieszkamy, Point Dume, co brzmi właściwie. Kiedy byłem dzieckiem, śnieg padał na obmywaną falami plażę i pokrywał ją niesamowitą pofalowaną białą warstwą, która wyglądała niczym skóra albinosa naciągnięta na zębra smoka.

Musicie się dowiedzieć, kto tam wtedy przebywał. Główni bohaterowie to ja, moja młodsza siostra Cordelia oraz nasz dziadek. Był także mój ojciec. Matka zmarła pięć lat wcześniej we Francji. Niosłem jej trumnę.

Zazwyczaj późno jadaliśmy kolację, na francuską modłę siadając do stołu dopiero o dziewiątej trzydzięci wieczorem. Wtedy oczywiście większość z nas była już na granicy śmierci głodowej, a najbardziej najedzonymi osobami w domu byli służący, którzy jadali trzy godziny przed swoim tak zwanym państwem.

Tamtego wieczoru, gdy poszedłem na dół, zobaczyłem siostrę, która właśnie wślizgiwała się do jadalni, ubrana w sukienkę w chińskim stylu, połyskującą od złotych włókien.

– Słyszę twoje myśli – rzuciła przez ramię, kiedy podążyłem za nią po czarno-białych płytkach.

– No to o czym myślę? – spytałem.

Zatrzymała się, poczekała, aż ją dogonię, wzięła mnie za rękę i szepnęła mi do ucha:

– Myślisz, że musisz wytrzymać jeszcze tylko kilka tych kolacji, zanim będziesz mógł wrócić do Harvardu i tamtej miłej dziewczyny, która wysyła ci wiersze tak złe, że to powinno być nielegalne, ale ty wielokrotnie je czytasz, ponieważ ona tak ładnie się uśmiecha.

Zakaszlałem. Czasami jej przenikliwe komentarze trafiały zbyt blisko celu.

W tym momencie lokaj odchrząknął – w ten sposób przyciągnął naszą uwagę, choć nie zwrócił się do nas bezpośrednio.

– Tak? – odezwałem się.

– List do pana. – Podał mi go na cynkowej tacy.

Był zapieczętowany woskową taśmą, a na kopercie widniało moje nazwisko, napisane charakterem pisma, którego nie znałem. List wyglądał tak, jakby ktoś wysłał go w pośpiechu – tusz był rozmazany, a znaczki przyklejone koślawo. Było ich sporo, bo przyszedł aż z Anglii. W kopercie coś się przesunęło, gdy ją obróciłem.

Nie wiedząc, czego mam się spodziewać, rozdarłem kopertę i wyjąłem niewielką kartkę. Widniała na niej krótka wiadomość.

Powiem Ci, co spotkało Twoją matkę. Dworzec kolejowy Charing Cross w Londynie. Pod zegarem. Siedemnastego marca o dziesiątej rano. W kopercie był także srebrny naszyjnik z małym medalionem. W środku zobaczyłem zdjęcie mojej uśmiechniętej matki. Dobrze znałem ten medalion. Matka miała go na sobie tamtego wieczoru, gdy jej powóz wypadł z drogi podczas gwałtownej burzy. Nikt nie wiedział, dokąd wtedy jechała. Ale oto pojawia się ktoś, kto podobno zna odpowiedź. Ktoś, kto się nie podpisał.

A więc książka opowiadała o poszukiwaniu. Poszukiwaniu prawdy ukrytej w rodzinnej historii. Simeon był w podobnej sytuacji. Chociaż tekst był prosty, a opowieść – przynajmniej na razie – niegroźna, i tak poczuł, że wzbiera w nim niepokój. Zupełnie jakby wciągała go do jakiegoś innego czasu, do obcego świata.

– Florence? Ta książka. Co ona dla ciebie oznacza? – spytał. – Dlaczego chcesz, żebym ją przeczytał?

Nie zareagowała, słowem ani gestem. Otworzył nowelę na jednej z dalszych stron. Krajobraz stał się dziwnie znajomy.

Pub wydawał się zamknięty, ale załomotałem pięścią w drzwi tak mocno i szybko, że mógłbym obudzić zmarłego. W końcu pojawił się właściciel, który właśnie tak wyglądał. A więc to tutaj spotykali się szmuglerzy. Niektórzy byli teraz w środku, z pistoletami w zanadrzu kurtek.

Simeon przeskoczył na koniec opowieści. Co ciekawe, znajdował się on w połowie książki, a kolejne strony były puste.

A więc był tutaj. Podobnie jak ja. A między nami była tylko nienawiść, która płonęła jak rozżarzone węgle. Mógłbym wbić mu nóż pod żebra i wznieść dziękczynne modły do Wszechmogącego. I chociaż deklarował miłość i pobożność, bez mrugnięcia okiem potraktowałby mnie w taki sam sposób. Pytanie brzmiało: który z nas ma lepszy plan i zdobędzie się na odwagę, by wcielić go w życie? Ostatecznie okazało się, że ja.

– Florence, co to jest? – spytałem.

Popatrzyła na książkę w jego dłoni, po czym wstała i podeszła do swojego regału. Wyciągnęła jakiś gruby tom, przez chwilę go kartkowała, a potem wzięła z biurka pióro. Zakreśliła kilka miejsc na stronie i przycisnęła książkę do szkła. Simeon przeczytał słowa zaznaczone czarnym tuszem. *Ostrzeżenie... Objawienie... Przeczucie...* Ostatnie zostało zakreślone podwójnie. Florence odstawiła książkę na półkę i spoczęła na szeszlengu. I wciąż nie spuszczała wzroku z Simeona.



Rozdział 4

Simeon nie chciał się do tego przyznać przed sobą, ale poczuł ulgę, gdy zamknął karmazynową książkę i odstawił ją na najwyższą półkę. Zauważył przy tym, że drży mu ręka. Spojrzał przez szybę na Florence. Nie sprawiała wrażenia rozczarowanej ani rozgniewanej tym, że nie przeczytał każdego słowa. Wyglądała na zadowoloną, jakby na razie całkowicie jej wystarczyło, że uczyniła *Złote pole* – tę amerykańską perspektywę i opowieść rodem zza oceanu – częścią życia Simeona. Był pewien, że wyniknie z tego coś więcej.

Skoro jego pacjent zasnął, Simeonowi nie pozostawało nic innego, jak tylko liczyć na zbawienne działanie snu. Owszem, mógł zawieźć proboszcza do szpitala w Colchesterze, ale co dobrego by z tego wynikło? Wystawiłby go tylko na działanie brudu i zarazków, od których roiło się w prowincjonalnych szpitalach. Nie, lepiej było mu tutaj, gdzie Simeon mógł nadzorować jego stan.

– Porozmawiamy, Florence? – spytał, a ona jeszcze bardziej ukryła twarz w dłoniach. – Czy mogę coś zrobić albo coś ci dać, żebyś poczuła się lepiej? – Uśmiechnęła się, ale tylko do siebie. Jej uśmiech pokazywał, że żał jej człowieka próbującego nakłonić ją do zwierzeń, do których nigdy nie dojdzie. – Jeśli potrzebowałabyś czegoś, chętnie ci to przyniosę. – Schował

ręce do kieszeni. – Opowiesz mi o sobie? – Cisza. Pod wpływem impulsu pozwolił sobie na bardziej prowokacyjne pytanie. – Opowiesz mi o Jamesie? Powiesz, co zrobiłaś i dlaczego? – Sam nie wiedział, czego się spodziewa, ale chciał wywołać jakąkolwiek jej reakcję. – Kochałaś go czy nienawidziłaś?

W końcu się doczekał. Żadnych krzyków ani łez. Florence wyprostowała się, uniosła głowę, twarzą ku niewidocznemu niebu, jakby wystawiała ją do słońca, i westchnęła, a w tym westchnieniu zawarły się wszystkie słowa świata. Potem skryła się do swojej prywatnej przestrzeni, gdzie mogła być sama. Czy to była oznaka żalu? Wstydu? Tęsknoty? Gniewu? To mogła być każda z tych emocji albo żadna.

Kiedy zniknęła mu z oczu, wszedł Cain z tacą, na której były chleb, odrobina solonej wołowiny i kubek mleka. Postawił posiłek na podłodze przed szklaną ścianą. Otworzył klapę i nogą wepchnął tacę do środka. Kubek się przewrócił i mleko wylało się na podłogę. A Cain wyszedł, nawet się nie obejrzawszy.

– Cain! – z oburzeniem zawołał za nim Simeon.

– Wybacz mu te szorstkie maniery. – Hawes obudził się i także widział zachowanie Caina. – Był bardzo przywiązany do mojego brata.

– Czy to go usprawiedliwia?

– Musimy próbować zrozumieć gniew innych.

No cóż, niewiele dało się zrobić. Ale wciąż pozostała kwestia sprawdzenia brandy. Simeon zniósł do kuchni beczułkę i wezwał Caina. Ten zjawił się z ponurą miną, która jednak zniknęła, gdy zobaczył trunek.

– W porządku, oto twoja szansa – rzekł Simeon z irytacją. Miał ochotę ukarać służącego za jego wcześniejsze zachowanie, ale przecież nie był u siebie. – Tylko najpierw podaj ją swojemu psu.

Cainowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Wyszedł, a po chwili wrócił z brzydkim ogarem.

– To jest Nelson – mruknął.

Napełnił miskę mieszanką brandy i wody. Pies wychłęptał zawartość, a Simeon zastanawiał się, czy zwierzak rzeczywiście lubi alkohol, jak twierdził Cain. Po dwudziestu minutach pies zaczął się zataczać, po czym padł jak długi na posadzkę kuchni, ale nie przestał oddychać.

– Dobry napitek – orzekł Cain i nalał sobie pełną szklaneczkę brandy.

– Powinieneś poczekać do jutra, by upewnić się, że Nelsonowi nic nie jest.

Cain wzruszył ramionami i uniósł szklanę do ust. Miejscowi mężczyźni zapewne wychowali się na tym trunku. Służący najpierw ostrożnie wypił łyk, mlasnął z namysłem, a potem wychylił do dna.

– Dobry napitek – powtórzył.

Simeon miał nadzieję, że nie będzie musiał się zajmować dwoma umierającymi pacjentami i zdechłym psem.

– Zaczekaj tu chwilę, będę cię obserwował – powiedział.

– Jak pan sobie życzy.

Rozważał, co zrobi, jeśli u Caina pojawią się objawy zatrucia. Najlepszy będzie środek wymiotny. Miał przy sobie butelkę wody z rozgniecionymi ziarnami gorczycy, która mogła spowodować natychmiastowe zwrócenie wypitego trunku. Ale kiedy po trzydziestu minutach milczącego oczekiwania kolor skóry i tętno Caina nie uległy zmianie, Simeon uznał, że nic złego się nie wydarzy.

Służący podziękował i wyszedł, zabierając ze sobą beczkę i bezwładnego psa.

Simeon podążył za nim, na zewnątrz. To był paskudny poranek – padał niemal poziomy, kłujący deszcz. Nad morzem formowała się lodowata mgła, która mogła ogarniać całe miasteczka.

Szedł po polach zatrwanu, zdeterminowany, by nie dać się pokonać pogodzie. Dom Klepsydry zajmował jedyną stałą część wyspy Ray, jej zachodni kraniec, otoczony błotem, odległy o kilkaset jardów od grobli. I także on był wystawiony na najgorsze, co mogło przynieść Morze Północne i duchy wikingów. Kiedy Simeon patrzył na północny wschód, poza sąsiednią Merseę, ku krainom, które zrodziły dzikich ludzi w uzbrojonych łodziach; mógł bez trudu uwierzyć, że w tym krajobrazie jest coś złowrogiego, co może pochwycić człowieka i doprowadzić go do śmierci.

Kiedy spojrzał w tamtym kierunku, coś nagle błysnęło w błocie. Ulotny refleks słabego słonecznego światła, który po chwili zniknął i został tylko podmokły grunt. Simeon odszukał wzrokiem miejsce, w którym pojawił się błysk, ale niczego już tam nie było.

Kanał oddzielający wyspę Ray od Mersei był w rozterce, miotał się tam i z powrotem, wznosił się ku grobli, grożąc jej zalaniem, a po chwili opadał, bo okazywało się, że na razie brakuje mu sił. Od strony Mersei ktoś zbliżał się szybkim, wyćwiczonym krokiem: mniej więcej dwunastoletni chłopiec z koszykami na obu biodrach. Simeon patrzył, jak schodzi z grobli

i stawia koszyki na ziemi. Było w nich kilka pakunków owiniętych w papier i przewiązanych sznurkiem.

– Pracujesz u rzeźnika?! – zawołał Simeon. Chłopiec nieufnie skinął głową. – Dostarczasz mięso do domu? – Wskazał kciukiem za siebie. To nie byłaby daleka wyprawa dla takiego wyrostka. Chłopak pokręcił głową. – Dlaczego? – Dziecko znieruchomiało, jak ptak obserwujący kota. – Powiedz.

Nieufny chłopiec się zawahał. Potem wyszczerzył zęby w złowieszczym uśmiechu i wyrecytował podwórkową rymowanąkę.

– Pędź jak wiatr, nie mów nikomu. Strzeż się pani w szklanym domu. Czyś mądrą, czyś nieukiem, Dom Klepsydry omiń łukiem. – Jeszcze przez chwilę napawał się swoją odwagą, a potem odwrócił się i pobiegł w kierunku Mersei.

Simeon patrzył, jak chłopak rozchlapuje wodę wdzierającą się na ścieżkę. Pani Tabbers wyszła z domu i z grzecznym skinieniem głowy zabrała koszyk. Wydawało się, że to normalny rytuał na tej posępnej wyspie.

Wrócił do domu, gdzie gospodyni szykowała kolację z mięsa, które przyniósł chłopak. Simeon nie miał nic innego do roboty, więc zaczął obserwować ją przy pracy, aż kazała mu przestać. Sfrustrowany udał się do swojego pokoju i do wieczora czytał czasopismo medyczne. Wyszedł tylko na kolację i do swojego pacjenta oraz żeby zajrzeć do szklanej celi. Wciąż była pusta, zastanawiał się więc, dlaczego kobieta się nie pojawia.

Obudził się, dygocząc. Początkowo czuł pustkę w głowie i nie miał pojęcia, gdzie – ani kim – jest. Wiedział tylko, że w zmarzniętych rękach i nogach łapią go skurcze. Światło księżycy powoli wydobyło z mroku jakieś kształty i zdołał rozpoznać sypialnię: cienką świecę w lichtarzu obok łóżka oraz płaszcz na krześle. Opadł na poduszkę, wyczerpany tym myślowym wysiłkiem.

Ale to nie zimno go obudziło. Usłyszał hałas od strony okna i zrozumiał, że otworzyło się i stuka na wietrze. Kiedy potarł oczy, wyczuł na powiekach cienką warstwę kryształków lodu. Zmusił się, żeby wstać z łóżka. Mroźne powietrze całkowicie go rozbudziło i nawet kiedy już zamknął okno, nie mógł zasnąć, więc tylko leżał, a jego zmysły dostroiły się do nocy. Słuch skupił się na rytmicznym poskrzypywaniu drewna,

przypominającym odgłosy wydawane przez statek na morzu. Odgłos był zbyt regularny, by uznać, że wywołuje go wiatr. Bardziej kojarzył się z ludzkimi krokami.

Szybko sięgnął po świecę, potarł zapałką o ścianę i pokój wypełnił się pomarańczowym blaskiem. Stary zegar nad kominkiem pokazywał drugą w nocy. Za późno, żeby proboszcz urządzał sobie przechadzki, a za wcześnie, by pani Tabbers rozpałała ogień. Dom był samotny, ale nie stał na całkowitym odludziu, więc nie można było wykluczyć włamania. Simeon wziął z kominka pogrzebacz.

Odgłos potężnych fal – w ciągu dnia zagłuszany przez ludzi i zwierzęta – wpadał przez szpary w ścianach. Simeon wyjrzał na korytarz: wszędzie panował bezruch i mrok.

Nie licząc paska światła pod drzwiami biblioteki.

Wyteńczył słuch. Kroki ucichły. Ktokolwiek to był, nagle się zatrzymał. Może usłyszał jego ruch i teraz na niego czekał. Simeon ostrożnie ruszył w stronę biblioteki. Przystanął i nadstawił ucha, ale ze środka nie dobiegały żadne dźwięki. Z mocno bijącym sercem uniósł pogrzebacz nad głowę, gotów zdzielić intruza w czaszkę, i wszedł do biblioteki.

Zobaczył dziwną odwrotność miejsca, które oglądał wcześniej. Przedtem główna część biblioteki była rozświetlona, a celę w głębi spowijał mrok. Teraz to w przezroczystym więzieniu płonęło światło lampy, a całą resztę kryła ciemność. Palczaste cienie sięgały mebli i książek.

Odgłosem, który słyszał, były kroki Florence. Siedziała w swojej celi, ubrana w tę samą sukienkę co zawsze. Ale Simeon widział tylko jej plecy, bo pochylona nad stolikiem, pisała coś na leżącym przed nią arkuszu papieru. Jej dłoń na zmianę kreśliła obszerne łuki i wykonywała krótkie urywane ruchy, jakby coś rysowała. Zahipnotyzowany tym nocnym widokiem, opuścił pogrzebacz i patrzył.

Nagle dłoń kobiety znieruchomiała. Jej ciało zamarło, a plecy zaczęły się powoli prostować, niczym grzbiet węża. Dłonie wygładziły sukienkę. Jedna opadła na blat, przesunęła się ku brzegowi kartki i podniosła ją ze stolika.

Florence nawet nie spojrzała w stronę Simeona, tylko przykucnęła przy klapie w ścianie, przecisnęła tamtędy kartkę, po czym zgasiła lampę. Natychmiast zniknęła w ciemności, a szyba stała się lustrem, w którym pojawiło się jego odbicie, oświetlone przez płonącą świecę. Simeon usłyszał szelest sukienki kobiety.

– Zaczekaj – odezwał się. Chciał usłyszeć jej głos.

Szelest ucichł, a on podszedł do szyby. Odgłos znów się rozległ, po czym ucichł i Simeon zrozumiał, że kobieta odeszła.

Pochylił się, by obejrzeć pozostawioną przez nią kartkę. To rzeczywiście był rysunek. W migoczącym blasku świecy ukazał się dom na krawędzi urwiska, nakreślony śmiałą kreską. Dom na skraju rozległej równiny. Ale to nie był krajobraz Ray. Rysunek przedstawiał jakieś dalekie miejsce. To samo, które widniało na portrecie.



Rozdział 5

Następnego ranka Simeon uznał, że jego pacjentowi przysłuży się odrobina świeżego powietrza, i Hawes pozwolił wyprowadzić się na zewnątrz, w fotelu na kółkach, otulony jak niemowlę. Powietrze niewątpliwie było rześkie.

– Zaprowadź mnie tam, chłopcze. – Proboszcz wskazał skraj błotnistej równiny.

Cain i Simeon przenieśli fotel nad wyboistym gruntem i postawili go w miejscu, z którego Hawes mógł patrzeć na morze. Fale rozbijały się o brzeg, ptaki krążyły po niebie i opadały ku rybom przemykającym pod powierzchnią wody. Simeon znów zaczął się zastanawiać, jaka jest przyczyna choroby jego pacjenta. Potrzebował odczynników do przeprowadzenia badań, ale niestety, zostawił je w Londynie. Uderzyła go pewna myśl: biblioteka była pełna traktatów na rozmaite tematy – być może dopisze mu szczęście i znajdzie tam coś użytecznego? Przydałyby się na przykład artykuły Hagga na temat chorób żołądka albo Schandela o...

Przerwał rozmyślenia, gdy kątem oka dostrzegł grupkę ludzi, którzy zgromadzili się na grobli – siedmioro dorosłych oraz chłopak od rzeźnika, ten, którego spotkał poprzedniego dnia. Nawet z tego miejsca, oddalonego

o pięćdziesiąt jardów, widział paskudny uśmiech na twarzy chłopaka, który coś mówił. Simeon był pewien, że recytuje tę samą rymowanąkę co wczoraj.

Dorośli, rybacy i robotnicy rolni wraz z żonami, mieli na sobie zgrzebne stroje. Spoglądali na trzech mieszkańców domu jak na zwierzęta w klatce.

– Czego oni chcą? – spytał Simeon.

O dziwo, odpowiedział mu Cain.

– Boją się nas. Myślą, że pożremy ich żywcem. – Krótki pomruk, jaki wydobył się z jego krtani, mógł być śmiechem.

– Ze smutkiem muszę przyznać Cainowi rację – powiedział Hawes. – Moja trzódka nie zawsze jest gościnna i przyjacielska. Część z nich słynie z podejrzliwości, która może prowadzić nawet do... – Urwał.

– Do czego? – wtrącił Simeon.

– Nie da się wykluczyć przemocy.

Simeon z namysłem przygryzł wargę. Odrzucał teorię, że wuj padł ofiarą celowego otrucia, ale może należało potraktować tę hipotezę poważniej?

– Choroba, która cię dręczy... – zaczął. – Uważasz, że może być...

– Ktoś mnie truje. Już ci mówiłem. Czy złoczyńcą może być któryś tych pozornie niegroźnych ludzi? Myślę, że to wcale niewykluczone.

Rzeczywiście było coś w twarzach mieszkańców wioski, co wskazywało, że nikczemna przemoc nie jest rzadkością w tych okolicach.

– Podejrzewasz kogoś konkretnego? Ktoś ma z tobą na pieńku?

Hawes zmrużył oczy.

– Tamten na końcu. – Wskazał wychudzonym palcem. – Charlie White. Ma dopiero dwadzieścia lat, lecz już dawno wyczułem w nim obecność diabła. Pijaństwo i awantury, wykorzystywanie kobiet. Ostrzegałem go z ambony, by skończył z tymi wybrykami, ale wszystko jak grochem o ścianę. Wydaje mi się, że lubi przychodzić do kościoła, by słuchać, co o nim powiem.

– Naprawdę?

– Tak. Rozkoszuje się tym. Grzeszny bunt sprawia mu przyjemność, choć jeszcze bardziej cieszy go moje obrzydzenie. Ale nie spodoba mu się wieczna udręka, o nie, mój panie! Tyle że brakuje mu rozumu, by jej uniknąć.

– Rozumu?

– Owszem, ucieczka przed piekielnym ogniem wymaga bystrego umysłu. A on go nie ma i będzie płonął.

Simeon odnotował w myślach tę uwagę.

– Podejrzewasz kogoś jeszcze?

Hawes się zawahał, wytarł zaparowane okulary i z powrotem włożył je na nos.

– Tam. Mary Fen. – Wskazał niską, przysadzistą kobietę z włosami do pasa. – Urodziła pięć córek w ciągu pięciu lat. Żadna nie przeżyła miesiąca. Czyżby zaniedbanie? Być może. Albo coś gorszego. Nie ona pierwsza w tych okolicach podałaby córce dawkę jakiegoś środka, zamiast ją wychowywać. No i wie, że ją podejrzewam. – Stęknął. – Tę dwójkę czeka sąd boży. Ale to mógł być ktokolwiek z nich. Diabeł jest wszędzie. Możliwe, że zagarnął jedno z nich albo nawet wszystkich. – Ta myśl wyraźnie w nim narastała, spod słów przebijał gniew. – Tak, tak, to na pewno ktoś, kim zawładnął Wróg. Kieruje jego ręką i czymś mnie truje. – Jego kościste palce zaciekle celowały w gapiów.

Doktor Oliver Hawes był wiejskim proboszczem, a wiejscy proboszczowie zazwyczaj mieli bardzo zdecydowane poglądy na temat diabła i zła. Dla ludzi takich jak on były to nie abstrakcyjne idee, ale cielesne byty, które można spotkać w najbliższej cuchnącej uliczce. Simeon pamiętał jednak treść telegramu od ojca. *Dom Klepsydry zawsze miał w sobie coś zepsutego i chorego. Pozostaw to Bogu i władzom.* Skrzyżował spojrzenie z chłopcem, który raz za razem powtarzał rymowaną.

Po kolacji Simeon przystąpił do szukania w bibliotece tekstów medycznych, które mogłyby okazać się przydatne. Idealny byłby jakiś traktat o toksykologii albo nawet leksykon ludowych lekarstw, bądź przewodnik botaniczny z listą trujących grzybów i wywoływanych przez nie objawów. Spędził na poszukiwaniach prawie dwie godziny. Początkowo ostrożnie zdejmował książki z półek i odkładał je na miejsce, ale z czasem ogarnęła go frustracja i zaczął ze złością odrzucać je na bok.

Przez cały czas patrzył, jak wuj próbuje się posilić. Proboszcza posadzono obok kominka, w którym płonął niewielki ogień, promieniujący ciepłem na całe pomieszczenie, i okryto mu kolana szalem. Od rana jego stan wyraźnie się pogorszył. W końcu Simeon przerwał poszukiwania

i opadł na wysoki fotel. Florence schowała się w głębi swojej celi. Zerknął na jej pusty szeszlony.

– Wuju, czy Florence rysuje?

Hawes uniósł brwi i wsunął do ust łyżkę owsianki na mleku.

– Rysuje?

– Na przykład pejzaże.

Proboszcz upuścił łyżkę do miseczki.

– Słynie z tego – odrzekł z niejakim trudem.

– Rysuje nocami?

– Dlaczego miałyby to robić nocami? – Hawes się zamyślił. – Zapewniam jej wystarczająco dużo wolnego czasu w ciągu dnia.

– Nie wiem. – Simeon również nie znał odpowiedzi.

– Czy... widziałeś, jak to robi?

Simeon nie chciał, żeby duchowny dowiedział się o jego nocnych spacerach. Mógłby je uznać za objaw wścibstwa.

– Nie. Ale znalazłem to rano. – Wyjął z kieszeni rysunek i położył go wujowi na kolanach.

Początkowo nic się nie działo. Na twarzy proboszcza nie pojawił się nawet cień zainteresowania. Ale po chwili zadrżała mu dolna warga. Podniósł kartkę, przyjrzał się jej, jakby mógł na niej znaleźć jakąś wielką biblijną prawdę, po czym zmiął ją w dłoni i cisnął do ognia. Simeona oszołomiła taka reakcja na zwykły rysunek.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytał.

– To głupota. Rozrywka dla głupców. Poza tym chcę zjeść w spokoju – parsknął Hawes. – Dosyć tego.

Simeona nie przekonały te słowa. Wyczuwał kryjący się za nimi gniew.

– Wuju, jeśli chcesz, żebym odkrył, dlaczego zachorowałeś, musisz być ze mną szczerzy. Ten obrazek najwyraźniej coś dla ciebie znaczy. Proszę, wyjaśnij mi, o co chodzi.

Reakcja była natychmiastowa. Duchowny uderzył chudymi rękami o podłokietniki, z ogromnym wysiłkiem dźwignął się z fotela i zaraz upadł na kolana. Simeon chciał go podnieść, ale proboszcz odepchnął jego rękę i obnażył zęby jak pies. Potem, niczym niemowlę, zaczęła pełznąć na czworakach po podłodze, odsuwając z drogi meble i wszystko, co było przeszkodą.

– To mój dom. Mój dom! Ja tutaj rządzę! – warknął. Wywrócił stolik ze stertą książek, dotarł do szklanej ściany i zaczął bębnić w nią pięściami. – Wychodź! Wychodź! – wrzasnął. – Wiem, że mnie słyszysz!

– Wuju! – zawołał Simeon i podszedł, żeby odciągnąć Hawesa od szyby.

– Wychodź! – Pięści ponownie zabębniły w szkło.

Nagle mignęła zielona jedwabna sukienka i Florence wyszła z części sypialnej. Sprawiała wrażenie rozbawionej i zaciekawionej zachowaniem Olivera Hawesa, który klęczał przed jej celą i wydierał się wniebogłose. Ujrawszy ją, proboszcz przestał krzyczeć i zaczął się kołysać. Skojarzył się Simeonowi z kobrą, która hipnotyzuje ofiarę przed atakiem. Ale ten wąż był zmęczony i sflaczały. Głowa mu opadła i stracił przytomność.

Simeon, zaskoczony, sprawdził, czy duchowny nie odniósł obrażeń, a kiedy upewnił się, że nie, przewrócił go na plecy i delikatnie poklepał po policzkach, aż z gardła Hawesa wydobył się bulgot.

– Musisz odpocząć – rzekł Simeon i posadził go w fotelu.

Kątem oka zobaczył, że Florence spokojnie się uśmiecha, z wyraźną przyjemnością obserwując całą tę scenę. Był pewien, że skrywa w sercu tajemnice, które tłumaczą, dlaczego jej strażnik zaczął wściekle czołgać się w stronę szklanej klatki i tłuc w nią pięściami. Simeon chciał je poznać. Powoli tracił już cierpliwość.

Zobaczył kilka ocalałych skrawków rysunku, który doprowadził do tego wybuchu. Przy kracie osłaniającej kominek leżały osmalone fragmenty, które wymknęły się płomieniom. Podniósł je. To był brzeg pejzażu stworzonego przez Florence. Nie zobaczył w nim nic nowego, ale ten czarno-biały rysunek miał teraz dodatkowe znaczenie, ponieważ zdołał wywołać tak silny gniew proboszcza Hawesa. Dlaczego?

Kiedy Simeon trzymał szkic w dłoni, brudząc opuszki palców popiołem, usłyszał niewyraźny głos swojego pacjenta.

– Ten... świat – wyszeptał duchowny. – Mówiłem im, że nie jest prawdziwy. Powinni żyć po bożemu!

A co zamiast tego robili? – zadał sobie pytanie Simeon.



Rozdział 6

Rano na śniadanie pani Tabbers podała kielbaski z baraniny i ciemne pieczywo.

– Chciałbym zwiedzić Merseę – oznajmił Simeon, zabierając się do jedzenia.

– Nie zajmie to panu długo – mruknął Cain z pełnymi ustami.

– Czy teraz można przejść groblą?

– Owszem.

To była dobra wiadomość. Simeon wciąż nie potrafił znaleźć w tym domu przyczyny dolegliwości proboszcza, ale coś przyszło mu do głowy: możliwe, że kryła się ona gdzieś indziej w życiu Olivera Hawesa. Niewykluczone, że źródło znajdowało się w drugim budynku, gdzie spędzał najwięcej czasu. Simeon nie chciał na długo zostawiać pacjenta, lecz mógł poświęcić godzinę albo dwie, by obejrzeć kościół Świętych Piotra i Pawła na Mersei.

Nie tracił nadziei, że kiedy wróci, wciąż będzie miał kim się opiekować – bo rano, gdy wstał, okazało się, że Hawes jęczy na sofie i jest rozpalony jak piec. Duchowny czuł się znacznie gorzej niż poprzedniego dnia. „Moja głowa pulsuje, jakby miała pęknąć”, wymamrotał. Z ust pociekła mu żółta ślina i Simeon ją otarł.

A więc po śniadaniu Simeon, mimo padającej mżawki, ruszył w drogę. Wkrótce przekonał się, że Mersea jest znacznie większą wyspą, niż sądził. Wioska, oddalona o milę marszu ścieżką, przycupnęła na południowym wybrzeżu. W niebo wznosiła się spora kościelna iglica, a wokół budynku kościoła zgromadziło się kilkadziesiąt domów. Były to w większości rybackie chatki, przysadziste i wytrzymałe, zapewne tak jak ich mieszkańcy.

Kościół był średniowieczną budowlą w stylu romańskim. Wewnątrz kamienne ściany były gołe, nie licząc kilku wojskowych sztandarów, przypuszczalnie pozostawionych przez oddziały stacjonujące na wyspie podczas francuskich wojen na początku wieku. Simeon zaczął się rozglądać, w nadziei, że rzuci mu się w oczy coś, co mogło być potencjalną przyczyną choroby proboszcza.

Sprawdził nawę i zakrystię, przyjrzał się suchej chrzcielnicy, ołtarzowi oraz zamkniętej szafce, w której prawdopodobnie trzymano wino mszalne. Nic go nie zaniepokoiło i po chwili ze zniechęceniem opadł na ławkę.

– Dzień dobry – usłyszał jakiś głos.

Należał do mężczyzny, który właśnie wszedł do nawy. Mniej więcej sześćdziesięciolatek, elegancko ubrany – żaden z rybaków nie mógłby marzyć o takim stroju.

– Dzień dobry. – Simeon czekał, czy rozmowa dalej się rozwinie.

– Nazywam się William Watkins. Jestem w tych okolicach sędzią pokoju. – Mężczyzna usiadł obok Simeona.

Najwyraźniej na wyspie trudno było o towarzystwo, więc należało wykorzystywać każdą okazję. Watkins mówił w staroświecki sposób, który sugerował staroświeckie myśli.

– Simeon Lee. Lekarz.

– Och, przyjechał pan do Hawesa?

– Owszem. – Simeona bynajmniej nie zaskoczyło, że wszyscy tutaj wiedzieli, kto jest zdrowy, a kto chory.

– Przeżyje?

– Miejmy nadzieję, że tak.

Nie powiedział, że powinni się o to modlić. Na głębokiej wsi takie słowa zapewne zostałyby odebrane jako bezpośrednie wezwanie do modlitwy. Nie miał żadnych planów, ale to nie znaczyło, że chciałby spędzać czas na kolanach w kościele.

– Nadzieję, no tak. Potem pan wraca do Colchesteru?

– Do Londynu.

– Och, do Londynu! A niech mnie. W młodości spędziłem tam trochę czasu. – Watkins zachichotał pod nosem. – Panu pewnie też się spodoba. Tak. Nie lada miasto, Londyn. – Wyglądało na to, że pogrzyżył się we wspomnieniach.

– Jest pan ojcem Florence.

– Ach, no tak. Florence. – Umilkł na chwilę. – Jak ona się miewa? Nie odwiedzam jej tak często jak... dawniej.

Simeon podejrzewał, że był ku temu jakiś powód. Nie chodziło tu o daleką podróż i sędzia pokoju raczej nie miał zbyt wielu obowiązków na Mersei. Nie, pan Watkins zapewne czuł się niekomfortowo w obecności córki zamkniętej w tej osobliwej celi.

– Sprawiała wrażenie zdrowej, kiedy ją widziałem. Tam gdzie przebywa. – Simeon postanowił nie wspominać o pogardzie, która przebijała się przez codzienną dawkę laudanum. – Nie jest jej łatwo.

– Tak, tak, to rozumiiałe. – Watkins opuścił głowę; usta mu zadrżały, gdy próbował coś powiedzieć. Simeon czekał. Lata kontaktów z pacjentami nauczyły go, że zazwyczaj warto poczekać, aż rozmówca sam zdecyduje się mówić. – To więzienie – rzekł w końcu Watkins. – Nigdy tego nie chciałem, rozumie pan?

– Oczywiście.

Niewielu rodziców chciałoby, żeby ich dziecko trzymano w klatce niczym okaz w zoo. Zapewne Watkins nie był złym człowiekiem, był jedynie słaby.

– W przeciwnym razie musiałyby trafić do domu wariatów. Tak powiedział sędzia.

– No to rzeczywiście spotkał ją lepszy los.

– O tak. – Watkins się rozpromienił, jakby znalazł sojusznika. – Bez wątpienia. Zabrałbym ją do mojego domu, gdyby sędzia na to pozwolił, ale nie wyraził zgody. Pewnie bał się, że ją wypuszczę.

Simeon przez chwilę milczał, zastanawiając się, czy taki stan rzeczy naprawdę wynikł z nacisków jakiegoś nieokreślonego sędziego.

– A zrobiłby pan to?

– Czy bym to zrobił? – Watkins najwyraźniej sam siebie o to pytał, bo nie znał odpowiedzi. – Nie potrafię powiedzieć.

Nie potrafi czy nie chce? – pomyślał Simeon.

– Doktor Hawes jest poważnie chory, ale przyczyna jego choroby pozostaje niejasna, a ja próbuję ją ustalić. Czy pan też ostatnio źle się czuł? Albo ktokolwiek z ludzi, których pan zna?

– Czy ktoś źle się czuł? Nie, nic takiego. Wszyscy jesteśmy zdrowi.

Obecność Watkinsa umożliwiła pewien wgląd w osobliwe wydarzenia, do jakich doszło w Domu Klepsydry na przestrzeni ostatnich lat – wydarzenia, które już zaowocowały śmiercią mężczyzny i uwięzieniem kobiety, a teraz mogły mieć związek z zastanawiającą chorobą proboszcza. Ale lepiej byłoby najpierw pozyskać zaufanie sędziego pokoju.

– Chciałbym obejrzeć wyspę – rzekł Simeon. – Poczuc jej klimat. Dokąd według pana powinienem się udać?

– Nie ma tutaj zbyt wiele do oglądania. Mówię to jako człowiek, który uważa to miejsce za swój dom. – Watkins wyraźnie próbował wziąć się w garść. – O tak, to surowa wyspa. Ale zapraszam do mojego domu na... herbatę – dokończył z wahaniem.

Simeon podejrzewał, że to jego profesja lekarza powstrzymała mężczyznę od zaproponowania czegoś mocniejszego.

– Dziękuję.

Po dziesięciu minutach spaceru dotarli do dużego domu. Był zbudowany we współczesnym stylu, z iglicami i wieżyczkami niczym w niemieckim zamku.

– Wejźmy na dach – zaproponował Watkins. – Niech pan się nie przejmie deszczem. Pogoda bywa tu znacznie gorsza. – Przeszli przez dom, który okazał się dużo lepiej urządzone, niż można by sądzić, widząc go z zewnątrz, a potem przez klapę wydostali się na dach. Kiedy się tam znaleźli, Watkins z radością pokazał lekarzowi teleskop i zachęcił go, by popatrzył w okular. – Można stąd zobaczyć wybrzeże Holandii, jeśli dopisze szczęście. Albo Kent, jeśli ma się pecha. – Czekał, aż gość zareaguje na jego żart.

Simeon nie widział niczego poza szkwałem na morzu.

– Czuję, że nie jestem tutaj u siebie, mimo że moja rodzina... a przynajmniej jej część... zapuściła tu korzenie – powiedział.

– No tak, z pewnością może się pan tak czuć. Ale jesteśmy gościnnymi ludźmi – dodał Watkins, choć może nie do końca była to prawda.

– Przyznam się, że wcześniej nawet nie znałem doktora Hawesa. Niczego o nim nie wiem.

– Och, nie ma zbyt wiele do opowiadania. To godny zaufania wiejski proboszcz. Nic więcej.

– Każdy ma jakąś przeszłość – zauważył Simeon. – Myślę, że pan w młodości był nie lada junakiem.

Te słowa tak się spodobały Watkinsowi, że aż się rozpromienił.

– Ha! Zaiste, proszę pana. Och tak, to były dobre czasy.

– Ale doktor Hawes pewnie był poważnym człowiekiem.

Watkins nieco się speszył.

– No tak. Choć oczywiście nie zawsze był duchownym.

– Nie?

– Ależ nie. Uważam jednak, że od początku było mu to przeznaczone... ze względu na temperament, rozumie pan?

– Czyżby? – Simeon okazał zainteresowanie, ale nie przesadne.

– Jego ojciec, pułkownik Hawes... to dopiero był surowy i nieugięty mężczyzna... życzył sobie, by jego pierworodny wstąpił do wojska, a nie do Kościoła.

– Naprawdę? Więc dlaczego tak się nie stało?

– Ależ stało się. Na krótko.

– Nie rozumiem.

Watkins usiadł między blankami otaczającymi dach.

– Pułkownik chciał załatwić młodemu Oliverowi stopień wojskowy. Powiedziałem mu tak: „Twój syn nie nadaje się na pole bitwy, Henry!”, ale on uparł się, że najstarszy syn ma być żołnierzem. Ostatecznie udało mu się znaleźć pewien regiment w indyjskiej armii, który przyjął młodzieńca.

– Brzmi nie najgorzej.

– Tak pan uważa? – Watkins wyraźnie się ożywił. – Dyscyplinarnie zwolniony ze służby za tchórzostwo.

– Nie! – Simeon był szczerze zaskoczony.

Watkins sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie. Chociaż lubił prezentować się jako łagodny wiejski dziedzic, uwielbiał plotki.

– Żeby pan wiedział. Służył chyba w strzelcach... posłali go do walki podczas wojny z Bhutanem. Z tego, co mi wiadomo, choć jak pan rozumie, trudno o dokładniejsze szczegóły, musieli go siłą wyciągać z wozu, a po kilku dniach porzucił posterunek. Posłali za nim oddział poszukiwawczy. Oczywiście to oznaczało, że stracił patent oficerski i nie mógł go odsprzedać... wrócił do domu jako zadłużony tchórz.

No cóż. Kościół rzeczywiście wydawał się lepszą drogą zawodową.

– A co z Jamesem?

Simeon zauważył, że Watkins nagle zeszywniał, jakby starał się zapanować nad nerwami.

– Cóż... – Popatrzył przez teleskop, by uniknąć wzroku młodego gościa.

– Panie Watkins?

Watkins niepewnie odsunął się od okularu.

– James był... oczywiście różnił się od Olivera. Nawet bardzo. Ojciec uważał go za narwańca... – Umilkł.

Wyraźnie nie chciał o czymś powiedzieć.

– Czego mi pan nie mówi?

Sędzia pokoju przestępował z nogi na nogę jak uczeń.

– Nie... nie chcę źle mówić o zmarłych.

– Naprawdę chciałbym to wiedzieć. – Simeon coraz mocniej podejrzewał, że stan zdrowia jego pacjenta był skutkiem jakichś dziwnych wydarzeń na wyspach i że właśnie w tym należało szukać lekarstwa.

Aby nie patrzeć rozmówcy w oczy, Watkins wrócił do teleskopu i pochylił się nad nim.

– Widzę Holandię – oznajmił. – Tak, to na pewno Holandia.

Simeon stanął przed obiektywem.

– Proszę pana, muszę się tego dowiedzieć. Mógłbym zapytać kogoś innego, ale wtedy zrobiłaby się niepotrzebna afera.

Watkins odsunął się od teleskopu.

– James był zaangażowany w... nielegalne działania.

Cain coś takiego sugerował.

– Powie mi pan, o jakie przestępstwa chodziło?

– Proszę wybaczyć, ale już powiedziałem za dużo. Muszę... wracać do pracy. – Watkins nerwowo podszedł do klapy, przez którą wyszli na dach. – Zapraszam tędy.

– Nie odpowie pan na to pytanie? – Simeonowi odpowiedziało milczenie. – A więc zadam inne. – Nie czekał na protest sędziego. – Jakie były dokładne okoliczności śmierci Jamesa? Nie odejdę bez wyjaśnień.

Z Watkinsa jakby całkiem uszło powietrze.

– James... – zaczął i pokręcił głową.

– Słucham.

– Proszę pana, to bolesny temat!

– Rozumiem, ale od tego może zależeć więcej, niż obaj sobie wyobrażamy. Doktor Hawes uważa, że ktoś próbuje go zabić.

– Co takiego?! Kto? – Sędzia wydawał się szczerze zaskoczony.

– Tego nie wiemy.

– Na pewno nie Florence! – wykrzyknął Watkins. – Wiem, co pan myśli, ale ona nie zabiłaby człowieka z zimną krwią. Śmierć Jamesa była wypadkiem.

– W takim razie nie powinien pan mieć obiekcji, by opowiedzieć mi o niej.

Watkins, wyraźnie zdenerwowany, trzykrotnie zaczynał zdanie, zanim zdołał je dokończyć.

– To... to było... wieczorem dwa lata temu. Florence i on się kłócili. Nie po raz pierwszy. Bynajmniej. – Podniósł wzrok. – Tym razem chyba poszło o kobietę. Nie wiem, co za jedna... pewnie jakaś ladacznica, z którą zadawał się James. Florence była zazdrosna. Porywcza. Nie potrafiłem jej powstrzymać, gdy gotowała się w niej krew. Przestałem nawet próbować, kiedy miała siedemnaście lat. Ona...

– Kłótnia – przypomniał mu Simeon.

– Tak, tak. No cóż, krzyczeli na siebie nawzajem, on się wszystkiego wypierał, a potem ona rzuciła w niego butelką albo czymś takim. Chyba była pijana.

– Zamierzała to zrobić?

– Skąd mogę wiedzieć?

– Czy była z tego dumna?

– Dumna? Nie sędzę. Wyzywająca. Tak, była wyzywająca.

Simeon widział, że Watkins coś przed nim ukrywa.

– Proszę pana, jako lekarz wątpię, by taki czyn wystarczył do zamknięcia kobiety w Bedlam. Myślę, że wielu rzeczy mi pan nie mówi.

Watkins zwiesił głowę. Wyglądał na pokonanego.

– Po śmierci Jamesa Florence zaczęła się dziwnie zachowywać. Przyznała, że go zabiła, ale utrzymywała, że padła ofiarą spisku. Potem uciekła do Londynu, gdzie ostatecznie się zhańbiła, i gdyby nie zaopiekował się nią sędzia sądu policyjnego, Bóg raczy wiedzieć, co mogłaby zrobić. Musiałem poprosić Hawesa, by pojechał po nią powozem.

To był istotny dodatek do tej opowieści.

– Dlaczego posłał pan doktora Hawesa, zamiast sam pojechać?

– Dlaczego? Ponieważ nie chciałem patrzeć, jak moją córkę wloką na siłę do domu w policyjnej eskorcie. – Watkins ukrył twarz w dłoniach. – Owszem, było mi wstyd. Wstydzilem się, że jest moją córką i że nie wychowałem jej lepiej.

Simeon go rozumiał. Tego człowieka z całą pewnością palił wstyd.

– Co było dalej? – rzucił. – Proces? Proszę już niczego nie ukrywać.

Watkins pokiwał głową.

– Proces. Przed sądem wyjazdowym. Nie była w stanie wziąć udziału w rozprawie... wciąż wpadała w szał, uspokajało ją tylko laudanum, ale kiedy je zażywała, nie mogła mówić. Oskarżyciel stwierdził, że trzeba ją zamknąć w szpitalu. Znałem jednak sędziego Allardyce'a, pogadałem z nim i zgodził się na areszt domowy.

– W tej szklanej celi – rzekł Simeon.

Wciąż nie był przekonany, czy to niezwykle więzienie – lub w ogóle jakiegokolwiek więzienie – było konieczne.

– Pod nadzorem! Pod stałym nadzorem! Zaproponowałem mój dom, ale nawet Allardyce nie mógł na to przystać. „Jako kochający ojciec nie mógłbyś być godnym zaufania strażnikiem”, powiedział. Wtedy Hawes zaoferował swój dom i sędzia się zgodził. Dlatego Hawes kazał zbudować dla niej mieszkanie. To było najlepsze możliwe wyjście.

Simeon miał coś na ten temat do powiedzenia, ale się powstrzymał. Nadszedł czas zajrzeć do pacjenta, którego nie chciał zostawiać na dłużej niż dwie godziny. Watkins odprowadził go do wyjścia.

– Proszę pozdrowić Hawesa... oraz Florence – powiedział, najwyraźniej czując się niezręcznie.



Rozdział 7

Simeon przeszedł przez wioskę i groblą wrócił na Ray. Pozostawił za sobą błotniste równiny, które opadały ku kanałowi oddzielającemu obie wyspy.

Kiedy zbliżył się do posępnego Domu Klepsydry, na którego szczycie osobliwy wiatromierz powoli obracał się na deszczu, spojrzawszy na połąkę gęstego błota, przed którą przestrzegwał go Cain. Na przecinanym strużkami mulistej wody obszarze rządziły owady. Ale Simeon zawsze miał przekorną naturę i ostrzeżenie Caina wzbudziło w nim chęć zbadania tego terenu.

Zbliżył się do skraju odrażającej błotnej równiny. Przypominała opisy Styksu u Dantego. Wyobraził sobie Morty'ego w roli Flegiasa, przewoźnika dusz do piątego kręgu piekła. Już miał odejść, gdy nagle coś zwróciło jego uwagę. Jakiś metaliczny błysk w brudnej wodzie. Z pewnością był to ten sam przedmiot, który poprzedniego dnia odbił promienie słońca i natychmiast zniknął mu z oczu.

Simeon wyznaczył kurs i szedł ostrożnie, badając grunt przed sobą. Kiedy zbliżył się do celu na pięć jardów, zobaczył, że błyszczący przedmiot jest przymocowany do oblepionego błotem krótkiego, cienkiego patyka. W końcu ukazał się cynowy pierścionek. Simeon wyciągnął rękę i zacisnął na nim palce, ale patyk mocno tkwił w błocie. Pod powierzchnią najwyraźniej znajdowało się coś więcej. Zmienił więc pozycję i pociągnął

mocniej. Nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia ze strony błota czy nieba, ujrzał, że trzyma nie kawałek drewna, tylko pokryty zaskorupiałym brudem lodowaty palec wskazujący męskiej dłoni.

Cofnął się nieco i wbił wzrok w to, co ścisnął w ręce. W błocie tkwiła część ludzkiego ciała, a może cały człowiek. Było to potworne, nawet dla kogoś takiego jak on, kto często widywał martwych i umierających. Mimo wszystko zdołał wziąć się w garść. Trup to trup, nieważne, czy na stole w kostnicy, czy w ziemi. Ktoś gdzieś czekał na wieści o bracie, synu albo ojcu.

Simeon stanął pewniej na nogach i powstrzymując uczucie grozy, oszacował wagę tego, co spoczywało w błocie. Postanowił wyciągnąć ukryte zwłoki. Chwycił trupa za rękę, jakby witał przyjaciela, i szarpnął.

Bez większego wysiłku udało mu się wydobyć na powierzchnię palce, a następnie nadgarstek nieboszczyka. Wyłonił się ociekający błotem mankiet koszuli, niczym karykatura męskiej próżności. Wyglądało na to, że w głębi znajduje się całe ciało.

Simeon ukląkł, chwycił materiał i pociągnął, zapierając się o miękki grunt, ale mimo że wyteżał wszystkie siły, nie był w stanie sobie poradzić. Nie mógł jednak odejść, by sprowadzić pomoc, ponieważ wiedział, że wtedy całe ciało zapadnie się głębiej w błoto albo spłynie do kanału i nikt go już nie znajdzie. Musiał jakoś się zbliżyć.

Dlatego przesunął się na brzuchu ze stałego gruntu na rozmokłe błoto, które obmyło jego ciało i zaczęło pochłaniać szeroko rozłożone nogi. Wiedział, że powoli się zapada i jeśli źle oceni sytuację, może skończyć w błotnym grobie, tak samo jak pogrzebany mężczyzna. Ostrożnie zagłębił dłonie w ziemi, aż poczuł ramiona nieboszczyka. Tymczasem deszcz przybrał na sile i Simeon miał już przemoczone plecy, ale nie zamierzał wypuścić ciała z rąk.

Zaparł się mocniej i z całej siły szarpnął. Zwłoki stopniowo zaczęły się wynurzać. Im były bliżej, tym on głębiej się zapadał, ale w końcu trup znalazł się w jego ramionach. Simeon wiedział, że za chwilę zobaczy puste oczy i gardło zatkane błotem, ale myślał tylko o tym, by wydobyć zimne zwłoki na światło dnia.

Wił się jak wąż, aż w końcu ostatkiem sił zdołał uwolnić się z błota, razem ze swoim martwym brzemieniem. Padł na ziemię, dysząc z wysiłku. Wytarł dłonią błoto z twarzy i wypluł brązową wodę. A potem spojrzął na twarz mężczyzny.

Oblepiona mułem, bardziej przypominała oblicze jakiejś pierwotnej istoty niż człowieka, ale Simeon zobaczył czoło, gruby nos i wystającą brodę. To był przysadzisty i muskularny mężczyzna, który kiedyś oddychał, pracował, jadł, śmiał się i przeklinał. Simeon przez chwilę patrzył na to, co wydobył z błota, podczas gdy krople deszczu zmywały część brudu.

Kim jesteś, przyjacielu? – pomyślał. Czy utonąłeś? A może twoje serce się zatrzymało, gdy byłeś na spacerze? Czy ktoś cię szuka, czy też nikt nie zauważył twojego zniknięcia?

Ciało było prawie nienaruszone. W kilku miejscach pojawiła się zgnilizna, ale było jej niewiele. Albo śmierć nastąpiła niedawno, albo glina idealnie zachowała zwłoki, niczym lód. Simeon odchylił powieki nieboszczyka. Tęczówki były czyste i zielone, zęby silne, choć odbarwione przez tytoń. Być może to jeden z miejscowych rybaków.

Zastanawiał się, co ma zrobić. Znajdował się zaledwie kilkaset jardów od Domu Klepsydry. Mógłby samodzielnie zaciągnąć tam ciało. Z najwyższym wysiłkiem zarzucił je sobie na plecy i powoli ruszył w stronę domu.

Kiedy pani Tabbers zobaczyła, co na nią czeka na progu, jej usta rozwarły się w niemym krzyku.

– Proszę się uspokoić – rzekł Simeon, gdy zatoczyła się do tyłu. – On nie żyje. – Przepchnął się obok niej i ruszył do salonu w głębi, nie przejmując się tym, co wlecze za sobą przez korytarz.

Zgarnął ze stołu stertę tekstów religijnych i na ich miejscu położył swoje brzemie, twarzą do góry, z brudną wodą skapującą na dywan.

– Co to, na Boga... – wyszeptała gospodyni, gdy udało jej się odzyskać głos.

– Człowiek, pani Tabbers. Martwy człowiek.

– Kto to jest?

Zauważył, że ukradkiem się przeżegnała. Proboszcz zapewne miałby coś do powiedzenia o takich papistycznych gestach.

– Pani powinna wiedzieć lepiej niż ja.

Wziął do ręki wazon, wyrzucił kwiaty i wylał wodę na twarz trupa, po czym otarł ją serwetką, na której stało naczynie. Spod gliny wyłoniły się rozdęte policzki.

– John White. To właśnie on. – Cain wszedł do salonu, zwabiony zamieszaniem.

Simeon właśnie rozpinął trupowi kołnierzyk, by dokładniej zbadać ciało. Znieruchomiał na te słowa.

– John White?

– Tak.

Poprzedniego dnia, gdy miejscowi ustawili się przed nimi na grobli jak wrony, Hawes wskazał pewnego młodzieńca, którego podejrzewał o wiele niecnych uczynków, niejakiego Charliego White'a.

– To brat Charliego White'a?

– Jego kuzyn. I już po chłopie. Coś podobnego. – Cain potarł szczękę.

– A więc pochodził stąd? Z Mersei?

– Ano z Mersei. Zniknął rok albo dwa lata temu.

– Chyba już wiemy dlaczego.

– Tak. – Cain podszedł bliżej.

Pani Tabbers trzymała się na dystans. Simeon nie wiedział, czy kieruje nią szacunek do zmarłych, czy strach przed nimi. On jako lekarz nie doświadczał żadnego z tych uczuć. Dla niego zwłoki były przede wszystkim dowodami na porażki medycyny.

– Czym się zajmował? – spytał.

Gospodyni i Cain wymienili krótkie spojrzenia.

– Poławiał ostrygi.

– Rozumiem. Coś jeszcze? – Simeon odczekał chwilę. Cain zerknął na niego. – Coś pan ukrywa, prawda?

– Niczego nie ukrywam.

Simeon wbił w niego wzrok.

– Na razie może to pan zachować dla siebie, ale w końcu się dowiem – zapowiedział.

Miał pewne podejrzenia. Wyglądało na to, że wszyscy okoliczni mieszkańcy parają się przestępczą działalnością.

– Powodzenia.

Simeon wrócił do ciała, pod którym wykwitła na dywanie ciemna kałuża. Zaczął rozbierać trupa.

– Niech mi pani przyniesie nożyczki, szmaty i wiadro ciepłej wody z mydlinami – poinstruował panią Tabbers. – No i kilka prześcieradeł do podłożenia.

– Mam obudzić doktora Hawesa? – spytała.

– Nie, później sam go poinformuję.

Pośpiesznie się oddaliła.

– Proszę mi opowiedzieć coś więcej o tym człowieku – zwrócił się do Caina.

– O Johnie? Cichy gość – odrzekł służący ponurym tonem. Wyraźnie uważał, że to nie jest sprawa przyjeźdnego. – Silny. – Jeśli Cain nazywał kogoś „cichym”, to ten ktoś musiał być praktycznie niemy.

– W jakich okolicznościach zginął?

– To było w lecie dwa lata temu. Znaleźli jego wywróconą łódź na Kamieniach. Nie było go w środku. Wszyscy myśleli, że utopił się w morzu. Ale jak widać, utonął w błocie. – Cain zmrużył oczy i wyjrzał przez okno. – Nie on pierwszy.

– Miał jakąś rodzinę?

– Jego matka zmarła kilka miesięcy temu. Miał też siostrę, Annie, ale wyjechała.

– Czyli Charlie jest jego najbliższym krewnym?

– Na to wygląda.

Simeon rozebrał zwłoki od pasa w górę. Ubranie było nasiąknięte wodą i błotem. Pani Tabbers wróciła z gorącą wodą i prześcieradłami. Simeon najpierw sam się umył, osuszył, a następnie dokładniej oczyścił zwłoki z błota.

Skóra nieboszczyka była żółta i miejscami postrzępiona. Po przecięciu kamizelki tułów jakby wystrzelił na zewnątrz. Pani Tabbers wrzasnęła przenikliwie.

Simeon popatrzył na pęknięcia na ciele.

– Coś zaczęło go jeść – oznajmił, a Cain zmełł w ustach przekleństwo. – Trzeba powiadomić pana Watkina.

– Ja to zrobię – rzucił służący.

– Dziękuję. – Simeonowi coś przyszło na myśl. – Ale proszę nie informować Charliego White’a. Sam się tym zajmę.

Cain zmrużył oczy.

– Skoro pan tak woli.

Simeon poszedł na górę i włożył czystą koszulę. Najwyższy czas powiedzieć proboszczowi.

W bibliotece zastał Hawesa leżącego na sofie, cicho jęczącego. Cela na końcu pomieszczenia była pusta, więc kobieta najwyraźniej schowała się w głębi.

– Wuju – odezwał się Simeon.

Mężczyzna odpowiedział słabym szeptem.

– Och, mój chłopcze. Mam straszne dreszcze – poskarżył się. Simeon położył dłoń na czole proboszcza. Rzeczywiście miał zimną skórę. – Nie pożyję już długo.

Tym razem Hawes mógł mieć rację co do swojego stanu zdrowia.

Simeon oczywiście już wcześniej tracił pacjentów, ale zawsze byli to nieznajomi. Nie podobała mu się myśl, że dopuści do śmierci krewnego, za którego odpowiada.

– Jeszcze się nie poddawaj, wuju. Zanim się obejrzysz, będziesz głosił kazania do swojej trzódki.

Proboszcz ledwie się zdobył na słaby uśmiech.

– Nie byłbym taki pewien – wyrzęził.

– Chcesz, żebym kogoś przyprowadził?

Hawes z trudem podniósł wzrok.

– Nikogo. Nie ma nikogo. Twój ojciec jest moim najbliższym krewnym. Jeśli umrę, ten dom trafi do niego, a potem, pewnego dnia, do ciebie. – Szerzej otworzył oczy. – Co z nim zrobisz?

Co robi? W ciągu ostatnich kilku dni Dom Klepsydry wzbudzał w nim wiele dziwnych myśli, ale Simeon nie brał pod uwagę, że go odziedziczy. Co mógłby z nim zrobić? Od razu pomyślał o swoich badaniach, które utknęły w martwym punkcie przez brak funduszy. Gdyby udało mu się przekonać ojca, żeby od razu przekazał mu nieruchomość – w końcu ojciec nie krył niechęci do tego domu – mógłby ją sprzedać i wrócić do przerwanej pracy bez konieczności szukania dodatkowego zarobku czy zebrania o stypendia. Mógłby poświęcić badaniom cały swój czas i energię!

– Wykorzystam go, by odkryć lekarstwo na cholere, wuju – oznajmił.

Wiedział, że to nieco pompatyczne stwierdzenie, ale uznał, że pacjenta uspokoi myśl, iż coś dobrego może wyniknąć z jego śmierci.

– Och, to byłby godny cel. Tak. Ale musisz się zgodzić na jeden warunek.

– Jaki?

– Jeśli umrę, będziesz za nią odpowiedzialny.

Simeon popatrzył w stronę oszklonej celi.

– To dla jej dobra – dodał proboszcz. – Jeśli stąd wyjdzie, natychmiast ją schwytają i posłają do domu wariatów.

Simeon nie miał ochoty zostać strażnikiem Florence, ale musiał przyznać krewnemu rację, że groziłby jej szpital Bedlam. Gdyby rzeczywiście stanął przed taką decyzją, dołożyłby starań, żeby potraktować tę kobietę uczciwie. Zapewne przez jakiś czas musiałby ją poddawać obserwacji, by wybrać najlepszą drogę leczenia lub działania. Przy odrobinie szczęścia Florence mogła liczyć na odzyskanie wolności. Dał wujowi słowo, że spełni ten warunek.

W końcu nie mógł już dłużej zwlekać z przekazaniem informacji.

– Stało się coś, o czym muszę ci powiedzieć.

– Co takiego?

– Na błotnej równinie znalazłem zwłoki mężczyzny.

Hawes spojrzał na niego, wyraźnie zaskoczony.

– Dobry Boże, czyje zwłoki?

– O ile się nie mylę, ten człowiek nazywał się John White.

– John White? Och, to miejscowy chłopak. A więc to go spotkało.

Biedny młodzieniec. Takie rzeczy się zdarzają. Nawet tym, którzy tu mieszkają. Biedny. – Proboszcz wzniósł wzrok ku niebu i szeptem odmówił modlitwę. – Potrzebujesz mojej pomocy z formalnościami? – wychrypiął, lecz widać było, że już traci przytomność.

Simeon wątpił, by wuj zdołał w czymkolwiek mu pomóc.

– Sam się wszystkim zajmę. Cain mi pomoże.

Ciało White'a musiało na razie zostać w domu. Simeon postanowił, że poleci Cainowi przenieść je do stajni. Pani Tabbers zapewne nie byłaby zachwycona, gdyby zwłoki dłużej leżały na stole w salonie.

Odkrywszy, że ciało należy do Johna White'a, Simeon chciał jak najszybciej porozmawiać z kuzynem zmarłego, Charliem, którego proboszcz wskazał jako jednego z miejscowych przestępców. Wiedział, że z Hawesem zapewne przez jakiś czas nie będzie kontaktu, więc poprosił Caina o wskazanie drogi do domu White'a. Następnie zamierzał odwiedzić kolejną osobę z Mersei, Mary Fen, która straciła pięć małych córek, a Hawes podejrzewał, że sama je zabiła. Jak twierdził, nie byłby to pierwszy przypadek, gdy dotknięta ubóstwem matka woli dodać truciznę do mleka, niż próbować wykarmić kolejne dziecko. Przechowalnie dla niemowląt, placówki w śmierdzących miastach, gdzie kobiety mogły za jednorazową opłatą pozostawić niechciane dzieci, słynęły z takich praktyk.

Wszyscy wciąż pamiętali sprawę Margaret Waters z Brixton, która otruła wielu swoich małych podopiecznych, zanim ją schwytano i powieszono w więzieniu w Surrey.

White mieszkał poza wioską, w malowniczym sielskim domku: wokół drzwi zwieszały się glicynie, a ramy okien były pomalowane na zielono. Simeon jednak miał niejasne uczucie, że w tym domu jest coś podejrzanego, jakby w korzeniach glicynii czaiła się zgnilizna.

Zgodnie ze słowami gospodyni White mieszkał sam w tym domu, który niedawno odziedziczył po krewnej. Kiedy otworzył drzwi, Simeon od razu doszedł do wniosku, że chata zawdzięczała swój zadbany wygląd poprzedniej lokatorce, lecz taki stan rzeczy nie miał szans się utrzymać. White był młody i przystojny. Chociaż każda część jego twarzy była atrakcyjna – szczęka wyraźnie zarysowana, a cera czysta – Simeon nie mógł się opędzić od myśli, że podobnie jak w wypadku domu, pod powierzchnią kryje się zepsucie.

– Pan Charlie White?

– Przyszedł pan do mojego domu, to chyba pan wie, kim jestem. – Każde słowo było podszyte kpiną.

Od czasu do czasu w ramach pracy lekarza Simeon musiał sobie radzić z agresją kogoś takiego jak White. Nie robiło to na nim wrażenia.

– Ma pan rację.

– Ja też wiem, kim pan jest.

– Cieszę się. Doktor Hawes...

– Doktor Hawes. – White zachichotał pogardliwie.

– Tak. Jest chory.

– To niech się modli.

– Na pewno to robi. Uważa, że pan może coś wiedzieć o jego chorobie.

– Co takiego? – Mężczyzna roześmiał się nisko, gardłowo. – Nic nie wiem o dolegliwościach proboszcza. – Nachylił się. – Ale wiem, czego pragnie ten, co mieszka w tamtym domu. – Przestał się śmiać. – Czego pragnie i co robi, żeby to zdobyć.

Za jego niejasnymi słowami najwyraźniej kryło się jakieś znaczenie.

– Proszę wyjaśnić, co ma pan na myśli.

White się zawahał.

– Niech pan spyta kobietę. Wariatka zabiła brata proboszcza. Jeśli ktoś wie, jak umarł jej mąż, to właśnie ona. Mówicie, że White'owie nie

zasługują na sprawiedliwość, ale może uda nam się jej zakosztować. – Wydał z siebie odgłos siorbania i już chciał zamknąć drzwi.

Simeon przytrzymał je dłonią.

– Znalaziono ciało pańskiego kuzyna.

– Mojego kuzyna?

– Johna. Zaginął, prawda?

White zmrużył oczy.

– Zgadza się. Gdzie go znaleźli?

– Na błotnej równinie. Jest w Domu Klepsydry.

White parsknął pogardliwie.

– A gdzież by indziej? – Odepchnął dłoń przybysza i zatrzasnął drzwi.

Simeona zastanowiły jego słowa. Najwyraźniej Dom Klepsydry znajdował się w samym centrum tych wszystkich dziwnych wydarzeń. Stwierdzenie ojca Simeona, że w tym domu jest coś złowieszczonego, z każdą chwilą stawało się coraz bardziej prawdziwe. Musiał to przemyśleć w drodze na kolejną wizytę domową.

Mary Fen mieszkała w całkiem zgrabnym domku. Spojrzała ze zdziwieniem, gdy zobaczyła Simeona na swoim progu, ale wpuściła go do środka. Zapewne rzadko miewała gości, zwłaszcza tak schludnie ubranych. Jej mąż, rzemieślnik pracujący w metalu, na chwilę podniósł wzrok znad stołu roboczego, po czym bez większego zainteresowania wrócił do pracy.

Simeon się rozejrzał. Dom był całkiem dobrze urządzone. Kilka prostych mebli. Szorstki dywan na gołych deskach.

– Pani Fen... – zaczął Simeon, na co kobieta gwałtownie zamrugła. – Jestem doktor Lee. Proboszcz Hawes to mój pacjent. Widziałem panią dwa dni temu na grobli, skąd obserwowała nas pani, gdy staliśmy przed domem. – Czekał na odpowiedź, ale Mary Fen znów tylko zamrugła. – Dlaczego pani to robiła?

– Nie miałam złych zamiarów, proszę pana. Mówię szczerze.

– A zatem jaki był powód?

– Proboszcz nas nie lubi – wymamrotała.

Simeon patrzył, jak jej mąż nasypuje nieco sproszkowanego metalu do drewnianego naczynia i miesza go z jakimś innym składnikiem. Potem nabrał tej mieszanki na małą szklaną łyżkę.

– Jak pani sądzi, dlaczego tak jest?

– Nie wiem – odparła z lękiem.

Simeon już widział, że będzie to mniej szczerą rozmową niż poprzednia, w której Charlie White z lubością kpił z duchownego.

– Wiedziała pani, że doktor Hawes źle się czuje?

– Coś słyszałam.

– A co konkretnie?

– Tylko tyle, że jest chory.

– Wie pani, w jaki sposób zachorował?

– Nie, proszę pana.

– Wie pani cokolwiek o jego domostwie?

– Niczego nie wiem.

Zmienił temat i spytał, czy znała Johna White'a. Mrugała coraz intensywniej. Oczywiście, że tak, ale nie byli przyjaciółmi. A co z jego kuzynem, Charliem? Nigdy nie miała z nim nic wspólnego. I tak dalej, i tak dalej.

– Czy ludzie w okolicy rozmawiają o tym, co się dzieje w probostwie? – spytał Simeon.

– No... rozmawiają.

Mąż kobiety zaczął wcierać przygotowaną mieszaninę w ręczki stalowych noży, które leżały na jego stole. Rozpraszał Simeona.

– I co takiego mówią?

– Mówią, że ta... jak jej było na imię...

Zgadł, o kogo chodzi.

– Florence.

W zachowaniu mężczyzny przy stole warsztatowym było coś dziwnego.

– O właśnie. Że zabiła swojego ślubnego.

Czym on nacierał tę stal?

– To fakt powszechnie znany. Chciałbym się natomiast dowiedzieć... Chwileczkę! – Simeon wstał i podszedł do mężczyzny. Ten podniósł wzrok, zaskoczony, że przerwano mu pracę. – Te noże. – Simeon wskazał sztucce. – Pokrywa je pan srebrem.

Fen zamrugał, podobnie jak jego żona. Wyglądało to na ich wspólną cechę. Simeon pokręcił głową. Nie mógł uwierzyć, że przyczyna tragedii tej rodziny może być tak prosta. Położył dłoń na ramieniu rzemieślnika.

– Stracili państwo wiele córek – odezwał się cicho, a mężczyzna głęboko westchnął. – Podejrzewano państwa... że je otruliście, prawda? – Żałował, że wspomniał o tym zarzucie, ale nie dało się tego uniknąć.

– Niektórzy ludzie...

– Przykro mi. Ale rzeczywiście je państwo otruli. – Simeon podniósł jeden ze stalowych noży. – Mieszanina, której pan używa. – Postukał nożem o ściankę drewnianego pojemnika. – To srebro i rtęć, czyż nie?

– Zgadza się.

– No cóż, srebrny proszek jest niegroźny, ale rtęć...

– Dbaliśmy o to, żeby dzieci nigdy jej nie dotykały! – odparła Mary. Simeon ze współczuciem ściszył głos.

– Nie wątpię, ale rtęć to dziki metal. Właśnie dlatego nazywamy ją żywym srebrem. Wiemy, że może przeniknąć do powietrza i do naszych płuc. – Popatrzył na kobietę. – Przykro mi, ale wdychała ją pani w czasie ciąży, tak że przedostawała się razem z krwią do ciał pani nienarodzonych córek. Przyszły na świat zatrute.

– Przecież... – zaczął mąż i urwał, oszołomiony.

– Przykro mi, proszę pana. Dorośli mogą wytrzymać takie stężenie trucizny, ale państwa córki nie miały szans. – Simeon położył dłoń na ramieniu mężczyzny, w nadziei, że ta wiedza przyniesie mu pewne pocieszenie. Jego słowa zawisły w powietrzu, a małżonkowie wpatrywali się w siebie nawzajem, nie mogąc wykrztusić ani słowa. – Jeśli chcą państwo znów postarać się o dziecko, mogę doradzić, jak zrobić to w sposób bezpieczny.

A więc podejrzenia proboszcza wobec Mary Fen okazały się bezpodstawne. Ale Charlie White z pewnością miał nieczne zamiary.

Po powrocie do domu Simeon zastał wuja siedzącego na sofie w bibliotece. Proboszcz przyciskał do piersi kartkę, a na podłodze obok niego leżało pióro. Nie chciał powiedzieć, co zawiera pismo.

– Przyniosę ci środek wzmacniający – powiedział Simeon, gdy zmierzył mu puls.

Poszedł do swojego pokoju i nalał do szklanki lekarstwo, chociaż nie był przekonany, czy zadziała. Pomimo twierdzeń nauczycieli zawsze był przekonany, że takie środki bardziej oddziałują na psychikę niż na ciało.

Kiedy wrócił po kilku minutach, proboszcz miał zamknięte oczy i mamrotał coś pod nosem.

– Wypij to, wuju – zachęcił go Simeon, podsuwając mu szklankę do ust.

Hawes natychmiast się ocknął. Odtrącił szklanę, aż upadła na podłogę i się rozbiła.

– Psiakrew! Ktoś mnie truje! – wykrzyknął. – Zabija mnie. To na pewno ona!

Jego ręka wiła się w powietrzu i Simeon miał trudności, by ją utrzymać. Nagły przyływ siły u kapłana był zaskakujący, zważywszy na jego niedawną niemoc. Simeonowi skojarzyło się to z przedśmiertnymi drgawkami tygrysa.

– Przecież nie może się do ciebie zbliżyć – zaczął mu tłumaczyć. – Jest uwięziona za szybą od ponad roku. Jeśli ktoś cię truje, to na pewno nie ona.

– Więc dowiedz się, kto to robi! – warknął proboszcz. – Dowiedz się! Nie zamierzam stanąć przed Stwórcą w takim stanie. – Wyszeptał coś, czego Simeon nie dosłyszał. Potem znów odezwał się głośno: – Jeśli umrę, nie wypuszczaj jej. Sędzia powiedział, że jeżeli stąd wyjdzie, będzie musiała trafić do domu wariatów. Obiecuj mi, że tego nie zrobisz, dopóki wszystko nie zostanie uzgodnione z Watkinsem i władzami.

– Wuju...

– Musisz mi obiecać.

– Muszę?

– Tak. Tylko pomyśl, co będzie, jeśli ona odzyska wolność, wbrew warunkom ustalonym przez sędziego.

Simeonowi nie podobało się, że jest zmuszany do złożenia takiej obietnicy, ale uległ. Wuj pewnie miał rację, że nieprzestrzeganie procedur całkowicie odbierze mu możliwość decydowania.

– Obiecuję.

– Cieszę się. Proszę, zadbaj o to, by ten list został wysłany. – Proboszcz wcisnął mu pismo do ręki. – Możesz go przeczytać.

List był zaadresowany do biskupa.

Wielebny Księżę Biskupie!

Ośmielam się prosić o pomoc w ważnej sprawie osobistej. Podejrzewam, że padłem ofiarą bezbożnej zbrodni. Ktoś nieznany próbuje doprowadzić mnie do śmierci za pomocą trucizny. Trucizny, wielbny Księżę Biskupie. Nie zamierzam tego ukrywać. Proszę, by Książdz Biskup wysłał śledczego, który ustali tożsamość tego diabła. Wiem z całą pewnością, iż kobieta, nad którą sprawuję pieczę, darzy

mnie wściekłą nienawiścią ze względu na moją pozycję, mimo że zaopiekowałem się nią, żeby uchronić ją przed domem wariatów. Jeżeli to nie ona, winny może być któryś z moich służących bądź okolicznych mieszkańców, bo potajemnie pielęgnują oni w sercach nienawiść do mnie. Mój bratanek, doktor Simeon Lee, zna tożsamość tych, którzy mają największe powody, by źle mi życzyć.

Pozostaję pokornym sługą Kościoła w osobie wielbnego Księdza Biskupa.

doktor teologii Oliver Hawes

– Chcesz, wuju, żebym to wysłał? – spytał z niepokojem Simeon.

– Tak. A także wezwij konstabla. Chcę, żeby zaczęto przesłuchiwać ludzi. Muszą zdradzić swoje podłe sekrety albo zaznać *peine forte et dure*.

Tortury? To nie był czternasty wiek.

– Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli podstawy do podjęcia takich działań.

– Nie ma innego wyjścia. List musi zostać wysłany.

Weszła pani Tabbers.

– Słyszałam, że coś się rozbiło, proszę pana – odezwała się niepewnie.

Hawes przechylił się nad krawędzią sofy i zwymiotował. Służąca natychmiast podbiegła ze szmatką, którą wyjęła z kieszeni fartucha, a proboszcz powoli dochodził do siebie. Jego oczy płonęły.

– Rozumiem, wuju – odrzekł Simeon.

Miał poważne wątpliwości co do poleceń chorego, ale nie była to pora na dyskusje. Próbował zrozumieć, co kryje się za jego poczuciem prześladowania. Wiedział, że mózgi umierających ludzi często podsuwają im dziwaczne, nawet paranoiczne myśli. Ale jeżeli ktoś z otoczenia Hawesa rzeczywiście odpowiadał za jego chorobę, na pewno nie mogła to być Florence, zamknięta w swojej celi.

Simeon musiał jednak przyznać, że otrucie zdawało się wiarygodnym wytłumaczeniem. Jeśli była to infekcja, to z pewnością taka, z jaką dotychczas się nie spotkał, zresztą żadna z osób, które miały kontakt z proboszczem Hawesem, nie zdradzała objawów zakażenia. Możliwe, że przyczyną dolegliwości był uraz wewnętrzny bądź choroba, ale tego nie da się ustalić bez rozcięcia ciała pacjenta.

– Pani Tabbers, czy mogłaby pani spędzić tę noc w domu? Obawiam się, że doktor Hawes wymaga stałej opieki.

– Oczywiście, proszę pana.

– Tyrone! – warknął proboszcz. – Wezwijcie Tyrone’a, on odkryje, kto mi to robi. – Zerwał z twarzy kanciaste okulary i odrzucił je na bok, zupełnie jakby go parzyły.

– Kogo? – spytał zdziwiony Simeon.

Nigdy nie słyszał tego nazwiska, ale ludzie na łożu śmierci raczej nie wzywają dalekich znajomych.

– Nie wiem, proszę pana – odparła gospodyni, skupiona na sprzątanii. Simeon pochylił się nad duchownym.

– Kim jest Tyrone? Czy to ktoś ważny? Czy on wie, kto... cię truje?

– Na pewno się dowie!

– Więc powiedz mi, jak go znaleźć.

Ale duchowny tylko spiorunował go wzrokiem, po czym odchylił się do tyłu i zacisnął powieki. Jego pierś się zapadła, jakby wyparowała z niego cała siła. Był to poruszający widok.

– Czy pani Hawes może wiedzieć, kim jest ten człowiek? – zwrócił się Simeon do gospodyni.

– Nie wiem.

Podszedł do zimnej ściany celi i stanął przed nią. Jego palce same wyciągnęły się w stronę lustrzanego szkła.

Florence, zupełnie jakby na niego czekała, wyszła z części mieszkalnej i popatrzyła mu w oczy. Jej spojrzenie było bardziej przenikliwe niż dotychczas, jakby już do siebie doszła.

– Wiesz, co się dzieje z doktorem Hawesem?

Uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała. Ich poprzednie kontakty przygotowały go na taką reakcję. Ale czy Florence ukrywała prawdę, czy też to, że nic nie wie? Nie potrafił ocenić.

Spróbował innej taktyki.

– Kim jest Tyrone? Doktor Hawes chce, żeby tu przyszedł.

Kobieta za szybą roześmiała się cicho, unosząc przy tym brodę i wyciągając szyję. Simeon zobaczył jej długi, piękny łuk. Potem odwróciła się i z cichym szelestem zielonego jedwabiu zniknęła w swoim pokoju.



Rozdział 8

– Proszę pana! Niech pan szybko idzie!

Simeon, potrząsany za ramię, tylko częściowo odzyskał świadomość. Twarz gospodyni znalazła się w jego polu widzenia, spowita błękitnym światłem, jakie pojawia się jedynie tuż po wschodzie słońca.

– Pani...

– Doktor Hawes. Chyba umiera!

Simeon chwiejnie wstał z łóżka i nawet nie pomyślał o tym, by narzucić coś na koszulę nocną, tylko od razu chwycił torbę lekarską.

Lampy gazowe na ścianie biblioteki były zapalone, ale dawały słabe żółte światło. Wystarczyło jedno spojrzenie na pacjenta, by zorientować się, że jest na granicy życia i śmierci.

– Wuju! Doktorze Hawes! – zawołał Simeon i poklepał go po nieogolonych szarych policzkach. – Obudź się!

Uniósł jego powieki, by sprawdzić, czy źrenice reagują na światło lampy, którą trzymała pani Tabbers. Nie reagowały. Podsunął duchownemu pod nos sole trzeźwiące, wdmuchnął mu powietrze do płuc i mocno potrząsnął jego klatką piersiową, by zmusić serce do pracy.

Ale na próżno. Chociaż zastosował wszystkie podręcznikowe metody, pacjent zmarł. Jego usta traciły kolor, na nadgarstku ani na szyi nie dawało

się wyczuć pulsu. Proboszcz miał już nie wydać z siebie żadnego dźwięku, już nigdy nie wpaść w furję.

Drżącym głosem Simeon poprosił panią Tabbers, by przyprowadziła Caina z jego domu na Mersei, a sam ciężko opadł na fotel. Poczł ukłucie gniewu i nagłym ruchem zrzucił z ośmiokątnego stolika swoje przybory. Na podłogę spadły szpatułki, bezużyteczny stetoskop i duża butelka ze środkiem wzmacniającym, który wcale nie wzmocnił chorego.

A zatem w domu znajdowały się już dwa trupy. Tutaj ksiądz, który rano powinien wygłosić niedzielne kazanie, a w stajni John White, zimny jak błoto, z którego go wydobyto. Dom Klepsydry zmienił się w kostnicę.

– Nie smuć się, Simeonie.

Głos odbił się echem. Dobiegał jednocześnie ze wszystkich stron. Był cichy, jakby unosił się na pokrytej gronorostami czarnej wodzie strumieni, i równie lodowaty. Wreszcie Simeon go usłyszał.

– Florence – odezwał się, bardziej do siebie niż do niej.

Wbił wzrok w ciemne szkło. Nie widział niczego po drugiej stronie, ale wiedział, że ona tam jest.

Nagle głos znów go otoczył.

– Zawsze marzyłem, że zostanie porwany do nieba. A teraz...

W ciemności rozbłysła iskra, gdy Florence zapaliła lampę oliwną. Blask wypełniał teraz jej pokój, rzucając ziarnisty cień na podłogę. Simeon wstał i podszedł do szyby. Widział swoje podwójne odbicie – w szkłe i w tęczęwkach Florence.

– Myślałem, że nigdy nie przemówisz.

– Aż w końcu to zrobiłam. – W jej głosie pobrzmiwał wyzywający miejscowy akcent, który krył się pod wytwornym tonem córki dziedzica, jak zdradzieckie wodorosty pod gładką powierzchnią wody.

Simeon zerknął w stronę leżącego na sofie ciała.

– Dopiero kiedy umarł – dodał.

Zapadła długa, ciężka cisza.

– Tak. Kiedy umarł, odnalazłam swój głos.

– Wiesz, co go zabiło?

Zadziornie przechyliła głowę.

– To ty jesteś lekarzem. – Bawiła ją ta gra w kotka i myszkę.

– Masz jakieś podejrzenia?

– Tutaj, Simeonie? – Machnęła ręką. – Cóż mogę wiedzieć, skoro jestem tu zamknięta?

Zastanawiał się, czy to prawda.

– A dlaczego teraz ze mną rozmawiasz?

Usiadła i zapatrzyła się na płomień lampy.

– Chyba po prostu zapragnęłam usłyszeć swój głos.

– Chcę ci pomóc, Florence.

– Przyjechałeś, żeby pomóc Oliverowi, Simeonie. Ale niespecjalnie ci się udało. – Uśmiechnęła się kpiąco.

– Moje medyczne wykształcenie ma swoje ograniczenia.

– Och, wiem o tym. Potrzeba było dwóch lekarzy, żeby wsadzić mnie za tę szybę. – Nachyliła się i postukała w nią lampą. – Tacy wykształceni ludzie. Trzeba było całej ich uczoności, by uznali, że najlepiej będzie umieścić mnie tutaj, żebym nie zagrażała sobie, im ani innym ludziom.

Simeon zastanawiał się, gdzie jest pani Tabbers, jak daleko mieszka Cain i kiedy się wreszcie pojawią.

– Jestem przekonany, że robili, co w ich mocy – powiedział. – Wykłady nie nauczą nas, do czego mogą być zdolni ludzie.

Zerknęła na martwego proboszcza.

– O tak, to z pewnością prawda. Ludzie potrafią zaskakiwać. To, co zrobiłam ja i co zrobili inni mieszkańcy tego przeklętego miejsca... nigdy bym tego nie przewidziała. Nie.

Zmarszczył czoło; ta kobieta tak wiele ukrywała.

– O czym mówisz, Florence? Jeśli coś wiesz, to mi powiedz. – Nie zareagowała. – Kim jest Tyrone? – spytał. – Doktor Hawes chciał go tutaj sprowadzić.

– Nie wątpię.

– Więc go znasz?

– Ujmę to tak: mieliśmy okazję się poznać.

– Powiesz mi, gdzie mogę go znaleźć? Doktor Hawes twierdził, że on będzie wiedział, kto go truł. – Ta informacja nie mogła już w niczym pomóc lekarzowi ani medycynie, ale powinna być użyteczna dla sędziego i kata.

Florence usiadła na niebieskim szezlongu.

– Nie chcę znów się z nim spotkać. Gdybyś wiedział, co mi zrobił, podzielałbyś moje zdanie.

To go zastanowiło, ale nie mógł ustąpić.

– Wiesz, gdzie on jest?

– Tak.

– Więc powiedz mi, na litość boską.

Zamiast odpowiedzieć, zaczęła nucić słodki, smutny hymn.

– *Zostań ze mną; wieczór już nastaje. Nie zostawiaj mnie w ciemności, Panie. Gdy wszyscy zawiodą i znikąd pociechy, wspomóż słabych, rozprosz mroki grzechu.*

To na nic. Miał wrażenie, że kobieta z niego kpi. Co mogło ją przekonać?

– Doktor Hawes był dla ciebie dobry. Ocalił cię przed Bedlam.

– Nie brałaś pod uwagę, że może tam jest moje miejsce?

Te słowa go zaskoczyły, ale nie wątpił, że Florence mówi szczerze. I to tłumaczyło, dlaczego nie zażądała wypuszczenia na wolność zaraz po śmierci Hawesa.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz – powiedział.

– To znaczy?

– Byłem w tym piekle. Nawet sobie nie wyobrażasz, co tam się dzieje. – Gra, w którą z nim grała, zaczynała go irytować.

– Oświeć mnie.

– Mam cię oświecić? – Zaczął ogarniać go gniew. – Do diabła, zaraz cię oświecę. Widziałem mężczyzn, którzy odbierali sobie życie, wypijając witriol używany do czyszczenia posadzek. Chciałabyś wiedzieć, jak brzmiały ich wrzaski? – Nie czekał na jej odpowiedź. – Widziałem kobiety, które rodziły dzieci i oddawały je w zamian za wolność. Mój Boże, wolałbym zebrać na ulicy, niż kogokolwiek tam posłać. Dlatego ani ciebie, ani nikogo innego nie skazę na takie upodlenie.

Odwrócił się gwałtownie i podszedł do ciała Hawesa. Stracił pacjenta, ale to sprawiło, że był jeszcze bardziej zdecydowany odkryć przyczynę jego śmierci. Przypomniawszy sobie wykłady na studiach medycznych, a zwłaszcza jeden, gdy pewien stary profesor zalecał swoim młodym studentom, by poszukując przyczyny zgonu, zawsze „uważnie rozglądali się po otoczeniu”. Czy czegoś nie przegapił? Hawes był przekonany, że zabija go trucizna. A jeśli miał rację, ale nie dokonała tego ludzka ręka? Toksyny mogą bez trudu przeniknąć do wnętrza domu – na przykład arsenik w tapecie albo rtęć w rączce noża.

Wywrócił bibliotekę do góry nogami.

Przy wtórze śmiechu dobiegającego zza szyby, odwracał fotele, wyciągał książki z półek i zrywał dywany.

– Czego szukasz? – spytała kpiąco Florence.

- Tego, co zabiło twojego szwagra.
- Wątpię, żebyś to znalazł pod tym indyjskim dywanem.

Pół godziny później Simeon pomasował sobie obolałe ramiona. Niczego nie znalazł. Czy ten dom ukrywał przed nim jakieś sekrety? Albo robił to sam Hawes? Zatrzymał wzrok na zamkniętym sekretarzyku.

Proboszcz pokazywał mu żelazny klucz, który nosił w kieszeni. Teraz już go nie pilnował. Simeon wydobył go ze spodni duchownego, włożył do zamka i przekręcił. Przedni panel opadł, odsłaniając liczne szufladki. Simeon znalazł w nich typowe dla takiego miejsca przybory piśmiennicze, tusz i tym podobne. To był efektowny mebel: mosiężne okucia miały kształt ptaków, owoców i broni, a na poziomym panelu, podtrzymującym szuflady, widniał malowany relief, przedstawiający mężczyznę w koronie, który spał pod jaśniejącą Gwiazdą Polarną. Pod spodem był podpis: *Artur*. Ale talent twórcy mebla na nic się nie zdał, ponieważ Simeon nie doznał olśnienia.

Znów zaczął szukać w pokoju czegoś toksycznego, a kobieta za szybą cały czas go obserwowała. Ponownie zbadał tapetę na ścianie, skórzane obicia foteli, dywan, ale nic nie znalazł.

A potem jeszcze raz popatrzył na sekretarzyk. Nie dawał mu spokoju ten malowany panel. Drzemiący król Artur. Każdy uczeń znał tę legendę: Artur nie umarł, tylko spał na Avalonie, wyspie ukrytej przed wzrokiem ludzi.

Simeon uważnie obejrzał panel, ostukując go knykciami. Tak, rozległ się głuchy odgłos! Za panelem znajdowała się pusta przestrzeń. A pusta przestrzeń w sekretarzyku z pewnością oznaczała ukrytą przegrodę.

To odkrycie jednakże nie przyniosło żadnych owoców, bo po niemal godzinie poszukiwania mechanizmu otwierającego panel okazało się, że wcale nie jest to proste. Simeon właśnie miał udać się do stajni po tasak, by rozłupać drewno, ale jeszcze raz przesunął palcami po mosiężnych zdobieniach. Być może krył się tam jakiś przycisk. Naciskał i szarpał, aż w końcu, przypadkowo, wcisnął jednocześnie dwie małe ikony.

Rozległ się trzask i panel opadł.

Głos Florence przyprawił go o dreszcz na karku.

– Brawo, Simeonie.

Wyglądało na to, że jego pacjent rzeczywiście miał jakiś sekret, bo w zagłębieniu Simeon znalazł coś, co go zdumiało. Był to przyrząd do palenia – długa prosta fajka z kości słoniowej i terakoty, połączona z kwadratową terakotową miseczką. Widział już wcześniej takie fajki i wiedział, do czego służą, jednak ta była niezwykła, bo w kości słoniowej wyrzeźbiono delikatny wzór splecionych kwiatów, który zmienił brzydki przedmiot w dzieło sztuki.

– O tak, brawo, Simeonie.

– Dziękuję, Florence – odpowiedział z taką samą ironią, jaką oczekiwały jej słowa.

– Sądzę, że zasłużyłeś na nagrodę.

Podniósł wzrok znad fajki.

– Co masz na myśli?

– Coś, co w pewnym sensie pasuje do przedmiotu, który znalazłeś.

– Mów dalej.

Położyła się na szeszlunku i wskazała najwyższą półkę z książkami.

– Tamta książka, którą zacząłeś czytać.

Przypomniał sobie dziwny czerwony tomik z połączonym tytułem, *Złote pole*, nowelkę, którą napisał jakiś O. Tooke, o mężczyźnie wybierającym się w 1939 roku za Atlantyk w poszukiwaniu matki. Nowelkę, którą Florence opisała bezgłośnie, zakreślając na jednej ze stron kilka słów, które miały być przeczuciem. Simeon z zadowoleniem odłożył wtedy na półkę tę dziwną opowieść o innych czasach.

– Co z nią?

– Za wcześnie ją porzuciłeś.

– Nie rozumiem... – Zdjął tomik z półki i przerzucił kartki, aż dotarł do miejsca w samym środku.

Przez cały tydzień nie było żadnych rejsów do Nowego Jorku. Przesiadywałem w barach na nabrzeżu, licząc na to, że jakiś zabłąkany statek pojawi się niespodziewanie i zaproponuje mi szybką podróż za ocean. Codziennie bębniłem palcami w blat stolika, wpatrując się w horyzont, i każdego ranka posyłałem zapytanie do kapitana portu, czy dopisało mi szczęście. Oczywiście nie. Dlatego musiałem zgodnie z planem wejść na pokład *Pływającego Miasta*. Był to ogromny statek z kajutami dla ponad dziesięciu tysięcy osób, który mknął po falach na olbrzymich cynkowych nartach.

Przestawanie z innymi pasażerami było dla mnie równie zachęcające jak dla mordercy przestawanie z duchami jego ofiar. Kiedy tylko mogłem, leżałem na swojej koi i opuszczałem kajutę jedynie na posiłki oraz na godzinne przechadzki po pokładzie, które miały uchronić moje mięśnie przed atrofią. Spacerowałem po zachodzie słońca, by zminimalizować ryzyko rozmowy z kimkolwiek. Niepotrzebnie się martwiłem – grymas, który wykrzywił moją twarz, wszystkich odstraszał. Nie mogłem się doczekać, kiedy wsiądę do powietrznego pociągu, polecę do Kalifornii i stanę oko w oko z tym diabłem.

– Nie, dalej – rzekła Florence.

Przeszedł do zakończenia opowieści, które znajdowało się w połowie książki, a potem następowały puste kartki.

A więc był tutaj. Podobnie jak ja. A między nami była tylko nienawiść, która płonęła jak rozżarzone węgle. Mógłbym wbić mu nóż pod żebra i wznieść dziękczynne modły do Wszechmogącego. I chociaż on deklarował miłość i pobożność, bez mrugnięcia okiem potraktowałby mnie w taki sam sposób. Pytanie brzmiało: który z nas ma lepszy plan i zdobędzie się na odwagę, by wcielić go w życie? Ostatecznie okazało się, że ja.

– Dalej nic nie ma.

– Czyżby? Obróć książkę. – Zachęciła go gestem.

Obrócił tomik w dłoniach. Tylna okładka z czerwonej skóry była pusta. Kiedy go otworzył, zobaczył stronę tytułową, napisaną niebieskim atramentem, odręcznie, eleganckim pismem. Strona należała do zupełnie innej książki.

Dziennik doktora teologii Olivera Hawesa

– Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś? – spytał ze złością. – To mogłoby mi pomóc w badaniu jego choroby.

– Może właśnie dlatego.

Nie podobały mu się jej insynuacje.

– Ale dlaczego pisał dziennik z tyłu tej książki?

– Ponieważ to najlepsze miejsce, by go ukryć.

Simeon wiedział, że Florence ma rację. Gdyby go nie naprowadziła, nigdy nie odkryłby tego tekstu.

– Jego dziennik – mruknął pod nosem.

– Czytywał mi go wieczorami, dla mojej rozrywki. – Skrzywiła się, jakby te słowa cuchnęły. – Czytał mi go także tamtego dnia, kiedy znalazłeś książkę. A teraz przyszedł czas, żebyś ty go przeczytał, więc zostawię cię samego. – Wycofała się do swoich niewidocznych prywatnych pomieszczeń.

Simeon przekartkował zapiski proboszcza. Większość z nich była zwyczajnymi relacjami z dni wypełnionych modlitwą lub załatwianiem parafialnych spraw. Ale kilka się wyróżniało.

16 kwietnia 1879

Dzisiaj otrzymałem bardzo ciekawą monografię. Nadeszła ze Stowarzyszenia Korespondencyjnego Wspólnoty Anglikańskiej, a dotyczy dawnej praktyki „pożerania grzechów”. Ten zwyczaj był niegdyś rozpowszechniony we wschodnich częściach Anglii i przetrwał do dziś w niektórych jej zakątkach. Po śmierci wysoko postawionej osoby płaci się za udział w pogrzebie jakiemuś biedakowi. Pieczę się niewielkie ciastka i umieszczają je na ciele zmarłego, a pożeracz grzechów zbiera je i zjada. Dzięki temu bierze na siebie grzechy nieboszczyka i to on właśnie odpowie za nie podczas Dnia Sądu. Pożeracz grzechów budzą odrazę, podobnie jak trędowaci, ponieważ noszą w sobie tyle zła co Wróg. Sprzedali swoją nieśmiertelną duszę za doczesne ciało. To kiepski interes.

19 kwietnia 1879

Bardzo martwię się o Jamesa. Znowu wpadł w szpony hazardu. Jeździ do Londynu, przesiaduje w jakimś podejrzanym klubie – albo jeszcze gorszym miejscu – i trwoni pieniądze, które zostawił mu ojciec. Nie chce mi zdradzić, jak dużo stracił – jestem pewien, że przegrywa, a nie wygrywa, bo w końcu kto zdoła pokonać

kasyno? - ale bez wątpienia są to znaczne sumy. Po południu przyłapałem go na paleniu w kominku jakiegoś listu. Na wierzchu znajdował się herb i podejrzewam, że list pochodził z Westminster Bank, w którym James ma konto. Będę się za niego modlił.

3 maja 1879

Szaleję z niepokoju. Jest trzecia w nocy, a James wrócił do domu pół godziny temu. Miał mokre spodnie, chociaż nie pada, i jego ubranie pachniało morzem. Pewnie brodził przy brzegu. A po co w tych okolicach człowiek miałby to robić w nocy? Może być tylko jeden powód.

Spýtałem go o to wprost.

- Nie martw się o mnie, braciszku - odpowiedział tym dziecinnym tonem, którego czasem używa w takich sytuacjach.

- Bardzo się o ciebie martwię. O twoje śmiertelne ciało i nieśmiertelną duszę - odrzekłem.

- No cóż, jeśli chodzi o duszę, to musisz pojąć jedno.

Przyznam, że byłem przerażony. Miałem przeczucie, co za chwilę powie. Liczyłem na to, że zachowa te słowa dla siebie.

- Twoje niebo i ten twój Bóg - rzekł. - To kompletne bzdury, człowieku. Nie rozumiesz? Żyjemy i umieramy, to wszystko. Nie ma niczego więcej! Idziemy do piachu.

Zawsze podejrzewałem, że James jest ateistą, ale jego słowa mnie zmroziły. Oczywiście Pan dobrze wiedział, co kryje się w jego sercu, więc jego grzech nie stał się teraz większy, ale nie mogłem uwierzyć w tę arogancję!

- *A co ze śmiertelnym ciałem?* - warknąłem. - *Nawet jeśli nie obchodzi cię prawo Boga, to co z prawem królowej?*

- *Masz na myśli starego Watkina i jego poborców podatkowych? Nie potrafiliby znaleźć własnych nóg.*

- *A jeśli cię jednak znajdą?* - dążyłem. - *Jeśli złapią cię z tymi rzeczami?*

- *Z towarem, tak to nazywamy. No cóż, na wypadek gdyby jednak stanęli nam na drodze... co się nie zdarzy, bo zawsze bardzo ostrożnie wybieramy czas i miejsce... noszę przy sobie to.* - *Odchylił połę kurtki i pokazał zatknięty za pasem naładowany pistolet.*

Rozkazałem mu, żeby usunął go z domu.

- *Dlaczego? Boisz się, że użyję go przeciwko tobie?*

- *Nie żartuj sobie z morderstwa - ostrzegłem go.*

Byłem rozgniewany, co samo w sobie jest śmiertelnym grzechem, ale uważam, że miałem słuszny powód do gniewu.

Uśmiechnął się do mnie kpiąco i poszedł na górę do swojego pokoju. Miałem nadzieję, że tego dnia nie będę już musiał słyszeć go ani widzieć, ale gdy teraz piszę ten dziennik, z jego sypialni dobiegają odgłosy zbyt donośne, by móc je ignorować. Skrzypienie, śmiechy. Odgłosy spółkowania. Ja także słyszę.

5 maja 1879

Ledwie usiadłem do stołu, by zacząć pracować nad dzisiejszym wpisem, gdy podpity James wtoczył się do pokoju. Zdażyłem zamknąć książkę i odwrócić ją, aby wyglądało na to, że czytam tę osobliwą futurystyczną opowieść. Ale James dostrzegł mój pośpieszny ruch i wyrwał mi tomik z rąk.

- Och, bracie, co my tu mamy? - Zachichotał, a następnie, ku mojemu zmieszaniu, usiadł i zaczął czytać opowieść.

Cały czas bałem się, że odwróci książkę i odkryje mój dziennik. Co prawda nie ma w nim nic, czego miałbym się wstydzić, ale każdy woli zachować swoje prywatne myśli dla siebie, i właśnie dlatego zapisuję je w tak dyskretny sposób. Wiem, że gdybym pisał normalny dziennik, to choćbym trzymał go pod kluczem, James i tak zdołałby się do niego dostać. Ta sprytna metoda jest bezpieczniejsza od każdego zamka. A fakt, że James przeczytał całe „Złote pole” w ciągu trzech godzin i nie zauważył, że na końcu znajdują się moje zapiski, dowodzi skuteczności tego rozwiązania. Po dotarciu do końca opowieści mój brat nieco wytrzeźwiał.

- Myślisz, że kiedyś będziemy w stanie tak latać? - spytał, odnosząc się do powietrznych maszyn, o których wspomiano w książce.

- Jak Bóg da - odpowiedziałem.

- No tak, ty zawsze to swoje „jak Bóg da”. - Nie podobał mi się jego kpiący ton. - A co sądzisz o samej historii? Opowiada o zemście, prawda?

- „Do mnie należy pomsta. Ja wymierzę zapłatę, mówi Pan” - zacytowałem. - To znaczy, że my, biedni grzesznicy, nie powinniśmy w ogóle tego rozważać.

- To oczywiście, że mamy prawo odplacić każdemu, kto nas skrzywdził. Tak jak bohater tej książki. - Pomachał tomikiem, zupełnie jakby „Złote pole” było co najmniej Księgą Powtórnego Prawa. - Przeszedł przez piekło, żeby poznać prawdę o swojej matce. Zasluguje na to, by dokonać zemsty. Ma do niej prawo, tak to rozumiem. Zresztą czy czytanie takich tekstów nie ma nas zachęcić do refleksji nad tymi sprawami?

- To tylko rozrywka. W życiu kieruję się przestaniem bardziej świętej księgi - odparłem.

W irytujący sposób przewrócił oczami.

- Po co w ogóle tracisz czas na czytanie czegokolwiek poza Biblią? Przecież i tak nie zmienisz zdania.

Poprosiłem go, żeby wyszedł. Ale dał mi do myślenia. Owszem, autor tej nowelki z pewnością uważał, że zemsta jest prawem skrzywdzonego. Ciekawe, jak bardzo elastyczna w tej kwestii jest Biblia. Na przykład czy człowiek nie może być narzędziem w rękach Boga do wymierzenia sprawiedliwej kary? Zastanawiam się, czy autor tego czerwonego tomiku - O. Tooke - nie ukrył istoty wielkiej idei pomiędzy opisami gorących kalifornijskich krajobrazów i domów ze szkła. Muszę głębiej się nad tym zastanowić.

Wcześniejsze wydarzenia tego poranka, które zamierzałem opisać, błędą w obliczu tej kwestii, więc nie będę się kłopotał ich relacjonowaniem.

9 maja 1879

Spędziłem przyjemny dzień w Colchesterze, zajęty sprawami diecezji. Biskup poprosił mnie o radę w kwestiach administracyjnych, a ja chętnie mu jej udzieliłem. Zjadłem kolację samotnie i wróciłem około dwudziestej.

10 maja 1879

Dzisiaj byłem w kościele i pisałem kazanie o chciwości. Miałem nadzieję, że przemówię do sumienia Jamesa. Chociaż jest ateistą i czeka go za to potępienie, wciąż może kierować się moralnością. Pisałem na ambonie - tak jak lubię najbardziej, bo dzięki temu od razu wyobrażam sobie, jak słowa lecą w stronę wiernych - gdy nagle zauważyłem w tylnej ławce jakiegoś jegomościa. Nie modlił się, tylko spokojnie siedział. Początkowo nie zwróciłem na niego większej uwagi, ale kiedy po blisko godzinie podniosłem wzrok, on nadal tam był. Jeszcze przez chwilę zmagalem się

z treścią kazania, a kiedy zapisałem ostatnie słowa, mężczyzna wciąż siedział w ławce. Spędził w niej bez ruchu niemal dwie godziny.

Podszedłem i go zagaadnąłem. W końcu rzadko widuje się na Mersei nieznajomych, a tym bardziej ludzi, którzy przez dwie godziny siedzą w kościele i się nie modlą.

- Jestem doktor Hawes, proboszcz tej parafii.

- Słyszałem o księdzu - odpowiedział chrapliwym głosem.

- Co pan słyszał?

- Och, same dobre rzeczy. Naprawdę, bardzo dobre. Jest ksiądz prawdziwą inspiracją.

- Nic podobnego! - odparłem.

Pochlebiał mi, ale pycha kroczy przed upadkiem, więc staram się unikać takich sytuacji.

- Ależ tak! - zapewnił. - Wiele słyszałem o pobożności księdza. Właśnie dlatego tutaj przybyłem.

- Czy mogę wiedzieć, jak pan się nazywa?

- Jak się nazywam?

- Tak.

- Tyrone.

- Och, tak jak hrabstwo w Irlandii?

- Tak samo.

- Mieszkałem tam jako dziecko.

- Naprawdę?

- Mój ojciec po odejściu z wojska piastował rządowe stanowisko. Zabrał nas tam na trzy lata. Nadzorował pobór podatków. Bardzo miło wspominał tamten

czas.

Rozmawialiśmy dalej, o panu Tyronie – chociaż niezbyt pamiętam, co o sobie mówił – oraz o mojej postudze. Podobało mu się wszystko, co robię.

- No cóż, proszę księdza – rzekł w końcu. – Muszę wracać do domu.

- Czyli dokąd?

- Do Colchesteru.

- Przyjechał pan aż stamtąd, żeby mnie poznać? – spytałem nieco zaskoczony i, muszę to przyznać przed Panem, miło polechtany.

- Owszem. – Wstał i wziął kapelusz. – Warto było wybrać się w tę podróż.

12 maja 1879

Dzisiaj słyszałem, jak James i Florence szeptała między sobą. Zrozumiałem niektóre zdania i zaskoczyło mnie, że rozmawiają o „Złotym polu”. Uznałem to za osobliwe, ale odepchnąłem od siebie tę myśl. Wybrałem się z panią Tabbers na targ w Colchesterze, żeby kupić nieco rzeczy do domu. Sprzedają tam prawdziwi Łodzianie, to nie ulega wątpliwości. Obecne ceny pościeli mogą doprowadzić człowieka do ruiny.

14 maja 1879

Za namową Jamesa Florence zaczęła malować intrygujące obrazy. Inspiruje ją książka, w której kreślę potajemne zapiski.

Jedno z jej płócien w niewyjaśniony sposób zawisło nad kominkiem w holu. Prawie się przewróciłem, kiedy ujrzałem je na miejscu sielankowej sceny polowania, która wisiała tam od czasów naszego ojca.

- Co tu się stało, do diabła?! – wykrzyknąłem, zapominając się na chwilę.

Florence, która, okazało się, widziała, jak wracam do domu z krótkiej przechadzki po wyspie, wybuchła zaiste obłąkanym śmiechem.

- Nigdy nie sądziłam, że usłyszę z twoich ust takie słowa, szwagrze. Podoba ci się? - spytała, stojąc na szczycie schodów.

Poczułem, że się czerwienię, i mogłem tylko dalej wpatrywać się w obraz. Przedstawiał ją - to było jasne - ale na tle sceny, którą rozpoznałem z kart „Złotego pola”. Stała przed dużym domem, prawie całym zbudowanym ze szkła, na skraju urwiska. Słońce mocno świeciło, jak to w Kalifornii, gdzie klimat bardziej przypomina Indie. Strój, który miała na sobie, niemal całkowicie odsłaniał jej figurę. Taki widok powinien być przeznaczony tylko dla oczu jej pokojówki. Byłem oszłamiony.

- Ani mi się podoba, ani nie podoba - odrzekłem, żeby nie okazać się gburem.

Podejrzywałem, że ten obraz wiele dla niej znaczył, i chciałem sprawić jej przyjemność.

Simeon przeczytał te słowa i z namysłem zamknął dziennik. Zszedł na dół i wbił wzrok w obraz. Kalifornijskie słońce rzeczywiście odbijało się od szklanych ścian, dzięki czemu wymyślony dom świecił jak latarnia. Simeon przez chwilę stał w miejscu, tracąc poczucie czasu. Ten krajobraz jakimś cudem wydawał mu się bardziej rzeczywisty niż widok za oknem. Miał wrażenie, że mógłby wejść do wnętrza obrazu, stanąć na urwisku i poszukać zaginionej kobiety.

Kiedy otrząsnął się z zadumy, wrócił do biblioteki i ponownie otworzył dziennik. Przeczytał kilka banalnych wpisów, aż w końcu natrafił na coś bardziej interesującego.

17 maja 1879

Tej nocy nie mogłem już tego dłużej znieść. Siedziałem, czekając, jakie nowe kłopoty sprowadzi na nas James. Pozostałem w swoim pokoju do północy, przy

zgaszonych świecach, aby sądził, że zasnąłem. Potem usłyszałem, jak podchodzi do moich drzwi i przystaje na chwilę. Wstrzymałem oddech. W końcu podłoga zaskrzygotała i brat wyszedł z domu.

Najpierw zakradłem się do jego sypialni, by upewnić się, że Florence mocno śpi. Tak było. Po kilku minutach sam pośpiesznie opuściłem dom. James niósł lampę, więc mogłem bez trudu za nim podążać.

Szliśmy groblą aż do kamienistej plaży. Brat zszedł na nią i czekał. Ukryłem się za drzewem, żeby go obserwować. Przy brzegu stał zakotwiczony okręt, a kiedy tak patrzyłem na Jamesa, nadeszło siedmiu mężczyzn. Przemknęli tuż obok mnie i...

Nagle zapadła całkowita ciemność. Simeon już nie widział książki ani nawet swojej dłoni. Lampy gazowe na ścianach zgasty.

W podręcznikach medycznych czytał kiedyś o niezwyklej naturalnej zdolności człowieka: gdy jeden ze zmysłów zostaje odcięty, inne mogą go zastąpić. Rzeczywiście, kiedy przestał cokolwiek widzieć, wyostrzył mu się słuch. Słyszał bicie swojego serca – szybsze niż zwykle i mocniejsze, dzięki czemu więcej krwi trafiało do jego mięśni, umożliwiając mu walkę bądź ucieczkę.

Ale słyszał nie tylko swoje serce.

– Co się dzieje, Simeonie? – spytała spokojnie Florence pośród ciemności.

– Odcięto dopływ gazu, to wszystko.

Oczywiście to nie wszystko, pomyślał. Jeśli doszło do wycieku, groziło im zatrucie bądź wybuch, który mógł wysadzić cały dom. Wstał i po omacku ruszył do drzwi, ale potknął się o coś drewnianego, upadł i uderzył głową o stół. Przykucnąwszy, zmagął się z bolesnym pulsowaniem w czaszce i czekał, aż ono ustąpi. Nagle rozległ się nowy odgłos: drzwi biblioteki się otworzyły. Simeon usłyszał kroki. Ktoś się zbliżał.

– Cain?! – zawołał. – Pani Tabbers?

Ktokolwiek znalazł się w pokoju, zamiast odpowiedzieć, gwałtownie otworzył osłony na lampie i zaświecił Simeonowi w twarz, tak że go oślepiło.

– Nie ma gazu? – spytał Simeon, ale nie było żadnej odpowiedzi. Snop światła omiół wnętrze i zatrzymał się na pulpicie. Simeon osłonił oczy, poirytowany milczeniem przybysza. – Pytałem, czy nie ma gazu.

Nagle lampa zgasła i pokój znów pograżył się w ciemności. Osoba trzymająca lampę zaczęła chodzić po bibliotece. Simeon niepewnie wstał.

– Cain, odezwiysz się?

Usłyszał tylko szelest, którego źródło wciąż się przemieszczało. Potem struga światła znów padła na niego, i to z odległości kilku cali, aż zatoczył się do tyłu, boleśnie oślepiony. Próbował pochwycić osobę z lampą, pewien, że nie jest mu przychylna, ale jego ręka natrafiła na pustkę. Intruz pośpiesznie wybiegł z biblioteki, w stronę schodów.

– Znajdę cię! – zawołał Simeon i niezdarnie ruszył za nim.

Zobaczył kolejny błysk, gdy ścigany człowiek znalazł frontowe drzwi i wypadł na zewnątrz. Znów wszystko pograżyło się w całkowitym mroku. Ktokolwiek to był, najwyraźniej wyłączył dopływ gazu, a Simeon nie miał pojęcia, gdzie znajduje się główny zawór. Mógł jedynie po omacku zejść po schodach do holu, gdzie na stole stała lampa oliwna. Namacał ją w ciemności, zapalił i wybiegł przed dom.

Zobaczył tylko opuszczoną surową groblę i mewy krążące w górze. Obszedł cały dom i zajrzał do stajni, ale niczego tam nie odkrył.

Po powrocie do holu rozpoczął poszukiwania. Kiedy w końcu znalazł kurek od lamp gazowych, odkręcił go i zapalił światła.

– Kto to był, Simeonie? – spytała Florence, gdy tylko wrócił do biblioteki.

– Nie widziałem.

Rozmasował sobie czubek głowy. Wiedział, że wkrótce wyrośnie mu tam guz wielkości ziemniaka.

– Wiesz, czego chciał?

Podszedł do sofy. Miał swoje podejrzenia, a zniknięcie dziennika Olivera Hawesa je potwierdziło.

– Owszem, nie wiem tylko, w jakim celu. Jeszcze nie. – Usiadł na sofie. – Macie tutaj dziwną społeczność. Złodzieje, którzy kradną książki. Mężczyźni, którzy zamykają kobiety za szkłem. Proboszczowie, którzy umierają bez powodu. Nie ma co, ciekawe życie.

– Ray, Mersea... różnimy się od was.

– Też zaczynam dochodzić do takiego wniosku. – Wstał, skrzywił się z bólu, który obejmował mu całą czaszkę, i ruszył do drzwi.

- Dokąd teraz idziesz?
- Teraz? Do łóżka.
- Pozwolisz, żeby ten szalenciec biegał na wolności?
- Po pierwsze, nie wiemy, czy to mężczyzna, a po drugie, owszem.

Ale nagle zauważył coś na podłodze. W bałaganie, który zostawił po wcześniejszych poszukiwaniach, prawie nie było widać arkusza papieru listowego leżącego pod pulpitem. Podniósł go.

Na niebieskiej kartce opatrzonej pieczęcią Policji Metropolitalnej z Bow Street w Londynie napisano list do Olivera Hawesa. Musiał wypaść spomiędzy stron dziennika proboszcza, gdy książkę skradziono.

14 grudnia 1879

Szanowny Doktorze Hawes!

Minęło już sześć miesięcy, odkąd przekazałem Pańską bratową pod opiekę pana Watkinsa i Pańską. Jako że nie dysponuję adresem zamieszkania pana Watkinsa, byłbym wdzięczny, gdyby mógł Pan przekazać mu tę korespondencję. Dla formalności, chciałbym poznać aktualną sytuację dotyczącą tej kobiety. Czy odbył się jej proces karny, czy może, jak Pan wtedy sugerował, została umieszczona w szpitalu psychiatrycznym? I co z jej towarzyszką, Annie White?

Dziękuję za poświęcony czas.

sędzia pokoju sir Nigel Gant

Komandor Orderu Imperium Brytyjskiego

Annie White? To mu coś mówiło. Cain wspomniał, że zmarły John miał siostrę, Annie, która jakiś czas temu opuściła Merseę. O co w tym wszystkim chodzi, na miłość boską? Odwrócił się do Florence.

– Nigel Gant. Sędzia pokoju – powiedział.

Jej usta zadrżały, ale szybko odzyskała panowanie nad sobą.

– Nie znam tego nazwiska.

Simeon ją obserwował. Miał wrażenie, że patrzy na objawy chorobowe u pacjenta: rumieńce na twarzy i niekontrolowane ruchy.

– Nie wierzę ci.

Nie odezwała się już słowem.

Tej nocy obudził go zły sen. Kiedy wyciągnął zwłoki Johna White'a z błota, trup otworzył oczy i z jego ust wydobyły się odgłosy, które zmieniły się w słowa. Oskarżenia. Wyznania. Potępienia. Simeon nie wiedział, kogo oskarża i potępia nieboszczyk, ponieważ ten mówił językiem wieży Babel: wszystkimi językami naraz i żadnym konkretnie. Tylko jedno słowo, które co jakiś czas przebijało się przez ten zbiór dźwięków, miało jakikolwiek sens. „Florence”.

Simeon odrzucił pościel i wstał z łóżka. Musiał wrócić do biblioteki.

Podreptał na bosaka do dawnego azylu proboszcza. Podobnie jak podczas jego ostatniej nocnej wizyty, z oszklonej celi biło światło, a kobieta siedziała odwrócona plecami. Ale tym razem odezwała się, zanim on zdążył to zrobić.

– Dobry wieczór, Simeonie.

– Dobry wieczór, Florence.

– Oboje nie możemy zasnąć. – Obróciła się w jego stronę.

– Znów rysujesz – rzekł, widząc kartkę i ołówki na stole. Florence przechyliła głowę na bok. – Co narysowałaś?

– Kolejny dom w innym czasie.

Dziwny szklany pałac ze *Złotego pola* przycupnął nad oceanem.

– Dlaczego stale rysujesz to miejsce?

– Dlaczego masz koszmary?

Milczał przez chwilę.

– Skąd wiesz, że je mam? – spytał w końcu.

– A po co miałbyś wstawać w środku nocy? Żeby spotkać się ze mną na osobności? Kiedy nikt inny nie będzie mógł nam przeszkodzić?

– Coś sugerujesz, Florence?

– A co powinnam zasugerować, Simeonie?



Rozdział 9

Po śniadaniu Simeon napisał do ojca. Zaproponował mu, że zorganizuje pogrzeb wuja i zajmie się likwidacją jego majątku. Watkins, któremu Cain przekazał smutne wieści, przyszedł porozmawiać o wszystkim.

– Jedną ze spraw, które należy rozważyć, jest dalszy los pańskiej córki – rzekł Simeon.

– Nie wolno panu jej wypuścić! – odparł z naciskiem Watkins. – Jeszcze nie. Dopóki nie będą załatwione kwestie prawne.

– Kwestie prawne...

– Właśnie tak. Jeśli Allardyce dowie się, że wyszła na wolność, nasze porozumienie zostanie zerwane i Florence trafi do domu wariatów.

Simeon obiecał proboszczowi, że do tego nie dopuści, ale miał nieśmiałą nadzieję, że Watkins unieważni tę obietnicę. No cóż, kobieta spędziła za szybą już dwa lata, a teraz było tylko kwestią kilku tygodni, by jej sytuacja uległa zmianie. Nie był zachwycony, ale mógł poczekać.

– Jeśli pan nalega. Musimy także porozmawiać, co z Johnem White'em – dodał.

– Niewątpliwie.

Przeszli do stajni, gdzie nieboszczyk leżał na dwóch skrzyniach, czekając na przybycie grabarza. Simeon rano dokładnie zbadał ciało,

a następnie kazał je umyć i owinąć prześcieradłem, ale trup już zaczynał cuchnąć.

– Jest w tym wszystkim coś dziwnego – oznajmił.

– Co pan ma na myśli?

– Po pierwsze, John był miejscowym chłopakiem. Wydaje się mało prawdopodobne, by zabłądził i utonął w błocie.

– Och, to się zdarza – odrzekł Watkins z przekonaniem. – To się zdarza.

– Nie wątpię i dlatego uznaję to zdarzenie za tragiczny wypadek, ale jest coś jeszcze. Proszę zobaczyć. – Odchylił prześcieradło i wskazał na tułów nieboszczyka. Watkins wyraźnie był wstrząśnięty widokiem rozerwanego ciała. – Chciałbym, żeby pan dokładnie przyjrzał się tej ranie.

– Mój Boże, czy to konieczne?

– Obawiam się, że tak. – Simeon wyjął z kieszeni pióro, rozchylił krawędzie dziury na brzuchu White'a i wskazał coś w jej wnętrzu. Watkins, który wyglądał, jakby miał zwymiotować, zajrzał do środka. – Jego żebra. Proszę na nie popatrzeć. Co pan widzi?

– No... żebra, co jeszcze?

– Ale w jakim są stanie?

– Skąd niby mam to wiedzieć?

– Niech pan spojrzy tutaj i tutaj. – Na dolnych krawędziach dwóch kości znajdował się szereg niewielkich nacięć, które Simeon wskazał czubkiem pióra. Końcówki trzeciego żebra w ogóle nie było. Zgubiła się gdzieś wewnątrz ciała albo w błocie. – Te nacięcia.

– To pewnie przez kamienie w błocie.

– Niemożliwe. Gdyby upadł na kamień, zapewne połamałby żebra, ale nie byłoby na nich takich śladów. Wykonano jej nożem. Oстрыm ostrzem, którym zadano co najmniej trzy albo cztery pchnięcia.

Sędzia pokoju popatrzył na niego oszołomiony.

– Jest pan pewien?

– Pracuję w Londynie. Każdego tygodnia mam do czynienia jako lekarz z ranami od noża. Panie sędzio, czy John White był zamieszany w szmugiel?

Watkins cofnął się i ciężko usiadł na krawędzi koryta.

A więc wszystko się potwierdziło. Nie tylko zięć Watkina parał się kontrabandą, ale także nieboszczyk w stajni. Coś ich łączyło.

– Tak sądzę – wymamrotał Watkins po długim milczeniu. – Wszyscy tutaj się tym zajmują.

– Dziękuję panu za poświęcony czas.

Simeon pożegnał gościa i poszedł do kuchni, gdzie pani Tabbers i Cain posilali się owczym serem. Na okolicznych moczarach hodowano owce i kozy; nie było tutaj dobrych warunków dla krów.

– Muszę was o coś zapytać – odezwał się, a Cain zeszywniał, jakby spodziewał się trudnego pytania. – W tych okolicach działają szmuglerzy.

– Naprawdę? – burknął służący.

– Gdzie i kiedy pracują?

– Nie mamy z tym nic wspólnego, doktorze – odparła nerwowo pani Tabbers.

– Nie wątpię. Ale mimo wszystko muszę się tego dowiedzieć.

– Więc niech pan znajdzie kogoś, kto to wie – mruknął Cain.

Simeon poczuł wzbierającą irytację.

– Proszę nie marnować mojego czasu. – W powietrzu zawisła ciężka cisza. – John White był w to zamieszany, prawda?

Pani Tabbers zajęła się sprzątnięciem ze stołu. Cain poruszył szczęką z boku na bok.

– Powiedzmy, że to prawda. Co z tego?

– On nie żyje.

– Utopił się. Zdarza się na bagnach.

– Na pewno nie ludziom, którzy urodzili się w tych stronach. Czy panu by to groziło? Nie sądzę.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi. – Cain spojrzał wyzywająco na Simeona.

– Chyba jednak pan rozumie, ale i tak wyjaśnię. White został pchnięty nożem. To go zabiło. Nie błoto ani woda. Nóż. – Wszyscy troje popatrzyli na nóż w dłoni Caina, którym ten wcześniej kroił ser. – Nie mam czasu na absurdalne twierdzenia, że jego śmierć była wypadkiem. Ten człowiek został zabity i zajmował się przemytem. A więc gdzie mogę znaleźć szmuglerów?

– No dobrze. – Cain stęknął. – Nie zdradzę żadnych nazwisk. Ale być może coś będzie się działo dziś wieczorem.

– Kiedy dokładnie?

Służący znów stęknął.

– Po północy, przed przypływem. Po czwartym dzwonku. – Podniósł wzrok. – To o drugiej w nocy.

– Na Kamieniach?

– A gdzież by indziej?

O drugiej w nocy. Simeon kładł się jeszcze później, gdy pracował na nocną zmianę w szpitalu.

Zostawił ich i udał się do biblioteki. Kiedy tam wszedł, uwięziona kobieta patrzyła na rząd okien, których nie mogła dosięgnąć. Simeon zastanawiał się, jakie myśli krążą jej w głowie. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko pozwalać im swobodnie błędzić.

Na jej stoliku leżało coś nowego, co zapewne przyniosła z pokoju. Był to mały idealny model Domu Klepsydry, ale wykonany w całości ze szkła, tak jak dom w książce i na obrazie. Podobnie jak tutaj, pokoje na piętrze miały różnokolorowe drzwi: zielone, niebieskie, czerwone. A za wszystkimi stały figurki ludzi, wielkości figur szachowych. Cierpliwie czekały na rozpoczęcie partii, na rozegranie gambitu i usidlenie króla.

– Masz kogoś w Londynie, Simeonie? – spytała ni stąd, ni zowąd.

– Kogoś?

Zrozumiał, o co jej chodzi, ale jeszcze nie chciał tego przyznawać. Na razie pozwoli jej się trochę pobawić.

– Och, wiesz, co mam na myśli – rzuciła.

Przybrała wyraz twarzy, jakiego jeszcze u niej nie widział. Nieśmiała mina, jak u szesnastolatki na pierwszym balu. Podeszła do szyby, otworzyła szeroko usta i chuchnęła na zimne szkło. Potem polizała palec i narysowała na zaparowanej powierzchni niezgrabne serce. Rozpłynęło się po kilku sekundach.

Postanowił być wobec niej szczerzy. Ale nie chciał zbyt się otwierać, by nie przeniknęła do jego wnętrza.

– Nie – odparł.

– A kiedyś miałeś?

– Tak.

– Opowiedz mi o tym.

– Wolę nie.

– Wstydzisz się?

– Nie, ale nie musisz o tym wiedzieć. Nie będzie z tego żadnego pożytku.

Uśmiechnęła się kpiąco.

– Więc wypytujesz mnie o moją przeszłość, ale twoja pozostaje tajemnicą.

– Przyszedłem, żeby powiedzieć ci, że dziś w nocy będę obserwował plażę. Cain mówił, że przyplynie kontrabanda.

– Och, twoje myśli wciąż zaprzęta John White i jego rola w tej historii.

– Owszem.

– A zatem powodzenia, mój dzielny bohaterze. – Dotknęła palcami serca na szybie i znów zaczęła śpiewać hymn: – *Wspomóż słabych, rozprosz mroki grzechu.*

Simeon nagle zrozumiał, dlaczego ciągle go śpiewa. Słyszał tę melodię, niesioną wiatrem z dzwonnicy kościoła na Mersei. To był żalobny hymn, pieśń o rezygnacji.

– Florence, mój wuj Oliver nie żyje. I chociaż nie mogłaś go zabić, i tak będą cię o to obwiniać. Mówią, że jesteś tak szalona, że trzeba cię trzymać w szklanej klatce. W najlepszym wypadku odeślą cię do szpitala psychiatrycznego, a w najgorszym powieszą. Nie rozumiesz tego?

– Rozumiem.

– A mimo to nie chcesz mi pomóc dotrzeć do prawdy. Na Boga, dlaczego?

Zamyśliła się na chwilę.

– Ponieważ tak zdecydowałam, Simeonie – odrzekła w końcu. – To moje życie.

– Więc je stracisz! W Bedlam albo na drzewie w Tyburn, tak czy inaczej, stracisz je!

– Trudno.

Simeon był pewien, że nikt w Domu Klepsydry nie wiedział tyle co ona o tym, co się wydarzyło. Zastanawiał się, w jaki sposób rozwiązać jej język. Nie podziałały prośby ani groźby dotyczące jej przyszłości. Ale mógł się z nią targować, zawrzeć układ. Potrzebował czegoś, co mógłby jej zaproponować w zamian. Ale co by to miało być?



Rozdział 10

Nieco po północy Simeon włożył granatowe spodnie i zapiął czarny płaszcz pod samą szyję. Wolał nie ryzykować i nie wziął latarni. Tej nocy musiał pozostać niewidoczny, a skoro padało i nie zanosiło się na poprawę pogody, miał na to całkiem duże szanse.

Wyszedł z jedyne go domu na wyspie Ray i dotarł do grobli. Poziom wody się podnosił, grożąc zalaniem wąskiego przejścia, które stanowiło jedyną drogę łączącą wyspę z lądem. Simeon przebywał na Ray już od tygodnia, ale za krótko, by zrozumiał tajniki przyływów, które regularnie odcinały wyspę.

Szedł po podmokłym gruncie, kilka razy zapadając się po kolana, gdy nie trafił nogą w twarde podłoże. Potrzebował godziny, by przejść odległość, jaką za dnia pokonałby w kwadrans. Ale w końcu dotarł na Merseę i minął potężną sylwetkę kościoła.

Przez cały czas próbował rozgryźć, co zaszło poprzedniego dnia i jaką rolę w tych wydarzeniach odegrała Florence. Wracał też myślami do noweli *Złote pole*. Dlaczego James i jego żona mieli na jej punkcie obsesję? Dlaczego Florence malowała obrazy i budowała modele amerykańskiego szklanego odpowiednika Domu Klepsydry?

Deszcz chłostał wyspę i przesiąkał mu przez ubranie. Simeon już nie próbował ocierać wody z twarzy, tylko pozwalał jej swobodnie spływać. Pogoda była uciążliwa, ale ledwie to zauważał, skupiając się na znacznie większym zagrożeniu.

Przestępcy bywają ulepiani z różnej gliny i nie miał pojęcia, czy ci ludzie okażą się łagodni, czy brutalni. Ale pamiętał, że w stajni leży trup Johna White'a, więc postanowił zachować ostrożność. Możliwe, że ta sama osoba, która sprzątnęła White'a, włamała się do domu, zgasiła lampy gazowe i ukradła dziennik proboszcza. A jeśli tak, to złoczyńca był zdesperowany i gotów dopuścić się morderstwa.

Simeon dotarł na kamienistą plażę. Podczas odpływu można było oddalić się od brzegu o dobre pół mili, po piasku i błocie, ale teraz o brzeg rozbijały się wysokie fale. Był to surowy, ponury krajobraz, a dwa drewniane falochrony, sięgające w głąb morza, stanowiły jedyną osłonę przed wiatrem. Simeon przykucnął za jednym z nich i objął się rękami, żeby było mu trochę cieplej. Miał nadzieję, że nie spędzi tu na próżno całej nocy.

Po godzinie stracił czucie w stopach. Mimo wszystko pozostał na miejscu, zdeterminowany, by siedzieć tu choćby do rana. Po kolejnej godzinie musiał się otrząsnąć, żeby podtrzymać krążenie krwi.

Ale w końcu, nieco przed trzecią, dostrzegł na horyzoncie jakieś kształty: czarne plamy, które szybko się zbliżały. Usłyszał też odległe parskanie koni, choć nie towarzyszył temu tętent kopyt, które zapewne owinięto szmatami. Skulił się za gnijącym drewnem falochronu, mając nadzieję, że wierzchowce i jeźdźcy pozostaną po drugiej stronie.

Kilka sekund później pojawili się na brzegu. Pięciu mężczyzn zeskoczyło z siodeł. Jeden przenikliwie gwizdnął, a wtedy z plaży po tej stronie falochronu, gdzie ukrywał się Simeon, dobiegł odgłos cwału. Simeon przywarł do kamienistego gruntu i zobaczył sześć obładowanych pakunkami kuców oraz mężczyznę, który je prowadził. Dalej kolejne dwa kuce ciągnęły wóz.

Przecinany deszczem blask księżyca nie wystarczył, by dostrzec twarze mężczyzn, ale wydawało się, że jeden jest ich przywódcą. To on odezwał się pierwszy.

– W porządku, chłopcy. Do roboty.

Jego głos był znajomy, chociaż Simeon nie potrafił go przypisać nikomu konkretnemu. Mężczyźni zaczęli zdejmować z grzbietów zwierząt

pakunki i układać je na plaży. Jeden zapalił pochodnię, owiniętą szmatą nasączoną olejem, i podniósł ją wysoko nad głowę. Simeon podejrzewał, że po towar przyplynie łódź. Wkrótce okazało się, że miał rację.

Duży bączek wyłonił się z ciemności i zbliżył do brzegu. Żaden z mężczyzn nie zareagował na jego przybycie. Kuce stały na ścieżce, mniej więcej dwadzieścia jardów za szmuglerami, którzy patrzyli na morze. Simeon podejrzewał, że łódź będzie potrzebowała około minuty, by przybić do plaży, i jego ciekawość wzrosła. Bardzo ostrożnie wstał i zaczął skradać się po kamieniach. Mężczyźni wciąż byli odwróceny do niego plecami, więc skorzystał z okazji, by otworzyć jeden z pakunków na grzbiecie kuca. Wełna. Zapewne wysyłają ją do Francji albo Holandii, bez opłacania cła. A w zamian przywożą alkohol i tytoń.

Wrócił do swojej kryjówki i dalej obserwował przywódcę, który stał plecami do pochodni. Simeon musiał się dowiedzieć, kim jest ten człowiek, bo mógł być kluczem do brutalnej śmierci Johna White'a. W końcu przywódca obrócił się i płomień oświetlił jego twarz. Simeon z zaskoczeniem stwierdził, że go zna – był to Morty, przewoźnik, z którym rozmawiał w tawernie Peldon Rose zaraz po przybyciu na wyspę. Jego twarz była oblana czerwienią niczym oblicze samego diabła.

A więc to ten człowiek dowodził bandą, w której skład wchodził John White i James Hawes. Czyli musiał wiedzieć coś o ich śmierci. Było to zaskakujące, ale zarazem Simeon poczuł niejaką ulgę. Chociaż Morty był gburem – a on wolał zachować ostrożność – nie wyglądał na człowieka, który ma przy sobie nóż i jest zdolny pogrzebać kogoś w błocie.

Simeon obserwował, jak Morty kieruje rozładunkiem i załadunkiem – wszystko odbyło się szybko i w niemal całkowitej ciszy. Potem łódź odbiła od brzegu, a banda przygotowała wierzchowce.

– Do zobaczenia w tawernie! – ryknął Morty.

Sam poprowadził powolne kuce ścieżką, a inni pośpiesznie się rozeszli. Simeon dostrzegł swoją szansę i podążył za przywódcą. Kilkaset kroków dalej przewoźnik zostawił kuce, podszedł do brzegu, rozpiął spodnie i zaczął się wypróżniać.

Simeon skorzystał z okazji i dyskretnie zbliżył się do zwierząt, by zajrzeć do pakunków. Tak jak podejrzewał, były pełne butelek alkoholu. Wyjął jedną i odkorkował: brandy. Ogarnęło go poczucie winy, gdy rozmyślnie upuścił butelkę na kamienie, tak że roztrzaskała się na kawałki.

Morty obrócił się gwałtownie z palcami na guzikach spodni.

– Co? – rzucił.
– Jesteś uzbrojony? – spytał Simeon.
– Nie. – Mężczyzna wydawał się kompletnie oszołomiony.
– Nie powinieneś mi tego mówić. – Simeon wyjął kolejną butelkę i cisnął ją na kamienie tak, że pękła na pół.
– Przestań!
Przewoźnik ruszył w stronę Simeona, ale się zawahał. Był sam, miał po sześćdziesiątce i nie grzeszył wielką posturą.
– Nie przejmuj się, Morty – uspokoił go Simeon. – Nie jestem policjantem ani poborcą podatkowym.
– No to kim, do diabła?
Słaby blask księżyca z trudem przebijał się przez mżawkę, więc twarz Simeona była słabo widoczna.
– Poznaliśmy się w zeszłym tygodniu. Jestem lekarzem, który przyjechał do proboszcza.
– Lekarzem?
Simeon podszedł do niego, na tyle blisko, by widzieli nawzajem swoje twarze, ale na wszelki wypadek trzymał się na odległość wyciągniętej ręki.
– Nie interesuje mnie niezapłacone cło. Nie obchodzi mnie, co jest w tych pakunkach.
– Więc czego chcesz?
– Coś znalazłem. Zagrzebane w błocie na Ray.
– To znaczy?
– Znalazłem ciało Johna White’a.
Zachowanie Morty’ego nagle się zmieniło. Pochylił głowę.
– Jak wyglądał? – zapytał cicho.
Nie było sensu kłamać.
– Niezbyt dobrze.
– No cóż, błoto tak działa na człowieka.
Simeon musiał teraz zagrać jedyną mocną kartą, jaką posiadał.
– To nie błoto go zabiło.
– To nie...?
– Nie utonął w błocie ani w kanale. Został zasztyletowany.
Zapadła cisza, w której słychać było tylko wiatr, deszcz i szum fal.
– Skąd wiesz? – Głos Morty’ego zmienił się w pomruk.
– Widziałem rany. Ktoś chciał zabić Johna i bardzo się o to postarał.
– Kto?

– Nie wiem. Ale chcę się dowiedzieć. Jeśli mi pomożesz, możemy znaleźć sprawcę. Masz jakieś pomysły?

– Pomysły? Owszem, mam pewien – odburknął Morty i podszedł bliżej, tak że Simeon zobaczył grymas na jego twarzy.

– A więc?

– Mam ci powiedzieć? – prychnął pogardliwie.

– Chyba że wolisz powiedzieć panu Watkinsowi.

Morty przez chwilę się zastanawiał. A potem, przeciągając sylaby, odparł:

– James Hawes.

To oskarżenie nie zaskoczyło Simeona. Spodziewał się, że ludzie na wyspie mieli ze sobą na pieńku.

– Dlaczego tak uważasz?

Morty stęknął.

– Kilka dni przed zaginięciem John powiedział, że James pochodzi z rodziny zdrajców.

– Zdrajców? Sprzedał was?

– Nie wiem, o co dokładnie mu chodziło, ale od tamtej pory miałem Jamesa Hawesa na oku.

– No i co?

Morty wzruszył ramionami.

– Nie widziałem niczego podejrzanego – odparł. To może po prostu oznaczać, że był nie tylko niegodny zaufania, ale także przebiegły, pomyślał Simeon. – Potem John zniknął. Więc powiedziałem Jamesowi, że już nie jest mile widziany w tej branży. Kazałem mu się trzymać z daleka.

To zapewne nie spodobało się Jamesowi.

– Co dokładnie powiedział John? – spytał Simeon.

Morty się zawahał, ale w końcu najwyraźniej doszedł do wniosku, że prawda przyniesie mu tylko korzyść.

– Byliśmy w tawernie. Chowaliśmy w magazynie nową dostawę. Powiedziałem Johnowi, że James przyjdzie nam pomóc, a on zaklął i splunął na ziemię. Spytałem, o co mu chodzi, a on na to, że nie potrzeba nam takich ludzi jak Hawes. Nie chciał zdradzić nic więcej, chociaż go naciskałem, ale jego słowa mnie zmroziły. Pomyślałem sobie to samo co ty, doktorze. Że James donosił panu Watkinsowi. Albo robił coś jeszcze gorszego. A może myślał, żeby nas zastrzelić i przejąć interes. James miał głowę na karku, a ja nie ufam mądralom. Po prostu nie ufam.

Miał głowę na karku. A może także skłonności do agresji? Ale czy James Hawes naprawdę zdradził wspólników i zamordował Johna White'a? To podejrzenie opierało się wyłącznie na przytoczonych przez Morty'ego słowach nieboszczyka. I nawet jeśli było zgodne z prawdą, to dlaczego po śmierci i White'a, i Jamesa umarł proboszcz?



Rozdział 11

Następnego dnia przyjechał przedsiębiorca pogrzebowy. Z szacunkiem umieścił ciała Johna White'a i Olivera Hawesa w trumnach i przeniesiono je do karawanu. Simeon im towarzyszył.

– Drobną zmianą planów – rzekł, kiedy ruszyli. Mężczyzna popatrzył na niego obojętnym wzrokiem. – Czy mógłby pan jechać do szpitala w Colchesterze?

Przedsiębiorca pogrzebowy zaprotestował, ale w końcu zgodził się na zmianę celu podróży i kilka godzin później oba ciała spoczęły na porcelanowych płytach, okolonych płytkami rynienkami do odprowadzania krwi i innych nieczystych płynów, które wydobywają się ze zwłok podczas sekcji.

Simeon ujął skalpel w dłoń. Za nim stał jeden z brodatych starszych lekarzy, niejaki pan Bristol, który miał nadzorować pośmiertne badanie. Simeon nie sprzeciwiał się jego obecności, a wręcz cieszył się, że będą mogli porównać spostrzeżenia.

Zaczął od kuzyna ojca. Ostrze bez trudu wbiło się w zwłoki. Simeona zawsze szokowało, jak delikatne potrafi być ludzkie ciało, gdy posłużyć się właściwym narzędziem. Cienka jak włos krawędź skalpela przenikała przez naskórek i skórę właściwą jak przez masło.

Dla Simeona śmierć była częścią życia, równie fascynującą, jak poprzedzający ją etap. Kroił, naciągał i unosił, ale dokładne badanie narządów wewnętrznych proboszcza Hawesa nie wykazało żadnych nieprawidłowości. Żadnego skrętu kiszek, plam na nerkach ani niczego innego, co mogłoby tłumaczyć takie objawy, a tym bardziej zgon mężczyzny w wieku czterdziestu kilku lat. Zauważył wypukłą bliznę na ramieniu, ale była zbyt stara, by mogła mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Simeon zwrócił uwagę na zawartość żołądka. Hawes upierał się, że ktoś regularnie go truje, ale choć lekarz nie był w stanie zrobić testów na obecność wszystkich możliwych substancji, część z nich mógł wykluczyć. Pobrał próbkę częściowo przetrawionych warzyw i jakiegoś gęstego płynu, rozpuścił je w zlewce z kwasem solnym, włożył do cuchnącego roztworu pasek miedzi i czekał.

– Co ma wykazać to badanie? – spytał Bristol.

– Srebrzysty osad na pasku oznacza obecność rtęci; ciemny sugeruje arsenik albo antymon, chociaż to byłaby niezwykle egzotyczna toksyna na wsi w Essex. – Simeon wyjął pasek i uniósł go do światła. – Ale w tym wypadku jest on całkowicie czysty.

– Czy to wynik, jakiego pan oczekiwał?

– Nie miałem żadnych oczekiwań.

Wyjął z torby zapieczętowany słoiczek z czerwono-brązowym płynem.

– Oto brandy, którą zabrałem z gabinetu pacjenta – wyjaśnił. – Nie sądzę, żeby znajdowało się w niej coś niepożądanego, ale warto to sprawdzić. – Uzyskał taki sam negatywny wynik.

– Istnieje też wiele innych toksyn – zauważył Bristol.

– Oczywiście. Ale pacjent nie miał rozszerzonych źrenic jak po zażyciu atropiny. Gdyby w grę wchodził cyjanek, śmierć nastąpiłaby w ciągu sekund, a nie dni. Nie zaobserwowałem drgawek typowych dla strychniny. Może jakaś substancja pochodzenia roślinnego? – zastanawiał się głośno. – To możliwe, ale ten, kto by mu ją podał, musiałby straszliwie się namęczyć, podczas gdy mógłby po prostu kupić arsenik w aptece, tłumacząc, że ma problem ze szczurami. Niemniej zgadzam się, że powinniśmy działać skrupulatnie.

Dlatego przez kolejne godziny szukali śladów obecności rozmaitych toksycznych związków, niczego jednak nie znaleźli. Zmęczeni, uznali, że jeśli nawet w ciele mężczyzny była jakaś trucizna, to nie dało się jej wykryć.

– Przyjrzyjmy się drugim zwłokom – zaproponował Simeon.

Przenieśli uwagę na Johna White'a. Simeon w ten sam sposób rozciął ciało. Odchylił skórę i mięśnie, odsłaniając żebra, które za sprawą długiego przebywania zwłok pod ziemią przybrały brudnożółty kolor. Obejrzał uszkodzenia kości przez szkło powiększające.

– Widzi pan te ukośne nacięcia na dolnych trzech *costae*.

– Owszem – potwierdził Bristol.

– Widzi pan, że są głębsze na dole i coraz płytsze ku górze. Pchnięcie wykonano w górę. Ktokolwiek trzymał ostrze, stał za plecami tego mężczyzny.

– Tchórz.

– Zgadza się. – Simeon odchylił skórę na szyi trupa. – Tak myślałem. Niech pan popatrzy, pęknięta szyja na C trzy. – Wskazał jedną z wyższych kości.

– Widzę.

– Napastnik zapewne chwycił go od tyłu, otoczył ręką jego szyję, doprowadzając do pęknięcia kości, a następnie zadał trzy albo cztery ciosy nożem w żebra. To musiało być spore ostrze. Kości wyglądają na mocne, ale ta jest ułamana na końcu. – Odchylili jeszcze większy fragment skóry, żeby przyjrzeć się płucom, które błoto uchroniło przed rozkładem. Lewe zostało przebite tym samym ostrzem. – Oto przyczyna śmierci.

– Z pewnością. Gdzie znaleziono tego mężczyznę?

– Był zanurzony w błocie. Podejrzewam, że przyływy i odpływy przemieszczają masę błotną. Gdyby nie to, mógłby nigdy nie zostać odkryty. To nie była pijacka rozróżba, która wymknęła się spod kontroli. Zabójca wiedział, co robi, i skutecznie użył właściwego narzędzia. Szukamy kogoś, kto albo planował zabicie Johna tamtej nocy, albo stale nosi przy sobie nóż i nie ma oporów przed jego używaniem.

– Paskudna branża – rzekł Bristol, gładząc brodę.

W drodze powrotnej na Ray Simeon znów pogрузił się w myślach. Florence niewątpliwie posiadała kluczowe informacje. Jak mógł ją przekonać do mówienia? Potrzebował czegoś na wymianę. W końcu obraz jej sylwetki, który pamiętał, zawsze skrytej w półmroku, podsunął mu rozwiązanie.

Kiedy tylko wszedł do domu, zerknął na jej autoportret, który wisiał nad kominkiem, po czym szybko wspiał się po schodach. Minął troje obitych skórą kolorowych drzwi, prowadzących do jego sypialni, do pokoju proboszcza i do biblioteki, i zatrzymał się przed drewnianymi, za którymi znajdowały się inne sypialnie. W jednym z wiązowych paneli krył się niewielki wąski otwór z malutką dziurką od klucza, która wskazywała, jak można je otworzyć.

– Pani Tabbers! – zawołał podekscytowanym głosem w stronę parteru.

Po chwili się pojawiła, zasapana od wchodzenia po schodach.

– Co się znowu stało?

– To muszą być drzwi na strych, prawda?

– Na strych? Tak, proszę pana.

– Chciałbym tam wejść.

– Po co? – Była nie tyle podejrzliwa, ile zaskoczona.

– Mam taki kaprys.

Westchnęła i wydobyła z kieszeni fartucha pęk kluczy. Jeden ze smukłych żelaznych pasował do zamka. Gdy otworzyła drzwi i odsunęła się na bok, Simeon pomknął w górę wąskich krętych schodów, prowadzących na poddasze.

Było tu pełno pudeł, kurzu i ptasich odchodów. W jednym kącie zbudowały gniazdo szpaki, które na jego widok podniosły hałas.

– Dobrze, już dobrze! – zawołał w ich stronę. – To nie potrwa długo.

Zaczął otwierać pudła i podnosić wieka kufrów. W środku znajdowały się niepotrzebne przedmioty codziennego użytku: popsute przybory kuchenne, zużyte tkaniny. Aż w końcu natrafił na skrzynię pełną jaskrawych kolorów. Zamknął wieko i zniósł ją do biblioteki.

– John White został zamordowany – oznajmił, ciągnąc skrzynię za sobą.

– Możliwe – rzuciła Florence.

Siedziała na szeszlunku, wyraźnie na niego czekając.

– Przez kogo? – spytał mimo jej wymijającej odpowiedzi.

Podniosła wzrok na okno.

– Szkoda, że w mojej części nie mam okna. Chodzi nie tylko o światło, ale też o powietrze. To, którym oddycham, jest skażone, przeszło przez twoje płuca, przez płuca pani Tabbers i Caina. Chciałbym oddychać świeżym, czystym powietrzem.

– Nie mogę nic na to poradzić.

– Wiem – przyznała ze smutkiem. – Ale pewnego dnia...

Sięgnęła po ołówek, który leżał obok kartki na jej stole. Przyciskając opuszkę palca do grafitu, narysowała na papierze kilka smug i z podziwem popatrzyła na swoje dzieło. Zadowolona, podeszła do kłapy na dole szyby i przepchnęła kartkę na drugą stronę.

Simeon od razu rozpoznał jej rysunek. To był kalifornijski szklany dom, którym Florence i James z jakiegoś powodu się interesowali, wzbudzając gniew proboszcza. Ale w odróżnieniu od autoportretu Florence tutaj posiadłość spowijała gęsta śnieżycą. Kreska była cienka, szara i czarna, a jednak całość wciąż wyglądała tajemniczo i Simeon miał wrażenie, że mógłby sięgnąć ręką przez tę kartkę do innego świata, w którym mieszkali żywi ludzie, a jeden z mężczyzn szukał prawdy o losie swojej matki.

Obraz się rozwiął i Simeon powrócił do rzeczywistości. Florence miała upudrowane policzki, a jej usta były bardziej rubinowe niż poprzedniego dnia.

– Myślałem o tym, co znalazłem w sekretarzyku Olivera. O fajce. – Zaskoczył go ten nietypowy przedmiot z kości słoniowej i terakoty. – Służy do palenia opium. Miałem do czynienia ze skutkami takich praktyk i nie są one przyjemne. Doktor Hawes pragnął ukryć to przed ludźmi.

– O tak. Pewnie chciałbyś się dowiedzieć, skąd ta fajka się wzięła. – Drażniła się z nim, uchylając rąbka swojej wiedzy.

– Oświecisz mnie?

– Dlaczego miałabym to zrobić?

Zaszokował go cynizm kryjący się w tym pytaniu.

– Ponieważ w zamian podaruję ci prezent.

Uniosła brwi.

– Przecież mam tutaj wszystko, czego potrzebuję. Oliver ci nie powiedział? – W jej głosie zabrzmiała nuta złośliwości.

– Jestem pewien, że chciałabyś czegoś więcej. – Podniósł wieko kufra. Żółty jak słońce jedwab odbił się w oddzielającej ich szybie. – Od co najmniej roku nosisz wciąż to samo.

Podniósł żółtą suknię, którą miała na sobie na portrecie w holu. Materiał był ciepły w dotyku. Głębiej leżała brzoskwiniowa suknia, a pod nią karmazynowa.

Florence uniosła kąciki ust.

– Chciałbyś, żebym się dla ciebie wystroiła, Simeonie? – Zerknęła na prezent i usiadła na szezlongu. – No dobrze, mój bohaterze. Zawrzemy układ. Ja otrzymam sukienki, a ty informacje. – Zamyśliła się. – Powinieneś wrócić do Londynu. Zajrzyj do Limehouse. To dom na nabrzeżu, z czerwoną latarnią. Nie znam dokładnego adresu, ale na pewno go znajdziesz.

Złożył sukienkę i wsunął ją do celi przez klapę. Florence chwyciła żółty jedwab sekundę przed tym, jak wypuścił go z ręki, tak że opuszki ich palców na chwilę się zetknęły.



Rozdział 12

Na śniadanie zjadł treściwą baraninę w cieście, którą pani Tabbers z brzękiem wydobyła z piekarnika. Upiekła ją z myślą o kolacji, ale stwierdziła, że skoro lekarz wyjeżdża do Londynu, może zjeść już teraz. Wylewnie jej podziękował.

Na koniec zebrał resztkę gęstego sosu kawałkiem chleba, po czym włożył płaszcz podróżny i wyszedł, by jechać do stolicy. Ledwie znalazł się przed domem, coś nagle wstrząsnęło całym budynkiem. Wybuch pojawił się znikąd i kilkakrotnie odbił się echem od ścian. Oszołomiony, ze ściśniętym żołądkiem, Simeon się odwrócił.

– Pani Tabbers! – zawołał. – Cain!

Cain stanął w drzwiach stodoły. Trzymał w ręce dwulufową śrutówkę.

– Co jest? – spytał.

Simeon podbiegł do niego.

– Co to było?

Na twarzy mężczyzny pojawił się szelmowski uśmiech – mignęło pięć brązowych zębów przedzielonych czarnymi lukami.

– To? Niech pan zobaczy.

Z pewnym niepokojem, nie spuszczać wzroku z broni, która wciąż mogła wypalić z jednej lufy, Simeon wszedł do stajni.

– Proszę bardzo – rzucił Cain. Wewnątrz znajdowały się dwie wąskie przegrody wyłożone słomą. Jedna, w której jeszcze niedawno leżał John White, była pusta, ale w drugiej spoczywało truchło żrebaka, bez połowy łba. – Kulawy od urodzenia. Tak będzie dla niego lepiej – wyjaśnił. – Kulawe zwierzęta są bezużyteczne.

Uśmiech, z jakim to powiedział, wyraźnie wskazywał, że Cain drażni się z miastowym doktorem.

– Ostrożnie z tą bronią – mruknął Simeon i zostawiwszy za sobą krwawą scenę, skierował się w stronę grobli.

Szybko dotarł do tawerny, wynajął tam dwukólkę i pojechał na stację kolejową w Colchesterze. Złapał ekspres do Londynu i już po południu znalazł się w sądzie pokoju przy Bow Street.

– Chciałbym się zobaczyć z sędzią pokoju, panem Gantem – zwrócił się do portiera, który segregował korespondencję, rozkładając ją na osobne stosiki.

– Pan sędzia dzisiaj nie orzeka.

– A kiedy będzie w sądzie?

Portier sprawdził w grafiku.

– W poniedziałek.

To dopiero za pięć dni, a Simeon nie był gotów tak długo czekać. Gant napisał do Olivera Hawesa w sprawie Florence oraz siostry Johna White'a, Annie, i sugerował w liście, że oddał Florence pod opiekę Hawesa po jakichś prawnych nieporozumieniach w Londynie.

– To bardzo ważna sprawa. Czy mógłby mi pan podać jego domowy adres?

– Jego adres! Na Boga, myśli pan, że rozdajemy ludziom adresy sędziów pokoju, żeby wszystkie zdesperowane potwory, które stają przed sądem, mogły ich niepokoić w środku nocy? Nie, proszę pana, nie mogę podać panu tego adresu, tak jak nie mogę wręczyć panu kluczy do Banku Anglii.

Ta odpowiedź nie zaskoczyła Simeona. Nazwisko Ganta z pewnością widniało w *Kto jest kim?*, wraz z adresem klubu, do którego Simeon mógł napisać, ale zapewne czekałby na odpowiedź dłużej niż do poniedziałku. Zauważył na ścianie tablicę informacyjną. Wskazywała drogę do

rozmaitych sal sądowych oraz gabinetów i to podsunęło mu inne rozwiązanie.

Kiedy portier ponownie skupił się na korespondencji, Simeon ukradkiem podążył, według informacji na tablicy, w stronę schodów prowadzących w dół, w głąb budynku.

Lata doświadczeń nauczyły go, że archiwa zawsze znajdowały się pod ziemią. Być może panowała tam temperatura, która lepiej nadawała się do przechowywania papieru, chociaż bardziej prawdopodobne wydawało się to, że osoby pracujące w archiwum nie narzekały na brak światła słonecznego. Większość z nich zapewne wołała takie warunki.

Na dole było zimno i tak wilgotno, że ściekająca z kremowych ceglanych ścian woda zbierała się na podłodze. Simeon minął dwa otwarte małe magazyny ze zmywakami do podłogi i wiadrami, szatnie dla mężczyzn i kobiet, po czym dotarł do cętkowanych oszklonych drzwi. Widniał na nich tandetny napis: *Akta*, namalowany białą farbą. Drzwi były zamknięte na nowoczesny zamek z zapadką sprężynową, dzięki któremu nie mogły przypadkowo pozostać otwarte. Na wysokości pasa znajdowała się klamka. Drzwi były uchylone i Simeon wszedł do środka.

Przez chwilę miał nadzieję, że nie będzie nikogo, co pozwoliłoby mu swobodnie się rozejrzeć, ale po labiryncie wypełnionych aktami półek krążył niezwykle otyły mężczyzna, który pchał przed sobą wózek i odkładał na właściwe miejsca brązowe teczki związane białą wstążką. Przystanął i zamrugał ze zdziwieniem.

– Szukam pana Godfreya – odezwał się Simeon.

– Kogo?

– To nie pan? – spytał, na co mężczyzna pokręcił głową. – Przepraszam, ale jak pan się nazywa? – Dyskretnie położył dłoń na zamku i delikatnie przekręcił gałkę, odciągając rygiel, a następnie go zablokował przez wciśnięcie zatrzasku.

– Harrison.

– Przepraszam – odrzekł Simeon i wyszedł.

Opuścił budynek i idąc Long Acre, znalazł pocztę. Stamtąd wysłał bełkotliwy telegram do pana Harrisona w sądzie przy Bow Street; poinformował go, że w domu zdarzył się wypadek, który wymaga jego natychmiastowego przybycia. Potem wrócił do sądu, odczekał pół godziny, aż pojawi się chłopak z telegramami, i kolejną minutę, po której urzędnik pośpiesznie opuścił budynek. Wtedy zszedł do archiwum, gdzie

zablokowany rygiel pozwolił mu wejść do pokoju z aktami. Zamknął za sobą drzwi.

Urzędnik zapewne mieszkał na przedmieściach – może w Stockwell albo Clapham – co dawało Simeonowi dobre półtorej godziny na poszperanie w aktach i odkrycie, w jaki sposób i z jakiego powodu Florence i Annie White zostały przekazane przez sąd pod opiekę proboszcza Hawesa. Ale gdyby okazało się, że Harrison mieszka bliżej, Simeon miałby mniej czasu. Bezzwłocznie zabrał się do pracy.

Akta były posegregowane według dzielnic, w których popełniono przestępstwa, oraz ich dat. Ale nawet zakładając, że w tym wypadku doszło do złamania prawa – przez Florence, Annie albo obie – Simeon nie miał pojęcia, gdzie mogłoby do tego dojść. Mógł się opierać tylko na dacie. Według listu Ganta minęło sześć miesięcy od czasu, gdy przekazał obie kobiety pod pieczę proboszcza, i zapewne wydarzyło się to wkrótce po naruszeniu przez nie prawa. A zatem mniej więcej w czerwcu 1879 roku.

Przeglądał kolejne pudła zawierające akta z tego miesiąca. W końcu, po około czterdziestu minutach, świadom, że czas ucieka, znalazł to, czego szukał.

Florence Emily Hawes. Zgłoszona jako uciekinierka przez lokalnego sędziego pokoju, p. Watkinsa. Podejrzewana w sprawie o zabójstwo męża, niejakiego Jamesa Hawesa, Dom Klepsydry, Ray, Mersea, Essex.

Ciekawe. Watkins zgłosił córkę jako uciekinierkę i poprosił o pomoc w jej odnalezieniu. Nie wspominał o tym Simeonowi. Był słabym człowiekiem, który nie potrafił nawet przyznać się do swoich czynów.

Florence Emily Hawes, zamieszana także w...

Zaalarmował go chrobot klucza w zamku. Wcisnął przykrywkę na pudełko, wepchnął je na półkę i schował teczkę pod płaszcz. Urzędnik wparował do środka, wyraźnie zdyszany i rozdrażniony. Zapewne mieszkał niedaleko. Simeon ukrył się za ścianą półek, ale wiedział, że musi stąd wyjść. Nie miał innego wyboru, jak postawić na bezczelność.

Harrison właśnie zdejmował płaszcz, gdy Simeon podszedł do niego pewnym krokiem.

– Dlaczego pan zostawił otwarte drzwi? – spytał gniewnie.

Mężczyzna odwrócił się i zdumiony jego obecnością, nie wiedział, co powiedzieć.

– Jako przedstawiciel pana Ganta będę musiał go o tym poinformować! – rzucił Simeon groźnie, gdy już szedł do wyjścia. – Na litość boską, następnym razem proszę pamiętać, żeby je zamknąć. – Zatrzasnął za sobą drzwi i ruszył korytarzem.

Usłyszał, że mężczyzna za nim wyjrzał.

– Proszę pana?! – zawołał urzędnik, ale Simeon go zignorował.

Wspiął się po schodach i szybko opuścił budynek bocznym wyjściem. Znalazł wąską uliczkę, która prowadziła na targ Covent Garden, i zanurzył się w tłumie, by mieć pewność, że nikt za nim nie podąży i go nie zaczepi. Po jakimś czasie zatrzymał się i obejrzał, a kiedy uznał, że jest bezpieczny, usiadł przy stoliku w rozświetlonej lampami gazowymi kawiarni przy Floral Street. Otworzył teczkę.

– Mogę coś panu zaproponować? Coś przyjemnego? – Jakaś kobieta patrzyła na niego z pożądlivym uśmiechem.

Wskazała głową w stronę kąta. Dwie młode dziewczyny dygotały w wypożyczonych sukienkach, demonstrując brak biustu – skutek niedożywienia.

– Poproszę kawę – powiedział. – To wszystko.

Kobieta wzruszyła ramionami i odeszła.

Simeon wrócił do miejsca, w którym przerwał czytanie akt. Pozostało jeszcze kilka linijek.

Florence Emily Hawes, zamieszana także w pomoc znanej prostytutce w wydostaniu się z miejsca odosobnienia, do którego posłał ją sędzia Gant. prostytutka nazywa się Annie White.

Dziwne. Dlaczego Florence miałyby pomóc siostrze Johna White'a? W jego głowie kłębiły się różne możliwe wyjaśnienia, z których większość nie miała sensu. Odsunął je od siebie i czytał dalej.

Florence Emily Hawes i Annie White przekazano pod opiekę doktora Olivera Hawesa, duchownego, by w późniejszym terminie stanęły przed sądem w rodzimej parafii.

To było frustrujące. Akta nie wyjaśniały, dlaczego Florence zbiegła do Londynu i wyciągnęła Annie White z nieokreślonego *miejsca odosobnienia, do którego posłał ją sędzia Gant*.

Podniósł wzrok na dwie ulicznice siedzące w rogu. Jedna była blada i miała na wpół martwe oczy. Pewnie chorowała na tryper. Gestem zaprosił ją do stolika. Ruszyła w jego stronę, ale wtedy od razu pojawiła się właścicielka.

– Ona nie idzie z nikim za darmo. Należy się korona – oznajmiła.

Dziewczyna sprawiała wrażenie zażenowanej.

Simeon przesunął monetę po blacie i zadowolona stręczycielka wróciła za bar, gdzie piętrzyła się góra mięsnych pasztecików, po których laziły muchy.

Przyciągnął dziewczynie krzesło. Usiadła.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Dobrze, proszę pana, dziękuję. – Z pewnością nie zwracała się tak oficjalnie do klientów.

– Wyglądasz na chorą.

– Jestem czysta, proszę pana. Mam na to papiery.

Simeon wiedział, że w prasie często ogłasza się jeden czy drugi przybytek, gdzie w jednym z pomieszczeń rezyduje lekarz, który bada dziewczęta przed odwiedzinami klientów. Był pewien, że taka praktyka jest bardziej dochodowa od jego pracy. W takich miejscach często bywali panowie, którzy płacili grube pieniądze – czasem nawet ci sami sędziowie i komisarze, którzy za dnia zamykali konkurencyjne burdele niższej klasy.

– Jestem lekarzem – oznajmił i dziewczyna zeszywniała. – Co się dzieje?

– Niech pan wybaczy, ale chyba nie jestem właściwą dziewczyną dla pana.

– Nie, nie, nie chcę być twoim klientem. Wydaje mi się, że jesteś chora, i mogę ci pomóc.

Wstała i wycofała się do kąta, a jej koleżanka posłała mu wściekłe spojrzenie. Właścicielka podeszła do stolika.

– Co to ma być? – spytała ostro.

– Powiedziałem jej, że jestem lekarzem i że według mnie jest chora.

– Lekarzem?

– Tak.

Jej twarz stężała.

– W takim razie nie jest pan tutaj mile widziany.

Początkowo był zaskoczony, ale po chwili ogarnęło go zaciekawienie.

– Dlaczego? – spytał.

– Wśród lekarzy nie brakuje kanalii.

– Wiem, poznałem takich. Ale do czego się pani odnosi?

Przez dłuższą chwilę mierzyła go wzrokiem.

– Niektórzy tną dziewczęta – odrzekła w końcu.

– Jak to, do licha?

Wyprostowała się.

– Jeden taki mieszkał przy tej ulicy. Przynajmniej mówili, że jest lekarzem. Sprawnie posługiwał się nożem. Podobno bardzo to lubił. – Prychnęła i położyła przed nim jego monetę.

– Niech pani każe jej się zgłosić do darmowego szpitala królewskiego. Tam się nią zajmą. – Znał tamtejszych lekarzy i wiedział, że postarają się pomóc dziewczynie bez zapłaty.

Ponownie zmierzyła go wzrokiem.

Zabrał teczkę i wyszedł. Popatrzył wzdłuż ulicy na dom, w którym ktoś podobno ciął dziewczęta. A przy nim był targ kwiatowy. Takie piękno i taka brzydota tuż obok siebie.

Było za wcześnie, by udać się do miejsca wskazanego przez Florence, gdzie miał się dowiedzieć czegoś o tajemnicach Domu Klepsydry, musiał więc jakoś zabić czas. Ruszył przez targ. Na straganach sprzedawano wszystkie znane w imperium kwiaty i przyprawy. Te drugie trzymano w koszykach z górami złocistych, burych czy jaskrawozielonych proszków. Uświadomił sobie, że chyba po raz pierwszy jest w Covent Garden i rozgląda się po targu. Powędrował Floral Street. Przy ulicy stały kolejne dziewczęta. Niektóre go wołały, ale skupiał się na towarach wypełniających sklepowe witryny.

Nogi same zniosły go na wschód, w stronę szpitala King's College. Szedł Stranem, minął swój dom przy Grub Street, przemknął w cieniu surowej kopuły katedry Świętego Pawła, przystanął na Paternoster Square, żeby kupić wodę sodową, i pił ją, opierając się o żelazne barierki. Podniósł wzrok na okno, za którym jego rywal w walce o stypendium na badania, Edwin Grover, zapewne ciężko pracował nad tabelami i obliczeniami. Praca Grovera, choć niepozbawiona wartości, nie miała żadnych praktycznych zastosowań. Simeon wylał resztkę wody i udał się do szpitala.

Po dwudziestu minutach błądzenia po różnych oddziałach znalazł swojego współlokatora, Grahama, przy łóżkach pacjentów z połamanymi kończynami. Graham akurat badał nogę jednego z nich. Mężczyzna, kupiec winny, jak można się było domyślać po jego rumianej twarzy, krzywił się z bólu, na co Graham niespecjalnie zwracał uwagę.

– Simeon, staruszkule! – zawołał, upuszczając kończynę na wykrochmalone prześcieradło. Jej właściciel wyraźnie odetchnął z ulgą. – Już wróciłeś?

– Tylko na jeden dzień. Muszę coś sprawdzić.

– Aha, znów badania.

– Właśnie.

– Jak wyglądają sprawy w Essex?

Simeon zrelacjonował mu całą tę dziwną sytuację. Jego przyjaciel słuchał z uwagą, na zmianę zdumiony i przerażony.

– Mój Boże – rzekł w końcu. – Myślałem, że chodzi tylko o jakiegoś chorego proboszcza.

Mężczyzna na łóżku rozdziawił usta.

– Żałuję, że tak nie jest – rzucił Simeon. – Obawiam się, że tkwi za tym coś znacznie gorszego.

– Uważaj na siebie. Wygląda na to, że igrasz z ogniem.

Simeon przyznał przyjacielowi rację i jeszcze przez chwilę gawędzili, aż w końcu ruszył w dalszą drogę.

Kiedy wyszedł ze szpitala, był ponury londyński wieczór. Dym z dziesięciu tysięcy kominów mieszał się z mgłą napływającą z Tamizy. Ta mieszanka miała chorobliwie zieloną barwę – jak zupa z zielonego groszku, żartowali miejscowi, spluwając gęstą flegmą. Arystokratyczne duchy, w cylindrach i krawatach ze spinkami, zataczały się pośród gęstych oparów, a młodzi zamiatacze ulic wytyczali im ledwie widoczną drogę pośród końskich odchodów.

Simeon zatrzymał dorożkę i kazał się zawieźć do Limehouse.

– Na pewno, proszę pana? – spytał woźnica. – To niebezpieczna okolica dla takiego dżentelmena jak pan.

– Dziękuję, ale wiem, co robię.

– Skoro pan tak mówi.

Dorożkarz zaciął konie i ruszyli przez gęstą mgłę. Simeon sięgnął do kieszeni płaszcza podróznego i wyciągnął rzeźbioną w kwieciste wzory

fajkę, którą znalazł w sekretarzyku proboszcza. By przygotować się do czekającego go zadania, złamał ją na pół.



Rozdział 13

W dorożce Simeon zakrył twarz szalem, licząc na to, że będzie wdychał mniej cuchnącego smogu. Nie było sensu się rozglądać, bo ledwie widział dorożkarza. W drodze rozmyślał o naukach nowych psychologów – niektórzy uważali, że w każdym z nas pierwotne żądze walczą ze świadomą moralnością. Nigdy nie wierzył w zło w takim sensie, w jakim wierzą w nie ludzie religijni, jak jego wuj. Oczywiście przyznawał, że czyny mogą być złe albo dobre – któż by w to wątpił – ale nie sądził, by owocowały nieusuwalną skazą na charakterze.

– Tutaj pana wysadzę! – zawołał dorożkarz.

– Nie mam pojęcia, gdzie jesteście – odparł Simeon.

– To tak jak ja. Ale nie pojedę dalej, bo możemy skończyć w rzece.

Nie widzę nawet własnej dłoni.

Simeon ustąpił i wyskoczył z dorożki. Snopy światła bijące z jej lamp wnikały w smog, barwiąc go na żółto, ale nie sięgały dalej niż na wyciągnięcie ręki. Kilka razy odwiedzał pacjentów w tych okolicach – to nie był jego rewir, jednak od czasu do czasu dochodziły go słuchy o jakimś przypadku, który mógł pomóc mu w badaniach. Tym razem przybył tu nie jako lekarz, lecz w przebraniu klienta najgorszego z przybytków.

Gdzieś niedaleko usłyszał głosy dwóch kłócących się kobiet.

- Oddawaj, suko. No już.
- To moje! On mi to dał!
- Oddaj albo cię załatwię!

Odwrócił głowę.

- Na pewno chce pan tutaj zostać?! – zawołał jeszcze dorożkarz.
- Na pewno.
- Pańska sprawa, ale sam pan kopie sobie grób.

Simeon miał nadzieję, że te słowa nie okażą się prawdą, choć w Limehouse nie było to wykluczone. Wręczył mężczyźnie pieniądze, a ten przytknął bat do kapelusza.

Gdy Simeon brodził w płynącej wodzie, coś przebiegło mu po bucie i pisnęło, kiedy to kopnął. Otaczało go tak wiele stworzeń, równie grzesznych, co niewidocznych. Kierował się przecież do miejsca, w którym świeże grzechy wyparły stare.

Mężczyźni w całym Londynie padli ofiarą fajki z opium. Oczywiście większość narkotyku pochodziła z upraw w imperium brytyjskim, głównie z Indii, skąd dostarczano go do Chin, wbrew woli chińskiego cesarza, ale to Chińczycy prowadzili palarnie w Londynie.

I chociaż minęło dziesięć lat, odkąd Akt Apteczny zakazał sprzedaży opium wszystkim, od cyrulików po handlarzy towarami żelaznymi, jego miłośnicy nie pozwolili, by narkotyk przeszedł do historii. Tylko przy paru okolicznych ulicach znajdowało się kilkanaście palarni. Pracownicy paru z nich grzecznie odpowiedzieli, że nie sprzedają fajek, w kilku innych oferowano takie przedmioty, ale niepodobne do fajki, którą miał Simeon, a właściciel jednego z tych przybytków odmówił odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania i kazał mu czym prędzej odejść.

Po ostatnim niepowodzeniu Simeon szedł na ślepo po wilgotnym bruku, od czasu do czasu dostrzegając potężne cienie we mgle. Olbrzymie parowce płynące do Kantonu albo do Kalifornii. To ona zaprzętała myśli mieszkańców Domu Klepsydry. Sam również czasami rozważał podróż do tego stanu. Gorączka złota, która rozpętała się tam trzydzieści lat wcześniej, niektórym przyniosła bogactwo, a wszystkich uczyniła skąpcami, ale dostrzegał w niej przede wszystkim szansę oraz wolność od duszących ograniczeń środowiska medycznego i tych ciasnych umysłów. A właśnie na szansie zależało mu najbardziej. Chciał odcisnąć swoje piętno.

W końcu znalazł miejsce, którego szukał.

Kiedyś najwyraźniej była tutaj siedziba jakiejś organizacji zrzeszającej marynarzy. Był to przysadzisty, pokryty czerwonym dachem budynek z niekształtnych żółtych cegieł, z dwoma rzędami małych okien. Po obu stronach wąskiego wejścia stali czarnoskórzy żeglarze; skinęli do niego głowami, jakby był znajomym spotkanym na ulicy. Nad nimi wisiała czerwona latarnia, tak jak mówiła Florence.

Zanim zdążył poprosić, by go wpuszczono, drobny Malaj zaprosił go do środka, najwidoczniej zachwycony pojawieniem się klienta, i wprowadził do dużej otwartej sali. Pod ścianami stały łóżka polowe, na których leżeli ludzie o wychudzonych twarzach, a z ich ust i z fajek bulgoczących nad niewielkimi lampami unosił się gęsty niebieski dym.

Większość gości stanowili mężczyźni, pozornie w starszym wieku, ale Simeon dobrze wiedział, że opium postarza, więc patrząc na palacza, zawsze należy odjąć dziesięć lat od wieku, na jaki wygląda. Ani bieda, ani wojna, ani choroba nie są w stanie tak zniszczyć człowieka jak fajka. Palacze z czasem zaczynają przypominać zwierzęta, trajkoczące małpy, istoty pozbawione wszelkiego człowieczeństwa.

– Nieee... za... za... zapłacę. Mam... – bełkotała jedna z kobiet, którą właśnie zwlekano z łóżka. Wbiła wzrok w Simeona. – Proszę pana, czy mógłby mi pan pożyczyć... pożyczyć... – Padła przed nim na kolana.

Nachylił się i zbadał jej puls.

– Proszę się uspokoić – powiedział. Jej serce biło wolno, ale miarowo. Wyjął z kieszeni dwie monety i wręczył je Malajowi. – Jedna dla ciebie, druga na dorożkę, która zawiezie ją do najbliższej noclegowni.

Malaj uklonił się, wziął monety i poprowadził kobietę do wyjścia. Simeon musiał zacząć pilnować swoich wydatków. Ta wycieczka stawała się za droga.

W rozległym pomieszczeniu panował chłód. Jedynym źródłem ciepła było palenisko w głębi, wokół którego drzemało albo leżało bez przytomności kilkanaście osób. Kilka grzało kości przed powrotem do świata, gdyż zabrakło im sił lub pieniędzy. Jeden z mężczyzn oddalił się chwiejnie, mamrocząc pod nosem: „Kim teraz jestem? Kim teraz jestem?”. Padł na puste posłanie, złapał fajkę, przyłożył ją do ust i mocno się zaciągnął, nie zdając sobie sprawy, że jest zimna i pusta. Inny mężczyzna, ubrany tylko w spodnie, chwycił go za kostki i ściągnął z łóżka. „Moja fajka”, warknął zaatakowany, z akcentem, którego Simeon nie rozpoznawał.

Zatrzymał wzrok na kolejnym mężczyźnie, który leżał na pościeli, ale w odróżnieniu od innych nie palił opium, tylko popijał coś z zielonej butelki. Miał zajęczą wargę, przez co płyn spływał mu po brodzie.

– Chciałby pan spróbować? – spytał i wyszczerzył w uśmiechu bezzębne dziąsła. Brzmiał jednak jak człowiek wykształcony. Zapewne absolwent uniwersytetu. – Pospólstwo w tym przybytku lubi gonić za smokiem, ale ja wolę topić go w brandy.

– Właśnie widzę – odrzekł Simeon. – Ale musi pan zrozumieć, że laudanum jest równie uzależniające.

– Och, nie musi mi pan tego mówić. Jestem członkiem Królewskiego Kolegium Chirurgów.

Simeon westchnął. Nieraz widział, jak jego koledzy po fachu padają ofiarą własnych leków. Było coś tragicznego w człowieku, który zdawał sobie sprawę, na jaki paskudny los się skazuje, a jednak nie zamierzał się cofnąć.

– A zatem radzę panu zatroszczyć się o siebie, skorzystać ze swojej wiedzy i rozważyć także zagrożenia związane z opium, nie tylko przyjemności.

– Ależ ja się troszczę – rzucił mężczyzna gwałtowniejszym tonem.

– Niby w jaki sposób?

Upadły chirurg był bardziej odurzony, niż się początkowo wydawało.

– W jaki? Właśnie w taki! – Wyjął spod brudnej koszuli długą łyżkę, wsunął ją do butelki i energicznie zamieszał. – Trzeba dobrze wymieszać, bo inaczej opium opada na dno i dawka rośnie, im dłużej pijemy. To konieczne. – Wypił kolejny łyk i wyciągnął butelkę w stronę Simeona. – Niech pan sam spróbuje.

– Dziękuję, ale nie. – Przez chwilę Simeon czuł przygnębienie. Ten człowiek powinien leczyć te bliskie śmierci dusze, które go otaczały, a nie do nich dołączać. Gdyby udało się go wyrwać z tej paszczy piekła, mógłby pokonać nałóg i wrócić do zawodu, chociaż doświadczyłby koszmarnych drgawek i potów, gdy opium opuszczałoby podbite terytorium jego ciała. – Czy mam się z kimś skontaktować w pańskim imieniu? Z rodziną albo przyjaciółmi? Może zdołałby panu pomóc któryś z dawnych kolegów.

– Pomóc? Jak to pomóc? – Mężczyzna sprawiał wrażenie zaniepokojonego. – Zapewniam pana, że jestem bardzo zadowolony. Wręcz nie posiadam się z radości! Chcę tu zostać! Chcę zostać! – Chwytał Simeona za koszulę i ten musiał delikatnie rozewrzeć jego palce.

– Może pan zostać, jeśli pan chce.

– Chcę! Muszę!

Nie ma sensu dyskutować z kimś, kto już jest martwy, pomyślał Simeon ze znużeniem.

– Nie przypomina pan większości moich klientów – usłyszał głos młodej kobiety z chińskim akcentem.

Odrzucił się i zobaczył, że jest ubrana w habit zakonnicy.

– A pani nie przypomina większości kobiet w Limehouse – odrzekł.

– Chodzi panu o to? – Pociągnęła palcami barbet przy szyi. – Wychowałam się u Świętych Sióstr Pokutnic w Kantonie. Zawsze będę nosiła je w sercu. Mogę panu przynieść fajkę.

– Mam, ale jest złamana i chciałbym ją wymienić na nową. – Wyjął fajkę z kieszeni.

Kobieta wzięła ją do ręki i uważnie przyjrzała się obu połówkom.

– Kość słoniowa i terakota to rzadkie połączenie. Większość lubi fajki porcelanowe. – Popatrzyła mu w oczy. – Dym jest wtedy cieplejszy, oto powód.

– Czy to pani fajka?

– Sama ją wykonałam – odrzekła głosem słodkim jak miód. – Należała do mnie. Teraz należy do pana.

– Rozpoznaje ją pani?

Delikatnie przesunęła po niej palcem, wzdłuż łodyg wyrzeźbionych kwiatów, i skrzywiła się, gdy dotarła do pękniętej kości słoniowej. Pokiwała głową.

– W takim razie to tutaj przychodził mój brat.

– Pewnie tak.

– Może go pani pamięta?

– Może pamiętam wielu mężczyzn.

– On jest wyjątkowy. To proboszcz. Oliver Hawes.

Przez chwilę milczała, jakby obracając to nazwisko na języku.

– Nie znam go. Ale znam tę fajkę. A mężczyzna, który ją kupił, nazywał się inaczej.

– Jak?

Znieruchomiała, a po chwili poprowadziła go do pomieszczenia w głębi. Było urządzone w stylu jej ojczyzny. Stołki okrywał różowy jedwab, a na kominku stały malutkie porcelanowe figurki zwierząt. W powietrzu unosił się zapach jaśminu.

– Jak? – powtórzył Simeon.

Położył na stole błyszczącą gwineę. Tak, zdecydowanie musi lepiej pilnować swoich wydatków.

Kobieta otworzyła zieloną jadeitową skrzyneczkę i zobaczył równy rząd papierosów. Na środku każdego z nich widniała długa brązowa plama, świadcząca o tym, że zawierają nie tylko tytoń.

– Dziękuję, ale nie – rzucił.

Zapaliła jednego, a kiedy dym uniósł się aż pod sufit, otworzyła kolejne pudełko. Znajdowały się w nim przybory do rysowania. Wyjęła pojemnik z fioletowym atramentem, obok którego były trzy pióra, starannie ułożone według grubości stalówki. Wzięła to najcieńsze, zanurzyła w atramencie i nakreśliła coś na arkuszu papieru. Simeon czekał. Kobieta ponownie zanurzyła stalówkę w pojemniku i po chwili na kartce pojawiła się druga zakrzywiona linia. Rysowała dalej, aż w końcu oczom Simeona ukazała się twarz. To był mężczyzna o europejskich rysach, z okrągłymi oczami i wydatnym nosem.

– To jego pan szuka – powiedziała.

– Jak się nazywa?

– Pan Tyrone.

Simeon przypomniał sobie, jak proboszcz w agonii wzywał Tyrone’a.

– Co pani o nim wie?

– Co wiem? Nie zadajemy zbyt wielu pytań naszym klientom – odparła.

– Z pewnością. Ale coś chyba może pani o nim powiedzieć.

Wyciągnęła dłoń, blad różową w żółtym świetle lamp oliwnych i pomarańczowym blasku ognia. Położył na niej swoją ostatnią błyszczącą monetę i dłoń się zacisnęła.

– Wielu naszym klientom czegoś brakuje – rzekła kobieta. – Pan Tyrone wydawał się człowiekiem, któremu brakuje wszystkiego. Rozumie pan, co mam na myśli?

– Chyba tak.

– Często jest mi żal klientów. Ale nie sądzę, żebym kiedykolwiek mogła współczuć panu Tyrone’owi. Nie da się współczuć komuś, kto jest pusty.

Pusty człowiek. Simeon miewał takich pacjentów. Ludzi u kresu trudnego, mozolnego życia, którzy sprawiali wrażenie, jakby umarli dawno temu, i tylko ich ciała poruszały się jeszcze, oddychały, jadły. Ten człowiek,

Tyrone, będący w samym centrum tego, co spotkało Florence i rodzinę Hawesa, był jednym z nich.

– Chciałbym go poznać.

– On potrafi sprawiać kłopoty. Dlaczego miałabym pomóc panu go odnaleźć?

– Ponieważ nie chce pani, żeby tu wrócił.

Przez chwilę milczała, a potem, nie wiadomo skąd, wydobyła dzwonek i potrząsnęła nim. Odsunęła się część różowej ściany, gdzie było wejście tylko dla wtajemniczonych, i wyłonił się stamtąd smagły przysadzisty mężczyzna.

– Kiedy ostatnio widziałeś pana Tyrone’a? – zwróciła się do niego kobieta, choć nadal nie spuszczała wzroku z Simeona.

– Tyrone’a? – Akcent mężczyzny był równie irlandzki jak nazwisko, które wywarczał. – Drań wciąż nie zapłacił za usługi. Nie widziałem go co najmniej od roku.

– A jakie usługi pan dla niego świadczył? – spytał Simeon.

Kobieta skinęła głową do swojego pomocnika, by odpowiedział.

– Posłałem człowieka, który pomógł mu odzyskać jego własność w St George’s Fields. Z tego, co mówił, zapowiadała się łatwa robota, ale skończyło się nie lada aferą. Jak go pan zobaczy, proszę mu przekazać, że Frank z Czerwonej Latarni o nim nie zapomniał.

– Myślę, że to wszystko, co możemy panu powiedzieć – dodała kobieta.

Po wyjściu z budynku Simeon zaczął się rozglądać za dorożką. W jego głowie pojawiał się Tyrone, fajka do opium, trup Johna White’a, *Złote pole* i Florence uwięziona za szybą. Wszyscy przesypywali się jak ziarenka piasku przez klepsydrę na wiatromierzu.

Przeszedł wzdłuż nabrzeża. W wodzie zauważył odbicie domu stojącego za jego plecami. Odbicie falowało. Kiedy tak patrzył, jak porusza się, rozplywa i ponownie składa w całość, nagle doznał olśnienia. To była przeszywająca myśl, gwałtowne odkrycie dotyczące śmierci doktora Olivera Hawesa. Patrzył na ten zgon z niewłaściwej strony – widział tylko jego refleks w ciemnym lustrze, które stanowiło granicę wypełnionej książkami siedziby duchownego. Simeon już wiedział, jak zginął proboszcz.



Rozdział 14

Kiedy pośpiesznie wrócił na wyspę Ray, miał mętlik w głowie. Aktorzy uciekali ze sceny, wykrzykując pomieszane kwestie, umierali, dźgani drewnianymi nożami, i wracali w innych przebraniach.

Pani Tabbers czekała na niego w salonie. Zaproponowała mu zupę rybną. Na razie odsunął na bok wątpliwości i zadał jedno z dręczących go pytań:

– Jak długo proboszczowi zajmowało osuszenie beczułki brandy?

– Całej beczułki? Nie pił dużo, proszę pana. Myślę, że jakiś rok.

– Tak sądziłem. Tak pewnie byłoby i ze mną. Nie mam ochoty na zupę rybną, dziękuję.

Posłała mu zaskoczone spojrzenie i odeszła. Simeon wyjrzał przez okno na dziki krajobraz Ray, oświetlony blaskiem lamp gazowych, padającym z domu. Powoli odzyskiwał spokój myśli, ale prawda była równie ponura jak widok na zewnątrz.

Czyli taki właśnie jest powód tego wszystkiego? – spytał siebie. Mężczyźni i kobiety na tym cholernym skrawku ziemi. Każdego doprowadziłoby to do obłędu.

Wezwał Petera Caina.

Ten pojawił się z łopata w dłoniach, z brudnymi rękami.

– Właśnie grzebałem tego martwego żrebaka. Niepotrzebne nam chrome zwierzęta. Chce mi pan pomóc w kopaniu? – spytał bezczelnie.

Simeon kazał mu czym prędzej przyprowadzić Watkinsa, a następnie poszedł na górę do biblioteki. Florence siedziała przy małym ośmiokątnym stole. Stał na nim szklany model domu, w którym byli wszyscy troje – trzy figurki na piętrze, niczym aktorzy czekający za kolorowymi drzwiami na swoje kwestie. W kominku płonął ogień, a blask czerwonych płomieni tańczył na żółtej jedwabnej sukience, którą Simeon dla niej wybrał. Ponownie zaśpiewała fragment hymnu.

– *Wspomóż słabych, rozprosz mroki grzechu...*

Simeon zdjął z półki atlas i otworzył go na mapie obu Ameryk. Dotknął czubkiem palca Kalifornii i postukał opuszką w przyładek, który nie był podpisany, ale pewnego dnia miał nosić nazwę Point Dume.

– Nie odchodź, Simeonie – odezwała się łagodnie.

– Dlaczego nie?

– To się źle skończy. Tragicznie, dla ciebie i twojej rodziny. – Przesunęła palcami po szklanym modelu.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Och, Simeonie, oboje to wiemy. Wszystko jest w *Złotym polu*. Nie trzeba wiele: iskra ambicji, błysk gniewu. Grzechy się piętrzą, aż w końcu cały dom staje w płomieniach. Kurz unoszący się w powietrzu zatruwa krew.

Kiedy Watkins w końcu się pojawił, około dziesiątej, Simeon zaproponował mu drinka i gość chętnie go przyjął.

– A teraz, panie Watkins, czy mogę prosić o książkę?

– Jaką książkę? – Sędzia pokoju wbił wzrok w podłogę.

Florence wyjęła z miniatURY Domu Klepsydry trzy figurki i kolejno ustawiła je przed makietą.

– Dobrze pan wie, o jakiej książce mówię. O dzienniku Olivera Hawesa.

– Nie mam pojęcia...

– Proszę nie marnować mojego czasu. Wiem, że go pan zabrał. Wiem także dlaczego.

Watkins sprawiał wrażenie zawstydzonego, ale szybko odzyskał panowanie nad sobą.

– Czyżby? Więc proszę wyjaśnić, jak pan doszedł do takiego wniosku.

– Oczywiście. – Simeon zamilkł na chwilę, żeby zebrać myśli. – Nie potrafiłem zrozumieć, jak umarł Oliver Hawes. – Jedna z figurek przewróconych przez Florence potoczyła się po stole. – To mogło być zakażenie, ale czym? Nigdy nie widziałem takich objawów. Poza tym nikt inny ich nie miał. Wszyscy tutaj jesteście zahartowani. Zresztą sekcja zwłok nie wykazała śladów żadnych poważnych chorób. W końcu doszedłem do tego samego wniosku co doktor Hawes: że w zeszłym miesiącu ktoś go otruł. – Simeon zignorował zaszokowaną minę Watkinsa. – Ale wciąż nie miałem pojęcia, jak mogło do tego dojść. Proboszcz jadł te same posiłki co Cain i pani Tabbers, a oni czuli się dobrze. Oczywiście winne mogło być jedno z nich, choć trudno byłoby zrozumieć, dlaczego chcieliby stać się bezrobotni, zabijając pracodawcę. A nawet gdyby wpadli na taki pomysł, to istnieją znacznie łatwiejsze metody. Mogli udusić go we śnie i nikt by się o tym nie dowiedział.

Watkins wyglądał, jakby chciał zaprotestować, ale najwyraźniej nic nie przyszło mu do głowy. Simeon mówił dalej:

– Było tylko jedno, z czego korzystał wyłącznie doktor Hawes: brandy, którą popijał przed snem. Otworzył świeżą beczkę w dniu, gdy zachorował, ale kiedy za moją namową przestał pić, przez kolejny tydzień stawał się coraz bardziej chory. Poza tym przetestowaliśmy zawartość beczki na biednym psie Caina i zwierzak tylko się upił. Sam również przebadalem trunek w szpitalu w Colchesterze i okazało się, że jest niegroźny. Nie, brandy nie została zatruta. Tak naprawdę nikt nie otruł Olivera Hawesa w ciągu ostatniego miesiąca.

– Do czego pan zmierza? – spytał ostro Watkins, wstając z krzesła.

– To bardzo proste.

– Proszę zatem powiedzieć!

– Ktoś otruł go rok temu.

Simeon czuł lekkie podniecenie. Był wściekły, że tak się to kończy.

– Rok temu? Niemożliwe. Kto?

– Pańska córka, panie Watkins. – Poczul ulgę, gdy wypowiedział te słowa, i spojrzał na winowajczynię.

– Florence! – wykrzyknął cicho Watkins.

Wyglądało na to, że gra dobiegła końca. Florence zgarnęła wszystkie szklane figurki na podłogę, pozostał tylko przezroczystry dom.

– Tak, Florence. – Simeon nie spuszczał z niej wzroku. – Otruła Olivera Hawesa ponad rok temu, kiedy ostatnio przebywała poza swoją szklaną celą.

Watkins opadł na krzesło.

– Ale jak... – Urwał.

Powoli, w żałobnym rytmie, uniosła ręce i zaczęła klaskać. Klap. Klap. Klap.

– Brawo, Simeonie. Masz umysł jak brzytwa. – Jej głos również brzmiał ostro. – Ciekawi mnie, czego jeszcze się dowiedziałeś lub co odgadłeś.

Zerknął na nią.

– Skoro pytasz, to mam pewne podejrzenia co do zabójstwa Johna White'a i zaangażowania w nie osób mieszkających w tym domu. A ściślej, co do udziału Jamesa. No i jest też siostra Johna, Annie, którą odnalazłaś w Londynie. Gdzie ona teraz jest? Musimy poznać odpowiedź na to pytanie.

– Myśli pan, że z nią też stało się coś złego? – wybuchnął Watkins.

Simeon nie odwrócił się od kobiety za szybą.

– Owszem, tak myślę. A ty nie, Florence? – Ale nie rozwinął tej myśli. Watkins zawsze był trzy kroki w tyle za córką. – Co się stało, gdy już ją znalazłaś? – Posłała mu promienny uśmiech. – Wszystko jest w dzienniku Hawesa, prawda? – Zwrócił się do Watkinsa: – To dlatego go pan ukradł. Żeby chronić córkę. Bo poprzednio się to panu nie udało. Treść dziennika doprowadziłaby mnie do wniosku, że Florence jest winna morderstwa.

Watkins jęknął i opróżnił szklanę. Jego córka cicho się roześmiała. Ale Simeon wciąż był skupiony wyłącznie na książce.

– Podejrzewam, że powiedziała panu o zapiskach Olivera po jego śmierci – dodał, a sędzia tym razem nie zareagował. – Więc niech pan, na litość boską, skończy tę szopkę. Proszę mi oddać dziennik!

– Ale...

– Proponuję, żebyśmy mu go oddali, ojcze – odezwała się Florence; jej głos stał się mniej przytłumiony. – Jaką to teraz robi różnicę? Co mnie to obchodzi? – Lekceważąco machnęła ręką.

– Niech pan pośle Caina do swojego domu, żeby go przywiózł – rozkazał Simeon.

– Nie ma potrzeby – wymamrotał Watkins. – Nigdy nie opuścił tego pomieszczenia.

– Co takiego?! – Simeon był wściekły. Dziennik wciąż tu był! A on przez tyle czasu zastanawiał się nad miejscem jego ukrycia.

Watkins otarł pot z czoła.

– Bałem się, że mnie pan złapie, jeśli ucieknę, dlatego ukryłem go tutaj, w ciemności, żeby nie wpadł panu w ręce.

Simeon potrzebował chwili, by przyswoić tę informację. Watkins schował dziennik gdzieś tutaj, ale gdzie konkretnie, tak by on przypadkiem na niego nie natrafił? Och, tylko w jednym miejscu. Simeon odwrócił się w stronę szyby.

– Oddaj mi książkę, Florence. Chcę przeczytać o drugim życiu Olivera Hawesa.

Położyła dłoń na miniaturowym szklanym domu i przechyliła go na bok.

– Myślisz, że jesteśmy panami własnego losu, Simeonie? Och, widzę, że tak. No cóż, mylisz się. Jesteśmy tylko zabawkami w rękach innych. – Jej głos był cichy, jakby zaplątał się w wodorosty. – Nazywasz to drugim życiem.

– Tak. Przecież właśnie nim było, nieprawdaż?

– Być może.

Podeszła do regału pod tylną ścianą celi, przesunęła palcem wzdłuż tomów na górnej półce i zatrzymała się przy cienkiej czerwonej książeczce ze złotymi literami na grzbiecie. Mogła ukryć ją w swojej prywatnej kwaterze, ale najwyraźniej cieszył ją fakt, że Simeon wielokrotnie patrzył na dziennik i go nie widział. Zdjęła tomik z półki, stanęła przy kłapie, przez którą podawano jej posiłki – niewątpliwie właśnie wtedy Watkins podał jej książkę – i przepchnęła go na drugą stronę. Po raz drugi ich palce się zetknęły, tym razem na dłużej, aż w końcu Florence powoli wycofała się do swojego świata.

– Dlaczego schowałaś przede mną dziennik? Wcześniej chciałaś, żebym go przeczytał.

– To sprawa ojca. Przyszedł do mnie i błagał, żebym nie zdradziła ci całej prawdy. Chodziło mu bardziej o ochronę własnej reputacji niż mojej szyi, ale się zgodziłam.

Watkins jakby jeszcze bardziej zapadł się w siebie.

Simeon puścił to mimo uszu. Chciał jak najszybciej przeczytać dziennik do końca. Odwrócił książkę i otworzył tylną okładkę, by

ponownie ujawnić sekretne zapiski Olivera Hawesa. Podjął lekturę w miejscu, gdzie przerwał.

19 maja 1879

Ten szlachetny człowiek Tyrone znalazł mnie tego wieczoru. Byłem w pubie Bricklayer's Arms w Colchesterze, po rozmowie z dziekanem o finansach. Jadłem zupę porową i czytałem traktat o ubóstwie w Kościele.

- Dzień dobry - powiedział.

Podniosłem wzrok. W eleganckiej części lokalu siedziało mnóstwo osób, ale byłem pewien, że większość z nich powinna się znajdować w publicznej sali.

- Szukałem księdza - rzekł.

- Och, a z jakiego powodu?

Usiadł.

- Umieram z głodu - oznajmił. Wyjął mi łyżkę z ręki i zjadł trochę mojej zupy. - Byłem zajęty, oto powód.

- Zajęty czym? - Rozdrażniło mnie, że zabrał mi łyżkę, ale puściłem mu to płazem, bo miałem przeczucie, że zamierza mi powiedzieć coś ważnego.

- Sprawdząłem. Badałem różne sprawy. I powiem księdzu, jak przyjacielowi, że moim zdaniem czegoś nam... a raczej księdzu... brakuje.

- Co pan ma na myśli?

- Coś mi mówi, że nie jest ksiądz wolnym człowiekiem.

- Nie jestem wolny? To absurd - odparłem. Muszę przyznać, że byłem nieco zirytowany jego bezczelnym tonem. - Proszę popatrzeć na moje nadgarstki, czy są skute łańcuchem? Proszę spojrzeć na drzwi... czy są zamknięte? Czy mogę wstać, wyjść stąd, wsiąść na konia i pojechać do domu?

- Nie, nie ma ksiądz łańcuchów na rękach. - Nachylił się, a ja wyczułem z jego ust coś jak trupi swąd. - A jednak... - Rozsiadł się na chropowatej ławie.

Spodziewałem się, że powie coś więcej, ale milczał. Szybko zdałem sobie sprawę, że zwrócił moją uwagę na problem, który od zbyt wielu lat zaprzętał mi myśli. Na kwestię wolnej woli jako daru naszego Ojca Niebieskiego.

- A jednak? - spytałem.

- A jednak nie jest ksiądz wolny. Ponieważ ograniczają go nauki Pisma Świętego.

No tak, miał rację.

- Proszę mówić dalej. - Odepchnąłem od siebie miskę. Przestała mnie interesować.

- Tęskni ksiądz za tym, co mam ja.

- Nie wydaje się pan człowiekiem bogatym.

- Mniejsza o pieniądze! - warknął. - Pragnie ksiądz czegoś ważniejszego: mojej wolności, swobodnej zabawy i szaleństw. - Był coraz bardziej pobudzony.

- A dlaczego uważa pan, że chciałbym tego?

- Wiedziałem, jak ksiądz całymi dniami czyta Pismo.

- Ja pana nie widziałem - odrzékłem, nieco zaskoczony.

- Siedziałem w tylnej części kościoła.

- Rozumiem. - Nie byłem pewien, czy mu wierzę.

- Za każdym razem dostrzegałem coś w oczach albo grymasie ust księdza.

Każdemu z tych śmiertelnych grzechów lub przykazań odpowiadało...

- Co takiego?

W irytujący sposób unikał odpowiedzi.

- Opłynąłem świat dookoła. Wygląda ksiądz jak żeglarz, który zbliża się do nowego lądu... widzę u księdza desperackie pragnienie, by wyskoczyć na brzeg i korzystać z życia.

Upiłem łyk piwa i popatrzyłem na niego z nad szklanki.

- Doprawdy? - Odpęrzyłem się. - Dlaczego tak pan kpi z biednego wiejskiego proboszcza?

- Biednego! Ha! Możemy się zgodzić, że to całkowita nieprawda. Owszem, jest ksiądz wiejskim proboszczem, ale na pewno nie biednym. Nie pozwolę, by ksiądz tak mówił.

Tak. Ten człowiek chciał toczyć głębokie dysputy. Wstałem i wyszedłem z pubu. Wiedziałem, że za mną podąży.

- Zaciekawiała mnie pańska przemowa. Nie skłoni mnie do działania, ale chętnie wysłucham puenty.

- Wkrótce tak się stanie - odrzekł nieco tajemniczo. - Już od dawna chciałem coś księdzu pokazać. Teraz nadeszła właściwa chwila.

- Jestem zajęтым człowiekiem. Nie mogę tracić czasu na głupoty.

- To prawda - przyznał. - Ale na tym ksiądz zyska.

Uświadomiłem sobie, że doszliśmy do bogatej części miasta, w której byłem tylko kilka razy na zaproszenie dziekana i innych podobnych osobistości. Miałem na sobie płaszcz podróżny i otuliłem się nim szczególnie, żeby ochronić się przed zimnem. Zawsze padam ofiarą chorób innych ludzi.

Tyrone szedł przodem. Zatrzymał się przed budynkiem z rozświetlonymi oknami i zapukał do drzwi. Otworzył mu lokaj w pełnej liberii.

- Tak? - rzucił.

- Słyszałem o tym domu - rzekł Tyrone.

Uznałem, że to dziwne zachowanie, i byłem gotów przeprosić za obcesowość swojego towarzysza.

- Czyżby? Co takiego pan słyszał?

- Och, odsuń się, człowieku - rozkazał Tyrone.

Byłem w szoku. Sądziłem, że to dom któregoś z jego przyjaciół. W końcu nawet ludzie tacy jak on - kwestionowałem jego moralność, mimo że regularnie przystępował do Komunii Świętej - mają przyjaciół.

- Odsunę się dopiero, kiedy dowiem się, kto pana przystał - odparł stanowczo lokaj.

- Przystał? Przystał, powiadasz? Ten dżentelmen to zrobił.

Dopiero po chwili zrozumiałem, o czym on mówi: wsunął rękę do kieszeni i wyjął całą gwineę. Niektórzy są skłonni rozdawać takie bogactwa! Wiał silny wiatr, więc nie usłyszałem wszystkiego, co mówił Tyrone, ale bez względu na to, jakie dokładnie padły słowa, lokaj cofnął się i przestąpiliśmy próg.

Powitał nas zaskakujący widok. Miałem wrażenie, że trafiłem do rezydencji księcia. Wszędzie wokół stały luksusowe skórzane fotele - znacznie lepsze od tych w mojej bibliotece - kozetki i donice z roślinami. Szerokie marmurowe schody prowadziły na górę.

- Niech ksiądz tak nie stoi i nie gapi się jak sroka w gnat - rzucił Tyrone ze śmiechem. - Chodźmy zasmakować tutejszych rozkoszy.

Widziałem, że dla gości przygotowano trunki, ale nie miałem pojęcia, o co jeszcze może mu chodzić.

Tyrone podszedł do jednego ze stołów i podniósł karafkę, w której zapewne było sherry.

- Pewnie nieoclone - mruknął.

- Nie wątpię, że ma pan rację.

Nagle coś skłoniło mnie, by spojrzeć na schody. Usłyszałem stukot kroków na marmurze. Schodziły ku nam lekko chwiejnym krokiem trzy młode kobiety prowadzone przez starszą panią. Były ubrane jak na wyjście do opery i wszystkie wyglądały bardzo pięknie. Poeci pewnie porównaliby je do ptaków.

- Dobry wieczór, panowie - odezwała się starsza kobieta.

Miała na szyi efektowne klejnoty, a gdy szła, jej suknia wręcz falowała.

Tyrone usiadł na ławie i zachęcił mnie, żebym zrobił to samo. Czuję się trochę niepewnie, ale go posłuchałem.

- Dobry wieczór, droga pani - odpowiedział. - Szukam rozrywki.

- A my możemy ją zapewnić. - Popatrzyła na mój strój duchownego. Wcale jej nie speszył, a chyba nawet dodał jej animuszu. Machnęła ręką w stronę młodych dam. - Isabella, Clarice i Amelia są nowe w tej branży, ale wiem, że zapewnią panom wiele rozkoszy.

- Nowe? - prychnął Tyrone. - Ha! Dobrze sobie. Z tą żółtowością byłem w zeszłym miesiącu i zna się na rzeczy. Chyba znów ją wybiorę. - Wstał i ruszył w kierunku młodej damy stojącej z tyłu.

- A co dla pana? - zwróciła się do mnie najstarsza z kobiet, ignorując mój duchowny stan.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Tyrone mnie wyręczył.

- Ja pójdę za niego - oznajmił.

Kobieta popatrzyła na mnie, unosząc delikatną brew. Milczałem, więc potraktowała to jako zgodę.

- Jak panowie sobie życzą. Idź z panem, Isabello.

Isabella ruszyła w górę schodów, a Tyrone podążył za nią.

- Chwileczkę - odezwał się. - Nie podoba mi się imię Isabella.

- Nie podoba się panu? - spytała stręczycielka.

- Nie. Chcę je zmienić.

- Na jakie?

Tyrone nie odpowiedział, tylko popatrzył na mnie.

- Florence - odrzekłem.

- Florence, proszę pana? - upewniła się dziewczyna.

Miała cichy głos i słychać było jej akcent z północy naszego kraju.

- Tak - potwierdziłem. - Będiesz nosiła imię Florence.



Rozdział 15

Simeon przerwał lekturę i podniósł wzrok. Cóż za dziwna opowieść. Florence najwyraźniej czytała mu w myślach.

– Ukryty dziennik, ukryty człowiek – powiedziała.

– Rzeczywiście.

Czytał dalej.

25 maja 1879

Sprawy parafii ponownie zaprowadziły mnie do Colchesteru i udałem się na posilek do Bricklayer's Arms. Kiedy dotarłem na miejsce, był tam Tyrone, jedyny klient lokalu.

- Doktorze Hawes - powitał mnie radośnie.

Był weselszy i bardziej energiczny niż zazwyczaj. Domyślałem się dlaczego. Jedna z dziewcząt z naszej wioski, Annie White, córka poławiacza ostryg, nalewała

mu piwo. To pospolita dziewczyna, ale bez wątpienia nadaje się do tego, do czego większość mężczyzn w tych okolicach chciałaby ją wykorzystać.

- Z pewnością zna ksiądz Annie.

- Oczywiście. Jak się masz, Annie?

- Dobrze, księżę proboszczu. Dziękuję, że ksiądz pyta.

Często drażni mnie służalcza natura ubogich, forma pozbawiona treści.

- Twoja matka również dobrze się czuje?

- Tak, proszę księdza.

- Poproszę potrawkę z baraniny.

- Właśnie opowiadałem matce Annie, że świetnie poradziłaby sobie na scenie - powiedział Tyrone. Nie wątpiłem w to. Byle koczownic mógłby zarabiać na życie, wystawiając się na widok brudnej tłuszczy. - Nie chciałby ksiądz zobaczyć jej na scenie w Colchesterze? W Teatrze Królewskim. Albo w Londynie!

Oczy dziewczyny błyszczały. Widziałem, że marzy o życiu z dala od wyspy.

Uśmiechnąłem się pobłaźliwie.

- Jestem kapłanem, więc się na tym nie znam - odrzekłem, ale po chwili nieco ciszej zwróciłem się do dziewczyny: - Kościół nie pochwała takich miejsc, gdyż uważa je za ośrodki wszelkiej maści niereligijnych praktyk.

Annie zachichotała.

Tyrone i ja usiedliśmy przy stoliku i zaczęliśmy mówić o mało istotnych sprawach - o ludziach w pubie, o moich planach wakacyjnych na południowym wybrzeżu. Potem Tyrone skierował rozmowę na temat domu, który odwiedziliśmy poprzednim razem.

- *To jak ucztowanie przy stole samego Boga - rzekł. - No i z pewnością żaden grzech.*

- *Tak pan uważa? - spytałem sceptycznie.*

J chociaż może się to wydać dziwne, Tyrone przedstawił kilka autentycznych religijnych argumentów na poparcie swoich słów. Jak zauważył, Biblia wyraźnie mówi o tym, że hebrajscy patriarchowie cieszyli się towarzystwem wielu kobiet. A czyż nie są oni dla nas wzorem zachowań w sprawach, w których brakuje nam bardziej bezpośrednich pouczeń Zbawiciela?

- *Ale tamte relacje zachodzą w ramach świętego związku małżeńskiego - zaznaczyłem.*

- *A kogo Bóg posyła, by dokonał tego uświęcenia? Swojego przedstawiciela.*

Oczywiście miał na myśli mnie. Kapłan jest śmiertelnikiem, który ogłasza zawarcie małżeństwa. Zatem jego dar jest uświęcony. Nic nie stoi na przeszkodzie, by przekazywał taki dar innym kapłanom - czyż Pan do tego nie zachęca? - a więc może go przekazać również samemu sobie.

Nie podobało mi się, że poucza mnie człowiek, który... Prawdę mówiąc, kiedy się nad tym zastanowiłem, musiałem przyznać, że nie mam pojęcia, czym Tyrone się zajmuje. Wyglądał mi na kupca morskiego. Ale jego argumenty miały oparcie w teologii.

- *To prawda, kapłan musi jednak również podlegać przełożonym.*

- *A w jaki sposób ci przełożeni zyskali władzę? Badając i testując granice - odparł.*

Przemyślałem jego słowa. Ponownie kryła się w nich prawda. Kontynuowaliśmy rozmowę na zewnątrz.

- Dzisiaj kręci się tu wielu oprychów - zauważył, oglądając się przez ramię i zerkając do bram.

- Więcej niż zwykle?

- Z pewnością. Dziś wieczorem widziałem, jak pobito kogoś prawie na śmierć.

- Czym zawinił? - spytałem zaszokowany.

- Niczym. Niewłaściwie popatrzył na drugiego człowieka. Żyjemy w czasach bezprawia.

- To nie ulega wątpliwości. - Sam z niepokojem czytałem prasowe doniesienia o bezsensownych aktach przemocy.

- Tak. Prawdę mówiąc, pomyślałem, że ksiądz powinien nosić to przy sobie - rzekł.

Popatrzyłem na jego dłoń i zobaczyłem na niej złowrogo wyglądający sztylet. Ostąpiłem ze zdziwienia.

- Po co miałbym to robić? - spytałem ostro. - Nie przelewam ludzkiej krwi.

- Ale musi ksiądz być gotów powstrzymać innych przed atakiem. W tych okolicach nie brakuje ludzi, którzy mają chęć i czas to zrobić.

Westchnąłem ze smutkiem. Znow miał sporo racji. Obrona własnego życia nie jest grzechem. Prawdę mówiąc, skoro samobójstwo to świadome i niewdzięczne odrzucenie daru życia, mamy obowiązek bronić się, gdy ktoś inny próbuje nam go odebrać. Dlatego niechętnie przyjąłem nóż. Był smukły i długi, a zarazem ostry jak brzytwa. Nie pytałem, do czego wcześniej został użyty. Schowałem go pod płaszczem; idealnie mieścił się w kieszeni.

14 czerwca 1879

Spotkałem się z Tyrone'em na plaży. Minęły ponad dwa tygodnie, odkąd się widzieliśmy, i nie mogłem się już doczekać kontynuowania naszej rozmowy. Chciałem przedyskutować kilka kwestii dotyczących jego argumentu, że hebrajscy patriarchowie powinni być dla nas wzorem kontaktów z kobietami, skoro nie ma bezpośrednich nakazów Jezusa Chrystusa. Zmierzałem w stronę mojego domu i właśnie zeszedłem z grobli.

- Księżę proboszczu! - zawołał ktoś za naszymi plecami. Nieczęsto zdarza mi się, by ktoś tak się do mnie zwracał. Co więcej, głos nie brzmiał przyjaźnie. - Księżę proboszczu!

Zerknąłem na Tyrone'a. Posłał mi ponure spojrzenie.

- Niech ksiądz się schowa - rzekł.

- Nie ma mowy.

- W porządku, przeklęty głupcze - burknął. - W takim razie ja się schowam.

Szedłem dalej, nie zwalniając kroku, jakbym nie usłyszał wołania. Tyrone zszedł ze ścieżki i powędrował wzdłuż strumienia na błotniste równiny. W słabym świetle jego cętkowany czarny strój czynił go niemal niewidocznym dla każdego, kto nie wiedział, że tam jest. Nawet ja bardziej wyczuwałem jego obecność, niż go widziałem.

Usłyszałem dudnienie stóp mojego prześladowcy. Nie zwracałem na nie uwagi. Podejdzie do mnie, kimkolwiek jest - tak naprawdę miałem swoje podejrzenia - a wtedy się nim zajmę. Nie bez powodu ludzie zwracają się do nas, duchownych, „ojcze”. To dlatego, że często musimy, jak wszyscy dobrzy rodzice, nie tylko udzielać rad, ale także karcić.

Kiedy już nie mogłem dłużej znieść tego nierównego, zwierzęcego człapania, stanąłem i zaczękałem, aż intruz się do mnie zbliży.

- Księżę proboszczu! - warknął.

Zmierzyłem go wzrokiem. Był jak jałówka w ciele człowieka: potężny głupiec. Nie obchodziło mnie, co ma do powiedzenia, więc go o to nie pytałem. Kiedy w końcu się do mnie zbliżył, sapał i dyszał, jakby za chwilę miał się przewrócić. Przez chwilę dochodził do siebie, a ja cierpliwie czekałem, jakie bzdury wydobędą się z jego ust. Wreszcie wyprostował się i popatrzył mi prosto w oczy.

- Moja siostra! - ryknął. Pomyliłem się, przypomniał nie jałówkę, ale bezpańskiego psa. - Co ksiądz zrobił mojej siostrze?!

- Niczego nie zrobiłem pańskiej siostrze - odparłem.

To była szczerą prawdą. Wszystko, co się stało z siostrą tego człowieka... już wiedziałem, o kim mówi... było sprawką Tyrone'a, a ja w żaden sposób nie brałem w tym udziału. Miałem czyste sumienie.

- Annie... Miała niedługo wyjść za mąż.

- Więc niech wyjdzie za mąż - odrzekłem. - Chętnie odprowadzę ceremonię.

- Teraz już nie może. Jest nieczysta!

Zaczynała mnie męczyć ta rozmowa.

- Dla większości z was nie stanowi to przeszkody. Zapewne jest pięć razy bardziej „czysta” niż typowa panna młoda w tych okolicach. A teraz proszę wybaczyć, muszę napisać kazanie.

Wtedy popełnił wielki błąd. Chwycił mnie za surdut i przyciągnął do siebie. Z taką siłą, że prawie się przewróciłem. Tutejsi mężczyźni muszą ciężko pracować w polu i na morzu, więc wymaga to od nich przede wszystkim siły, a nie rozumu.

- Jak śmiesz atakować Kościół! - zgromiłem go.

Moje oburzenie zbiło go z tropu i zaprzętało agresji. Widziałem, jak jego powolny umysł przypomina sobie lata spędzone w kościelnej ławie, gdzie ja albo moi

bracia nauczaliśmy go, co jest dobre, a co złe w oczach Boga.

Ale po chwili na jego ustach znów pojawił się zwierzęcy grymas.

- Nie, księżę proboszczu. Zniszczył ją ksiądz.

Nagle wyjął coś spod kamizelki. To był zmięty kawałek papieru z tłustymi odciskami palców. Oderwany od czegoś skrawek. Zauważyłem na nim niewyraźnie nabazgraną wiadomość.

„Drogi panie. Ogarnia mnie wielki smótek. Chciałam być pana ukochaną. Ale teraz nie nadaje się dla żadnego mężczyzny. Myślałam, że zostanie pan moim mężem. Annie”.

Wiem, że powinienem współczuć tej biednej dziewczynie, ale muszę wyznać, że parsknąłem śmiechem.

- Pańska siostra uwielbia wiejskie życie, prawda? Myśli pan, że taki kocmołuch nadałby się na żonę proboszcza? Dziękuję, że poprawił mi pan humor tą głupotą. Ale obawiam się, że muszę już iść.

Próbowałem się oddalić, ale wtedy mnie pochwycił i zamknął w miazdzącym uścisku, jakby zamierzał wydusić ze mnie życie. Miałem wolne ręce, lecz nie byłem w stanie oprzeć się jego sile.

- Nie, księżę proboszczu. Nie. - Znów warczał jak pies. - Ona coś wypita. Coś, co ją uspiło. Nie chce się obudzić.

Poczułem, jak powietrze opuszcza moje płuca, a on ścisnął mnie coraz mocniej, żeby nie mógł zaczerpnąć tchu. Chyba naprawdę zamierzał mnie udusić. Rozpaczliwie wypatrując pomocy, spojrzałem mu w oczy i dostrzegłem w nich czystą nienawiść. Prawie nie zauważyłem, kiedy jego ciało zaczęło wiotczyć, i nagle wszystko się zmieniło. Teraz to ja podtrzymywałem go w pionie. Coś ciepłego pokrywało moje ręce. Popatrzyłem w dół i zobaczyłem, że to krew tryskająca z kilku

ran w jego boku. Zadało je długie ostrze, które Tyrone trzymał w dłoni. White zatoczył się do tyłu, a Tyrone, niczym Furia, doskoczył do niego, oplótł ramieniem jego szyję i dwukrotnie z całych sił zatopił mu sztylet w plecach. Ciało mojego prześladowcy runęło na ziemię.

Przez chwilę stałem bez ruchu, oniemiały, ale szybko doszedłem do siebie. Dzięki Bogu, że nie było nikogo w zasięgu wzroku.

- Mówiłem, że ksiądz powinien nosić nóż - odezwał się Tyrone. - Teraz chyba ksiądz rozumie po co. - Splunął na ziemię u stóp leżącego mężczyzny. Uświadomiłem sobie, zaskoczony, że White wciąż się porusza i chrząpliwie dyszy. - Bez obaw, zajmę się nim - mruknął Tyrone.

Cofnąłem się o krok, żeby mu nie przeszkadzać. Na moich oczach z White'a uciekało życie. W końcu go opuściło.

- Niech ksiądz nic nie mówi - uprzedził mnie Tyrone. - To jest i będzie wyłącznie moje dzieło. Proszę się odsunąć.

Nachylił się, dźwignął bezwładne ciało i wciągnął je do błotnistego strumyka. Zauważyłem, że jestem ubrudzony krwią; musiałem ją zmyć, bo nie mogłem takich ubrań dać gospodyni do prania. Patrzyłem, jak Tyrone wciąga trupa głębiej na błotnistą równinę, aż na ruchome piaski, które wszystko pochłaniają bez śladu. Płaszcz Tyrone'a ich zastaniał, ale dostrzegłem, jak ręka Johna zapada się w błoto. Więcej nikt go nie widział.

Tyrone wrócił do mnie. Śmiał się - po raz pierwszy, odkąd go poznałem.

- Będzie ksiądz później tego potrzebował - rzekł i przycisnął do mojej piersi list, jeśli można to tak nazwać, który napisała dziewczyna. - Zajmę się jego łódką. Postaram się, żeby to wyglądało na wywrotkę.

- Niech pan będzie ostrożny - powiedziałem.

Krew napastnika, która wsiąknęła w moją koszulę, zabarwiła na czerwono brzeg kartki. Wytarłem ją. Podejrzewałem, czego ode mnie oczekuje Tyrone w kwestii listu, i gdy wyłuszczył mi swój plan, okazało się, że miałem rację. Muszę przyznać, że był całkiem misterny. Upewniłem się, że nie będę musiał grzeszyć, składając fałszywe zeznania.

Tak, dziękuję naszemu Panu za Tyrone'a, którego zesłał mi w chwili największej potrzeby. Zaiste, wielka jest potęga i dobroć naszego Pasterza.

Kiedy Tyrone skończył, cofnąłem się ścieżką i ruszyłem w stronę wioski na Mersei, gdzie znajdował się dom dziewczyny. Zamierzałem dowiedzieć się, co mówił White o psychicznym i fizycznym stanie siostry. Zapiąłem płaszcz i całkowicie ukrył plamę krwi.

Po dotarciu do ładnej chatki zostałem wpuszczony do środka przez niewidomą staruszkę - wydaje się, jakby wszystkie kobiety należące do jej stanu miały tę samą matkę. Zaprowadziła mnie do postania córki. Nie jestem lekarzem, ale wyglądało na to, że Annie zmierzają do tego samego miejsca, w którym właśnie znalazł się jej brat. Położyłem dłoń na jej czole. Było mokre i zimne. Zobaczyłem, jak jej drobne piersi falują pod cienką koszulą nocną. Byłoby straszne, gdyby świat stracił to dziecko, które może mu tak wiele dać, ale taki jest plan Najwyższego.

Pobłogosławiłem ją i wyszedłem. Teraz była w rękach Boga. To On zdecyduje, czy dołączy do Niego w niebie, czy będzie cierpieła katusze podziemnego świata. Ale cieszyłem się, że odwiedziłem ją tutaj, ponieważ dzięki temu dalsza część planu Tyrone'a mogła stać się bardziej przewidywalna.

Na plaży zazwyczaj przesiaduje kilku nicponi, którzy liczą na jakąś robotę. Nie mam pojęcia, skąd się biorą, ale siedzą tam przez kilka dni, po czym znikają. Dzisiaj uznałem, że przyda mi się któryś z nich.

Schowałem koloratkę do kieszeni i przywołałem jednego machnięciem ręki. Podbiegł do mnie, wyraźnie ożywiony perspektywą zarobienia kilku groszy.

- Natychmiast zanieś ten list do domu na Ray i daj go gospodyni - poleciłem.

Wręczyłem mu zmiętą kartkę z wiadomością od Annie oraz niewielką sumę, którą mógł wydać w tawernie. Pokierowałem go w stronę grobli, a on ruszył w całkiem niezłym tempie. Zaczekałem godzinę na brzegu i wróciłem do domu. Czuję, że Duch Święty napęłnia mnie radością.

Kiedy tylko znalazłem się w holu, usłyszałem ich opętanicze wrzaski.

- Kim ona jest?! - To był głos Florence.

Nie zdarzało się często - chociaż bywały wyjątki - by krzyczała tak głośno, że trząsnęła się cała dom.

- Czyś ty oszalała?! - krzyknął James.

Tyrone zna się na rzeczy, pomyślałem.

- Owszem, kiedy zgodziłam się za ciebie wyjść!

Podczas gdy oni się na siebie wydzierali, udałem się do gabinetu i zmieniłem koszulę.

Zacząłem czytać traktat o misjach w południowych Indiach, ale po pięciu minutach do gabinetu wparował mój brat. Przyciskał do policzka chustkę, która nasiąkła już krwią. Przypominałem sobie, że muszę pozbyć się swojej koszuli, zanim pani Tabbers weźmie ją do prania.

- Psiakrew, Oliverze, nie mam pojęcia, o czym ona mówi! - zawołał, opadając na fotel.

- Zechciałbyś wyjaśnić?

Stęknął.

- Wypytuje mnie o jakąś dziewczynę, którą rzekomo miałem wykorzystać.

- *A wykorzystales ją?*

- *Prawie jej nie znam. To siostra Johna White'a. Florence twierdzi, że dostała jakiś paskudny liścik, z którego wynika, że zbałamucilem tę dziewczynę, obiecałem się z nią ożenić, a potem pozbyłem się jej jak znoszonych butów. Co za obłęd. - Kopnął stolik. - Nigdy nie lubilem tego stołu. Najchętniej napaliłbym nim w kominku.*

- *Co ci się stało?*

- *Florence rzuciła we mnie karafkę. Gin rozlał się po całej podłodze. Dobry trunek, który w zeszłym miesiącu przywiozłem z Flandrii. Straszne marnotrawstwo.*

- *A twój policzek?*

- *Karafka się rozbiła. Prosto na mojej twarzy. Och, nic mi nie będzie. - Odsunął chustkę, ale część krwi zaschła i przykleiła materiał do jego skóry.*

Czasami trudno jest pozostać po właściwej stronie moralnej granicy. Ale po skonsultowaniu się ze swoim sumieniem upewniłem się w swojej uczciwości. Z moich ust nie wydobyło się ani jedno kłamstwo.

15 czerwca 1879

Spokojniejszy dzień. Przedpołudnie spędziłem na robieniu rachunków. Poprosiłem diecezję o dodatkowe fundusze na zatrudnienie kościelnego, ale otrzymałem odpowiedź odmowną. Wygląda na to, że będziemy musieli wstrzymać się z remontem dachu. James narzeka na pieczenie w rozciętym policzku.

16 czerwca 1879

Przez jakiś czas opiekowałem się bratem. Odczuwa silny ból i jest wściekły, a to mu nie pomaga. Odmówił zjedzenia kolacji. Skończyłem czytać krótki traktat

o ekumenizmie w koloniach, który wysłało mi Anglikańskie Korespondencyjne Stowarzyszenie Eucharystyczne. Był bardzo pouczający.

17 czerwca 1879

Bardzo gorący dzień. James jest coraz bardziej chory. Ciało w miejscu skaleczenia żółknie. Mój brat jest teraz w rękach Pana i musimy zdać się na Jego wolę. Majaczy. Ponowiłem prośbę o kościelnego, tym razem podając więcej argumentów.

18 czerwca 1879

Złapano łobuza, który okradał tawernę. Stanie przed sądem podczas kolejnego kwartalnego posiedzenia. Stan Jamesa się pogorszył. Jest z nim naprawdę źle.

19 czerwca 1879

W radości nie ma zła. W przypadkowej korzyści nie ma grzechu. Nie jestem Kainem, nie zabiłem brata. A jednak został zabity. Wciąż oddycha, ale to z pewnością nie potrwa długo. A kto jest sprawcą? Jego żona. Rana, którą zadała mu Florence, przybrała zieloną barwę i sączy się z niej paskudny płyn. Ciało wokół skaleczenia poczerniało i zaczęło gnić. Widać spod niego zęby i kości. Lekarz, po którego posłałem - miejscowy pijaczyna, niewiele lepszy od wioskowego zielarza - jest bezsilny i może zalecić tylko modlitwę. Rzeczywiście się modlę. James na zmianę poci się i dygocze, a usta ma suche i popękane. Od czasu do czasu głośno krzyczy, na szczęście bez sensu.

Kiedy do niego poszedłem i wziąłem go za rękę, zwrócił na mnie wzrok.

- Oliverze - wyszeptał. - Bądź dla niej dobry.

- Będę - obiecałem.

Jutro albo pojutrze, to już pewne, umieszczę brata w rodzinnej krypcie i oddam go w ręce Boga.

Nowe wieści z wioski. Annie White wróciła do zdrowia. Kiedy tylko stanęła na nogi, odeszła z domu matki. Oznajmiła tylko, że wybiera się do Londynu i napisze, kiedy będzie mogła. Dzięki Bogu o niczym nie opowiadała.



Rozdział 16

Simeon przewrócił kartkę, ale nie znalazł niczego więcej. Kolejne strony były puste. Ale kiedy przyjrzał się dokładnie, zauważył pozostałości kilku kartek, wciąż przytwierdzone do grzbietu książki.

– Gdzie jest dalszy ciąg, Florence? – spytał.

Podniosła szklany model. Pod spodem leżał niewielki stosik kartek. Podobnie jak dziennik, także one przez wiele dni były na widoku. Musiał jej to przyznać: umiejętnie grała w tę grę.

– Dasz mi je?

– Być może.

Jej zamiary były oczywiste.

– Ale chcesz czegoś w zamian.

– Jesteś taki przenikliwy, Simeonie! Wspaniały z ciebie psycholog.

– A jeśli nie spełnię twojego żądania, co się stanie? Przyłożysz te kartki do płomienia lampy?

– Myślę, że to bardzo prawdopodobne.

– Więc jaka jest cena?

– Ceną jest mój portret, który wisi nad kominkiem w holu.

To zaskoczyło Simeona.

– Chcesz dostać obraz? – Była to ciekawa prośba, ale mało wyszukana.

– Owszem.

Namalowany kilka lat wcześniej niewielki portret nad kominkiem, przedstawiający Florence na tle wymyślonego pejzażu skąpanego w amerykańskim słońcu, łatwo było zdjąć ze ściany. Cain, który właśnie szedł przez hol z wiadrem węgla, wbił wzrok w Simeona, ale ten udał, że tego nie widzi, i zaniósł obraz do biblioteki.

– Ach. – Florence westchnęła, kiedy zobaczyła, co przyniósł. – Dotrzymałeś słowa.

Przecisnął obraz przez klapę, a Florence popatrzyła na swój portret, na którym była młodsza. Potem wzięła ze stolika szklanek i cisnąwszy nią o blat, rozbiła ją na tuzin kawałków. Podniosła z podłogi jeden z większych fragmentów i Simeon przestraszył się, że użyje go przeciwko sobie. Tymczasem wbiła szkło w krawędź obrazu tuż przy ramie i wycięła płótno.

– Co ty robisz? – spytał.

– Zobaczysz.

Za obrazem dostrzegł jej prawdziwy cel: plik listów.

– Co to jest?

Zobaczył w jej oczach łzy.

– To? Liściki, które pisał do mnie James. Kiedy byliśmy młodzi. Schowałam je tutaj, żeby...

– ...żeby zawsze wiedzieć, gdzie są – dokończył jej myśl.

Poczuł się jak podglądacz. Wyszedł, by mogła w spokoju poczytać stare listy miłosne. Nie mógł jej uwolnić, ale mógł pozwolić jej na kontakt z przeszłością, z własnymi myślami i z miłością, którą czuła do męża.

Wrócił po godzinie. Florence stała z boku swojego pokoju, opierając się o regał z książkami, zapatrzona w okna, których nie mogła dosięgnąć.

– Dziękuję – powiedziała.

Pokiwał tylko głową. Nie patrząc na niego, przepchnęła pozostałe kartki przez klapę – i Simeon wrócił do lektury nieznannej historii Olivera Hawesa.

20 czerwca 1879

Dzisiaj pochowałem Jamesa. To była smutna procesja - sam byłem smutny, że musiało do tego dojść. Ale jesteśmy narzędziami w rękach Pana i nie wolno nam

kwestionować Jego decyzji.

Gdy staliśmy ubrani na czarno w sali, w której wystawiono ciało, przypomniałem sobie monografię o pożeraczach grzechów, którzy działali w naszej części kraju: o nędzarzach, którym płacono za zjedanie ciastek układanych na ciele zmarłego, dzięki czemu przejmowali na siebie grzechy z jego księgi życia i w oczach Boga i Kusiciela musieli za nie odpowiedzieć w Dniu Sądu, podczas gdy zmarły mógł bez przeszkód wejść do nieba. To z pewnością zajęcie dla niewierzących. Czekają ich potworny szok, gdy ich trumny się otworzą, a dusze zostaną wezwane przed oblicze sędziego.

Dobrze wypełniłem swój kapłański obowiązek, głosząc słowa pociechy dla wszystkich, łącznie z Florence. Gdyby to zależało tylko ode mnie, dałbym jej nieco czasu na oplakanie męża, ale Tyrone słusznie zauważył, że najlepiej będzie, jeśli zaczniemy działać zaraz po pogrzebie.

Dlatego już kilka godzin później czytałem w swojej bibliotece w świetle lampy gazowej. Florence wybrała się na spacer, by przewietrzyć umysł. Tyrone siedział w kącie i w irytujący sposób obcinał paznokcie.

Rzadko widywałem taki deszcz nawet w tych wilgotnych stronach. Gdyby padało nieco mocniej, sam Noe by sobie nie poradził! Tyrone i ja nie byliśmy jedynymi osobami w bibliotece. Zaproszony na kolację Watkins teraz drzemał w kącie, chrapiąc jak afrykańska bestia. Upoiłem go winem i zaproponowałem, żeby się przespał, zanim wróci do domu. Na tę noc odesłałem służących.

- Paskudna noc - mruknął Tyrone. - Jak ona sobie radzi?

- Nie za dobrze - odrzekłem, podnosząc wzrok znad księgi z komentarzami do Pięcioksięgu. - Na pewno jest teraz bardzo słaba.

- Jak cholera.

- Wolałbym, żebyś powstrzymał się od wulgarnych odzywek w tym domu - skarcilem go. - Jest na nie czas i miejsce, ale na pewno nie teraz i nie tutaj.

- Przepraszam - odburknął i znów skupił się na swoich paznokciach. - Ile czasu minęło? - spytał po chwili.

Zerknąłem na zegar w rogu.

- Prawie godzina. Na pewno nie wytrzyma dużo dłużej. Musi być jej zimno.

Zamknąłem książkę i zjąłem okulary, żeby łatwiej się skupić. Znow rozległa się jej zawodzenie. Początkowo dało się w nim słyszeć gniew, potem smutek, a teraz jawną groźbę.

- Otwórzcie drzwi albo obedrę was ze skóry, sukinsyny! - wrzeszczała z dołu.

Kamyki zagrzechotały o szybę, ale nie mogła znaleźć nic większego, czym mogłaby rzucić i rozbić szkło. Zresztą ledwie słyszałem ten odgłos w potoku wyzwick.

- Niezbyt elegancka dama, nieprawdaż? - skomentował Tyrone. - Wyraża się jak londyńska ulicznica za trzy szylingi. Mogłbym ci niejedno o nich opowiedzieć! Była taka jedna Jessie, która lubiła to robić na wszystkie możliwe sposoby. Pewnego razu...

Z wściekłością trzasnąłem książką w blat stołu.

- Już mówiłem, że nie chcę słuchać tych brudnych opowieści. Jeśli zamierzasz się tak zachowywać, lepiej opuść ten dom!

- Och, przymknij się - mruknął. - Potrzebujesz mnie jak pożywienia.

- Wcale nie!

Nie podoba mi się, jak bezceremonialnie zwraca się do mnie ostatnio. Kiedy już załatwię sprawę Florence, będę musiał zająć się Tyrone'em. Nie jest

bezpiecznie, gdy służa uważa się za pana.

- Do diabła, nie rozumiem, po co trzymasz tę harpię - burknął.

- Chcę ją ocalić przed gorszym losem - wyjaśniłem. - Święta postuga to dla ciebie coś godnego pogardy, prawda?

- Och, święta postuga. To tego od niej chcesz. Ha! - Posłał mi nieprzyzwoite spojrzenie. - Pójde sobie. Nie obchodzi mnie, co będziecie robić. Możesz ją potraktować tak, jak marynarze traktowali Jessie, wszystko mi jedno. - Wyszedł z biblioteki.

Watkins lekko się poruszył, ale spał dalej.

Nagle przy wtórze donośnego trzasku szyba rozpadła się na kawałki! Przebił ją kamień, przeleciał przez pokój i wpadł do kominka. Watkins zbudził się z krzykiem, gdy zasypał go deszcz okruchów szkła. Zrobiło mi się przykro, ponieważ kamień prawie uszkodził płytki wokół kraty. To było bardzo nieprzyjemne zdarzenie.

Teraz, gdy już nie oddzielała nas szyba, głos Florence wstrząsnął całym wnętrzem i nad nim zapanował.

- Otwórzcie drzwi, dranie! Otwórzcie albo je wyważę!

Następnie przez rozbite okno wpadł kolejny grad kamyków. Trafiony kilkoma Watkins zerwał się z miejsca.

- Co się dzieje?! - wykrzyknął.

Udałem, że jestem równie oszołomiony jak on.

- To... to chyba głos pańskiej córki - powiedziałem.

- Florence? Dobry Boże, chyba rzeczywiście!

Ostrożnie podeszliśmy do wybitego okna. Deszcz zaczął do środka, a wiatr wydymał zasłony. Znow pomyślałem o Noem podczas potopu, gdy miotany falami,

modlił się o przetrwanie swojej rasy.

- Zwierzęta! Otwórzcie drzwi. Skręć wam karki! Diabeł mi świadkiem, że skręć wam karki!

- Co się z nią stało, na Boga? - spytał z przerażeniem Watkins.

Wyrzeliśmy przez dziurę w szybie. Florence była na dole, przemoczona, jakby w ubraniu wpadła do spienionego morza. Patrzyła na nas z wściekłością demona.

- Widzę was! - wrzasnęła. - Uduszę was obu gołymi rękami! Otwórzcie drzwi!

Wyciągała ręce nad głowę, jakby chciała spełnić swoją groźbę. Nagle opuściła ramiona i dopadła do kamiennej ściany domu. Próbowwała się na nią wspiąć, jak małpa, i wejść przez okno. Ale mimo że chwytiała się pnączy porastających kamienie, nie udało jej się dotrzeć zbyt wysoko - i szybko spadła na mokry grunt.

Watkins i ja się cofnęliśmy. Przypominała na wpół ludzkie stwory z marynarskich opowieści Tyrone'a.

- Nigdy nie widziałem jej w takim stanie! - wykrztusił Watkins.

Mówił bełkotliwie. Wypity alkohol wciąż mieszał mu w głowie i potęgował strach o córkę.

- Chciałbym móc powiedzieć to samo - odrzekłem cicho.

- Czyli coś takiego już się działo? Zachowywała się tak w przeszłości?

Nie odpowiedziałem, tylko głośno westchnąłem i pozwoliłem, by nasz szacowny sędzia pokoju sam wyciągnął wnioski. Wydawał się bardzo zadowolony.

- Myślałem, że incydent z bratem księdza był odosobnionym przypadkiem.

- Żałuję, że tak nie było - rzuciłem smutnym głosem, tak jak nauczył mnie Tyrone. - Zaraz zejść i ją wpuszczę.

- Czy to bezpieczne? - spytał lekliwie, ale po chwili uswiadomił sobie absurdalność tej sytuacji: ojciec obawiający się własnej córki. - To znaczy oczywiście postaram się ją uspokoić.

Zszedłem do drzwi wejściowych. Wiatr przedostawał się przez szpary między ceglami i można było odnieść wrażenie, że cały dom wyje z udręki.

Florence tłukła w dębowe drzwi na tyle mocno, by je wyważyć. Chociaż były grube, atakowała je z taką zaciętością, że wkrótce mogły pęknąć. Nie rozumiałem, skąd bierze się w jej gołych rękach taka siła. Nie musiałem długo czekać i na moich oczach drewno zaczęło się rozszczybiać. Na drzwiach pojawiły się długie pęknięcia, a ja stanąłem jak wryty. Nagle na drugą stronę przebiło się narzędzie, którego używała: potężny kamień, który zapewne znalazła w ogrodzie. W jej dłoniach zmienił się w siekierę. Przez chwilę zastanawiałem się, czy moje życie nie jest zagrożone. Jeśli jej umysł rozpadł się podobnie jak te drzwi, James nie musiał być ostatnim członkiem rodziny, który zginie z jej ręki.

Ale wtedy zobaczyłem Tyrone'a, który stał na progu kuchni, i jedno jego wściekłe spojrzenie wystarczyło, by dodać mi odwagi. Szybko podszedłem do drzwi, by je otworzyć.

Kiedy przekręciłem klucz w zamku, wiatr wyrwał mi klamkę z ręki, drzwi uderzyły o ścianę i ujrzałem przed sobą odmienioną Florence.

Cóż to był za widok! Chciałbym powiedzieć, że nie zrobił na mnie wrażenia, ale tak naprawdę bardzo mnie poruszył. Ubranie przywarło jej do ciała i przez białą tkaninę prześwitywała różowa skóra, co wyglądało, jakby była obnażona. Takie kruche leśne piękno nie powinno pozostawać w ukryciu.

- Na Boga, moje biedne dziecko! - wykrzyknąłem. - Nie wzięłaś klucza?

- Po co miałabym brać klucz? - spytała ostro i odrzuciła kamień.

Jego śladem podążyły kropelki krwi, ponieważ skaleczyła się w dłoń, gdy tłukła w drzwi raz za razem. Odepchnęła mnie na bok i wparowała do holu.

- Służący zostali odesłani do domu - wyjaśniłem.

- Słyszeliście, jak krzyczę. Stałam tam od godziny.

- Burza jest bardzo głośna.

- Burza? Do diabła z burzą. - Zrzuciła suknię i została w samej bieliźnie. -

Możesz się gapić, wszystko mi jedno! - rzuciła, po czym zaczęła odpinać paski podtrzymujące jej skromne okrycie.

- Florence! - rozległ się okrzyk z góry. Na szczycie schodów stał Watkins i patrzył, jak jego córka przygotowuje się do obnażenia swojego kobiecego ciała przed szwagrem, osobą duchowną. - Przestań! Natychmiast się ubierz! Co, u licha, strzeliło ci do głowy?

- Och, na litość boską, ojcze - mruknęła z irytacją. - Zdeszczu pod rynnę. To mój dom i jeśli zechcę, będę po nim chodziła naga jak Ewa. Chyba kiedyś widziałeś mnie taką? - Sprawiał wrażenie oszpełomionego i aż zatoczył się na schodach. - Chociaż czasami dziwi mnie, że w ogóle zostałam poczęta. Matka musiała być równie pijana jak ty teraz.

- Jak śmiesz! - wykrzyknął. Nie trafił stopą w następny schodek i kurczowo przytrzymał się balustrady. - Zakryj się. Śmierć Jamesa dotknęła nas wszystkich, ale...

- Ciebie nie dotknęła nawet w jednej setnej tak jak mnie - syknęła. - Uważasz, że go znałeś? Bo przesiadywałeś z nim w tawernie, a on kupował ci trunki i zabawiał cię opowieściami? To nic nie znaczy w porównaniu z tym, kim był dla mnie. Możesz znaleźć nowego kompana od kieliszka i rozmów o dziewczkach,

ale ja nie. Więc nie mów mi, w jaki sposób mam obłakiwać męża i jak mam zachowywać się pod własnym dachem. - Odwróciła się i poszła do swojego pokoju.

Paskudna noc, ale z przyjemnym zakończeniem.

21 czerwca 1879

Rano przeżyłem szok - niech Pan oszczędzi mi ich w przyszłości - gdy Tyrone wpadł do mojej sypialni, by mnie obudzić i poinformować, że Florence wyjechała porannym pociągiem do Londynu. Zaczynam się niepokoić, że ten karierowicz będzie snuć zbyt ambitne plany. Nie mogę pozwolić, żeby stał się dla mnie jak Kasjusz dla Cezara.

- Po co tam pojechała? - warknął.

Przez chwilę się zastanawiałem.

- Pewnie szuka Annie White - odrzekłem. - Zgadzam się, że to bardzo niekorzystne.

- I co z tym zrobimy?

- Pojedziemy za nią do Londynu... nie po to, by ją powstrzymać, ale żeby ją ubiec. Znajdziemy Annie i upewnimy się, że nie powie nic, co mogłoby nas wpędzić w kłopoty - wyjaśniłem.

Mój pomysł chyba zrobił na nim wrażenie.

Przygotowałem nas do podróży i już wkrótce czekaliśmy na popołudniowy pociąg z Colchesteru do Londynu.

- Dzień dobry - odezwałem się do naczelnika stacji, gdy staliśmy na peronie.

Pochodził z Mersei i trochę go znałem.

- Dzień dobry, księżę proboszczu.

- Jadę do Londynu śladem bratowej. Miała mi powiedzieć, gdzie się zatrzyma w stolicy.

- Ale zapomniała? - Zachichotał.

- No właśnie.

- Ach, te kobiety. Potrafią zapomnieć własne imię.

- Zgadza się. Mówiła coś panu? A może powiedziała coś innego, co pomogłoby mi ją odszukać?

- Niestety, nie. - Pokręcił głową, a ja postawiłem stopę na schodku. - Och, chwileczkę! Coś jednak pamiętam. Spytała, na której stacji w Londynie staje pociąg. Odpowiedziałem, że na Liverpool Street.

Czekałem, aż powie coś więcej, ale najwyraźniej pochłonęła go stukanie śmierdzącą fajką o but, by wytrząsnąć z niej resztki tytoniu.

- No i? - ponagliłem go.

- No i spytała mnie, jak daleko jest stamtąd do Covent Garden - dodał, wciąż skupiony na fajce. Ucieszyłem się. Ale czy będzie dalszy ciąg tej opowieści? Owszem, był. - „Chce pani obejrzeć przedstawienie kukielkowe?”, spytałem, a ona odrzekła: „Nie, kogoś tam szukam”. Więc poinformowałem ją, że to dwadzieścia minut dorożką.

Kogoś tam szuka. Podziękowałem Panu za Jego Opatrzność.

Cóż to była za podróż! Chociaż zazwyczaj lubię odwiedzać stolicę, jazda rozklekotanym pociągiem zawsze odciska takie piętno na moim ciele, że po przysięgam sobie nigdy więcej tam nie wracać. Tym razem nie było lepiej.

Dotarliśmy na miejsce po południu, a kiedy wysiedliśmy na stacji Liverpool Street, od razu udałem się do miejscowego urzędu pocztowego. Musiałem wcielić

w życie swoją strategię. W środku zastałem niechlujnego człowieczka i przekazałem mu instrukcje oraz funtowy banknot.

Następnie ruszyliśmy na targ w Covent Garden. Obawialiśmy się, że Florence nas zobaczy, zanim my ją wypatrzymy, więc przebrałem się w świeckie ubranie i założyłem kapelusz z dużym rondem. Tyrone zasłonił dolną część twarzy czarną chustką. Dzięki temu wtopił się w tło w tej jaskini złodziei. Jeśli czegoś nienawidzę w Londynie, to na pewno smogu, który wisi nad całym miastem, a światło latarni ulicznych nie jest w stanie się przez niego przebić.

A zatem Florence szukała Annie w Covent Garden. Oczywiście było, dlaczego Annie przyciągnęła to miejsce - tamtejsze kobiety nocy cieszyły się legendarną sławą, stąd aż po Wiedeń. Zresztą rzadko ograniczały swoją działalność tylko do nocy. „Tutaj, drogi panie!”, „Dam panu wiele radości!”. Taki tani grzech. Po drodze zaczęły nas setki umalowanych kobiet w różnym wieku, od dwunastu do pięćdziesięciu lat, jak szacowałem, widząc je z bliska.

- Później, drogie panie! - zawołał Tyrone. - Bądźcie gotowe, ponieważ będę miał wam wiele do zaoferowania.

Nagrodził go chór piskliwych śmiechów. Był gotów skorzystać z ich rozkosznych usług, ale najpierw rozejrzeliśmy się po targu i okolicznych uliczkach. Nie zobaczyliśmy nigdzie Annie ani Florence. To byłby zbytek szczęścia. Do końca dnia spacerowaliśmy, zadając dyskretne pytania, ale niczego nie udało nam się dowiedzieć, więc udaliśmy się do pobliskiego hotelu.

22 czerwca 1879

Kontynuowaliśmy poszukiwania i dopiero po kilku godzinach włączyliśmy na coś natrafiliśmy.

- Szukacie kobiety? - Tym razem to był męski głos.

Szept dobiegł z bramy, a kiedy zanurzyłem się w ciemność, zobaczyłem chudego typha o wyjątkowo dziobatej twarzy. To prawdziwy cud, że wciąż żył, skoro jego ciało było naznaczone takimi dziurami i wykwitami. Postanowiłem zająknąć się do niego nie zbliżać, by nie zarazić się jego przypadłością.

- Nie - odparłem, czekając, co na to odpowie.

Jego złowrogą twarz przecięł uśmiech, a głos się zmienił, jakby mężczyzna mnie znał.

- Wiem. Szukacie dwóch kobiet. Z dalekich stron - rzucił, po czym zniknął w mroku bramy.

Zawahałem się, niepewny, czy iść za nim do jego kryjówki.

- Śmiało - zachęcił mnie Tyrone.

- Niczego o nim nie wiemy - odrzekłem.

Tyrone uśmiechnął się kpiąco.

- Znow cię strach obleciał?

- Milcz! - burknąłem.

- Nie ma problemu, sam pójdę - powiedział. - Zaczekaj tutaj.

Dotknął wypukłości pod kamizelą, gdzie trzymał nóż, którym zabił brata Annie. Wiedziałem, że ma ochotę użyć go także wobec niej.

Uznałem, że w tych okolicznościach roztropnie będzie przystać na jego propozycję, i przeszedłem na drugą stronę ulicy.

- Zapraszam pana - odezwał się stręczyciel do mojego towarzysza.

Pozostałem w wąskiej uliczce, w której mógł się zmieścić najwyżej jeden wóz z owocami lub kwiatami. Brak był wilgotny; zapewne umyło go wodą z Tamizy,

by pozbyć się codziennego brudu. Popatrzyłem w okno na piętrze domu. Za okiennicami widać było zapaloną świeczkę. To zapewne był cel ich wędrówki.

Na końcu ulicy pod latarnią stała kolejna dziewczyna.

- Tylko trzy szylingi, proszę pana! - zawołała. - Na leżąc. Na stojąco dwa.

- Bądź cicho, kurwo - rozkazałem jej.

Czekałem jakieś dwie minuty, coraz bardziej marznąc, aż w końcu Tyrone wybiegł z budynku.

- Musimy się wynosić! - Chwycił mnie za płaszcz i pociągnął za sobą.

- Co się stało? - spytałem.

- Nie ma czasu.

Wbiłem w niego wzrok. Światło latarni odbijało się w jego oczach, które wyglądały, jakby płonął w nich ogień. Odtrąciłem jego rękę i pośpiesznie ruszyłem do drzwi budynku. Nikt nie będzie mi mówił, co mam robić.

Szybko wspiąłem się po schodach i wszedłem do pokoju na piętrze. Spodziewałem się obskurnej sypialni, miejsca pracy stręczyciela i jego gromadki, ale znalazłem coś innego. To była kostnica.

Na łóżku zobaczyłem dwie ulicznice z poderżniętymi gardłami. Miały na sobie typowe dla tego zawodu wulgarne stroje, odstawiające jak najwięcej ciała. Leżały na postaniu w nieładzie, a ich krew zbrzygała nie tylko podłogę, ale także ściany. Żadna z nich nie przypominała Annie czy Florence.

Ale ktoś nadal żył.

- Mój, mój... - wystękał alfons, który bezwładnie opierał się o stół. Wyciągał do mnie jedną rękę, a drugą przytrzymywał wnętrzości wylewające się z jego tułowia. - Proszę... - To słowo zmieniło się w syk węża, co było bardzo na miejscu, skoro w tym pokoju niewątpliwie przebywał sam diabeł.

- Mówiłem, że musimy się wynosić.

Ten głos dobrze znałem. Tyrone podążył za mną i teraz stał za moimi plecami.

- W co ty nas wpakowałeś, na Niebiosy? - spytałem.

- Uciszyć się - rozkazał szorstko. - W tych sprawach to ja dowodzę.

- Wody... lekarza... - Stręczył wciąż żył i jęczał.

Tyrone popatrzył mi w oczy. Odwróciłem się na pięcie, a on podszedł do mężczyzny na podłodze i ten już niczego więcej nie powiedział.

- W tych sprawach to ja dowodzę - powtórzył Tyrone.

Usłyszałem cichy szelest, jakby wycierał metal w tkaninę.

Ponownie rzuciłem okiem na całą scenę. Nadalały się do tanich krwawych powieści. Rzeź rodem ze Starego Testamentu. Ale oczywiście to miało sens. Ręka Boga działała w tym pokoju, podobnie jak w dawnym Izraelu.

Mimo wszystko Tyrone mnie rozgniewał.

- Nie rób więcej takich rzeczy! - poleciłem. - Wykraczasz poza granice przyzwoitości.

- Właśnie dlatego mnie potrzebujesz! - rzucił z wściekłością.

- Co masz na myśli?

- Co mam na myśli? - prychnął. - Tylko to, co już wiesz. Jestem twoim pozeraczem grzechów.

Stałem jak wryty, zaskoczony tym stwierdzeniem.

- Skąd w ogóle znasz to pojęcie? - spytałem.

- Skąd? Tam, gdzie dorastałem, wszyscy je znają.

- No cóż, nie ma wątpliwości, że to był grzech. - Wskazałem na tę krwawą scenę, w tej chwili nieskory do teologicznej dyskusji.

- One grzeszą czterdzieści razy dziennie. - Powiedział to lekceważącym tonem, jakby ani trochę nie obchodziło go życie tych kobiet. Potem tracił stopą nogę jednej z prostytutek. Noga opadła i zwiesiła się z łóżka. - Grzech zawsze do nas wraca, jestem tego pewien.

- Ja nie jestem.

Przeraźliwie wyszczerzył zęby.

- Więc może powinieneś zmienić zdanie. - Jego słowa mnie zmroziły. - A teraz chodź - Chwycił za mój rękaw. Tym razem nie zamierzał przyjąć odmowy. Kiedy byliśmy na progu, wyjrzał na ulicę, trzymając w ukryciu swój podstępny nóż - Droga wolna. - Przywołał mnie gestem.

Po wyjściu z budynku wsunął nóż do skórzanej pochwy pod płaszczem. Pośpiesznie ruszyliśmy ulicą.

- Teraz już mnie pan chce? - To była ta sama zdzira, która zaczęła mnie wcześniej. - Wygląda pan na gotowego.

Tym razem odpowiedział jej Tyrone.

- Ja jestem gotowy - rzekł, całkiem mnie zaskakując. - Nawet bardzo.

Jku mojemu zaskoczeniu ruszył ku niej.

- Postradałeś zmysły? - spytałem szeptem, doganiając go.

- Nie, po prostu jestem głodny. - Zachichotał.

Odrzucił mnie i zbliżył się do dziewczyny - młodszej niż jej zarżnięte koleżanki po fachu w pokoju na piętrze - po czym gwałtownie chwycił ją za ramiona, obrócił, nachylił do przodu i rzucił się na nią jak pies na sukę. Odwróciłem wzrok, wściekły, że muszę w tym uczestniczyć, tym bardziej że działo się to w tak niefortunnej chwili.

- *Tu jest sześć szylingów dla ciebie - odezwał się w końcu. - Kup po kielichu dziewczynom na górze. Doktor Black stawia. - Postał mi przez ramię kpiący uśmiech.*

- *Dziękuję panu i doktorowi - odpowiedziała radośnie.*

Położył dłoń na moich plecach, dając mi znać, że jest gotowy. Ruszyłem przed siebie, zastanawiając się, ile czasu minie, zanim porzucę towarzysza, pozwalając, by spotkał go los, na jaki zastużył, czyli niewątpliwie szubienica.

Starąłem się - bardziej niż on - by w drodze powrotnej do pokoju, który wynająłem niedaleko dworca, widziało mnie jak najmniej ludzi. Tyrone najwyraźniej rozkoszował się swoim niedawnym czynem i chciał być widziany.

- *Chodźmy do St James's Park. Tam jest więcej gąsek - oznajmił. - Biegają między żywopłotami i można je oskubać.*

Gdyby nie trzymał dłoni na rękojeści noża, mógłbym go skarcić mocniej niż słowem, ale tylko nazwałem go głupcem, używając pięciu różnych określeń, i niemal zawlokłem do naszego hotelu. Wybrałem okreśną drogę, by zmniejszyć ryzyko powiązania nas z tamtym przybytkiem i rozpoznania przez władzę. Tyrone najwyraźniej nie bał się szubienicy, ale mnie taka perspektywa wcale nie pociągała.

Kiedy dotarliśmy do hotelu, właściciel zaproponował nam kolację. Ale gdy wspomniał, że poda gęś, Tyrone wybuchnął śmiechem i musiałem wymierzyć mu kopniaka, by go uciszyć.

24 czerwca 1879

Tyrone i ja długo szukaliśmy uciekinierek. Sprawdzaliśmy w pensjonatach, domach rozpusty i misjach chrześcijańskich. Bezskutecznie. Ogarniała mnie coraz większa wściekłość. Tyrone był gotów rozpruć kolejne dziwki, ponieważ uważał, że

jedna z nich ukrywa Florence, ale go powstrzymałem. Nie pomogłoby nam dalsze zwracanie na siebie uwagi. W końcu dopisało nam szczęście.

Trzeciego ranka Tyrone przyszedł do mojego pokoju. Nie było go przez całą noc – nie chciałem wiedzieć, co robił – i zdobył nowe informacje. Kazał mi poczekać w hotelu i zapowiedział, że wieczorem przyprowadzi do mnie Florence i wioskową dziewczynę. Podziękowałem Bogu.

Zrobiłem, jak sobie życzył, i cierpliwie czekałem, jednak nie dość, że nie sprowadził do hotelu obu uciekinierek, to jeszcze po północy pojawił się z głęboką raną na ramieniu. Wyciągnąłem z niego, że ta wyprawa, pomimo jego wcześniejszych zapewnień, okazała się kląpą. Wtedy zrozumiałem, że nie powinienem wierzyć w ani jedno słowo tego człowieka. Tamtej nocy położyłem się wściekły i prawie nie zmrużyłem oka.

Ale ponownie dzięki niech będą Najwyższemu!

Około ósmej rano obudził mnie niechliwny urzędnik pocztowy z dworca przy Liverpool Street. Kiedy wpuściłem go do pokoju, wręczył mi list.

- Chodzi o tamtą sprawę, o której rozmawialiśmy – rzekł. - Dziś rano ta wiadomość została wysłana pociągiem do Colchesteru, na adres, na który miałem zwracać uwagę.

Rzeczywiście, list był zaadresowany do naszego szacownego sędziego pokoju Watkina. Od razu rozpoznałem charakter pisma jego córki.

- Dobrze się pan spisał – powiedziałem.

- Zdaje sobie ksiądz sprawę, że zatrzymywanie korespondencji wysłanej za pośrednictwem królewskiej poczty to przestępstwo – powiedział niewinnym tonem.

Westchnąłem.

- Mój towarzysz panu zaślaci.

- Towarzysz? - powtórzył ten idiota i się rozejrzył.

Nie byłem w nastroju na takie głupoty, więc wyjąłem pieniądze spod poduszki i odliczyłem sześć szylingów. Uświadomiłem sobie, że tyle samo Tyrone zapłacił ulicznicy.

- Może pan odejść - rzuciłem.

- Tak jest, ojczu. - Wyglądało na to, że nie rozumie nawet prostych słów. Nie lubię, kiedy nieznajomi nazywają mnie „ojcem”. Zupełnie jakbym miał wobec nich jakieś duchowe czy pasterskie obowiązki.

Otworzyłem przesyłkę.

- Florence? - spytał Tyrone.

- Z pewnością.

Dokładnie przeczytałem list. Moja bratowa opisywała, co się z nią działo przez ostatnie trzy dni. To była zabawna lektura. Ale najważniejsze było to, że list został napisany na hotelowej papeterii.

W ten sposób bez trudu zdobyłem jej adres: Hotel Crown, Bishopsgate.



Rozdział 17

Simeon podniósł wzrok znad kartek i przez chwilę rozmyślał o tym, co przeczytał i czego się dowiedział o niepozornym wiejskim proboszczu. Przypomniawszy sobie, jak Watkins mówił mu, że Oliver Hawes został wydalony z wojska za tchórzostwo i dezercję. Simeon zastanawiał się, czy ten nowy psycholog mógłby znaleźć związek między tamtym upokorzeniem a tym, jakim człowiekiem stał się Hawes. Ale na razie nie miał czasu na takie rozważania; potrzebował informacji.

– Napisał, że z twojego listu do ojca dowiedział się, co przeszłaś w Londynie, ale pominął wszelkie szczegóły. Opowiedz mi coś więcej? – zwrócił się do Florence.

– Nie lubię sobie tego przypominać.

– Rozumiem. Nie mogę wiedzieć, jak się wtedy czułaś, ale na pewno było trudno – powiedział Simeon, na co pokiwała głową. – Mogę zaproponować coś jeszcze, co poprawi ci humor?

– Na przykład?

– Może sama coś podsuniesz.

Zamyśliła się.

– Co się stało z ciałem Olivera? – spytała.

– W tej chwili jest w kostnicy szpitala w Colchesterze.

– Pochowacie go w rodzinnym grobowcu?

– Tak zakładałem – odrzekł, a kiedy wypowiedział te słowa, zrozumiał, do czego Florence zmierza. – A masz inny pomysł?

– Owszem. Chcę, żebyś na jego miejscu pochował Johna White’a. Zasłużył na porządny pogrzeb.

To było szokujące żądanie. Simeon najpierw pomyślał, że to niemożliwe, ale po chwili doszedł do wniosku, że wcale nie byłoby to trudne. Mógł dopilnować umieszczenia ciała poławiacza ostryg w trumnie i umieścić ją w grobowcu. Nikt poza nim by nie wiedział, kto spoczywa w środku. W przeciwnym razie White’a czekał pochówek w zbiorowej mogile.

– A co z ciałem Olivera? – spytał.

Blask bijący od ognia lśnił na jej żółtej jedwabnej sukience, zupełnie jakby Florence stanęła w płomieniach.

– Pochowaj go na błotnistej równinie, tam gdzie znalazłeś Johna. Niech zatonie. Obciąż ciało, żeby nikt go nie znalazł.

Watkins zasłonił uszy.

Jej planowi nie dało się odmówić sprawiedliwości, zrównoważenia krzywd. Ale co innego Simeon mógłby jej zaproponować?

– Tak zrobię – obiecał. Przez chwilę milczeli. – Teraz opowiesz mi, co cię spotkało?

– Masz czas tego wysłuchać?

– Mam cały czas na świecie.

Usiadł w fotelu proboszcza i zamienił się w słuch.

– Tamten oskarżycielski liścik, który Oliver przesłał do domu, aby wyglądało na to, że Annie zarzuca Jamesowi, iż ją wykorzystał... – zaczęła cicho, zupełnie jakby sama to sobie przypominała. – Wydawało mi się podejrzane, że w tym samym czasie jej brat miał wypadek, a następnego dnia Annie próbowała popełnić samobójstwo. Odwiedziłam ją więc, by odkryć, co się stało.

– Rozumiem.

– Oczywiście zastałam Annie w bardzo złym stanie zdrowia i niewiele się od niej dowiedziałam, jednak to, co mi zdradziła, wzbudziło we mnie podejrzenia, że postąpiłam niesprawiedliwie wobec Jamesa, oskarżając go na podstawie jednego liściku. Ale Annie była bardzo skryta. Dlatego kiedy usłyszałam, że wróciła do zdrowia i pojechała pierwszym pociągiem do Londynu, wiedziałam, że muszę za nią podążyć. – Nalała sobie wody

z dzbanka. – Najpierw postanowiłam zgubić wszystkich prześladowców. Byłam sprytna jak lis, Simeonie. Zadałam sobie pytanie, dokąd taka dziewczyna jak Annie mogła trafić w Londynie. To, niestety, dość oczywiste, prawda? Jeśli jesteś młodą kobietą, która nie może liczyć na wsparcie rodziny, kończysz na ulicy, w jedynej branży niewymagającej doświadczenia. Dlatego rozgłosiłam, że jadę do Covent Garden, gdzie pracuje duża część tych biednych kobiet. Moi prześladowcy uznaliby, że mam jakieś informacje dotyczące jej pobytu w tym miejscu.

– Bardzo sensownie.

– Owszem. Ale tak naprawdę nie miałam pojęcia, gdzie jej szukać. Rzeczywiście mogła być na ulicy, ale co z Whitechapel, Camden czy Mayfair? Jest bez liku miejsc, w których kwitnie ten proceder. Dlatego postanowiłam rozpocząć poszukiwania, wykorzystując w tym celu pieniądze, które zabrałam z sejfu Jamesa. Najpierw udałam się do pewnego punktu handlowego, gdzie nabyłam coś, co nie spodobałoby się wam, mężczyznom.

– Jesteś pewna, że nie spodobałoby się nam?

– Zdecydowanie. – Zawahała się. – Większości mężczyzn. No cóż, wkrótce się przekonamy. – Na chwilę umilkła. – Właściciel tego przybytku polecał też usługi pewnego człowieka, który miał gabinet przy jednej z tylnych uliczek Soho, nad sklepem z wyrobami tytoniowymi. Kiedy tam trafiłam, przez unoszące się w nim opary, a także ogólne zadymienie Londynu miałam wrażenie, że lada chwila zemdleję. Mężczyzna, który tam działał, nazywał się Nathaniel Brent. „Nie mam pojęcia, jakie jest moje prawdziwe nazwisko. Znalaziono mnie w Brent, więc tak mnie nazwano, bo to dobrze brzmi”, wyjaśnił. – Florence doskonale odtworzyła akcent mężczyzny, jakby wychowała się na londyńskich ulicach.

– A kim jest ten pan Brent?

– Pan Brent... czy jak zechcemy go nazywać... opisał siebie jako „agenta informacyjnego”. Mówiąc w skrócie, jeśli chcemy kogoś wytropić, jak rannego jelenia, on nam pomoże. Jest dosyć szczupły i wysoki. I dość władczy. Powiedziała mu, że chce odnaleźć swoją byłą służącą, która prawdopodobnie wpadła w tarapaty. Takie jak zwykle. Usiadł na krześle... jedynym w całym pokoju, a ja musiałam stać, co wydało mi się trochę nie na miejscu. Wreszcie przemówił. „Tak się dziwnie składa, panienko, że prawie każdy, kto wchodzi przez te drzwi, opowiada mi jakąś historię, która potem okazuje się nieprawdziwa”. Poczzerwieniałam, co mnie rozzłościło.

„Więc może podasz mi prawdziwy powód, dla którego chcesz odnaleźć tę Annie White, i oboje będziemy udawać, że to była twoja pierwsza wersja?”

Usta Simeona zmarszczyły się pod wpływem rozbawienia.

– Zdenerwował mnie – ciągnęła Florence – ale przynajmniej pokazał, że ma głowę na karku. Dlatego powiedziałam mu prawdę. „Nie lada opowieść”, mruknął, chociaż mówił raczej do siebie niż do mnie. „Biedna lafirynda. No dobrze. Wracaj do siebie, a ja cię odwiedzę, kiedy będę coś wiedział. Przedstawię się jako pan Cooryan. Jeśli będzie się z tobą chciał spotkać ktokolwiek inny, narób rabanu. Pamiętaj: pan Cooryan”. Odparłam, że jeśli zjawi się ktoś nieproszony, nie będę krzyczała, tylko użyję czegoś skuteczniejszego. Otworzyłam torbę i pokazałam mu to, co tamtego popołudnia kupiłam. To był całkiem ładny czterostrzałowy pistolet skałkowy. Zgrabna broń, która idealnie mieści się w kieszeni. Zanim ktoś domyśli się, że go mam, dostanie kulkę w głowę. – Wbiła wzrok w Simeona. – Co o tym myślisz?

– To konieczność we współczesnym świecie – rzucił Simeon i wzruszył ramionami, choć podejrzewał, że liczyła na ostrzejszą reakcję.

– No tak. – Odwróciła się do Watkinsa. – Wybacz, ojczy, wiem, że wychowałeś mnie na hafciarkę, ale czasy się zmieniają, nieprawdaż?

Watkins chciał odpowiedzieć, ale tylko jeszcze bardziej się przygarbił.

– No więc wróciłam do pensjonatu i czekałam. Czy wiesz, Simeonie, że na ulicach Londynu można znaleźć prawdziwą armię pomocników? Za niewielką cenę rozbiegną się po mieście i będą wypytywać w szpitalach, tawernach i przy wejściach dla służby o dowolną wskazaną osobę. Większość informacji, które zdobędą, okaże się bzdurami, ale w końcu ktoś z nich dowie się prawdy.

– Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

– A tak właśnie jest. Kilka dni później Nathaniel przyniósł mi to, czego szukałam. To był adres na St George’s Fields w Southwark.

St George’s Fields. Simeon natychmiast zrozumiał. Widział to miejsce na własne oczy i współczuł każdemu, kto tam mieszkał.

– Domyślam się, o jakim adresie mówisz.

– Nie wątpię. Nathaniel spytał mnie, czy wiem coś o takich miejscach. Odparłam, że czytałam o nich, ale nigdy nie sądziłam, że któreś z nich odwiedzę. „Niewielu ludzi to robi, panienko”, odpowiedział. A jednak już następnego dnia jechałam dorożką do takiego przybytku.

– Szpital dla Nawróconych Prostytutek, prowadzony przez siostry magdalenki – wtrącił Simeon. – Nie da się tego zapomnieć.

– Otóż to. Stałam przed dużym ceglanym budynkiem, który przypominał więzienie. – Przesunęła dłonią po szybie swojej szklanej celi. – Byłeś kiedyś w środku?

– Nie, ale koledzy po fachu opowiadali mi poruszające historie.

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Jest zamknięty na cztery spusty i ma okna zabite deskami, żeby nikt nie zaglądał do środka. Dzięki temu pacjentki nie mogą kusić klientów.

– Tak słyszałem.

– Najwyraźniej mężczyźni podnieca widok upadłych kobiet. Od razu pomyślałam o Jamesie i o tym, czy jego również by to emocjonowało. – Łagodnie pokręciła głową. – Ale odbiegam od tematu. Podeszłam do bramy i opowiedziałam historyjkę o tym, że zamierzam udzielić wsparcia finansowego szpitalowi, ale najpierw chcę, by mnie po nim oprowadzono. Staralam się zachowywać tak samo jak ty, ojczyste, kiedy masz więźnia na ławie oskarżonych. Byłam władcza i napuszczona.

Watkins przywołał resztki godności.

– Prawo trzeba szanować, Florence.

Po raz pierwszy, odkąd Simeon ją znał, straciła panowanie nad sobą.

– Prawo? Ha! – wykrzyknęła i uderzyła dłonią o szybę. – To twoje prawo mnie tutaj posłało! Twoje prawo zadba o to, żebym nigdy nie wyszła na wolność. Czy nie tak? Nie ma znaczenia, czy skazano mnie za zabójstwo, czy za szaleństwo. I tak jestem tutaj zamknięta i pozostanę tu aż do śmierci!

Watkins potarł oczy.

– Przykro mi, córeczko – odrzekł. – Zostałem oszukany.

– Nie tylko pan – odezwał się Simeon, żeby załagodzić sytuację. – Nie był pan pierwszy ani ostatni.

Watkins przyjął te słowa z wdzięcznością i obaj przez chwilę patrzyli, jak pierś Florence faluje od powstrzymanej wściekłości. Odwróciła się i minęło sporo czasu, zanim znów na nich spojrziała. W jej oczach lśnił lodowaty gniew.

– Wrócę teraz do swojej opowieści, ale jeszcze porozmawiamy, ojczyste. Porozmawiamy.

Watkins zerknął na Simeona.

– Chuda pazerna strażniczka... – mówiła dalej jego córka – widziałam, że tylko czeka, by napchać sobie kieszenie... przystała na moją prośbę i zadałam jej kilka pytań. Odpowiedziała na nie bardzo chętnie. Czy wiesz, że jedna trzecia tamtejszych pacjentek nie skończyła trzynastu lat?

– To obrzydliwe – przyznał Simeon. – A najgorsze, że niewiele możemy z tym zrobić. Ich rodziny nie mają wyboru: inaczej grozi im śmierć z głodu.

– Hm... No cóż. Nakierowałam rozmowę na kary dla pacjentek, które nie są w pełni nawrócone. Kobieta popatrzyła na mnie niespokojnie. Najwyraźniej nie powinnam była o to pytać. „Istnieje niebo i piekło. Bóg przygotował dla nas nagrody i kary, więc my, jako jego narzędzia, również musimy je stosować”, oznajmiłam i wtedy wspomniała o drobnych konsekwencjach, takich jak ograniczanie posiłków, zakaz rozmawiania, wydłużenie dnia pracy w maglu z czternastu do szesnastu godzin. „To wszystko drobiazgi. Nie podziałają na jawno grzesznice”, odparłam i zasugerowałam, że przekażę pieniądze innej instytucji. Wtedy strażniczka, spanikowana, powiedziała mi o pomieszczeniu, które nazywają „karcerem”. Wiedziałam, że nie ma ochoty o tym mówić, bo Nathaniel Brent właśnie tam kazał mi zajrzeć. Spytałam, co to takiego, a ona wyjaśniła, że trafiają tam najgorsze z kobiet. Te, które odmawiają pracy. Czekają tam na nie lodowate kąpiele i odizolowanie od reszty pacjentek. Stosuje się tę karę wyłącznie wobec kobiet, które nie mogą wyjść na wolność. „Dlaczego nie mogą wyjść?”, spytałam. „Z różnych powodów. Jedna na przykład obrabowała klienta. Tak bardzo prosiła o litość, że sędzia w końcu zgodził się uchronić ją od stryczka, pod warunkiem że przyjdzie tutaj i ukorzy się przed Bogiem”, wyjaśniła. „Bardzo postępowy sędzia”, zauważyłam. Przyznała mi rację. „Ale dlaczego ona nie chce pracować?”, zapytałam. „Trudno powiedzieć. Nie jest umierająca. Umierające wypuszczamy na ulicę”. Powiedziała to z całkowitą bezduszością.

Simeon nie był tym ani trochę zaskoczony.

– Oznajmiłam, że chcę porozmawiać z tą kobietą i upewnić się, że naprawdę żałuje za swoje grzechy. Oczywiście próbowała mnie zbyć, ale nie ustępowałam i ostatecznie się zgodziła. Długo kluczyłyśmy po budynku, aż w końcu stanęłyśmy przed żelaznymi drzwiami na końcu długiego korytarza. Kiedy się do nich zbliżyłyśmy, usłyszałam dziwny odgłos. To nie była mowa ani płacz. Gdy strażniczka otworzyła drzwi, z przerażeniem zobaczyłam, co się dzieje. Annie leżała naga na podłodze,

skulona, i tak mocno szczękała zębami, że jęk wydobywający się z jej ust był poszatowany na krótkie nuty, niczym pieśń szalonego ptaka. „Lodowate kąpiele”, wyjaśniła strażniczka i Bóg mi świadkiem, że była z tego dumna. „Niedługo nakłonimy ją do pracy w maglu”, dodała. Potem odezwała się do Annie, głośno i powoli, jak do małego dziecka: „Niedługo będziesz pracowała. Chyba że wolisz trafić do Tyburn”. Wtedy Annie po raz pierwszy podniosła wzrok. Dopiero po dłuższej chwili mnie rozpoznała, lecz tylko patrzyła z niedowierzaniem. Próbowwała coś powiedzieć, ale bezskutecznie. Chyba nie tylko dlatego, że tak mocno szczękała zębami. W ostatnim miesiącu targnęła się na swoje życie, straciła brata, uciekła do Londynu, została aresztowana jako ulicznica i złodziejka, po czym trafiła do tego strasznego miejsca. Kto po czymś takim mógłby pozostać w pełni władz fizycznych i umysłowych?

Florence na chwilę odwróciła wzrok, ale zaraz podjęła opowieść.

– Uklękałam przy niej i powiedziałam najłagodniej, jak potrafiłam: „Jedziemy do domu, Annie”. „Nie rozumiem, jak to?”, odezwała się strażniczka. „Zabieram ją do jej matki. Chyba że chce pani, żebym napisała do wszystkich, od sędziego po arcybiskupa Canterbury, i opowiedziała o tym, jak nadużywanie okazanego wam zaufania. Proszę przynieść jej ubranie, zabieram ją do domu”.

Florence uśmiechnęła się do swoich wspomnień. Na twarzy Simeona też pojawił się uśmiech.

– To dało jej do myślenia i po dziesięciu minutach stałyśmy już przed bramą. – Florence popatrzyła na rząd okien w bibliotece, jakby mogła przez nie zobaczyć Londyn. – Usiadłyśmy na St George’s Fields, w zasięgu wzroku od szpitala, lecz odwrócone do niego plecami. Biedaczka była zbyt wyczerpana, żeby dalej iść. „Annie, jedziemy do domu”, powtórzyłam, ale tylko wbijała we mnie wzrok. Spędziłyśmy tam jeszcze godzinę, w ogóle się nie odzywając. Kupiłam małe piwo i kilka ciastek od ulicznego handlarza, a ona pochłonęła je tak szybko, że bałam się o jej zdrowie, ale jedzenie przywróciło jej nieco sił. W końcu mogła wstać i pójść ze mną. Boże, szkoda, że to nie był koniec naszych kłopotów.

– Coś mi mówi, że raczej dopiero początek – wtrącił Simeon.

– Bardzo jesteś przenikliwy. Kiedy tak szłam z Annie, która dygotała, mimo że wieczór był ciepły, po drugiej stronie ulicy zobaczyłam jakiegoś mężczyznę. Był ubrany na czarno, miał nisko naciągnięty na głowę duży kapelusz i twarz zasłoniętą szalem. Nawet jeśli go znałam, nie byłam

w stanie go rozpoznać. Ale nie miałam powodu, by zwracać na niego uwagę. Szłyśmy w kierunku Tamizy, przez którą zamierzałyśmy się przeprosić nowym mostem. Nie mogłam się powstrzymać i obejrzałam się na ten koszmarny szpital. I wtedy zauważyłam, że mężczyzna w czarnym stroju za nami idzie, dotrzymując nam kroku. Intuicja podpowiedziała mi, że należy czym prędzej uciekać, więc chwyciłam Annie pod rękę i pośpiesznie ruszyłam przed siebie. Widziałam, że mężczyzna się zatrzymał i popatrzył za siebie, tam, skąd przyszedł, co było dziwne. Potem uniósł rękę i nagle, jakby znikąd, zjawił się pędzący powóz. Woźnica gnał na złamanie karku. Mężczyzna wskoczył na schodek i zawisł na burcie powozu, który jechał w naszą stronę. To był przerażający widok.

– Nie wątpię.

– Krzyknęłam do Annie, żeby uciekała, i puściłyśmy się biegiem w kierunku pobliskiego wlotu uliczki. Gdyby była zdrowa i w pełni sił, pewnie byśmy zdążyły. Ale była tak osłabiona, że spowalniała ucieczkę. Kiedy powóz znalazł się w odległości zaledwie jarda, mężczyzna w czarnym stroju skoczył w naszą stronę i przewrócił nas obie na ziemię. – Florence na chwilę umilkła i ciężko dysząc, próbowała wziąć się w garść. – Z całej siły kopnął Annie i chyba pozbawił ją przytomności. Woźnica, jasnowłosy tępak, zeskoczył z powozu, prosto na mnie, i pozbawił mnie tchu. Związał mi ręce za plecami i zarzucił worek na głowę.

Simeon aż zawrzał gniewem, gdy wyobraził sobie Florence potraktowaną jak zwierzę.

– Ten w czerni zawołał: „Wpakuj te suki do powozu”. Zostałam podniesiona i wrzucona do środka. „Leż spokojnie, a nic ci nie będzie”, usłyszałam. Chciałabym powiedzieć, Simeonie, że byłam dzielna i stawiałam opór, ale umierałam ze strachu. Spytałam, kim są, na co odpowiedzieli tylko, że „to bez znaczenia”. A potem poczułam na karku coś zimnego. To było ostrze. Próbowałam się od niego odsunąć, przyciskając się do podłogi, mimo że rozpędzony powóz podskakiwał na wybojach, wioząc nas... dokądś. Mężczyzna wrzeszczał: „Szybciej, na miłość boską! Szybciej!” i bębnił w dach. O mało nie straciłam zębów, kiedy moja twarz uderzyła o podłogę. „A teraz stój!”, zawołał i powóz nagle się zatrzymał. Słyszałam ptaki. Może byliśmy nad rzeką, ale pewnie była to tylko moja wyobraźnia. „W porządku, ile mi za nią dasz?” Doszłam do wniosku, że ten człowiek zaraz nas sprzeda. Jak się domyślasz, byłam przerażona. Czy nas zamkną? Wyślą za morze? Zabiją? Jednak po chwili zrozumiałam, co się

dzieje, bo mężczyzna o zasłoniętej twarzy wyszeptał mi do ucha: „No jak, pani Hawes? Ile pani jest warta?”.

– A więc chodziło im o ciebie – rzekł Simeon.

– Otóż to. Zmroziło mnie to znacznie bardziej, niż gdyby porwali dwie przypadkowe bezbronne kobiety z ulicy. „Ale nie dla pani wygodne życie na plecach”, rzucił, wyraźnie rozbawiony swoimi słowami. Powiedziałam, że mogę mu załatwić pieniądze. „Mój ojciec jest bogaty. Poza tym jest sędzią pokoju, więc władze o mnie nie zapomną”, dodałam. „Sędzią pokoju? Dobrze o tym wiem, pani Hawes. Jest zapijaczonym sędzią. Kto by się nim przejmował?” – Florence przeniosła wzrok na ojca. – Ciekawe, czy on cię znał, ojczu.

– Och, Florence – jęknął Watkins.

Lekceważąco machnęła ręką.

– Nieważne. Powiedziałam mu, że masz wielu przyjaciół. „Przyjaciół? Watkins? Ha!”, prychnął kpiąco. Jego pogarda zwielokrotniła mój strach. Wyraźnie nie przejmował się prawem ani konsekwencjami, więc wyobrażałam sobie nasz los w najczarniejszych barwach. Miałam na to mnóstwo czasu, bo czekałyśmy wiele godzin. Nie mam pojęcia, co się w tym czasie działo ani na co właściwie czekałyśmy, ale słyszałam dobiegające z dali odgłosy: łoskot powozu, szczekanie psów. Czas jest ciężkim brzemieniem, gdy nie masz niczego więcej. Nauczyłam się tego w tamtym powozie i w tej celi. – Znow popatrzyła na ojca. – W końcu mężczyzna się odezwał. „Pani Hawes, już jestem na panią gotowy”, rzekł. „Błagam”, zwróciłam się do niego, ale odpowiedział: „Może pani błagać do woli, bardzo mi się to podoba”. Wyglądało na to, że przyszedł nasz kres.

– Ale tak się nie stało – wtrącił Simeon.

– Nie. Kiedy sądziłam, że nasz los jest już przesądzony, wszystko znow się odmieniło.

– To znaczy?

– Kiedy leżałam spętana i ze strachu nie mogłam złapać tchu, nagle rozległa się najbardziej ogłuszająca eksplozja, jaką kiedykolwiek słyszałam. Zupełnie jakby cały powóz wyleciał w powietrze. – Zamilkła, pozwalając im odgadnąć, co się stało. – Ktoś wrzeszczał z bólu. Miałam serce w przetyku i niczego nie widziałam. Zaczęłam jak najgłośniejszym krzykiem i próbowałam uwolnić ręce, lecz były mocno związane.

Simeon poczuł, że tętno mu przyspiesza.

– A potem ostrze... – mówiła dalej Florence – zapewne to samo, które wcześniej przyciskano mi do szyi... wbiło się w moje nadgarstki. „Proszę, nie!”, zawołałam, czując, jak krew spływa mi po dłoniach. Ale wtedy usłyszałam głos, którego się nie spodziewałam. „Już wszystko dobrze, pani Hawes. To ja, Annie”. Sznury wokół moich nadgarstków pękły. Annie ściągnęła mi worek z głowy i zobaczyłam podłogę powozu. Obok znajdowała się twarz gamoniowatego blondyna, który mnie zaatakował. – Kącik ust Florence uniósł się w okrutnym grymasie. – Mówię, że znajdowała się tam jego twarz, ale tak naprawdę była tylko jej połowa. Ujrzałam czterostrzałowy pistolet, który nosiłam w kieszeni. Annie trzymała go w dłoni i właśnie z niego wystrzeliła.



Rozdział 18

Simeon skrzyżował z nią spojrzenia.

– Czyli to był udany zakup.

Oczy Florence rozbłysły.

– Widywałam lisy rozrywane na strzępy, więc takie widoki mnie nie szokują. Nie obchodził mnie ten człowiek, którego twarz rozbryzgnęła się za jego plecami. Annie w końcu przecięła pozostałe więzy, a wtedy zobaczyłam, że w powozie jesteśmy tylko my dwie oraz martwy porywacz.

– Los się odwrócił – skomentował Simeon.

– „Gdzie ten drugi? Jego też dopadłaś?“, spytałam, ale Annie pokręciła głową. „Uciekł“, odrzekła i wskazała otwarte drzwi. Wyrzałam na zewnątrz. Było ciemno, a my znajdowałyśmy się na pustkowiu nad Tamizą. Nigdzie nie widziałam zbiegłego mężczyzny. Spytałam Annie, jak się czuje. „Lepiej, pani Hawes – odrzekła. – Kto to był?“ Odparłam, że nie wiem. Musiałam to przemyśleć, a słowa zamaskowanego mężczyzny wskazywały, że trop prowadzi do wydarzeń na Ray. Za wszelką cenę chciałam poznać prawdę. „Annie, ludzie twierdzą, że to mój mąż... doprowadził cię do tego upodlenia“, powiedziałam, na co popatrzyła na mnie tępym wzrokiem. „Czy to był James?“, spytałam. Pokręciła głową. „Nie, pani Hawes, to nie on. To sprawka proboszcza“. A więc poznałam prawdę. Uświadomiłam

sobie, że Oliver ją skrzywdził i zamordował Johna. „Annie, musimy...”, zaczęłam, ale chwyciła mnie za ramię. „Tam!”, wykrzyknęła. Obróciłam się gwałtownie i zobaczyłam, że mężczyzna w czarnym szalu otwiera drugie drzwi powozu. To jeszcze nie był koniec. Wyrwałam Annie pistolet, wycelowałam i pociągnęłam za spust. Cóż to był za huk. – Uśmiechnęła się. – Całkowicie mnie ogłuszył, a odrzut wyrwał mi broń z ręki. Ale przez obłok dymu dostrzegłam, że trafiłam porywacza w ramię. Jego rozerwana koszula szybko nasiąkała krwią. Wiedziałam, że jeszcze się go nie pozbyłam, bo patrzył mi w oczy spod przymrużonych powiek. A potem otworzył drzwi na oścież.

– Wynika z tego, że nie odczuwał bólu – zauważył Simeon.

– Nie dawał po sobie poznać, że cierpi. Krzyknął: „Chodź tutaj!” i dźwignął się na nogi, ale podniosłam pistolet i ponownie wypaliłam. Zdołał się jednak uchylić. Annie wrzeszczała. Znów stanął w drzwiach i zrozumiałam, że tym razem nie mogę spuścić. Odetchnęłam, wyobraziłam sobie, że pistolet jest częścią mojej dłoni, i wyciągnęłam go w jego stronę. Wycelowałam prosto w serce. „Tym razem trafię”, rzuciłam. Patrzył mi w oczy. Wiedział, że nie kłamię. Zaczęłam naciskać spust, ale ten człowiek w ostatniej chwili odskoczył od powozu. Wstrzymałam palec. To był mój ostatni pocisk i bardzo go potrzebowałam.

– Co było dalej?

– Usłyszałam oddalające się kroki. Oczekałam kilka sekund i wyjrzałam na zewnątrz. Nie widziałam go. Wysunęłam się z powozu, z bronią w dłoni. Nagle mężczyzna wyskoczył spod powozu i próbował mnie schwytać, wyrwałam się jednak i wspierałam na siedzenie woźnicy. Napastnik już wstawał, więc chwyciłam lejce i konie skoczyły naprzód. Uciekłyśmy. – Triumfalnie uniosła rękę.

– Florence – wykrztusił Simeon, wyraźnie oszołomiony jej historią.

– Odniosłyśmy zwycięstwo – dodała, ale zaraz się nachmurzyła. – Tylko że nie na długo.

– Co było dalej?

Milczała przez chwilę.

– Byłoby lepiej – odezwała się w końcu – gdybyś przeczytał dalszy ciąg dziennika Olivera.

Simeon opuścił wzrok. Tak pochłonęła go opowieść Florence, że zupełnie zapomniał o kartkach, które trzymał w dłoni.

– Musimy przeczytać każde słowo? – zachnął się Watkins. – Ten człowiek był mordercą. Mamy oddawać mu hołd, czytając jego myśli?

– Obawiam się, że tak, panie Watkins – potwierdził Simeon. – Dzięki temu prawda wyjdzie na jaw.

Sędzia pokoju jeszcze raz stęknął i bezradnie opuścił ręce.

– No dobrze. Chociaż osobiście najchętniej cisnąłbym tę książkę w ogień.

– Może potem to zrobię.

Pozostało tylko kilka nieprzeczytanych stron. Simeon podjął lekturę w miejscu, gdzie przerwał: gdy Hawes przechwytyje list Florence do ojca i poznaje nazwę hotelu w Londynie.

W ten sposób bez trudu zdobyłem jej adres: hotel Crown, Bishopsgate. „Ojciec. Jak widzisz, w tej chwili przebywam w hotelu w Londynie, z powodów, które zaraz Ci wyjaśnię”, zaczynał się list. Dalej następowała szczegółowa relacja z wydarzeń ostatnich kilku dni. Straszliwa strata czasu, ale musiałem się upewnić, że ta wiadomość nie zaniepokoi Watkinsa.

Sytuację nieco komplikował fakt, że Tyrone poprzedniego wieczoru bezskutecznie próbował schwytac Florence. Skoro nie mogłem dotrac ani do niej, ani do wioskowej dziewczyny, z którą zabawił się Tyrone, to co miałem zrobic? Postanowiłem skorzystac z pomocy przedstawicieli władzy.

Naczelnikiem policji w tej parafii byl bardzo stary jegomośc, który pewnie juz dawno powinien przejśc na emeryturę, ale jako że wykonywał niewdzięczną i słabo płatną pracę, minister spraw wewnętrznych nie mógł znalezc chętnego na to miejsce. Udałem się więc do naczelnika ze wszystkimi niezbędnymi informacjami: moja bratowa, która w napadzie szału zamordowała męża, zbiegła do Londynu, gdzie w bardzo podejrzanych okolicznościach zabrala ze szpitala psychiatrycznego siostr magdalenek skazaną prostytutkę. Ojciec mojej bratowej, miejscowy sędzia pokoju, poprosił mnie, jako proboszcza i jej szwagra, o sprowadzenie uciekinierki do domu,

gdzie zostanie potraktowana w sposób zarazem sprawiedliwy i łaskawy. Miałem przy okazji zatrzymać prostytutkę, która również należała do naszej parafii, i dzięki temu usunąć z policyjnej kartoteki kolejną roznosicielkę chorób.

To wszystko było szczerą prawdą i nie wymagało składania fałszywego świadectwa, dlatego cieszył mnie taki obrót spraw.

O grzesznej naturze stolicy niech świadczy fakt, że moje słowa nikogo nie zdziwiły, a mężczyzna na posterunku natychmiast oddelegował dwóch konstabli, którzy mieli wybrać się ze mną do hotelu Crown w Bishopsgate, żeby pojmać obie kobiety. Napisał także do Watkinsa, by ostrzec go, że jego córka jest niezrównoważona psychicznie, ale znajduje się pod moją opieką, więc nie ma powodów do niepokoju.

Podziękowałem mu i ruszyłem z powrotem do swojej kwatery. Po drodze spotkałem Tyrone'a, który wyszedł z jakiegoś paskudnego przybytku niedaleko nabrzeża. Miał butelkę silnego laudanum, lejek oraz gumową rurkę i upierał się, że będą nam potrzebne.

Dzięki Panu za angielską policję! Ci ludzie znają się na rzeczy, dlatego zaledwie cztery godziny później wleliśmy nasze dwie kotki do pociągu, a one płuły i syczały tak zaciekle, że nie wiedziałem, czy wytrzymam całą tę podróż do Colchesteru.

- Poderżnę ci gardło, kurwi synu!

Można by pomyśleć, że to prosta dziewczka, a nie córka sędziego pokoju wykrzykuje takie słowa, ale nic bardziej mylnego. To Florence klęta tak, że sam Lucyfer podwinąłby ogon ze strachu. Byłem jednak przygotowany na taki opór. Lojalni konstable przytrzymali kobietę, a ja wpełchnąłem jej gumową rurkę do gardła i przez lejek wlałem porcję laudanum. Cudowna substancja! Zaledwie po

minucie Florence stała się bezwładna jak szmaciana lalka. Druga nierządnicza sprawiła nam mniej kłopotu i bez sprzeciwów wypita dawkę. Chyba nawet jej smakowało. Od tej chwili obie były już potulne jak owieczki.

Zarezerwowałem niewielki przedział. Konduktor wydawał się zaniepokojony, ale mój strój oraz obecność policjantów przekonały go, że wszystko jest „w porządku”, jak powiedział.

Policja nas zostawiła i ruszyliśmy w drogę. Spędziliśmy kilka nużących godzin w pociągu, a w Colchesterze wypożyczyliśmy dwukółkę, która, jak kazał Tyrone, zawiozła nas na opuszczoną drogę niedaleko tawerny. Gdy spytałem, po co tu przyjechaliśmy, wskazał wioskową dziewczynę.

- Chcę jeszcze raz się nią nacieszyć. Co cię to obchodzi?

- Jeśli musisz - odrzekłem. - Dam Florence kolejną dawkę.

- Dobry pomysł.

Czekałem przy drodze, podczas gdy on zaniósł dziewczynę do pobliskiego zagajnika. Florence leżała u moich stóp. Kiedy minęło pół godziny, a Tyrone nie wracał, zacząłem się martwić, że zwrócimy na siebie uwagę. W końcu zostawiłem bagaże, pociągnąłem za sobą półprzytomną Florence i ruszyłem na poszukiwania Tyrone'a.

- Na litość boską, musimy już jechać! - krzyknąłem w stronę jego pleców, gdy wreszcie wypatrzyłem go w ciemności. Ale kiedy podszedłem bliżej, nie zobaczyłem dziewczyny. - Gdzie ona jest?

- Już jej nie potrzebujemy - odrzekł, po czym wziął mnie pod rękę i poprowadził w stronę drogi. - Pocięz swego brata. - Wyszczrzył zęby. - Pewnie robi to w jedynym sposób, jaki zna.

To prawda, że bez niej było nam łatwiej, a w liście policyjnego sędziego do Watkinsa - który już powinien go otrzymać - nie było wzmianki o wioskowej dziewczynie, więc nikt się jej nie spodziewał. Tak, Tyrone znów postąpił słusznie, chociaż jego intencje mogły budzić wątpliwości.

Kiedy dotarliśmy do domu, posłałem po Watkinsa i zrelacjonowałem mu zatrzymanie Florence. Po ataku na Jamesa jej umysł był bardzo kruchy. Błagała, żebym się nią zaopiekował, a ja się zgodziłem. I w mojej obecności była spokojna dzięki cudownemu lekarstwu, którym dysponowałem.

Przez cały ten czas Florence była prawie nieprzytomna. Kilka razy próbowała coś powiedzieć, ale nie udało jej się wykrztusić nawet pojedynczej sylaby. Obiecałem Watkinsowi, że znajdę dla niej dobrą opiekę lekarską i będzie mogła zostać w domu.

A więc tamtego wieczoru Florence i ja usiedliśmy razem w bibliotece, bacznie się sobie przypatrując.

- Każę coś dla ciebie zbudować - oznajmiłem. Poglaskałem ją po głowie i jestem pewien, że jej się to podobało. - Miejsce, w którym będziesz mogła mieszkać.

Podaliśmy jej kolejną dawkę laudanum, a ona chętnie je wypiała. Kiedy położyła się spać, na jej twarzy gościł wyraz niezmaconego zadowolenia, jakiego na pewno, klnę się na Boga Ojca, nigdy wcześniej nie zaznała.



Rozdział 19

W tym miejscu Simeon przerwał lekturę. Podniósł wzrok na Florence.

– Czytał mi ten dziennik – powiedziała. – Każdego wieczoru. Kiedy docierał do końca, zaczynał od nowa. Zawsze dłużej zatrzymywał się na opisie tego, jak dostarczył liścik od Annie i w ten sposób, podstępem, nakłonił mnie do przemocy. To kłamstwo Olivera doprowadziło do tego, że zraniłam Jamesa, przez co jego krew została zatruta i umarł w moich objęciach. Oliver lubił patrzeć na to, jaka byłam bezradna, doskonale wiedząc, co nam zrobił.

– Psychiczny ból jest najgorszy – rzekł Simeon ze współczuciem. – Nie wyobrażam sobie, co musiałaś przeżywać.

– Mówią, że z czasem można przyzwycząć się do wszystkiego.

– Tak mówią.

– Ale kłamią, Simeonie. Każdego wieczoru musiałam słuchać, jak z rozkoszą nurza się w moim cierpieniu i przechwala tym, że skradł Jamesowi życie. – Jej twarz jakby pociemniała. – Każdego wieczoru w mojej krwi płonął ogień, prawdziwy ogień. Czasami znajdowałam w sobie dość siły, by miotać przekleństwa, ale wtedy zwiększał dawkę laudanum. Jeśli nie chciałam go zażywać, nie dawał mi niczego innego do

picia. W końcu pragnienie zwyciężało. Ale wciąż mogłam go nienawidzić. I wiesz, co stało się z czasem?

To było oczywiste.

– Uodporniłaś się na laudanum.

– Właśnie. Moje myśli stały się jaśniejsze, moje zamiary coraz wyraźniej się krystalizowały. Ale nie dałam nic po sobie poznać. Nie wiedział, że dochodzę do siebie.

– Mądrze postąpiłaś.

– A ty to zrozumiałaś, prawda, Simeonie?

Pokiwał głową.

– Nie od razu – przyznał się. – Gdy po raz pierwszy zobaczyłem to szkło... – dotknął oddzielającej ich zimnej szyby – zobaczyłem w niej swoje odbicie, swoją bliźniaczą twarz. Ale z czasem pojąłem, że nie jestem jedynym człowiekiem w tym pomieszczeniu, który ma dwa oblicza.

– Kiedy to do ciebie dotarło?

– Kiedy wedle twoich wskazówek udałem się pod Czerwoną Latarnię. Myślę, że wysłałaś mnie tam, ponieważ chciałaś, abym zrozumiał, co łączyło twojego szwagra z Tyrone'em. Twój plan zadziałał.

– Od czasu do czasu Oliver wspominał o tym przybytku. – Jej oczy płonęły; rozkoszowała się tą chwilą.

Wyjął spod marynarki kartkę z portretem mężczyzny, narysowanym fiołkowym tuszem.

– Wizerunek Tyrone'a, nakreślony przez właścicielkę Czerwonej Latarni. Powiedziała, że nie chce więcej widzieć tego człowieka.

– Ach. – Florence zerknęła na kartkę. – Ma talent.

Musiał się z nią zgodzić. Patrząc w te narysowane oczy, dostrzegał w nich wszystko to, co widziały kobiety, które stanęły mu na drodze.

– To dziwne, jak rysunek potrafi uchwycić istotę człowieka – rzekł. – Można zajrzeć do wnętrza jego duszy. Właścicielka palarni opium powiedziała, że jego dusza była pusta, i chyba miała rację.

– Tak – przyznała Florence. – Miała rację.

Podszedł do zimnej kraty, wrzucił portret do kominka i bez namysłu posłał w ślad za nim płonąca zapałka.

– Właśnie pod Czerwoną Latarnią zrozumiałem, jak zabiłaś Olivera.

– Och, mów dalej, Simeonie. – Roześmiała się. – Chcę więcej.

– Jak sobie życzysz. Nie otrułaś go, ale pozbawiłaś go trucizny. – Florence uśmiechnęła się szeroko. – A on nie miał o niczym pojęcia. Czyż

nie tak było?

– Co takiego? – odezwał się Watkins, całkiem zbity z tropu.

– Nalewka laudanum... Czy wiesz, co dokładnie zawiera? – zwróciła się radośnie do ojca.

Simeon mu wyjaśnił.

– Zwyczajowy skład to brandy, opium i kwas octowy. – Wiedział, do czego Florence zmierza, ale pozwolił jej się napawać tą chwilą.

– Zgadza się – rzuciła. – A wiesz, jak się ją zażywa?

– Pije się. Na ciepło albo na zimno.

– Ale...

– Ale trzeba mocno zamieszać roztwór. Przypomniano mi o tym, gdy odwiedziłem palarnię opium.

– A więc rzeczywiście rozumiesz – powiedziała z uznaniem.

– Tak. – Nie odrywając wzroku od Florence, Simeon wytłumaczył Watkinsowi wszystko, czego starszek nie pojmował. – Opium opada na dno butelki, dlatego trzeba zamieszać miksturę. W przeciwnym razie górna warstwa płynu będzie się składała z czystej brandy, a osad na dnie z czystego opium. – Wodził oczami po jej twarzy, policzku, podbródku. – Rok temu, kiedy jeszcze pozwalał ci siedzieć z nim tutaj, wlałaś do jego brandy butelkę laudanum. – Florence wzięła głęboki wdech, z lubością wspominając dawne czasy. – Początkowo nie miało to żadnego znaczenia, ale skoro Oliver nabierał trunku z góry beczki, a opium było na dnie, stopniowo przyjmował coraz większe dawki.

Florence miała rozmarzoną minę. Wiedział, że rozpala ją to wspomnienie.

– Upuścił okulary... – Jej głos płynął strumieniem. – Bez nich był niemal ślepy, więc szukał ich na podłodze przez jakieś dziesięć czy dwadzieścia sekund. Wtedy wlałam do beczki laudanum, którym mnie faszerował, odczekałam chwilę, aż opadnie, i napełniłam butelkę trunkiem. – Zachichotała pod nosem. – Od tej pory w mojej butelce praktycznie nie było opium.

– A kiedy on dotarł do dna beczki, pił już czysty narkotyk – dodał Simeon, wyobrażając sobie, jak proboszcz nalewa trunku chochlą. – Nawet nie zdawał sobie sprawy, że jest poważnie uzależniony.

– Właśnie.

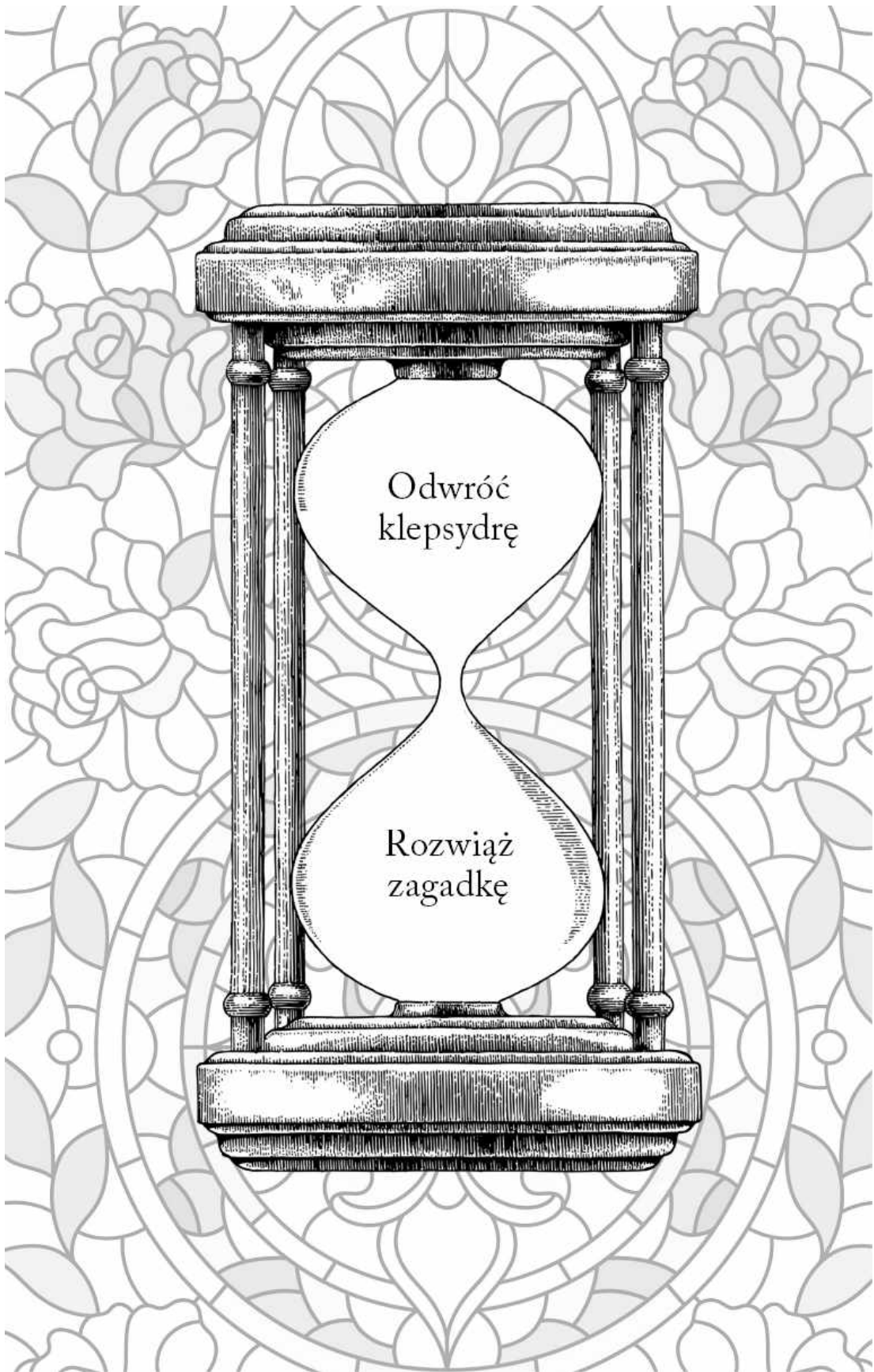
– Pod koniec miesiąca opróżnił beczkę i dopływ opium nagle się urwał. Pieczenie w stawach, wymioty... jego ciało domagało się narkotyku.

– Ale go nie otrzymywało.

– Ale go nie otrzymywało – powtórzył jak echo. – Możliwe, że to by go nie zabiło, tylko sprawiło mu potworny ból, ale ostatecznie jego serce nie wytrzymało. Nikt nigdy nie udowodni, że stało się tutaj coś nienaturalnego.

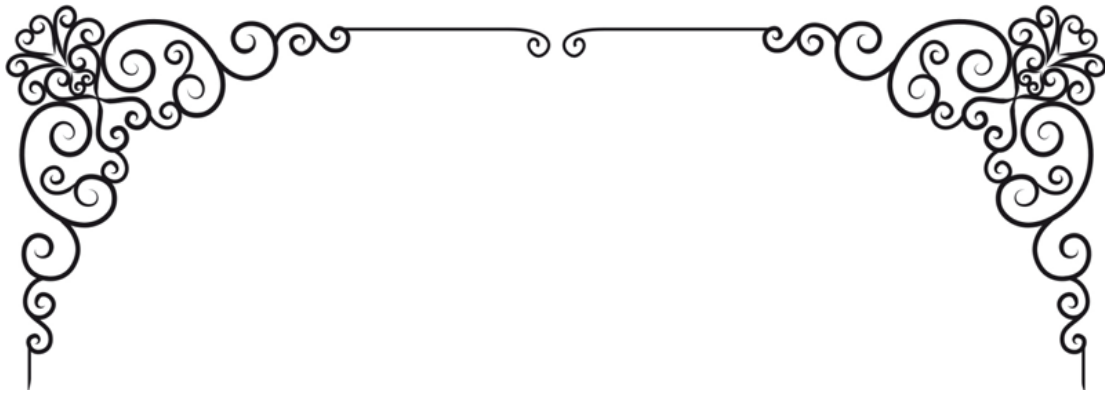
Przez chwilę milczeli.

– Kobieta siedzi tutaj dniami i nocami – odezwała się w końcu Florence. – Ma czas, żeby myśleć. Planować, Simeonie. – Na jej ustach pojawił się delikatny uśmiech. – Ma dosyć czasu, by planować.



Odwróć
klepsydrę

Rozwiąż
zagadkę



Tête-bêche, tetbeszka

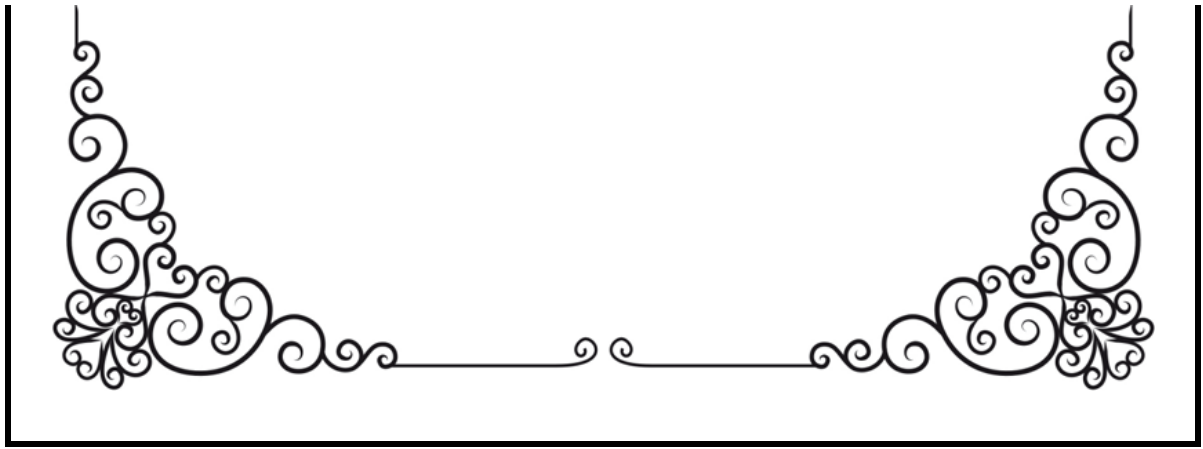
Książka podzielona na dwie części wydrukowane po przeciwnych stronach, z których jedna jest obrócona górną do dołu w stosunku do drugiej.

Etymologia: z francuskiego dosł. „od stóp do głów”.

W osiemnastym wieku wydawcy publikowali tomy składające się z dwóch książek, z których jedna była obrócona górną do dołu względem drugiej. Nazywali te wyjątkowe dzieła tetbeszkami. Obecnie uznawane są za osobliwość i współczesny bibliofil może czuć się zagubiony, gdy po przeczytaniu jednej opowieści musi odwrócić książkę, by przeczytać kolejny tekst, a wszystko po to, by odkryć, że to, co uznawał za prawdę, jest jej przeciwieństwem.

G. Brunswick, *A New History of the Novel*
Princeton University Press, 1922





**KALIFORNIA, LATA 30. XX
WIEK**

Dla Hannah

*Skowronek to, ów czujny herold ranku,
Nie słowik; widzisz te zazdrosne smugi,
Co tam na wschodzie złocą chmur krawędzie?
Pochodnie nocy już się wypaliły
I dzień się wspina raźnie na gór szczyty.
Chcąc żyć, iść muszę lub zostając – umrzeć.*

*Romeo, Romeo i Julia, akt trzeci, scena piąta
przekład Józef Paszkowski*



Rozdział 1

Los Angeles, 1939

Oczy Kena Kouriana, bladezielone jak wysuszona trawa, skierowały się na poplamioną kawą kartkę. Papier także pachniał kawą, jakby ktoś nie tylko oblał go tym napojem, ale też przez kilkanaście godzin trzymał w pełnej filiżance.

- Nosi tytuł *Oblężenie Downville*.
- Rozumiem, a ja... – zaczął Ken.
- Jesteś żołnierzem, który właśnie wrócił z wojny.
- Której?
- Słucham?
- Której wojny? Wielkiej Wojny czy...
- Domowej, kurwa.
- W porządku. Jestem z Południa czy...
- Jesteś Jankesem! Starasz się o rolę Jankesa. Myślisz... Posłuchaj, dzieciaku, przeczytasz swoją kwestię czy ja mam ją przeczytać za ciebie?

To była największa szansa, jaką otrzymał od miesięcy, a za drzwiami stała kolejka chętnych, przeczytał więc swoją kwestię z jankeskim akcentem. Jego bohater został ranny i przed śmiercią musiał jeszcze raz zobaczyć się z ukochaną. Ken miał wrażenie, że scenariusz jest kiepsko napisany, ale nie chciał wyciągać pochopnych wniosków, bo jeszcze nigdy nie grał w filmie, a jego doświadczenie sceniczne ograniczało się do teatru studenckiego i dwóch lat grania na podrzędnych scenach w Bostonie.

– Skąd jesteś? – spytał ostro tęgi mężczyzna za biurkiem, wpatrując się w Kena, jakby ten powinien nosić na czole etykietę bagażową.

– Z Georgii.

– Z Georgii! – Podrapał się po brzuchu między napiętymi guzikami koszuli. – To po jakiego diabła przypisali cię do roli Jankesa? Dlaczego nie grasz jednego z tych sukinsynów z Południa, oprawcy niewolników?

– Nie mam pojęcia – przyznał Ken i zerknął na scenariusz.

– Ja też. – Mężczyzna, asystent producenta, wrzucił niedopałek cygara do wiadra z wodą, a ten zakołysał się na powierzchni, pozostawiając brązowy ślad. – Posłuchaj, synu, to nie jest twój dzień. Wróć innym razem.

– Na pewno wrócę – odrzekł Ken.

Wiedział, że to robi. Nie miał w zwyczaju ulegać pesymizmowi. Ken Kourian miał dwadzieścia sześć lat i jeszcze nie spoczął na laurach.

Jako mały chłopiec w Georgii patrzył na dalekie pasmo górskie Blue Ridge i widział w nim barierę, która oddzielała go od greckich wojen i zamorskich podróży. Potem, gdy nieco podrósł, zaczął je postrzegać jako przeszkodę na drodze do „pełniejszego życia”. Dlatego wyruszył w tę podróż i jako pierwsza osoba z rodziny dostał się do college’u, a teraz, w ramach pięcioletniego finansowego kaca, spłacał rodziców i dwa banki, dolar po dolarze.

Zabrał kapelusz, życzył twórcom filmu wszystkiego najlepszego i opuścił studio, wciąż trzymając w dłoniach kiepski scenariusz. Minęli go dwaj mężczyźni z doklejonymi wąsami wielkości kotów, ubrani w mundury unionistów. Ken sam nie wiedział, czy powinien im zazdrościć, czy współczuć, że dostali role.

Wyszedł na ulicę i gdy zobaczył przejeżdżający tramwaj, wskoczył do niego, z nadzieją, że ten kieruje się w stronę plaży. Mimo że mieszkał w Los Angeles i Hollywood już od dwóch miesięcy, wciąż miał niewielkie pojęcie o geografii miasta. W jego rodzinnym miasteczku było więcej wiązów niż ludzi, a drzewa nigdzie się nie śpieszą, nie przepychają się na chodniku i nie pędzą na złamanie karku tylko po to, by ktoś odesłał je w inne miejsce. Owszem, spędził osiem lat w Bostonie – podczas nauki w college’u i potem, gdy parał się korepetycjami i próbował swoich sił w aktorstwie – ale wciąż tęsknił do spacerów po ścieżce usłanej miękkimi liśćmi. W Kalifornii musiał mu wystarczyć mokry piasek.

– Czy on jedzie na plażę? – spytał konduktora.

– Słucham?

– Na plażę.

– Plaża jest dziesięć mil stąd w przeciwnym kierunku. Jeśli chce pan tam dojechać, proszę wysiąść i złapać tramwaj jadący w drugą stronę, a na ósmym przystanku się przesiąść.

Wydało mu się to zbyt skomplikowane.

– A dokąd jedzie ten tramwaj?

– Ten? A jak się panu wydaje? Do śródmieścia. Sunset Boulevard. To w końcu chce pan dojechać do centrum czy na plażę? – Kobieta siedząca na jednym z miejsc wciskała konduktorowi pięciodolarowy banknot. – Nie mam jak wydać, siostrzo. Bilet kosztuje dziesięć centów.

– Powinien pan mnie uprzedzić, zanim wsiadłam – odparła naburmuszonym głosem.

– Zanim pani wsiadła? A niby jak miałem to zrobić? Byłem w pojeździe, a nie na ulicy obok pani. Ma pani drobne czy nie?

– Pojadę do centrum – oznajmił Ken.

– To będzie dziesięć centów. Nie wydam z pięciu dolarów.

Ken zapłacił i jechał dalej.

Przez kolejne dziesięć minut obserwował wsiadających i wysiadających pasażerów, próbując zgadnąć, czy pracują w branży filmowej, czy może są szewcami, księgowymi, dokerami albo maklerami, gdy nagle zauważył niekończący się rząd drzew.

– Co to jest? – spytał konduktora.

– To? Nie musi się pan tym interesować. Jedzie pan do centrum.

– Ale chciałbym się dowiedzieć.

Konduktor jęknął.

– To Park Elizejski. Lepiej niech się pan trzyma od niego z daleka.

– Dlaczego?

– Pełno tam czarnych z Lincoln Heights. Zabiorą panu portfel i nie oddadzą, nawet jak pan ładnie poprosi.

– Och, naprawdę? – rzucił Ken ze zdziwieniem. Jego tata zatrudniał w gospodarstwie zarówno kolorowych, jak i białych robotników i płacił im taką samą stawkę. Ken próbował zaszczepić te wartości w swoich kolegach z liceum, ale wyśmiali go, gdy im o tym powiedział. W college’u tylko nieliczni ze zrozumieniem kiwali głowami, przyznając, że taka będzie przyszłość, ale i tak zatrudniali czarnoskórych lokajów za dwie trzecie stawki obowiązującej wśród pracowników o jasnej skórze, więc Ken

ostatecznie stwierdził, że nie ma co na próżno strzępić języka. – Chyba i tak chcę tam zajrzeć.

– Jak pan uważa.

A zatem Ken Kourian, który mierzył sześć stóp i jeden cal wzrostu, miał spiczastą szczękę i mięśnie zdrowego chłopaka z farmy i mógł się pochwalić dyplomem z literatury zdobytym na Uniwersytecie Bostońskim, wyskoczył z tramwaju i ruszył w stronę linii więzów.

Pośród bujnej roślinności parku panował chłód, choć dzień był tak upalny, że topiły się opony samochodów. Dotyk trawy i paproci pod stopami uspokajał Kena niczym leczniczy balsam. Nowe sztywne skórzane buty przestały go uwierać i czuł się, jakby przemierzał zarośla na bosaka.

Ile drzew tutaj rosło? Dziesięć tysięcy? Sto tysięcy? Dawały miły cień, a Ken potrzebował ochłody po ostatnich frustrujących godzinach. Przed bramą powiedziano mu, że wytwórnia Paramount szuka aktorów do swojego nowego hitu, więc jeśli się zgłosi, może otrzyma jakąś niewielką rolę. To miało być przesłuchanie „otwarte”, co źle wróżyło, ale lepsze to niż odprawienie z kwitkiem.

Nie dostał tej roli. Jasne, czuł się rozczarowany, ale wiedział, że będzie miał kolejne szanse. Powiedzieli, że filmy z każdym rokiem zyskują na popularności, a to oznaczało liczniejsze obsady. Zamierzał być cierpliwy, a na razie zarabiał pisaniem ogłoszeń dla „Los Angeles Timesa”, co wystarczyło, by opłacić skromny czynsz. Miał nadzieję, że kręcąc się wokół ludzi pracujących w dziale rozrywki, będzie miał dostęp do informacji o nowych filmach, co pozwoli mu zgłaszać się na przesłuchania przed innymi kandydatami. To mogło się udać.

Szedł w upale kwietniowego popołudnia. Ptaki na drzewach podniosły wrzawę, a następnie poderwały się do lotu potężnym stadem, by poszukać jedzenia, wody albo innych rzeczy, których ptaki mogą pragnąć podczas gorącego dnia w Kalifornii. Ken zastanawiał się, co będzie robił tego popołudnia. Może zawędruje aż do centrum, a może znów wskoczy do tramwaju i wróci do swojego pensjonatu obok sklepu spożywczego, w którym, jak podejrzewał, potajemnie handlowano samogonem. Rozważał, by wybrać się tam pewnego dnia i sprawdzić, co tak naprawdę oferują. Na razie szedł przed siebie.

Kiedy znów podniósł wzrok, znajdował się już po drugiej stronie parku, a dobiegające z ulicy odgłosy kłębiły się wokół niego jak komary. Chciał zawrócić i ponownie zagubić się pośród drzew, ale poczuł pragnienie, a neony na pobliskiej restauracji wyglądały bardzo zachęcająco.

Wszedł do lokalu, gdzie panowała właśnie obiadowa gorączka. Restauracja była tak oblegana, że został tylko jeden wolny stolik. Stał w narożnym boksie, wyłożonym ciemnożółtą sztuczną skórą, która zapewne pochodziła z fabryki oddalonej o tysiąc mil od najbliższej krowy. Kiedy się zbliżył, zobaczył, że siedzi tam jakaś dziewczyna. Zajmowała miejsce pod ścianą, gdzie nie było jej widać. Odniósł wrażenie, że próbuje nie rzucić się w oczy.

Znieruchomiał, ale popatrzyła na niego z wyczekiwaniem w dużych brązowych oczach.

– Czy mogę się przysiąść? – zapytał.

– Jasne – odrzekła powoli, jakby wciąż zastanawiała się, czy nie zmienić zdania.

Z wdzięcznością skinął głową i usiadł. Dziewczyna popijała kawę z mlekiem i kartkowała czasopismo o filmach dźwiękowych. Szczupła, z lekko skrzywionymi ustami, jakby oparzyła się za gorącym napojem, miała na sobie kremowy turban, kremową bluzkę i obcisłe kremowe spodnie. Ken sięgnął po leżący w szklanym naczyniu na skraju stołu jadłospis.

– Ich specjalność to ciasto brzoskwińowe – oznajmiła, nie czekając, aż on zapyta.

– Czy to znaczy, że jest smaczne?

– To znaczy jedynie, że jest ich specjalnością.

Pojawiła się kelnerka z notesikiem.

– Poproszę ciasto brzoskwińowe – powiedział. – Słyszałem, że to państwa specjalność.

– Jasne – mruknęła, notując zamówienie. – Coś jeszcze?

– Nie.

Wskazała końcem ołówka na dziewczynę.

– Płaci pan za nią?

Ubrana na kremowo dziewczyna popatrzyła mu w oczy. Coś w jej spojrzeniu powiedziało mu, że jeśli on nie ureguluje rachunku, to nikt tego nie zrobi.

– Tak – odrzekł.

– Mam nadzieję, że będzie warto – rzuciła kelnerka i odeszła.
Ken i dziewczyna wpatrywali się w siebie przez kilka sekund.
– Dzięki – odezwała się w końcu.
– Nie ma sprawy.
– Ale muszę podziękować. W końcu uratował mnie pan przed kolejną ucieczką bez płacenia. To chyba ostatnie miejsce w Los Angeles, w którym jeszcze tego nie zrobiłam.

– Jestem tutaj dopiero od ośmiu tygodni. Dotąd ani razu nie uciekłem.
Rozpromieniła się.
– Och, to jest coś wspaniałego! – zapewniła go. – Redystrybucja ograniczonych zasobów.

– Niepłacenie za lunch to redystrybucja zasobów?
– Tak mi powiedział pewien... – Bezgłośnie wypowiedziała ostatnie słowo: „komunista”.

Ken spotkał kilku z nich w college’u. Byli to bardzo poważni młodzieńcy, którzy skwapliwie zapuszczali brody i opowiadali o sowieckim cudzie. Nie przepadał za ich towarzystwem.

– On także uciekał bez płacenia? – spytał.
– Nie, pochodził z bogatej rodziny. – Rozmowa straciła impet, bo trudno było coś na to odpowiedzieć, więc Ken wyjął z kieszeni bezużyteczny już scenariusz *Oblężenia Downville* i położył go na stole. Dziewczyna popatrzyła na tekst i uśmiechnęła się szeroko. – Jest pan aktorem!

– W pewnym sensie. – Zamilkł, a ona najwyraźniej odgadła prawdę. – Właśnie wracam z przesłuchania.

– Dostał pan rolę?
– Raczej nie.
Odchyliła się na oparcie, z zadowoloną miną, która wyparła wszystkie inne emocje z jej twarzy.

– Trzeba znać ważnych ludzi – powiedziała. – Znać ich prywatnie. Tylko tak można się przebić.

Najwyraźniej subtelnie dawała mu do zrozumienia, że ma znajomości, których jemu brakuje, co go ubodło, zwłaszcza że płacił za jej kawę. Ale podczas swojego krótkiego pobytu w Los Angeles odkrył już, że właśnie tak rozmawia się tutaj z nieznanymi. Każde spotkanie to pojedynek o pozycję, niczym konfrontacja dwóch ulicznych kotów, które walczą o zawartość śmietnika.

– Na to wygląda – przyznał.

– A chciałby pan tego?

– Ja...

– Bo mogę to panu załatwić. – Nachyliła się i zaczęła szybko mówić. – Jutro idę na przyjęcie na plaży. Odbędzie się w domu Olivera Tooke’a. – Zaczekała na jego reakcję. – Pisarza...

Nazwisko brzmiało znajomo, ale na razie nie chciał się w to wgłębiać.

– W porządku – rzucił niezobowiązująco.

– Przynajmniej mam nadzieję, że jutro wyprawi przyjęcie. Robi to w większość dni. Wprowadzę pana.

Oliver Tooke. Oliver Tooke. No tak. Przypomniał sobie, że słyszał to nazwisko w radiu, w jakiejś audycji literackiej. Ale nie pamiętał, o czym była omawiana książka ani co o niej sądził prezenter.

– Zna go pani?

– Widuję się z nim – odrzekła z dumą.

– Często?

– Przedstawiono nas sobie w nocnym klubie.

Przyjaźń była tania w tym mieście. Ken popatrzył na scenariusz. Pod nim leżały okruchy.

– Pójdę z panią.

– Mam na imię Gloria.

– A ja Ken.



Rozdział 2

Następnego ranka spotkał się z Glorią przed jej mieszkaniem. Trzymała zawiniątko z ręcznikiem i kostiumem kąpielowym, przewiązane wstążką. Miała na sobie bliskowschodni kaftan w morskim kolorze oraz bluzkę i obszerne spodnie tej samej barwy. Najwyraźniej lubiła jednokolorowe stroje.

– Chcesz, żeby ludzie cię zapamiętali? – spytał Ken, wskazując jej ubiór.

– Powinieneś spróbować. Warto zadbać o swój wizerunek.

Chociaż była to nieprzyjemna myśl, zastanawiał się, czy kiedyś w przyszłości rzeczywiście nie będzie musiał znaleźć dla siebie jakiegoś „wizerunku”. Gdyby udało mu się wyspecjalizować w konkretnych rolach – na przykład wykorzystać małomiasteczkowe pochodzenie, by grać prostaczków – zyskałby silną kartę przetargową. Nie zamierzał udawać, że jego dziadek był Czirokezem, ale gdyby pojawiła się rola wsiowego chłopaka z Georgii, chętnie przyszedłby na przesłuchanie w kowbojkach i bez końca przeciągał samogłoski. To mogłoby zadziałać, gdyby zlekceważyli jego wyższe wykształcenie i zamiłowanie do brytyjskiej literatury z poprzedniego wieku.

– Gdzie jest to przyjęcie? – spytał.

– Na plaży za domem Olivera. – Teraz już nazywała gospodarza po imieniu. – Rany, uwielbiam to miejsce! To na wybrzeżu, więc musimy wziąć taksówkę.

Wetknął pod pachę własne kąpielówki i ręcznik, po czym wyjął portfel. Miał w nim mnóstwo wolnego miejsca.

– Podróż w obie strony nie może być droższa niż pięć dolców, bo inaczej będziemy musieli wrócić pieszo – uprzedził.

– Nie przejmuj się powrotem – pouczyła go. – Ktoś nas podwiezie. Zawsze tak jest. – Machnęła ręką na przejeżdżającą taksówkę i ta zahamowała tak gwałtownie, że samochód jadący za nią musiał zjechać na sąsiedni pas. Jego kierowca wściekle zatrąbił. – Point Dume – powiedziała Gloria, gdy wskoczyli do taksówki.

– Jaki on jest? – spytał Ken.

– Oliver?

– Tak, Oliver.

Przez chwilę się zastanawiała.

– To bajerant – odrzekła, gdy włączyli się do ruchu. – Nie lubię go.

Ken uznał za dość ironiczne, że nazwała Olivera bajerantem.

– Jak to bajerant?

– Mówi jedno, ale ma na myśli coś innego. O to mi chodzi.

– Aha, w tym sensie.

Czterdzieści minut później kierowca zjechał z nadmorskiej autostrady na drogę tak wąską, że zapewne nawet nie było jej na mapie. Prowadziła do przylądka, który wbijał się w Ocean Spokojny. Cypel Point Dume wznosił się niczym prężąca grzbiet jaszczurka i było coś gadziego również w jego powierzchni: zielonej, łuskowatej i drapieżnej. Jeśli stanęło się na nim i patrzyło w fale skrywające kolejne stworzenia o ostrych zębach, miało się wrażenie, że cywilizacja jest gdzieś daleko.

Na przylądku był tylko jeden ośrodek życia: duży trzykondygnacyjny dom, wzniesiony zapewne na przełomie wieków. Stał na niskim urwisku, ale najbardziej wyróżniało go to, że wyglądał, jakby zbudowano go niemal w całości ze szkła. Zewnętrzne i wewnętrzne ściany były szklane, podobnie jak drzwi, otoczone zaledwie kilkoma deskami. Podchodząc do niego od strony szosy, widziało się ocean po jego drugiej stronie. Tylko przydymione szyby na piętrze były nieprzejryste. Na szczycie znajdował się wiatromierz, także szklany, w kształcie klepsydry. Obracał się na lekkim wietrze, jakby wskazywał drogę, a ta cały czas się zmieniała. Budynek robił

niezwykle wrażenie, ale Ken pomyślał, że jest w nim coś niewłaściwego. Coś nie na miejscu.

– A więc tak wygląda współczesna architektura – powiedział.

– Co? Nie, to dom Olivera – odparła Gloria. Nie miał pojęcia, co powinien odpowiedzieć. Dziewczyna przez chwilę na niego patrzyła. – Nie powiesz niczego głupiego i nie narobisz mi wstydu, prawda? Mówimy o Oliverze Tooke’u. Będą tam producenci i reżyserzy.

– Postaram się.

Stawało się coraz bardziej jasne, że do siebie nie pasują. Ken początkowo wyobrażał sobie, że Gloria może zostać jego dziewczyną, bo przecież była bardzo atrakcyjna, ale zbyt się od siebie różnili. Obok drzwi wejściowych znajdował się elektryczny dzwonek, a nad wejściem wisiała stalowa tablica z nazwą nieruchomości: Dom Klepsydry.

– Dzwonimy? – spytał.

– Nie, wszyscy są na plaży.

Poprowadziła go na tyły domu, gdzie grunt był bardziej wyschnięty. Dotarli do ogrodu, z którego szerokie zbocze opadało ku prywatnej plaży w kształcie półksiężyca. Ken przywykł do otwartych przestrzeni. W dzieciństwie często obozował pod gołym niebem. Ale jeszcze nigdy nie mieszkał nad oceanem, nawet w Bostonie. Ocean poruszał się, falował i huczał, niezależnie od tego, czy ktoś go słuchał. Teraz już Ken rozumiał, dlaczego niektórzy ludzie nie potrafią się z nim rozstać.

Na plaży była ze trzydziestka młodych ludzi w kostiumach kąpielowych: niektórzy odpoczywali na leżakach, inni pluskali się w wodzie. Przygrywał im z wigorem kwartet jazzowy.

– Widzisz go? – spytała Gloria.

– Nie wiem, jak wygląda.

– Aha, no tak.

Zobaczyli bar, przy którym obsługa w błękitnych uniformach przygotowywała koktajle i owoce. Wyglądało na to, że każdy może podejść i poprosić o alkohol. Gloria uważnie się rozejrzała.

– Gdzie on jest? – Zatrzymała przechodzącą dziewczynę w różowym dwuczęściowym kostiumie. – Gdzie jest Oliver?

– Och, kochana, jestem tak wstawiona, że nie wiem, gdzie sama jestem – wybełkotała dziewczyna.

Ken potraktował to jako zaproszenie do baru.

– Co oni wszyscy piją? – spytał barmana.

– Koktajl Tom Collins, proszę pana.

– W takim razie poproszę ten koktajl. – Barman podał mu drinka. –
Gdzie jest nasz gospodarz?

Mężczyzna wskazał ocean. W odległości stu jardów Ken dostrzegł coś na wodzie. Był to osobliwy widok: bielona wapnem budowla pośród fal, jak stercząca z oceanu latarnia morska na skale. Była szeroka na kilka jardów i nieco wyższa. Ken się obejrzał. Gloria stała z grupką młodych dziewcząt zanoszących się piskliwym śmiechem. Nie miał ochoty do nich dołączać, ale nieobecny gospodarz, Oliver Tooke, sprawiał wrażenie człowieka, którego warto poznać. Dlatego Ken zamknął się w drewnianej przebieralni i po jakimś czasie wyszedł, ubrany w pasiaste spodnie kąpielowe.

– Ken! – zawołała za nim Gloria, ale udał, że jej nie słyszy, i wbiegł między fale.

Wokół jego rodzinnego miasteczka nie brakowało rzek i strumieni, więc pływał jak ryba i teraz przecinał fale, rozkoszując się pieczeniem soli w oczach i ustach oraz możliwością rozruszania mięśni, które dotąd w Los Angeles pozostawały beczynne. Był piękny dzień na równie pięknym wybrzeżu. Kiedy tak płynął, niemal zatracił się w marzeniach. Dopóki nie pochwycił go prąd odpływowy.

Gdy znalazł się w jego zasięgu, poczuł, jak wodny lej ciągnie go w stronę otwartego oceanu. Prąd był silny jak wół, ale wyteżając wszystkie siły, Ken wciąż płynął równolegle do plaży, choć cały czas oddalał się od brzegu. Po około dwudziestu jardach poczuł, że prąd słabnie. Zwolnił, by odzyskać oddech, a wtedy usłyszał mechaniczny szum i ujrzał zbliżającą się czerwoną motorówkę. Sterował nią mężczyzna w takim samym uniformie, jaki nosiła obsługa na przyjęciu. Zgasił silnik i podpłynął do Kena. Ten po krótkiej drabince wspiał się na pokład.

– Prąd odpływowy, proszę pana – odezwał się młody sternik. –
Pojawia się całkiem nagle. Jest bardzo niebezpieczny. Płynie pan do wieży pisarskiej?

Ken podniósł wzrok na miniaturową latarnię morską.

– Chyba tak.

Młodzieniec pchnął dźwignię i ruszyli w stronę białej budowli. Kiedy podpłynęli do niej, Ken dostrzegł mężczyznę, który stał w wąskich drzwiach, oparty o futrynę, z rękami w kieszeniach białych spodni. Był wysoki i szczupły, miał wąską twarz i przylizane ciemne włosy. Nie wygrałby konkursu piękności, ale jego twarz zapadała w pamięć.

Sternik rzucił mężczyźnie linę i po chwili Ken wysiadł na malutki pomost o szerokości najwyższej jarda.

Z bliska zauważył, że kanciasty budynek, wzniesiony z kamiennych sześciennych bloków, ma szerokość około dwunastu stóp, a wysokość ze dwudziestu. Był nieco większy, niż wydawało się z brzegu. Budowla, nierówna u podstawy, przycupnęła na dużych ciemnych skałach, a wokół jej szczytu ciągnął się rząd okien, które jeszcze bardziej upodabniały ją do latarni morskiej.

– Witam – odezwał się mężczyzna w białych spodniach.

Nie sprawiał wrażenia zaskoczonego przybyciem Kena.

– Dzień dobry. – Ken odgarnął włosy do tyłu, wyciskając z nich nieco słonej wody.

– Proszę wejść.

– Dziękuję.

Mimo że nie miał żadnych oczekiwań, i tak zdumiało go to, co zobaczył wewnątrz wąskiego budynku. Okazało się, że to nie latarnia morska, tylko skurczona biblioteka, podobna do tej w jego college'u, gdzie ślęczał nad starymi powieściami. Snopy zakurzonego światła wpadały przez okna pokryte cienką warstwą soli, oświetlając setki tomów, ciasno tkwiących na półkach, jakby bały się wody.

– Niesamowite – odezwał się Ken.

– To? – Mężczyzna z wyraźnym zdziwieniem rozejrzał się po wnętrzu, jakby dopiero teraz dotarło do niego, jakie jest niezwykle. – Chyba tak. – Wyciągnął rękę. Na małym palcu nosił biały sygnet. – Mój dziadek to zbudował, podobnie jak dom, ale teraz ja tutaj rezyduję. Nazywam się Oliver Tooke.

– Ken Kourian – przedstawił się Ken i uściśnął dłoń mężczyzny.

Była chłodna w dotyku, jakby Oliver miał o pół stopnia niższą temperaturę ciała niż inni ludzie.

Pisarz zmarszczył czoło.

– Kourian to żydowskie nazwisko?

– Ormiańskie.

– Ormiańskie? – Czoło jeszcze bardziej się zmarszczyło. – *K'ez dur e galis im tuny?* – Z jego twarzy dało się wyczytać, że zależało mu na poprawnej wymowie.

Ken się roześmiał.

– Imponujące. Jeszcze nigdy nie spotkałem nikogo, kto znałby chociaż słowo w moim języku.

– Znam kilku Ormian – odrzekł Oliver, jakby to wszystko tłumaczyło.

– A skoro wspomniałeś o domu... – Ken skierował wzrok w stronę szklanego budynku, który przycupnął na niskim urwisku niczym ptak. – Jest... – Zawahał się.

– Groteskowy? – podsunął Oliver.

Niewątpliwie był bardzo bezpośrednim człowiekiem.

– Tego bym nie powiedział.

– Naprawdę? – Pisarz oparł się o regał z książkami. Mówił swobodnie, jakby dokładnie to przemyślał i już dawno wyrobił sobie na ten temat zdanie. – Nie uważasz, że jest w nim coś brzydkiego?

– Brzydkiego?

– Zawsze tak sądziłem.

– Jak to?

– Och, po prostu ma w sobie coś zepsutego. Chorego. – Oliver powiedział to rzeczowym tonem, jakby podawał datę wybudowania domu.

Pomijając precyzyjność opisu – a bynajmniej nie była to nieprecyzyjna ocena tego budynku – taki stosunek do rodzinnego domu mógł dziwić. Czy dom może być zepsuty? Może i tak. Oliver zmienił temat.

– Przyjechałeś z kimś? – Wskazał brodą drzwi.

– Z Glorią.

– To ta dziewczyna, która zawsze ubiera się jednobarwnie?

– Tak.

– Rozmawiałem z nią ze dwa razy. Może trzy, nie pamiętam – powiedział gospodarz, ale Ken odniósł wrażenie, że ten człowiek dokładnie wie, ile razy z każdym rozmawiał. I zapewne mógłby powtórzyć te rozmowy słowo w słowo. Przez chwilę milczeli. – Chciałbyś przejrzeć książki?

Musiał pewnie czytać Kenowi w myślach.

– Owszem. Fascynują mnie czytelnicze upodobania innych ludzi.

– Mnie też – przyznał Oliver.

Usiadł na ognisku czerwonym skórzanym fotelu kapitańskim, który stał przed orzechowym sekretarzykiem. Po drugiej stronie pomieszczenia ustawiony był szeszlony. Ken spacerował po pokoju, przesuwając palcem wskazującym po grzbietach tomów. Książki obejmowały cały szereg tematów, od technik chirurgicznych, przez francuską poezję, po gotowanie.

Ken zastanawiał się, czy cokolwiek je łączy, poza nieposkromioną ciekawością ich właściciela. Nie był pewien, czy tak szerokie zainteresowania są zdrowe.

– Jak myślisz, dlaczego tak jest? – spytał Oliver.

– Książki, które czyta człowiek, mówią o nim więcej niż to, gdzie spędza wakacje albo na kogo głosuje.

Oliver najwyraźniej się z nim zgadzał.

– Pochodzisz z Południa, prawda?

– Z Georgii. – Ken poczuł się niepewnie. Nie wszyscy przepadali za południowcami.

– No tak. Ale skończyłeś college?

– Tak.

– Gdzie?

– W Bostonie.

– Nie w Cambridge?

– Nie, w Bostonie.

– To dobrze. Poznałem kilku absolwentów Harvardu i trudno o większych tępaków.

– Również jestem tego zdania.

Znów zamilkli i Ken patrzył na książki.

– Myślisz, że znów zmierzamy ku wojnie? – spytał Oliver z niezwykłą powagą.

Po raz kolejny zmienił tok rozmowy, ale Ken był pewien, że to nie jest gra. Umysł gospodarza naprawdę stale przeskakiwał z tematu na temat.

– Z Niemcami? Hitler wygląda na szaleńca, ale następna wojna? Sam nie wiem.

– Szaleńcy trafiają na pierwsze strony gazet. Nie lekceważ go.

– Nie będę.

– Niektórzy to robią – rzekł Oliver. Wyraźnie miał na myśli kogoś konkretnego. I znów zmienił temat. – Jesteś w Los Angeles od niedawna, prawda? Chcesz grać w filmach?

To było uprawnione pytanie, skoro połowa ludzi na ulicy miała nadzieję, że wypowie chociaż kilka kwestii w kolejnej produkcji United Artists.

– Jak każdy inny wieśniak, którego spotkasz na mieście.

– Pewnie tak. Podejrzewam, że trzeba czymś się wyróżniać.

– Na przykład jednobarwnym strojem.

– Coś w tym rodzaju.

Ken zerknął na sekretarzyk. Oliver nad czymś pracował. Na blacie stała maszyna do pisania, z której sterczała kartka z urwanym w połowie zdaniem.

– Przeszkodziłem ci? – spytał Ken.

Wskazał maszynę, na której widniał napis *Remington*, złotą gotycką czcionką, a pod nim słowa: *Wyprodukowano w Ilion, Nowy Jork, USA*. Ale kiedy przyjrzał się dokładniej, zauważył, że to nie scenariusz ani powieść, tylko list. Zaadresowany do jakiegoś zakonu.

Oliver wyrwał kartkę z maszyny i położył ją na blacie tekstem do dołu.

– Wybacz, kolego, ale to prywatne sprawy.

– Oczywiście. – Ken poczuł się zażenowany, jakby przyłapano go na podkradaniu ciasteczek ze słoja. – Powiniennem już iść, nie chcę przeszkadzać ci w pracy.

– Miło z twojej strony. Moja łódka zabierze cię na brzeg, żebyś nie musiał znowu płynąć wpław. – Pisarz uśmiechnął się nieznacznie, ale atmosfera wyraźnie się ochłodziła.

– Dziękuję. – Wyszli na niewielki pomost.

– Ale wpadnij jeszcze kiedyś. Urządzam przyjęcie w następny poniedziałek. Wieczorem.

Ken wrócił do pensjonatu, gdzie mieszkało jeszcze sześcioro innych lokatorów oraz właścicielka, francuska wdowa, która przez całą dobę była idealnie umalowana, mimo że miała co najmniej sześćdziesiąt lat.

Na szczęście znajdowali się w Kalifornii, bo morskie powietrze wpadało do jego pokoju przez siedem albo osiem otworów w rozbitym oknie, zniszczonej ścianie i nieszczelnym suficie. Tutaj również jadał, na blaszanym talerzu, krojąc jedzenie starym skautowskim scyzorykiem, który następnie czyścił i chował do kufra.

Był tak wykończony, że zaraz po wejściu padł na łóżko, z dłońmi splecionymi za głową. Zapomniał pożegnać się z Glorią, więc musiał zadzwonić do niej następnego dnia i przeprosić. W końcu to ona zaprosiła go na przyjęcie i dzięki niej przeżył fascynujące popołudnie.

Zapadł w drzemkę, ale wkrótce obudziły go agresywne odgłosy dobiegające zza ściany. Jego sąsiedzi, kobieta i mężczyzna z Montrealu, którzy na zmianę wrzeszczeli na siebie po francusku albo próbowali

pozabijać się nawzajem swoimi łózkowymi wyczynami, zaczęli wcześniej tego wieczoru. Ken potrzebował chwili, by przekonać się, której ze swoich pasji tym razem się oddają. Z ulgą stwierdził, że krzyczą ze złości. Postanowił im nie przeszkadzać i wybrał się do świetlicy, wieczorem służącej za palarnię. Zastał tam właścicielkę, która właśnie sprzątała pomieszczenie. Uśmiechnęła się do niego z sympatią.

- Dobry wieczór, panie Kourian.
- Dobry wieczór, madame Peche.
- Spotkał się pan z jakąś młodą damą?

Mówiła idealnie po angielsku, ale miała wyraźny akcent, który zapewne częściowo udawała. Mieszkała w Los Angeles od poprzedniego stulecia.

- Skąd pani wie?
- Teatralnie zaczerpnęła powietrza, wciągając w nozdrza zapach.
- Fleurs de Paris – powiedziała. – Niedrogie perfumy.
- Roześmiał się. A więc przyniósł ze sobą odrobinę Glorii.
- Nic pani nie umknie, prawda, madame?
- Lekko wzruszyła ramionami, jak robią to Francuzki w filmach.

- Nie w kwestii perfum.

Wziął jakieś stare czasopismo – zawsze kilka ich tu leżało, pozostałości po dawnych lokatorach – i już miał pójść do swojego pokoju, z nadzieją, że zabójcze hałasy ucichły, ale jeszcze zwrócił się do niej:

- Czy słyszała pani o Oliverze Tooke’u?

Uniosła brwi.

- Oczywiście. Dlaczego pan pyta?

Usiadł w wytartym skórzanym fotelu.

- Poznałem go dziś, ale niewiele o nim wiem.

- Poznał go pan? Gubernatora stanu?

– Gubernatora? – Ken był zbity z tropu. Jeśli Oliver Tooke pełnił funkcję gubernatora stanu, to z pewnością był cholernie młody jak na takie stanowisko. I do tego jeszcze pisarz? – To chyba niemożliwe. Ten, o kim mówię, ma jakieś dwadzieścia osiem lat.

– Ach! – Na jej twarzy odmalowało się zrozumienie. – Chodzi panu o syna gubernatora. Co za biedny chłopiec. – Jeszcze bardziej zdziwiony, czekał na wyjaśnienie. – To zdarzyło się tak dawno. Czy był pan już na świecie? Nie wiem.

– Kiedy? – spytał, mając nadzieję, że kobieta wcześniej czy później rozwinie temat.

Przez chwilę się zastanawiała.

– Mój wnuk właśnie się urodził, więc musiało to być ze dwadzieścia pięć lat temu.

– Ja mam dwadzieścia sześć lat.

– Jaka szkoda. – Westchnęła, a potem odpędziła jakąś myśl, która przyszła jej do głowy. Ken nie był pewien, czy chce wiedzieć, o czym pomyślała. – Gubernator Tooke. To było, zanim został gubernatorem... Widzi pan te szyby w oknach? – Ken pokiwał głową. – Zapewne wyprodukowała je firma szklarska Tooke'a. Kiedyś produkowali niemal wszystkie okna w Kalifornii. Byli tacy bogaci. Ale to nic nie dało, prawda?

– Dlaczego?

Uśmiechnęła się smutno.

– Ponieważ Oliver Tooke miał dwóch synów. Jeden nosił jego imię, a drugi... – Ściągnęła usta w wyrazie namysłu. – Chyba miał na imię Alexander. Był młodszy. Ale został zabrany.

– Jak to „zabrany”?

Szukała właściwego słowa, którego zapewne rzadko używała. Wymówiła je z wyraźnym niepokojem.

– Uprowadzony. Zabity.

– Jak?

Ponownie wzruszyła ramionami.

– Nie pamiętam. To było tak dawno. Poznał pan gubernatora Tooke'a? – Sprawiała wrażenie zaskoczonej.

– Nie, jego syna.

– A tak. – Cmoknęła z dezaprobatą, niezadowolona ze swojego zapominalstwa. – Poznał pan syna. Tego, który ocalał.



Rozdział 3

Następnego dnia o ósmej rano Ken siedział przy swoim biurku i pocił się nad reklamą mydła, które miało powstrzymywać pocenie. Jego niemiecko brzmiący klient uparł się, że słowa takie jak „mokry”, „wilgotny”, a z pewnością „spocony” były *verboten*. Ken musiał więc znaleźć sposób, jak przekazać pożądane znaczenie bez użycia słów, które najlepiej by to oddały. W końcu zdecydował się na słowo „łśniący”, które mogło – z trudem – spełnić tę funkcję. Nie zwrócił uwagi na dzwonek telefonu po drugiej stronie pomieszczenia, dopóki jego szef, pracujący w branży reklamowej nowojorczyk, który przybył na Zachodnie Wybrzeże zwabiony słońcem, nie wrzasnął:

– Ken! Telefon!

Ken wstał od biurka i podniósł ciężką słuchawkę. Rzadko ktoś do niego dzwonił, a upał i frustrująca praca odebrały mu niemal całą energię.

– Ken Kourian – odezwał się.

– Ken. *Oblężenie Downville*. Twoje przesłuchanie było koszmarne, ale ktoś daje ci drugą szansę. Masz tu być w ciągu dwóch godzin. Rozumiesz? – Ktoś wypluł z siebie te słowa, nie przedstawivszy się, bez żadnego wstępu.

– Świetnie. Tak. Dziękuję – powiedział oszołomiony Ken. Usłyszał trzask słuchawki odkładanej na widełki. – Muszę wyjść – zwrócił się do nowojorczyka.

– Wyjść? Dokąd?

– Do studia Paramount.

- Pracujesz w reklamie czy jesteś aktorem, Ken?
- Pewnie ani jedno, ani drugie.

Godzinę później znów znalazł się w miejscu, gdzie odbyło się poprzednie przesłuchanie. Asystent reżysera patrzył na Kena, jak patrzy się na małpę, która bawi się benzyną i zapałkami. W końcu się odezwał:

- Masz przyjaciół, synu?
- Nie wiem, o czym pan mówi.
- Przyjaciół, synu. W branży. Na pewno, skoro tu wróciłeś.
- Nic mi o tym nie wiadomo.

Wyteżył umysł. Chyba że...

– Dzisiaj odebraliśmy telefon. O szóstej rano. To mi akurat nie przeszkadza, bo wstaję o piątej. Najlepsza pora dnia. Ale to wcześnie jak na załatwianie spraw zawodowych. Dowiedziałem się od producenta, że czyjś znajomy zna pewnego młodego aktora, który dobrze by się sprawdził w jednej z mniejszych ról. – Ken miał ochotę coś powiedzieć. – Tylko że teraz to już nie będzie taka mała rola. Teraz ten aktor ma mieć ponad trzydzieści kwestii. Dziś po południu zabieramy się do przepisywania scenariusza. Coś ci to mówi?

Ken odchylił się na oparcie krzesła. To były dobre wieści: miał wpływowego przyjaciela w branży, co jeszcze dwadzieścia cztery godziny wcześniej wydawało się nierealne.

- Nawet nie chcę wiedzieć – rzucił asystent reżysera. – No nic, masz się stawić w garderobie. Idź tam czym prędzej. Grasz oficera unionistów.
- Unionistów? Przecież pochodzę z Georgii.
- Też im tak powiedziałem.

Miał zagrać porucznika, który jest głosem rozsądku pośród krwiożerczych starszych oficerów, a to oznaczało, że przez kolejne pięć dni Ken spędzał przerwy obiadowe na przymiarkach kostiumu i nauce roli. Ale kiedy nadszedł dzień zdjęciowy – miała to być wyczerpująca doba, bo wieczorem wybierał się na przyjęcie u Olivera – i Ken, zwarty i gotowy, czekał przed swoim pensjonatem, zakatarzony mały posłaniec zjawił się z wiadomością, że zdjęcia przełożono o dwadzieścia cztery godziny, więc Ken może zostać w domu.

Nerwy i przeżyte rozczarowanie tak go wyczerpały, że wrócił do łóżka. Stracił dzień, na który zwolnił się z pracy, ale przynajmniej mógł wypocząć przed wieczornym przyjęciem. Gloria skontaktowała się z nim i powiadomiła go, że znów wybiorą się na przyjęcie razem i ma po nią podjechać taksówką. Z wyraźną urazą spytała, dlaczego poprzednio ją zostawił. Skłamał, że musi wracać do pensjonatu przed ustaloną godziną, bo inaczej nie dostanie się do środka. Nie brzmiało to przekonująco.

– No cóż, tym razem odprowadzisz mnie do domu – powiedziała.

– W porządku.

Miał nadzieję, że nie oznacza to niczego więcej.

Przed domem Olivera zatrzymywały się kolejne samochody, a wieczorne powietrze wypełniała muzyka jazzowa. Ken chłonał tę atmosferę, podekscytowany myślą, że to może być jego pierwsze prawdziwe filmowe przyjęcie z gatunku tych, o których pisywał w rubryce plotkarskiej „Los Angeles Timesa”: seks, narkotyki i skandale.

Gloria była w krótkiej sukience, na której miała więcej szkarłatnych piór niż amazońska papuga. Otrzeptała z kurzu jedyny elegancki garnitur Kena, gdy szli przez hol wyłożony czarnymi i białymi płytkami, mijając szerokie drewniane schody prowadzące na piętro – które, jak się wydawało, zajmowało dwie kondygnacje – w stronę „sali balowej”. Przestronne pomieszczenie było wyłożone białym marmurem, a pod jedną ze ścian stał biały fortepian, wokół którego zgromadził się niemały tłumek. Ten, kto akurat grał na instrumencie, znał klawiaturę równie dobrze, jak chirurg ciało pacjenta.

W przeciwległym kącie znajdował się wpuszczony w podłogę basen, w którym moczyło się kilka piękności, ubranych w kostiumy kąpielowe albo bieliznę. Niektóre nie miały na sobie niczego.

W całej sali tłoczyli się ludzie: tańczyli, gawędzili, sprzeczali się. Chociaż Gloria zażądała wcześniej, by Ken odprowadził ją do domu, już po chwili dostrzegła znajomych i zostawiła go przy barze. Nie miał do niej pretensji.

Kiedy się rozejrzał, zauważył, że obok rzędów barwnych butelek z whisky, ginem i wermutem, stojących na baczność jak żołnierze przed bitwą, umieszczono małe zakryte srebrne tace. Podniósł pokrywkę jednej z nich i zobaczył krótką kreskę białego proszku oraz metalową słomkę.

Zakrył tacę. W college'u częstowano go kokainą, ale wtedy nie chciał jej spróbować i nic się w tej materii nie zmieniło. Jeśli inni goście zamierzali się odurzać, to wyłącznie ich sprawa.

Wziął drinka – tym razem wszyscy pili martini z kopczykami jeżyn w kieliszkach – i rozejrzał się po sali. Na zewnątrz spostrzegł człowieka, którego szukał, właśnie schodzącego zboczem w kierunku plaży. Ken przepchnął się przez tłum, ale kiedy dotarł do ogrodu, Oliver już zniknął.

– Ken! Chodź tutaj! – To była Gloria. Przywołała go do miejsca, gdzie siedziała, na obitej płótnem kanapie, przytulona do mężczyzny, który mógłby być przystojny, gdyby nie obwisłe policzki i oczy tak przekrwione, że Ken widział je z odległości dziesięciu kroków. – To Ken Kourian, a to Piers Bellen. Jest producentem w Warnerze. – Mrugnęła w sposób, który najwyraźniej wydawał jej się subtelny.

– Miło mi...

– Muszę przypudrować nos – powiedziała i znacząco potarła nos, co miało sugerować, że wcale nie chodzi jej o wizytę w łazience. – Ale nie pozwól mu uciec.

Wstała z kanapy i Ken został sam z nowo poznanym mężczyzną, który pocił się – a raczej „lśnił”, jak nazwałby to „Times” – tak bardzo, że widać to było przez koszulę, krawat, kamizelkę i marynarkę.

– Jak się pan miewa, panie Bellen?

– Jestem wkurzony – mruknął mężczyzna.

Ken domyślał się, że to nie będzie łatwa rozmowa.

– Z jakiegoś konkretnego powodu?

– Dziś mam zebranie w sprawie tego pieprzonego kodeksu.

– Słucham? – Ken miał ogólne pojęcie, o czym mężczyzna mówi, ale postanowił, że nie będzie mu pomagał.

Bellen narzekał dalej:

– Kodeksu Haysa. Daje nam się we znaki. Ten człowiek chce nas wszystkich doprowadzić do ruiny. Żadnego seksu na ekranie? Żadnych bluźnierstw? Żadnego gwałtu? To co mamy pokazywać, do diabła? Kongres nie ma pojęcia, jak wiele dajemy temu narodowi.

W Kenie obudził się duch przekory.

– A co dajecie? – spytał.

– Marzenia. Pieprzone marzenia. Taki prosty człowiek jak pan powinien to docenić. – Obelga ubodłaby Kena bardziej, gdyby nie był

pewien, że Bellen jest od niego gorzej wykształcony. – A niby po co innego pan tu przyjechał? Dlaczego nie został pan na farmie?

– Nie wychowałem się na farmie. – To nie była prawda, ale lubił okłamywać takich ludzi.

Bellen nie dawał za wygraną.

– Jasne, ale zna pan wielu takich ludzi. Ten kraj? To pieprzone marzenie. Co napisała ta Żydówka na Statui Wolności? *Dajcie mi tylko swoich biednych tłumy całe, obejmę ich gościnnie moimi ramionami**? Wie pan, czym jest tęsknota?

– Wiem, co...

– Oni potrzebują marzeń, a my im je dajemy. Za dziesięć centów. Kurwa, za dziesięć centów mogą pomarzyć, że lecą do Meksyku, jedzą piętnastodaniowy obiad albo rzną Gretę Garbo. Głód? Rachunki? Nie tutaj. To wszystko zostaje poza salą kinową. Właśnie dlatego nas potrzebują. Ma pan z tym jakiś problem?

– Niejeden – odrzekł Ken.

Nie był zły, tylko czuł się zmęczony tą rozmową, mimo że nie trwała nawet minuty.

– W takim razie powinien pan...

– Niczego nie powinienem.

– Co takiego? Pan...

– Spędziłem z panem niespełna minutę, a to wystarczyłoby każdemu. Idę do baru. Spytałbym, czego pan się napije, ale mnie to nie obchodzi. – Ken wstał i ruszył przez tłum do wnętrza domu.

– Powiedziałaś Bellenowi, żeby się odwalił. – Pojawił się przy nim Oliver, z kieliszkiem, w którym lśnił jasnobrazowy płyn z lodem.

Ken westchnął.

– Pewnie uważasz, że to nie był mądry ruch. W końcu to producent. Oliver upił łyk drinka.

– Wciąż to wmawia ludziom?

A więc nie tylko miał maniery bydłęcia, ale był też oszustem.

– Kim jest naprawdę?

Gospodarz wziął Kena pod rękę i poprowadził go w stronę brzegu.

– Urzędnikiem.

– Dla kogo pracuje?

Oliver się zawahał, jakby zastanawiał się, czy powinien to ujawniać.

– Zapomniałem – odparł.

Dla Kena ta odpowiedź była równie przekonująca jak siedmiodolarowy banknot. Ale wiedział, że Oliver powie mu prawdę, jeśli będzie gotowy. Poza tym chciał go o coś zapytać, póki razem patrzyli na fale nadciągające jak białe tygrysy.

– W zeszłym tygodniu zadzwonili do mnie z Paramount.

– Tak?

– Dostałem rolę w filmie. Ktoś mnie polecił. – Oliver milczał. – Dziękuję.

– Nie ma sprawy.

– A jednak. Dla mnie to ważne.

Oliver podszedł do najbliższego stolika z trunkami i zamienił swojego drinka na butelkę Crémanta i dwa wąskie kieliszki. Usunął drut i zaczął, aż korek sam wystrzelił z szyjki. Odrobina musującego wina spłynęła po butelce.

– Wyglądasz na porządnego gościa, Ken. Dlatego zrobiłem, co mogłem, i mam nadzieję, że to początek większych rzeczy.

– Możliwe. – Ken rzadko pozwalał sobie na marzenia, ale podobała mu się przyszłość, która właśnie się przed nim zarysowała.

Oliver wahał się chwilę, po czym spojrzał w stronę oceanu i pomachał. Na jego sygnał niewielka motorówka, kreśląca ósemki na wodzie, zmieniła kurs i zbliżyła się na kilka jardów do suchego piasku.

– Mamy dziś piękny zachód słońca – rzekł Oliver, patrząc przed siebie. Weszli do falującej wody i dotarli do motorówki. Łódź zawróciła i poniosła ich po falach, zabarwionych na pomarańczowo przez zachodzące słońce, w kierunku wieży pisarskiej. – Może powinienem napisać scenariusz filmu, w którym zagrasz! – wrzasnął Oliver, by przekrzyczeć ryk silnika.

– Myślę, że to byłaby przesada.

– Nigdy nie napisałem scenariusza. Na książkach można lepiej zarobić. Na razie.

– Jak ważne są pieniądze?

– Wychowałem się w bogatej rodzinie, kolego. Jestem od nich uzależniony. Bez nich się załamię.

To było zaskakujące wyznanie. Jasne, Ken w młodości żył skromnie – a nawet biedował w tych głodnych latach, które nazywano kryzysem – ale sądził, że ludzie, którzy zawsze byli bogaci, mają do pieniędzy beztroskie podejście.

– Ale chyba masz wystarczająco dużo?

– Dla nałogowca nie ma czegoś takiego. Właśnie to oznacza uzależnienie. Coraz więcej wody, coraz więcej towaru. Niezależnie od tego, ile masz, potrzebujesz więcej.

– To dlaczego nie zostałeś w rodzinnej firmie? Produkuje szkło, zgadza się?

– Owszem. Dzięki niej powstało to miejsce. Ale zdecydowanie lepiej dla firmy, że trzymam się z daleka. Wciąż produkuje szyby i dobrze zarabia. A ja dzięki temu mam czas na pisanie.

Motorówka wysadziła ich na skalistej wysepce należącej do majątku Tooke'ów i weszli do budynku. Zapalona przez Olivera lampa oliwna z sykiem zbudziła się do życia i załała książki gorącym blaskiem.

– Pracuję nad czymś nowym – wyznał. – Nad czymś, co... – Zamilkł, jakby zgubił myśl w połowie zdania.

– Co to takiego? – zachęcił go Ken.

Oliver otrząsnął się, podszedł do sekretarzyka i cienkim kluczem otworzył drzwiczki. Ukazała się niewielka sterta książek. Były wśród nich szcztane tomy w miękkiej oprawie – powieści, jakie dzieciaki z prywatnych szkół ukrywają przed nauczycielami – ale także poważnie wyglądające księgi, oprawione w łuszczącą się skórę.

Wziął jeden z tomów, który okazał się groszową powieścią. Na krzykliwej okładce widniał tytuł *Chciał ją zabić* oraz postać mężczyzny celującego z rewolweru w głąb uliczki. Na ziemi leżała blondynka w sukience podwiniętej aż do uda.

– Jak myślisz, o czym jest? – spytał Oliver.

– Pewnie o prywatnym detektywie, który... – Ken zaczął otwierać książkę, ale pisarz mu ją wyrwał, odwrócił i znów podał.

– A teraz?

Ken opuścił wzrok, spodziewając się zobaczyć uproszczony opis fabuły i głównego bohatera, twardziela, ale zamiast tego znalazł zupełnie inną książkę. Tytuł krzyczał: *Musiła zabić*, a na okładce ta sama blondynka stała z małym derringerem w dłoni, celując detektywowi w plecy. Kena zaskoczyło, że trzyma w ręce dwie różne książki, i ponownie obejrzał przód okładki.

– Fascynująca formuła, prawda? – odezwał się Oliver. – Tutaj jedna opowieść, a po drugiej stronie inna, ale będąca lustrzanym odbiciem pierwszej. Może postacie wyglądają zupełnie inaczej z różnych punktów widzenia.

– Pewnie tak.

– Właśnie nad czymś takim pracuję. W pewnym sensie. Ludzie zmieniają się zależnie od punktu widzenia i od czasu, w jakim toczy się akcja. – Wyrzwał przez drzwi na czarne fale obmywające skały. – Ludzie naprawdę się zmieniają – dodał zamyślnym, nieobecny głosem.

– Och, nie aż tak bardzo.

– Tak uważasz? – Oliver na chwilę zamilkł, najwyraźniej zatopiony w myślach. – Kiedy byłem bardzo młody, jeździłem na wózku inwalidzkim. Miałem ciężki przypadek polio. Podobno musiałem być przywiązany do wózka, żeby z niego nie wypaść. Dzisiaj jestem zdrowy, moje ciało przystosowało się i urosło.

– To dobrze. – Ken miał wrażenie, że Oliver nie mówi mu wszystkiego. Pomachał książką. – Ty ją napisałeś?

– Tę powieść? Nie, ktoś inny.

– Jak one się nazywają? Książki tego rodzaju?

– *Tête-bêche*. Od stóp do głów. To stara koncepcja... kiedyś wyglądały w taki sposób. – Oliver wziął pierwszą książkę ze sterty i wręczył ją Kenowi. Na popękanej skórzanej obwolucie w kasztanowym kolorze widniał złoty napis, w większości wytarty, ale wciąż czytelny. Z jednej strony znajdował się Nowy Testament, wydrukowany tak drobną czcionką, że od czytania mogła rozboleć głowa, a z drugiej Księga Psalmów. – I były nieco bardziej religijne niż obecnie.

– Z pewnością. – Ken porównał obie książki.

– Dziś to chwyt reklamowy wydawców. Kup dwie książki za cenę jednej! Oczywiście nie ma znaczenia, że otrzymujesz tę samą liczbę stron. – Uprzątnął kilka przedmiotów z biurka, na którym zrobił się bałagan.

– Chciałbym ją przeczytać – powiedział Ken, kartkując powieść detektywistyczną.

– Proszę bardzo, kolego. Możesz zabrać wszystkie, jeśli chcesz. – Oliver wskazał kciukiem stertę tomów.

Na spodzie Ken zauważył coś nieco innego, biały notatnik. Wyciągnął go. Z przodu widniał napisany odręcznie tytuł: *Klepsydra* – na pewno mniej chwytliwy od *Musiła zabić*. Ken nie znał dorobku Olivera Tooke'a, ale powieści detektywistyczne były zapewne zmianą kursu. Może chciał spróbować czegoś nowego.

Otworzył książkę na pierwszej stronie. Zaczynała się słowami: *Szare oczy Simeona Lee były widoczne...*

Ale Oliver wyciągnął rękę i delikatnie zamknął książkę.

– Wciąż nad nią pracuję – wyjaśnił. – Jeszcze nie wiem, jak się skończy.

Ken oddał mu tomik, a on wetknął go z powrotem na spód sterty. Następnie zamknął drzwiczki na klucz.

– Ale wiesz, jak się zaczyna.

– Jasne, tyle że zakończenie jest znacznie ważniejsze – odparł Oliver. – Niedługo zostanie wydana. Wtedy będziesz mógł ją przeczytać.

– Jak to możliwe, że nie znasz zakończenia?

– Znam i zarazem nie znam. W każdym razie pod koniec czerwca książka trafi do sklepów.

To bardzo szybko, zważywszy, że Oliver jeszcze nie skończył jej pisać. Ken domyślał się, że cykle produkcyjne dla takiej literatury były krótkie.

– Czyli książka jest taka sama jak pozostałe, odwraca się ją do góry nogami i czyta inną opowieść?

– Tak, ale napisałem tylko jedną z nich. Wydawca zatrudnił kogoś innego do napisania drugiej, która ma pasować do mojego tekstu. Pewnego dnia napiszę jednak własną podwójną książkę. Ta sama historia, lecz rozgrywająca się w dwóch różnych kierunkach. Jak lustrzane odbicia.

– Chętnie bym ją przeczytał przed wydaniem. – Ken wskazał sekretarzyk. – Mógłbym sforsować zamek, włamać się do szafki.

– Mógłbyś – przyznał Oliver. – Ale tego nie zrobisz.

– Powiedz mi dlaczego.

Oliver włożył ręce do kieszeni.

– Dlatego, że za bardzo dbasz o to, co jest dobre, a co złe. Myślę, że właśnie tego mi potrzeba w moim otoczeniu. Zresztą nie będziesz musiał długo czekać.

– To prawda. – Kiedy wzrok Kena przywykł do półmroku, zauważył pod ścianą coś nieoczekiwanego. To była sztaluga z zakrytym obrazem. – Masz hobby.

– Pomaga mi oczyścić umysł – wyjaśnił Oliver niemal przeproszającym tonem. – Prawdę mówiąc, kolego, przyjęcia strasznie mnie męczą, więc kiedy trwają, lubię tu przychodzić. Ludzie nie zauważają mojej nieobecności, gdy zabawa się rozkręca.

– Dobrze cię rozumiem. W kwestii przyjęć. Rola gospodarza jest najtrudniejsza.

– Tak się złożyło, że muszę ją odgrywać. – Nie ulegało wątpliwości, że Oliver nie jest z tego szczególnie zadowolony.

Ken wyobrażał sobie, jak jego nowy znajomy dyskretnie przyzywa motorówkę, rusza przez fale, a następnie spędza pół godziny przy sztaludze albo maszynie do pisania, przygotowując się, żeby przywołać na usta imprezowy uśmiech i wrócić na pole bitwy rozpościerające się przed jego domem.

– Mogę? – spytał, podchodząc do obrazu.

– Proszę bardzo.

Ken podniósł materiał i zobaczył średniej wielkości obraz. Był on na wczesnym etapie pracy, więcej niż farby było na nim linii nakreślonych ołówkiem, które czekały, by poprowadzić pędzel artysty. Ale wyglądało na to, że będzie to portret kobiety stojącej przed szklanym domem na urwisku.

– Kto to jest?

– Nikt konkretny.

Ken zastanawiał się, czy to może być prawda. Artyści – nawet amatorzy – nigdy nie malują przypadkowych postaci, zawsze mają kogoś na myśli. Ciekawe, kim była ta kobieta.

Reszta przyjęcia upłynęła pośród śpiewów, wspólnych kąpieli i przekrzykiwania się w panującym hałasie. Ken wykorzystał okazję, by nieco pozwiedzać dom. Na górze znajdowało się pięć sypialni, biblioteka oraz dwie łazienki. Wszystkie drzwi były z matowego przydymionego szkła, czerwonego, zielonego i niebieskiego. Po północy Gloria pojawiła się w sali balowej ze srebrną tacą z kreskami białego proszku. Namawiała Kena, żeby spróbował, ale stanowczo odmówił i w końcu dała za wygraną. Wydęła usta i nazwała go nudnym sukinsynem, po czym przypomniała, że ma ją odprowadzić do domu, bo inaczej pożałuje. Pół godziny później oznajmiła mu jednak, że Piers Bellen – „ten producent z Warnera, wobec którego zachowałeś się tak niegrzecznie” – odwiezie ją do domu, a przy okazji podrzuci także Kena, mimo że jego chamstwo było zupełnie nie na miejscu. Był tak znużony, że się zgodził.

Bellen już czekał za kierownicą, kiedy Ken usiadł na tylnej kanapie jego malutkiego białego europejskiego samochodu. Siedzenie bardziej nadawało się dla kanapowego pieska niż dla człowieka, a gdy się na nie wcisnął, zobaczył w lusterku oczy Bellena. Pomimo blasku bijącego od

domu widać było, że źrenice są zwężone, a pod jego nosem pozostały dwie białe smugi. Ken modlił się, żeby dotrzeć do domu – lub chociaż w jego okolicie – a nie skończyć w rowie.

– Chce mi się pić... i jeść! – zawołał Bellen, kiedy mknęli drogą wzdłuż oceanu.

– Przykro mi to słyszeć – rzucił Ken ironicznym tonem, czego tamten nawet nie zauważył, w odróżnieniu od Glorii, która posłała mu nieprzychylnie spojrzenie.

– Mam ochotę na hamburgera. – Właśnie mijali billboard z reklamą mięsa. – I na coca-cole.

– Koki już chyba ci wystarczy. – Gloria się roześmiała.

– Słucham? – Bellen był wyraźnie zbity z tropu.

– No wiesz, koki. Białego proszku. Towaru.

– Aha!

Zachichotał, po czym mocniej wcisnął gaz i jeszcze mniej pewnie pomknął drogą. Nagle gwałtownie zahamował.

– Chryste! – wykrzyknął Ken, bo wpadł na tył siedzenia Glorii.

– Tam jest! – Bellen wskazał coś palcem i skręcił na parking przed całodobową restauracją z daniami z grilla.

Zaciągnął ręczny hamulec i pobiegł w stronę wejścia. Ken i Gloria nie mieli wyboru, musieli podążyć za nim. Bellen otworzył kopniakiem chromowane drzwi i odwrócił się w stronę dwójki towarzyszy. Skrzywił się, jakby właśnie zjadł cytrynę.

– Bambusy! – zawołał głośno.

– Co takiego? – spytał Ken.

Bellen wskazał czarnego mężczyznę i jego dziewczynę, podchodzących do lady, gdzie wydawano dania na wynos.

– Bambusy. Wszędzie. – Upewnił się, że wszyscy w lokalu go słyszą.

Czarny mężczyzna z pewnością go usłyszał i posłał mu surowe spojrzenie, zanim wrócił do rozmowy z kelnerką.

– Powiedziałem, że wszędzie są bambusy! – Tym razem Bellen wykrzyczał te słowa.

– Jezu Chryste – mruknął Ken.

Miał ochotę wyjść, ale znajdowali się na pustkowiu, a samochód Piersa Bellena był ich jedynym środkiem transportu.

Bellen dopiero się rozkręcał.

– My biali. Wy Murzyni. Wy czekać! – pokrzykiwał z udawanym plemiennym akcentem, wciskając spoconą rękę między parę a kontuar.

Czarny mężczyzna zmierzył go wzrokiem.

– My pierwsi. Ty potem – odrzekł i odepchnął rękę Bellena.

Ale nie wiedział, co ten wciągał nosem i w jaki sposób wpłynęło to na jego mózg. Pięść Bellena – z ogromną siłą, choć bez wprawy – niespodziewanie trafiła w ciemnobrązowe ciało. Mężczyzna w odpowiedzi zdzielił napastnika łokciem w splot słoneczny, kelnerka zadzwoniła na policję, Gloria zaczęła wrzeszczeć wniebogłosy, a Ken pożałował, że nie znalazł innego sposobu na powrót do domu.

Dwie godziny później siedział zlany potem na ławce na posterunku policji przy University Avenue, a u jego stóp stały trzy papierowe kubki z fusami po kawie. Czarnoskórą parę przesłuchiowano i spisywano. Bellen wrzeszczał do słuchawki automatu telefonicznego.

– Pierdolony bambus mnie uderzył, Tooke. Pierdolony... Stali się strasznie bezczelni. Nie trzeba było ich uwalniać. Przyjebał mi, rozumiesz? – Zapadła krótka cisza, gdy Oliver Tooke zapewne odpowiadał Bellenowi. – Czy to nie oczywiste, ty głąbie? Przyjedziesz tutaj i zapłacisz za mnie kaucję. Pierdolona kaucja. – Kolejne kilka sekund spokoju. Potem Bellen ściszył głos do groźnego syku. – Jeśli tego nie zrobisz, nie powiem ci, czego się dla ciebie dowiedziałem. Nigdy się nie dowiesz, co się stało. – A potem, chociaż brzmiało to dziwacznie, odezwał się piskliwym kobiecym głosem. – Och, Ollie, mój mały Ollie. Co się naprawdę ze mną stało? – Wrócił do syku. – Niczego nie zrobisz, bo nie będziesz wiedział, co się wydarzyło. – Z trzaskiem odłożył słuchawkę. Kiedy podszedł do Kena i Glorii, którzy siedzieli skuleni na ławce, jego twarz wykrzywił grymas. – Tooke przyjedzie. Za dwadzieścia pieprzonych minut.

Ku zdziwieniu Kena pisarz rzeczywiście przyjechał. Po dwudziestu pieprzonych minutach.

* Emma Lazarus, *Nowy Kolos Rodyjski*, przekład Wiktor J. Darasz.



Rozdział 4

Ken musiał stawić się w studiu o szóstej rano, do kilku ogólnych ujęć z *Oblężenia Downville*, więc już wcześniej wziął dzień wolny w redakcji. Dzięki temu mógł się przespać pełne dwie godziny. Kiedy zegarki ekipy wskazywały dziewiątą, a on gotował się w kostiumie, czekając na jedną ze scen grupowych, zaczął się zastanawiać, dlaczego Oliver przyjechał w środku nocy i zapłacił policji z Los Angeles dwieście dolarów, by wyciągnąć z aresztu takiego kłamliwego prostaka jak Piers Bellen. Jakakolwiek była odpowiedź, miał nieprzyjemne uczucie, że ostatnia noc zwiastowała koniec jego przyjaźni z Oliverem Tookiem.

Głowa pulsowała mu od upału, niewyspania i oparów martini. Powlókł się do drugiego asystenta reżysera.

– Bardzo przepraszam, ale czy mógłbym poczekać w jakimś chłodniejszym miejscu? – spytał.

Młodzieniec próbował sobie przypomnieć, z kim rozmawia.

– Porucznik Brooks, prawda?

– Tak. – Ken entuzjastycznie pokiwał głową; po raz pierwszy ktoś rozpoznał jego czy graną przez niego postać.

– Ma pan do wyboru tamtą ławkę na słońcu albo przyczepę. Jest ze stali, więc poczuje się pan w niej jak w piekarniku. Decyzja należy do pana. – Zerknął na podkładkę z grubym plikiem kartek i odszedł.

Ken wrócił na ławkę. Słońce nie dawało mu spokoju, jakby czymś je obraził. Drapało go po twarzy i jakimś cudem przenikało przez tkaninę, by parzyć go pod ubraniem. Kiedy nie mógł już tego dłużej wytrzymać i wstał,

poczuł, jak skóra na jego piersi pęka. Czy w przyczepie byłoby gorzej? Podszedł do niej i w jej cieniu ujrzał dwudziestkę statystów i kilkoro członków głównej obsady.

– Cokolwiek zrobisz, kolego, nawet nie myśl o tym, żeby tam wejść – wychrypiał jeden z młodzieńców. – Już nie wyjdiesz.

Ken wcisnął się pomiędzy czarną dziewczynę, która grała genialnego i niebezpiecznego szpiega unionistów, a jednorękiego mężczyznę, który wcielał się w rolę sklepikarza. Mężczyzna już nakręcił swoją jedyną scenę, podczas której dostawał się w ogień krzyżowy dwóch walczących armii, ale kazano mu pozostać na planie, na wypadek gdyby był jeszcze potrzebny.

– Potrzebny? Przecież ginę w pierwszej minucie! – skarżył się. – Jakich wtedy mieli lekarzy? Szamanów?

– Pora na lunch! – zawołał przez metalową tubę dzieciak, który wyglądał na zachwyconego, że nie musi siedzieć na lekcji matematyki.

To były ich ulubione słowa każdego dnia. Kiedy Ken posilał się pieczywem i meksykańską fasolą z dodatkiem jakiejś niezidentyfikowanej kiełbasy, zauważył reżysera – wylewnego, bardzo niskiego mężczyznę z wąsami, które nie pasowałyby do nikogo na ziemi. Reżyser wyszedł z przyczepy, a po chwili wyłoniła się stamtąd rudowłosa aktorka, która grała niewielką rolę. Ken nie był ani trochę zaskoczony, gdy godzinę później gruchnęła wieść, że główna aktorka, którą znaleziono odurzoną na podłodze w łazience, została zastąpiona przez rudą koleżankę.

– Niezła zabawa, nie uważa pan? – odezwała się jedna ze starszych kobiet.

– Na to wygląda.

– To pana pierwszy film?

– Tak.

– W zeszłym miesiącu grałam w trzech. To czysty wyzysk.

– Naprawdę?

– Kiedyś grałam Szekspira. A teraz robię coś takiego. – Machnęła ręką, wskazując całe otoczenie. – Wyzysk, mówię panu.

Przerwał im trzeci asystent reżysera, który chwycił Kena i zaprowadził na miejsce, gdzie właśnie zaczynano kręcić kolejną scenę.

– Zagrasz tutaj – rzucił.

– Naprawdę? Nie ma tego w scenariuszu.

– Masz niewłaściwy tekst. Pracujesz z zieloną wersją, a my już mamy żółtą – wyjaśnił i wcisnął Kenowi do rąk plik żółtych kartek.

- W porządku. Mam jakieś kwestie?
- Tutaj. – Asystent wskazał właściwe miejsce.
- To nie ja – rzucił Ken z rozczarowaniem.
- Jak to?
- Jestem porucznikiem Brooksem.

Obaj przez chwilę wpatrywali się w kwestie przypisane do innej postaci.

– Psiakrew – mruknął mężczyzna i udał się na poszukiwanie właściwego aktora.

Ken jakimś cudem przetrwał i tuż po siedemnastej wrócił do pensjonatu. Przez cały dzień zdjęciowy raz wspiał się na wzgórze, podczas gdy kamery były zwrócone w inną stronę. W pokoju znalazł kartkę, którą ktoś wepchnął pod drzwi. Rozpoznał staroświeckie pismo właścicielki.

Panie Kourian. Był pan Tooke. Powiedział, że przeprasza za niewygodę wczorajszego wieczoru, i wyraził nadzieję, że dobrze się Pan czuje. Chciałby zaprosić Pana na kolację do hotelu Plaza w piątek o dwudziestej. Ma bardzo ładny samochód. To ostatnie stwierdzenie było oczywiście prywatną opinią właścicielki, a nie częścią wiadomości od Olivera.

Ken położył efektowną kartkę z papeterii na stoliku nocnym, zdjął buty i marynarkę, po czym padł w ubraniu na łóżko i zasnął.



Rozdział 5

W ciągu kolejnych tygodni wielokrotnie widywał się z Oliverem. Często chodzili na kolację do eleganckich restauracji, gdzie Oliver dyskretnie dopisywał koszt posiłków do swojego osobistego rachunku. Ken w ramach rewanżu kupował mu w porze lunchu hot dogi z ulicznych straganów. To był dobry układ.

– Czy jutro przypadkiem nie ukazuje się twoja książka? Ta dwustronna? – spytał Ken pewnego wieczoru.

Musiał krzyknąć, bo oglądali walkę bokserską, siedząc tuż przy ringu, i tłum był głośniejszy niż huk pociągu ekspresowego.

Oliver odpowiedział dopiero po chwili.

– *Klepsydra*. Tak.

Bokser w złotych spodenkach wyprowadził wściekły hak i posłał przeciwnika w czarnych spodenkach na deski. Żądni krwi widzowie zerwali się z miejsc.

– Już jesteś zadowolony z zakończenia?

– Nie wiem, czy... – Oliver urwał. Zazwyczaj wysławiał się w sposób bardzo precyzyjny. – Może. Chyba tak.

– Opowiesz mi, o czym jest ta historia?

Oliver przez chwilę się wahał.

– Wspominałem już, że rodzina mojego ojca pochodzi z Anglii?

– Nie.

– Tak właśnie jest. Przyjechali z hrabstwa na wschodnim wybrzeżu. Z Essex. Tam znajduje się siedziba naszego rodu, a nasz tutejszy dom jest

jej kopią, tylko zbudowaną ze szkła. Kiedyś odwiedzaliśmy to miejsce, położone na malutkiej wyspie Ray. Całkowite pustkowie. Tam toczy się akcja mojej książki.

– Ciekawe. Co to za opowieść?

Oliver odpowiedział dopiero po dłuższym namyśle.

– Bardzo smutna.

Rzadko wypowiadał się w tak emocjonalny sposób. Zazwyczaj był bardzo rzeczowy.

– Czytelnicy to kupią?

Tłum zawył, kiedy bokser w czarnych spodenkach odbił się od lin i zamaszystym ciosem trafił przeciwnika w policzek.

– I to bardzo chętnie – odrzekł Oliver.

– Więc kto będzie smutny?

– Ja.

Rozległ się nagły dźwięk mosiężnego dzwonka, walka dobiegła końca i zawodnik w złotych spodenkach został ogłoszony zwycięzcą. To przerwało ich rozmowę. Po wyjściu udali się do restauracji, którą otwierano późnym wieczorem, a następnie wybrali się na spacer Sunset Boulevard, w chłodniejszym już powietrzu, otoczeni świergotem świerszczy i oparami benzyny. Nad Los Angeles zawisła aura wilgotnej desperacji, którą Ken dobrze wyczuwał. Zegar wskazywał drugą w nocy, pijacy i włóczędzy przeszukiwali piętzące się na ulicach sterty śmieci.

– Twoja książka wyjdzie za kilka godzin – zauważył.

– Chyba tak.

– Oliver, nie znam żadnych innych pisarzy, ale przypuszczam, że większość z nich jest bardziej podekscytowana ukazaniem się swojej nowej książki.

Oliver zatrzymał się i popatrzył wzdłuż ulicy. Była niemal pusta, tylko kilka samochodów zmierzało do domu.

– Nie jestem pewien, czy dobrze postąpiłem.

– Dlaczego?

– Ponieważ czuję się winny. Jestem winny.

Ken usiadł na betonowej ławce, którą ktoś bez powodu ustawił przy drodze.

– Winny czego?

– Że żyję – odparł Oliver, który wciąż stał i patrzył wzdłuż ulicy.

– Naprawdę można czuć się winnym z tego powodu? Dlatego, że jest się żywym?

– Czasami.

– Bzdury. Powiesz mi, skąd się wzięły u ciebie takie myśli?

Oliver zawahał się, po czym przysiadł na skraju ławki.

– Innym razem – rzucił pogodniejszym tonem, jakby jakaś jego część, której na chwilę pozwolił się ujawnić, znów się schowała.

Ken dał za wygraną. Uznał, że Oliver opowie mu o tym, kiedy będzie gotowy.

Spacerowali i rozmawiali o niczym, aż w końcu, idąc Olympic Boulevard, dotarli do księgarni z rozświetloną witryną. Na honorowym miejscu leżał egzemplarz *Klepsydry*.

– A teraz niech wszystko runie – powiedział Oliver cicho, jakby do siebie.



Rozdział 6

W tamten weekend, w sobotni poranek pierwszego lipca, Ken wypowiedział swoją pierwszą i ostatnią kwestię w filmie. Nie zapadła w pamięć nawet jemu – dotyczyła jakiegoś starszego oficera, niezadowolonego z kwater, w których stacjonował jego regiment, oraz sporu o długość marszu jego oddziałów. Reżyser zaakceptował tę scenę, nie dając po sobie poznać, że w ogóle go zauważył, a jako że nakręcono to wczesnym rankiem, Ken już o dziesiątej był wolny. Kiedy szedł z przystanku autobusowego do swojego pensjonatu, z zaskoczeniem zobaczył, że przed budynkiem czeka Oliver. Stał z rękami skrzyżowanymi na piersi, oparty o maskę dużego samochodu, cadillaca phaetona. Właścicielka pensjonatu miała rację, że zachwycała się tym autem.

– Chcesz poznać mojego ojca? – spytał Oliver, gdy Ken się zbliżył.

Ken znał Olivera Tooke'a seniora tylko z opowieści właścicielki i czasem czytywał o nim w gazetach.

– Czemu nie?

Szofer otworzył drzwi samochodu i Ken wsiadł do środka. Z cichym pomrukiem silnika włączyli się do ruchu.

– Wybacz, kolego – rzucił Oliver. – Zapomniałem. Pewnie nie masz pojęcia, kim jest mój ojciec. Tata jest gubernatorem stanu – wyjaśnił. Ken nic nie odpowiedział. – Właśnie wrócił z Sacramento. Zazwyczaj mieszka w tamtejszej posiadłości gubernatora, ale przyjechał do Los Angeles, żeby wziąć udział w pewnym wydarzeniu, a telewizja W2XAB przeprowadza

z nim wywiad do wieczornych wiadomości. Tata chce pokazać siłę rodzinnych więzi w naszym dawnym domu.

Ken zapominał, że szklany dom tak naprawdę nie należy do Olivera. Budynek, a także wszystkie meble, książki, fortepian były własnością gubernatora Tooke'a.

– Co to za wydarzenie? – spytał Ken.

– Polityczne. W przyszłym roku zamierza startować w wyborach prezydenckich. Powinien dostać nominację z rąk republikanów, dlatego urządza niewielkie przyjęcie dla lokalnych organizatorów.

– Będzie zabiegał o głosy.

– Głosy? Nie, nie jest aż tak pospolity. Będzie zbierał pieniądze.

Tooke'owie byli zamożną rodziną, ale wydatki związane z prawyborami zapewne przekraczały nawet ich możliwości.

W drodze Ken wspominał ostatnie przyjęcie, na którym był w domu Tooke'a. Tamten wieczór nie skończył się za dobrze, a gdyby Oliver nie wyłożył dwustu dolarów na kaucję dla Piersa Bellena, sprawy mogłyby się potoczyć jeszcze gorzej. Kiedy zbliżali się już do posiadłości Tooke'ów, zapytał:

– Co Piers Bellen ma na ciebie?

Uważał, że Oliver miałby prawo odesłać go do domu za takie wścibstwo, ale ten wcale nie wydawał się urażony.

– Wiedziałem, że w końcu o to zapytasz.

– Dlaczego?

– Bo jesteś spostrzegawczym człowiekiem.

– A jak brzmi odpowiedź?

Oliver zerknął na niego, ale się nie odezwał.

Kiedy samochód o rozmiarach statku wycieczkowego zatrzymał się na podjeździe, obaj wysiedli i weszli do domu. Coś w holu zwróciło uwagę Kena: nad kominkiem wisiał obraz, którego wcześniej z pewnością tu nie było. Rozpoznał w nim dzieło, które widział na sztaludze w wieży pisarskiej, teraz już ukończone. Był to portret kobiety w wieku około trzydziestu lat, namalowanej na tle szklanego domu. Miała kasztanowe włosy, opadające na ramiona, i jasne oczy – wręcz nienaturalnie jasne, ponieważ świeciło w nie słońce. Była ubrana w dość niemodny strój, co mógł stwierdzić nawet Ken.

– To ktoś konkretny?

– Nie czytałeś mojej książki, prawda? – W głosie Olivera pobrzmiwała żartobliwa przygana.

– Jeszcze nie... zdjęcia do filmu mi na to nie pozwoliły, ale obiecuję, że to zrobię.

– Dobrze. Chodźmy na górę.

Wspięli się po schodach, przeszli przez półpiętro i otworzyli przydymione szklane drzwi do biblioteki. Ken wcześniej tylko przelotnie zajrzał do środka. Ściany były wyłożone ciemną boazerią i panował tu leniwy klimat, jakby lato już dawno minęło i nadchodziła posępna zima.

– Towarzyszy mi dzisiaj pan Oliver Tooke, gubernator Kalifornii – ogłosił łysy mężczyzna z mikrofonem na kolanach. – Panie gubernatorze, czy mógłby pan powiedzieć naszym widzom, jakie są pana przemyślenia przed zbliżającymi się prawyborami?

Na ścianie nad nimi wisiał rodzinny portret, na którym gubernator stał z dłonią na ramieniu siedzącej żony: silny mężczyzna o stalowoszarych włosach, piękna kobieta o sympatycznej twarzy oraz ich dzieci. Ale Kena zaskoczyły dwa aspekty tego obrazu. Po pierwsze, było na nim nie dwoje dzieci, o których wspominała właścicielka pensjonatu, ale troje: dwaj niespełna pięcioletni chłopcy, podobni jak dwie krople wody – ciemne włosy okalające identyczne okrągłe buzie – oraz niemowlę na rękach matki. Jeden z chłopców siedział na wózku inwalidzkim i Ken przypomniał sobie, jak Oliver mówił, że chorował na polio.

Po drugie, kobieta z tego obrazu niewątpliwie była też na portrecie, który wisiał na dole, a według Olivera nie przedstawiał nikogo konkretnego.

– Dwa słowa, drodzy państwo, dwa słowa: społeczne zepsucie – odparł gubernator. Miał głos niemal taki sam jak Oliver, tylko postarzały przez upływ czasu i zamięłowanie do palenia, które dodatkowo nadało zębom gubernatora kolor pszenicy. – Przykro mi to mówić, ale jednym z jego głównych źródeł jest przemysł filmowy w Kalifornii. Sam jestem wielkim miłośnikiem filmów dźwiękowych, ale obecnie wielu młodych ludzi ogląda rzeczy, na które nie powinno patrzeć.

– Jakiego rodzaju rzeczy?

Zaczyna się, pomyślał Ken. Sodoma i Gomora w Hollywood. Politycy wypełniali strony gazet krytycznymi uwagami.

– Patrzą na ludzi zażywających narkotyki oraz stosujących przemoc i powtarzają takie zachowania. Dlaczego mieliby tego nie robić, skoro to

wszystko wygląda tak efektownie na ekranie?

– Walka z brutalnymi przestępstwami to taty specjalność – szepnął Oliver.

– Właśnie widzę. Wydaje się szczerze zaangażowany.

– To sprawa osobista.

– To znaczy?

– Miałem kiedyś brata. – Na twarzy Olivera odmalowała się mieszanina smutku i czegoś, co przypominało gniew. – Ja miałem pięć lat, a Alex cztery. Został porwany.

– Stąd?

– Ależ nie. Byliśmy w naszym drugim domu. Tym w Anglii. Nigdy więcej nie zobaczyłem brata. – Wyjrzał przez okno. – Nienawidzę tamtego miejsca.

Przyszedł czas na wyznanie prawdy.

– Tak się składa, że ktoś mi już o tym opowiadał – powiedział Ken.

– Nie dziwię się. – Oliver wzruszył ramionami. – Ludzie lubią gadać. – Odchrząknął. – W każdym razie od tamtej pory tata zaciekle walczy z przestępczością.

Jeden z producentów przyłożył palec do ust, żeby się uciszyli.

Wywiad dobiegł końca.

– Słyszał pan, co dzisiaj spotkało prezydenta? – spytał dziennikarz, kiedy już wstawali.

– Słyszałem, że spadł z wózka – odrzekł Tooke z kpiącym uśmiechem. – Tak to jest, gdy wybiera się kalekę. Amerykanie mogą winić tylko siebie.

Redaktor parsknął śmiechem, po czym zaproponował nagranie kilku ujęć w ogrodzie. Tooke się zgodził i kamery sfilmowały go, jak idzie z synem po trawniku na szczycie urwiska, na tle oceanu. „Twój dziadek zasadził te gardenie – opowiadał. – Wiedział, że silne korzenie to silna roślina. Podobnie jest z rodziną. To dzięki niemu jesteśmy tacy, a nie inni”. To były brednie przeznaczone dla mediów. A chociaż otaczały ich rzędy kwiatów, Ken mimo woli przypomniał sobie, co Oliver mu powiedział podczas ich pierwszego spotkania: że w tym domu jest coś zepsutego i chorego.

Tak czy owak, przystanęli, by podziwiać gardenie. W końcu ekipa telewizyjna spakowała się, a gubernator spytał Olivera, czy nadal obraca się on w towarzystwie sodomitów z branży filmowej.

– Tylko niektórych, tato. Nie wszystkich.

– Przynajmniej nie mogą się rozmnażać.

– Pewnie nie.

– Chcę pokierować tym krajem – rzekł Tooke senior, prostując plecy. –

To niezwykle ważne w obliczu sytuacji w Europie. Demokraci zamierzają nas wplątać w kolejną tragiczną wojnę z Niemcami. I po co? Żeby rozerwano na strzępy milion amerykańskich chłopców? A twoje podwieczorki z pedałami mi nie pomagają. Ludzie jeszcze stwierdzą, że sam jednego wychowałem.

– Postaram się z tym skończyć.

Gubernator pokiwał głową. Na końcu trawnika znajdowała się ośmiokątna altanka z kutego żelaza, z ławeczką w środku, również żelazną. Siedziała na niej oszłamiająco piękna kobieta o ciemnych włosach, sięgających niemal do pasa, i patrzyła na nich beznamietnie. Miała na sobie biały strój i kapelusz z szerokim rondem, który osłaniał jej bladą twarz przed słońcem. Położyła rękę na oparciu ławki. Między palcami trzymała zapalonego papierosa, a kiedy się do niej zbliżyli, zaciągnęła się, po czym odrzuciła niedopałek i oparła policzek na dłoni.

– Witaj, Coraline – odezwał się Oliver. Przeniosła wzrok na jego towarzysza. – To Ken Kourian. Ken, to moja siostra, Coraline.

Ken wyciągnął dłoń, a ona ją uścisnęła.

– Jest pan przyjacielem mojego brata? – spytała. Miała cichy głos, jakby przywykła rozmawiać tylko z ludźmi, którzy są od niej na wyciągnięcie ręki.

– Mam nadzieję.

Zerknęła na niego, jak gdyby odpowiedział zbyt cicho, by mogła go usłyszeć. Potem spojrzała na ojca.

– Ile zaproponował ci Fletcher?

– Za mało – odburknął Tooke.

– Pewnego dnia będziesz musiał stawić mu czoło – powiedziała, a następnie zwróciła się do brata: – Chyba na jakiś czas tutaj zostanę. Mam dosyć Sacramento.

W piersi Kena wybuchła mała wojna domowa na myśl o tym, że Coraline Tooke zamieszka w domu, w którym był częstym gościem.

– Gra pan w filmach? – spytała go.

– Próbuję.

– Właśnie tak pan wygląda.

- To znaczy jak?
- Jak człowiek, którego czeka rozczarowanie.

Przerwał im lokaj, który oznajmił gubernatorowi, że ekipa telewizyjna odjeżdża i producent chciałby jeszcze zamienić z nim słowo. Tooke wrócił do domu razem ze służącym.

– Mogłabyś oprowadzić Kena po ogrodzie? – poprosił Oliver. – Muszę porozmawiać z Carmen.

- Kim jest Carmen? – Ken nie mógł powstrzymać ciekawości.
- Pokojówką – wyjaśniła Coraline. – Jasne, pobawię się w dom.

Oliver podążył w ślad za ojcem, a Ken i Coraline rozmawiali przez kilka minut o niczym konkretnym. Gawędzili o kwiatach i pogodzie. O rzeczach, o których rozmawiają nieznajomi czekający na tramwaj. Ken skierował wzrok na dwie górne kondygnacje domu. Były tam dwa rzędy wysokich, łukowato zwieńczonych okien; w jednym z nich zobaczył Olivera, który surowo mówił coś do starej Meksykanki. Kobieta chyba płakała, potem odbiegła, a Oliver został na miejscu i wyglądał, jakby właśnie otrzymał cios w żołądek.

- Jeździ pan konno, panie Kourian? – spytała Coraline.
- Wychowałem się w Georgii – odpowiedział nieobecny głosem. – Gdybym nie jeździł konno, nigdzie bym się nie dostał.
- To dobrze – odrzekła. – Mam ochotę na przejażdżkę. Dzisiaj się wybierzemy.

Godzinę później Ken, Oliver i Coraline weszli do stajni znajdującej się kilka mil dalej na wybrzeżu. Mieli na sobie bryczesy, także Ken, który wcisnął się w parę należącą do Olivera.

- Odkąd pamiętam, trzymamy tutaj konie – powiedziała Coraline.
- Nigdy nie widziałeś bardziej walecznej dżokejki – mruknął Oliver. – To jedyna czynność, która podnosi jej tętno.

– A on jest wolniejszy od oceanu – rzuciła, prowadząc ich na tyły budynku. Stajenny przyniósł uprząż. – Do dzieła. To Beduin. Nie uważa pan, że przypomina Olivera?

- Koń był srokatym wałachem.
- Jasne. Zwłaszcza z twarzy.
- Właśnie.

– Dziękuję wam obojgu – powiedział Oliver. – Pojadę na Rickym, a ty możesz wziąć wierzchowca taty, Stetsona. Poradzisz sobie z ogierem?

– Wychował się w Georgii... gdyby nie jeździł konno, nigdzie by się nie dostał – poinformowała brata Coraline.

Ken wyczuł w jej głosie ironiczną nutę.

– Widzę, że będę musiał to udowodnić.

Osiadali konie i wyjechali kłusem ze stajni. Coraline od razu mocno spięła Beduina piętami i pogalopowała w stronę plaży. Ścieżka była wąska, pełna luźnych kamieni, więc koń mógł łatwo się potknąć.

– Musisz nieźle pędzić albo zostajesz w tyle, kolego! – zawołał Oliver, zrównując się z siostrą. – Nauczyłem się tego już dawno temu.

– Pewnie masz rację! – odpowiedział Ken ze śmiechem. Minęło kilka lat, odkąd siedział w siodle, ale był podekscytowany tą przejażdżką u boku nowego przyjaciela oraz dziewczyny o ciemnych włosach, które powiewały za nią jak wstążki. – Jak często to robicie?! – zawołał, kiedy ścieżka przeszła w wilgotny piasek, a konie poczuły wolność i przyspieszyły do pełnego galopu.

– Za rzadko. Tylko kiedy żądza śmierci u Coraline pokonuje mój instynkt samozachowawczy. – Oliver uderzył konia piętami, skłaniając go, by oderwał się od ziemi i przeskoczył przez wąski strumień płynący do oceanu.

Ken zrobił to samo, czując ogarniającą go radość z przynależności do tej trójki. Porzucili wszelką ostrożność. Byli gotowi razem żyć lub umrzeć. Odległość między nimi stopniowo malała. Słońce jasno świeciło, ocean się pienił, konie parskaly, a potem... Potem świat zawirował i pogrążył się w chaosie i ciemności.

– Nie jest w tym zbyt dobry, co?

Głos przenikał przez mrok. Ken z trudem otworzył powieki i skrzywił się pod wpływem światła oraz dotkliwego bólu z tyłu czaszki, a przed jego oczami zaczęły się pojawiać jakieś kształty. Głos należał do kogoś, kto patrzył na niego z góry.

– Nic ci nie jest, kolego?

Ktoś wyciągnął do niego rękę. Ken odruchowo ją złapał.

– Czuję się, jakbym spadł z konia – wymamrotał.

– Tak też wyglądasz.

- Pewnie w Georgii konie są wolniejsze – rzuciła Coraline.
- Tak je hodujemy. Dla własnego bezpieczeństwa – odrzekł Ken.

Przy każdym wdechu czuł ból. Przy wydechu bolało go dwa razy bardziej. Próbował się zorientować, czy coś sobie złamał, nie licząc godności.

- Może odrobinę współczucia? – upomniał siostrę Oliver.
- Sam mu je okaż. Jeśli nie potrafisz utrzymać się na koniu, nie powinieneś na niego wsiadać.

– Daj mu spokój. Jego siodło się poluzowało. – Oliver podniósł Kena. – Ona zawsze taka jest. – Ken spojrzał na swojego konia: siodło zwisało na bok. – Pomóc ci wrócić do domu?

To byłoby boleśniejsze od upadku z konia.

- Nic mi nie będzie.
- Widzisz, braciszku? Nic mu nie będzie. Przestań się z nim cackać.
- Nie chcę, żeby cię pozwał.
- Pozwał?
- Namawiałaś go na wyścig.
- Jest dużym chłopcem.

Chociaż bolała go głowa, Ken z rozbawieniem słuchał przekomarzanek rodzeństwa. Tak musiało wyglądać ich życie – domyślał się, że ojciec nie miał z nimi bliskich relacji, bo skupiał się na karierze politycznej i firmie. Dzieci zapewne były wychowywane przez nianie i pokojówki i polegały na sobie nawzajem bardziej niż na rodzicach. Oliver i Coraline zachowywali się wobec siebie zupełnie inaczej niż wobec reszty świata.

- Przeżyję – zapewnił ich.
- Zawiozę cię na izbę przyjęć – oznajmił z uporem Oliver.
- Nie muszę jechać do szpitala.
- Na pewno nie musisz jechać do kabaretu.
- Sam powinien w nim występować.
- Nie jestem...
- Jedziemy.

Oliver zawiózł ich samochodem do szpitala w Culver City. Coraline uniosła brew, gdy brat poprowadził Kena pod rękę, ale nic nie powiedziała.

– Nic mi nie jest. To niepotrzebne – zapewniał Ken, opowiadając pielęgniарce o szczegółach wypadku.

Zdawał sobie sprawę, że to nieprawda, ale nie miał pojęcia, jak za to zapłaci.

– Lepiej dmuchać na zimne, kolego.

Pojawił się lekarz, zajrzał mu do oczu, zmierzył temperaturę i ciśnienie krwi i pewnie cały czas, jak sądził Ken, naliczał w myślach rachunek. Ostatecznie orzekł, że Ken jest zdrowy, przepisał mu aspirynę w cenie dolara za tabletkę i wrócił do recepcji.

– Gdzie mam zapłacić? – spytał Ken.

Recepcjonistka sprawiała wrażenie zaskoczonej.

– Chce pan ponownie zapłacić? – spytała i zerknęła na Olivera.

Ken zrozumiał i jej podziękował. Nie podziękował przyjacielowi, bo tylko wprowadziłoby to w zakłopotanie ich obu. Lepiej było uznać to za niepisany element przyjaźni.



Rozdział 7

Kiedy dotarli do domu, Ken ostrożnie wysiadł z samochodu. Próbował zapanować nad bólem w klatce piersiowej. Na podjeździe stał jakiś samochód i usta Coraline rozciągnęły się w ulotnym uśmiechu.

– Dziadek przyjechał – powiedział Oliver.

Na górze Ken usłyszał chrapliwy głos, płynący z biblioteki.

– ...wyjść na oziębłego. Bądź silny, owszem, podtrzymuj ten wizerunek. Ale nie bądź zimny jak ryba.

Coraline pierwsza wpadła do środka, potem jej brat, a na końcu Ken. Zobaczył starszego mężczyznę z błyskiem w oku. Staruszek siedział na wózku i miał kolana przykryte kocem, ale było w nim coś, co sugerowało, że gdyby tylko zechciał, mógłby się zerwać i zatańczyć fokstrota. Gubernator siedział za biurkiem i uważnie słuchał.

– Witaj, moja mała – odezwał się staruszek, kiedy Coraline pocałowała go w policzek.

– To jest Ken Kourian, a to mój dziadek, Simeon Tooke.

– Miło pana poznać – rzekł Ken i wyciągnął rękę.

– Ciebie także, chłopcze. Dlaczego utykasz?

– Ken miał utarczkę z koniem – rzuciła Coraline.

– Wygląda na to, że koń wygrał. Nalewka z *Arnica montana*, synu. – Poklepał Kena po dłoni. – Kupisz ją w każdej aptece. Pomoże na opuchliznę i sińce, które już się pojawiają pod twoją koszulą.

– Dziadek był lekarzem – wyjaśnił Oliver.

– Wciąż jestem – zaznaczył staruszek. – A teraz, moje dzieci, muszę porozmawiać z waszym ojcem. Jeśli chce być popularny, musi lepiej zrozumieć ludzi.

– Będziemy na dole.

Zostawili obu mężczyzn w bibliotece. Kiedy Ken schodził na parter, ponownie usłyszał głos starca.

– Tak, wyborcy głosują na człowieka, który potrafi załatwić ich sprawy. Ale angażują się w kampanię człowieka, z którym chętnie spędzają czas. Musisz być bardziej przystępny. No i nie żałować grosza na ludzi. Oni to lubią. Zapewnia ci to ich lojalność.

– Ojciec najbardziej liczy się ze zdaniem dziadka – wyjaśnił Oliver. – Jak na emerytowanego lekarza dziadek wyjątkowo dobrze zna się na polityce.

– Sprawia wrażenie dobrego człowieka.

– Bo taki jest. Zawsze był szczodry. Kiedy przyjechał z Anglii, zabrał tu ze sobą służących. Posłał ich dzieci do szkół. A nawet ich wnuki. – Byli już na parterze. – Zostaniesz na kolację?

– Nie mogę. Muszę wrócić do domu i położyć łód na te stłuczenia.

– Rozumiem. Wpadniesz jutro?

Ken próbował nie patrzeć na Coraline, kiedy odpowiadał:

– Na pewno.



Rozdział 8

Następny dzień, niedzielę, spędzili na łowieniu ryb. Oliver pomógł Kenowi wsiąść z pomostu na motorówkę.

– Ostrożnie, kolego. Po wczorajszym dniu pewnie wciąż jesteś rozbity.

– Bardzo zabawne.

– Będziesz się z nim drażnił przez całą drogę, braciszku? – Coraline opalała się w obcisłym jednoczęściowym kostiumie, a kapelusz z szerokim rondem osłaniał jej twarz.

– Tylko trochę.

– Miło wiedzieć. – Ken przeklinał wypadek, przez który stał się obiektem przyjacielskich drwin. Może Coraline wpadnie do morza. – Dziękuję za troskę, już prawie mnie nie boli – poinformował ich oboje. – Gdzie są wędkę?

Znalazł jedną, a także lodówkę, w której był shaker z koktajlem cosmopolitan.

– Podasz mi drinka? – poprosiła Coraline, a Ken nie mógł nie zauważyć, że jej głos obniżył się o pół oktawy i lekko zwolnił.

– Sama sobie przynieś. Jestem kaleką, nie pamiętasz?

Oliver parsknął śmiechem, a Ken nalał sobie solidną porcję koktajlu. Później, kiedy Coraline już wypijała rubinowy trunek i postawiła przed Kenem swój kieliszek, napełnił go bez słowa i jej podał. Oboje pilnowali, by ich palce się nie zetknęły.

To był wymarzony dzień: przyjaciele na otwartej wodzie, obrazek, który mógłby stać się częścią filmu. Podczas długiej jazdy pociągiem

z Bostonu wyobrażał sobie takie sceny. Czasem rozgrywały się w nocnych klubach albo na wyścigach konnych, ale podstawowe elementy – emocje, przyjaźń – nigdy się nie zmieniały. Zerknął na Olivera. Pomimo jaskrawego słońca można było odnieść wrażenie, że na jego twarz pada cień.

– Wszystko w porządku? – spytał Ken.

Oliver popatrzył na niego obojętnie, jakby właśnie się obudził.

– Och, jasne. Wszystko dobrze, kolego.

– Coś cię trapi?

– Owszem. – Oliver spojrział na ptaki w górze.

– Co takiego?

Oliver odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

– Myślisz czasem o poczuciu winy?

To było poważne pytanie.

– O poczuciu winy? Jako idei? Czasami. Nieczęsto. – Ta sama kwestia zaprzętała umysł Olivera w dniu walki bokserskiej.

– Pewnie jak większość ludzi. – Oliver potarł czoło. – Mój ojciec i ja... no cóż, mam wiele do powiedzenia na temat winy.

– Czujesz się z jakiegoś powodu winny?

– Tak.

– I chcesz o tym porozmawiać z ojcem.

– Owszem.

– Próbowalesz?

– Zacząłem. Ta książka jest dopiero początkiem.

Jakiś ruch za nimi odwrócił ich uwagę. Coraline wstała, wyciągnęła ręce nad głowę i zgrabnie zanurkowała do wody. Wypłynęła kilka jardów dalej i obróciła się na plecy. Leżąc tak, unosiła się na powierzchni w południowym słońcu.

Kiedy Ken znów popatrzył na Olivera, na twarzy przyjaciela cień ustąpił już miejsca serdecznemu uśmiechowi.

– Kupiłem dla nas wszystkich bilety na spektakl *Żałoba przystoi Elektrze* na jutrzejszy wieczór – oznajmił Oliver.

– Myślałem, że wszystkie bilety są wyprzedane.

– Udało mi się znaleźć kilka wolnych miejsc.

Ken domyślał się, że były to najlepsze miejsca.

Wrócili do domu późnym popołudniem. Wkrótce miało się zacząć polityczne spotkanie gubernatora. Piętnastu dobrze odżywionych mężczyzn wysiadło z czarnych limuzyn, które kolejno zatrzymywały się na podjeździe. Kilku z nich wymagało pomocy.

Gubernator był w kuchni i czytał notatki przed swoim wielkim wejściem. Podniósł wzrok na całą trójkę.

– Za dwie minuty mam tutaj zebranie – oznajmił.

– Z kim? – spytała Coraline.

– Z Burrowsem.

– Czego od ciebie chce?

– Nie interesuje mnie, czego chce. Mam dla niego zadanie.

– W sprawie czterystadwójki?

– Zgadza się.

– To absurdalny projekt i nawet niespecjalnie popularny. Mówiłam ci, żebyś dał sobie...

– Czasami, moja mała, trzeba robić rzeczy, które nie są popularne – przerwał jej. – Rozumiesz politykę, Coraline, ale nie rozumiesz służby.

– Służby?

– Powołania. Próbowalem ci to wpoić, jednak bezskutecznie. Projekt ustawy numer czterysta dwa to mój obowiązek i nie pozwolę, żeby ktokolwiek mi przeszkodził. Nawet moja rodzina.

– Chcesz, żebyśmy wyszli? – spytała Coraline.

Gubernator chwilę się zastanawiał.

– Nie, zostańcie. Wasza obecność dobrze wpłynie na atmosferę.

Ken nie miał ochoty stać się częścią politycznego planu gubernatora, obojętnie, czego ten plan dotyczył, i zamierzał wyjść. Zanim zdążył to zrobić, do pokoju wszedł mężczyzna tak otyły, że guziki na jego kamizelce groziły oderwaniem się.

– Panie gubernatorze – odezwał się grzecznie.

– Panie senatorze. – Senator zerknął na trójkę młodych ludzi. – Poprosiłem syna i córkę oraz ich przyjaciela, pana Kouriana, żeby zostali tutaj i obserwowali, co się będzie działo – wyjaśnił Tooke.

Senator Burrows nonszalancko pociągnął nosem. Mówił z akcentem z innego stanu. Ken sądził, że może pochodzić z jego rodzinnej Georgii. Długie słowa rozbijał na pojedyncze sylaby.

– Myśli pan, że będą mi prze-szka-dza-ły jakieś dzieci?

– Jestem zajęтым człowiekiem. Przejdźmy do sedna.

– Do sedna? Dobrze. – Senator wyprostował się i uniósł głowę. – Prezydent nie chce...

– Chodzi panu o prezydenta Roosevelta? – przerwał mu Tooke.

Burrows wydawał się zaskoczony tym pytaniem.

– Oczywiście. Nie chce...

– Człowiek chory na polio? Okaleczony przez chorobę? – Burrowsa wyraźnie zaszokował ten opis. – Słyszał pan, że właśnie spadł z wózka? Wierzą nogami na ziemi jak zdychający robak.

Tooke czekał na odpowiedź. Senator w końcu musiał jakiejś udzielić.

– Prezydent ma pewne problemy zdrowotne...

– Nie, drogi panie, grypa albo podagra to są problemy zdrowotne. Kalectwo z powodu polio to argument za tym, że nigdy nie powinien zostać wybrany.

Ken przypomniał sobie, że przez polio Oliver w dzieciństwie musiał jeździć na wózku. Zerknął spod oka na przyjaciela, lecz nie zauważył u niego żadnej reakcji.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – spytał Burrows.

– Co chcę powiedzieć? Że człowiek, który nie jest zdolny stanąć na własnych nogach, nie powinien dowodzić krajem. Krajem, który ma wielu wrogów, zewnętrznych i wewnętrznych. Współczuję mu, jak każdemu kalece. Ale nie powinien zostać dopuszczony do władzy.

– Pana osobiste odczucia dotyczące stanu zdrowia prezydenta niczego nie zmieniają. On nie zgodzi się na finansowanie takiego rodzaju naciąganych teorii naukowych...

Tooke ponownie mu przerwał. Tym razem odezwał się ponad jego głowę do mężczyzny stojącego w drzwiach. Był to sympatyczny jegomość w grubych okularach, z bujnymi włosami, które niemal zakrywały jego zajęczą wargę.

– Proszę wejść, doktorze – rzekł gubernator z zapraszającym gestem. – Senatorze, oto doktor Arnold Kruger. Przyjechał do nas z Amerykańskiego Stowarzyszenia Eugenicznego. Doktorze, senator i ja właśnie rozmawialiśmy o tym, ile pieniędzy będziemy w stanie przeznaczyć na pańskie badania.

– Gubernatorze! – wykrzyknął gniewnie Burrows. – Ruch eugeniczny zyskuje popularność w Europie, ale nigdy nie pozwolę, żeby zakorzenił się w naszej ojczyźnie.

Tooke zbliżył się do niego o krok.

– Proszę nie podnosić głosu w moim domu – warknął. – Tutaj mieszka moja rodzina i każda cegła należy do nas. Jeśli będzie pan podnosił głos, każę pana wychłostać na ulicy. – Burrows sprawiał wrażenie wściekłego, ale ugryzł się w język. – Tak lepiej. A teraz proszę zrozumieć jedno. Prezydent jest chorym człowiekiem w chorym ciele. Nigdy nie powinien dotrzeć tak daleko. Powiem panu coś jeszcze. Zdobędę pana poparcie dla projektu czterysta dwa.

Burrows nie potrafił dłużej się hamować.

– Niby dlaczego miałbym go poprzeć?

– Bo w przeciwnym razie tak pozmieniam dystrykty wyborcze w tym stanie, żeby nigdy więcej nie postawił pan stopy w Kapitolu. Będzie pan miał szczęście, jeśli zdobędzie tysiąc głosów.

– Poślę pana za kratki!

– Jestem gotów zaryzykować. A wie pan dlaczego?

Burrows zaczął się trząść ze złości.

– Dlaczego?

– Ponieważ ta dana nam przez Boga nauka uczyni nas narodem. Chwała Rzymu nie była przypadkiem, lecz wynikiem odpowiedniego chowu. A teraz możemy w naukowy sposób zapewnić sobie taką samą chwałę.

Burrows wbił wzrok w doktora, którego gęste brwi zmarszczyły się za grubymi okularami.

Wieczorem Ken i jego przyjaciele zjedli posiłek na plaży w pobliżu domu. Upiekli na rozżarzonych węglach złapanego wcześniej okonia piaskowego. Nie przynieśli stołu, tylko rozłożyli obrusy na piasku. Gubernator i jego ojciec wrócili do Sacramento, więc dom był pusty.

Ken leżał na plecach, z dłońmi splecionymi pod głową. Już dawno nie czuł się tak szczęśliwy. Wyjazd do Los Angeles wiązał się z ryzykiem i przez większość czasu z samotnością. Ale tego ciepłego wieczoru, na plaży, z bliskimi mu ludźmi, zaczął widzieć dla siebie przyszłość w tym mieście.

– O czym myślisz, Oliver? – spytała Coraline, gdy około jedenastej po raz ostatni opróżnili kieliszki.

– Głównie o swojej nowej książce.

– Martwisz się o sprzedaż?

– Raczej po prostu się martwię.

– To nie w twoim stylu.

Oliver wstał.

– Chyba już pójdę do łóżka. Ken, może dziś przenocujesz w pokoju gościnnym? Jennings przyjedzie o ósmej rano i będzie mógł cię odstawić do domu.

– Dzięki.

– A jutro możemy porozmawiać o tym, co mnie trapi. Całą trójką. Ciebie też to dotyczy – zwrócił się do Coraline.

– Co się dzieje? – spytał Ken.

– Chcę poznać waszą opinię. Poprosić o radę.

– W jakiej kwestii?

Oliver się zawahał.

– W pewnym sensie chodzi o książkę. Ale to szerszy temat.

– Możemy porozmawiać teraz, jeśli chcesz.

Oliver znów się zawahał.

– Nie, zaczekam do jutra. Chcę się z tym przespać. – Pomachał im na pożegnanie i wszedł do domu.

Coraline sączyła wódkę z martini. Zlizwała pojedynczą kroplę zamglonego płynu, która zawisała na jej wardze. Ken obserwował ją kątem oka.

– Upalny wieczór – zauważyła, kładąc się na piasku.

Pokiwał głową.

– To prawda. – Oczywiście chciał chwycić ją w objęcia, ale na razie nie widział na to szansy. – W Georgii bywa jeszcze goręcej. Nawet trzydzieści osiem stopni.

Przez dłuższą chwilę milczeli.

– Z pewnością – odezwała się w końcu Coraline. Potem obróciła się, wstała i ruszyła w stronę domu, w ślad za bratem. – Dobranoc.

– Dobranoc.

Kiedy zniknęła za progiem, Ken także wstał i skierował się, z rękami w kieszeniach, do pokoju, w którym miał spędzić tę noc. Może powinien był zaryzykować, nie myśląc o szansach.

Pokój był szeroki i wysoki, a z okna rozciągał się widok na zatokę. Ken zdjął koszulę, położył się, z papierosem – zazwyczaj nie palił w łóżku, ale wypił kilka drinków – i zaczął się zastanawiać, co sprawiło Olivera w taki ponury nastrój.

Nagle usłyszał jakiś mechaniczny jęk na wietrze. Odchylił zasłonę i zobaczył motorówkę Olivera zbliżającą się do wieży pisarskiej. Jedna osoba sterowała bladą łodzią, a druga stała z tyłu. Co się dzieje? Za sterami pewnie był Oliver, więc musiał po cichu wymknąć się z domu.

Ken wrócił do łóżka i przez kolejne dziesięć czy piętnaście minut wspominał wydarzenia tego dnia i to, jak Coraline wyglądała w kostiumie kąpielowym. Wciąż jednak wracał myślami do dwóch postaci na motorówce.

Nie miał innego wyjścia. Musiał to zbadać. Ale kiedy wyszedł z pokoju, jego uwagę zwróciło skrzypienie na drugim końcu korytarza. Niebieskie szklane drzwi do pokoju Coraline były uchylone.

Czekał. Nikt się nie pojawił, nikt się nie odezwał. Czyżby zapomniała zamknąć drzwi? A może chciała wpuścić trochę powietrza? Albo chodziło o coś innego? Nie był w stanie tego stwierdzić. Podszedł do drzwi. Szpara miała zaledwie kilka cali, ale czuł powiew z otwartego okna.

Jego palce same dotknęły chłodnego szkła, gotowe otworzyć drzwi. Powstrzymał go jakiś odgłos, niespodziewany i niosący ze sobą groźbę, podobny do odległego wybuchu. Odbił się podwójnym echem nad zatoką. Ken nie wiedział, co go wywołało, ale po tym, jak zobaczył motorówkę pędzącą w stronę wieży w środku nocy, przeczuwał, że stało się coś złego.

Pośpiesznie wrócił do swojego pokoju i wyrzwał przez okno. Czarna wieża wznosiła się na tle fioletowego nieba. Podbiegł do drzwi pokoju Olivera i mocno zapukał. Żadnej odpowiedzi. Szarpnął klamkę i wszedł do środka.

W pokoju panował idealny porządek, łóżko było nietknięte. Ken wypadł na zewnątrz, przebiegł przez marmurową salę balową i dotarł do plaży. Utkwił wzrok w kamiennej budowli, która brutalnie wbijała się w niebo rozświetlone blaskiem księżyca. A potem rozebrał się do bielizny i skoczył w fale.

Woda była zimna i bardziej wzburzona niż za dnia. Niestrudzenie płynął naprzód kraulem, robiąc krótkie przerwy na odpoczynek, gdy fale unosiły go wysoko i ciskały w dół. Powoli zbliżał się do kamienistego cypla. Przez cały czas zastanawiał się nerwowo, co znajdzie wewnątrz przysadzistej kamiennej wieży.

Wkrótce jego mięśnie osłabły od wysiłku, ale był zbyt daleko, by zawrócić. W końcu zacisnął obie dłonie na ciepłych skałach. Nigdzie nie zauważył motorówki.

Wnętrze było pogrążone w ciemności. Szukał po omacku lampy oliwnej, która poprzednim razem zwisała z krokwi, ale teraz jej tam nie było. Wpadł na coś drewnianego i potracił nogą jakiś przedmiot, który metalicznie zabrzęczał – to była lampa. Zapalił ją, używając zapalek, na które natrafił, gdy w ciemności przesuwając dłońmi po biurku. Lampa z sykiem zbudziła się do życia i zalała żółtym światłem pokój, książki, meble, a w końcu także pozbawione życia ciało Olivera Tooke’a, który siedział za biurkiem, plecami do ściany, z szyją rozdartą przez pocisk. Ken poczuł, że brakuje mu tchu.

Już kiedyś widział zwłoki, ale to był jego dziadek, który leżał w trumnie, ubrany w swój najlepszy garnitur, z elegancko złożonymi rękami, jakby próbował zrobić dobre wrażenie na randce. Ken miał wtedy dziesięć lat i patrzył na martwe ciało z dziecięcą ciekawością.

Teraz miał przed sobą ciało przyjaciela, odarte z życia. Ożywiająca je krew rozlała się po książkach i rozbryzgnęła w powietrzu. Na biurku leżał mały rewolwer, obok dłoni, która pociągnęła za spust i rozerwała gardło.

– Jezu, Oliver, coś ty zrobił? – spytał.

Pragnął poznać odpowiedź. Stał nieruchomo, może przez minutę, a może przez godzinę, domagając się wyjaśnień. Niczego więcej.

Był jeszcze ktoś, kto musiał się dowiedzieć. Coraline, która spała w swoim pokoju za niebieskimi drzwiami. Nie miał pojęcia, jak jej przekaże te wieści. Mógł tylko wyjść stąd i przygotować się na zimny i bolesny powrót na brzeg. Po raz ostatni rzucił okiem na to, co kiedyś było człowiekiem, i ruszył do wyjścia.

Ale nagle coś przyciągnęło jego uwagę: sekretarzyk w kącie. Znajdowały się w nim groszowe powieści z kobietami w krótkich sukienkach po jednej stronie okładki i mężczyznami w ciemnych płaszczach po drugiej. Na wierzchu leżała *Klepsydra*, próba Olivera stworzenia podobnej książki. Wieczorem wspomniał, że musi porozmawiać o tej powieści z Kenem i Coraline. Już tego nie robi.

Ken wciąż nie miał okazji kupić egzemplarza, ponieważ zdjęcia i praca wypełniały mu każdy dzień. Teraz otworzył książkę i ponownie przeczytał pierwszą linię. *Szare oczy Simeona Lee były widoczne...* Odwrócił tom. Jak mówił Oliver, do jego opowieści dołączono książkę innego autora, szampową powieść grozy zatytułowaną *Wodospad*.

Po co Oliverowi była potrzebna rada Kena w kwestii książki? No i dlaczego nie poprosił o nią od razu? Niewykluczone, że powieść była

ważna i mogła dać jakąś wskazówkę co do stanu umysłu Olivera. Ale to musiało poczekać: Coraline była w domu, a on powinien wrócić i przekazać jej bolesne wieści. Wiedział, że musi płynąć wplaw, więc nie może zabrać książki. Musiał ją tu zostawić.

Przygotował się na czekający go wysiłek. Jego ciało przypominało sobie chłód i opór morskiego prądu i napięło się jak kamień, zanim wskoczył do wody.

Dopłynął do plaży resztką sił, ale w końcu wyszedł na piasek, ciężko dysząc. Kątem oka zobaczył na plaży, w odległości kilkuset jardów, motorówkę. Możliwe, że zniósł ją tutaj prąd.

Albo ktoś dopłynął do brzegu i ją tu porzucił.

Włożył spodnie i pośpieszył do domu, minął salę balową i hol, po czym wszedł po białych marmurowych schodach i skierował się do pokoju Coraline. Zdawał sobie sprawę, że jest teraz w innym domu niż ten, w którym spędził ostatnie beztroskie dni.

Jej drzwi wciąż były uchylone i poruszał nimi przeciąg, zupełnie jakby pokój oddychał. Otworzył je pchnięciem dłoni.

– Witaj, Ken – odezwała się cicho, kiedy tylko wszedł, jakby na niego czekała. W niebieskim blasku księżycy zobaczył, jak obraca się w jego stronę na łóżku. Miała na sobie jedwabną koszulę nocną w akwamarynowe gwiazdki. Nie odpowiedział, tylko zbliżył się o krok. – Nic nie mówisz? Nie czekasz na zaproszenie? Po prostu do mnie wchodzisz? – Jej usta błysnęły w świetle. – Ken?

– Coraline, bardzo mi przykro.

– Z jakiego powodu?

– Coś się stało. – Usiadł na końcu łóżka. Widział teraz jej wyraz twarzy: pytający, rozbawiony. Czekala, aż powie coś więcej, a on szukał słów, które mogłyby złagodzić cios. Nie chciał, żeby to się stało tu i teraz, w takiej sytuacji, ale musiał być szczery. – Oliver się zastrzelił.

Kiedy wypowiedział te słowa, ogarnęły go wątpliwości, czy to prawda, ale nie był to czas na takie myśli.

Wzdrygnęła się, jakby ją uderzył. Potem gwałtownie usiadła na łóżku.

– Co takiego?! O czym ty mówisz?!

– On nie żyje. Przykro mi. Znalazłem go w wieży pisarskiej.

Odrzuciła kołdrę. Wzięła dwa głębokie oddechy i włożyła szmaragdowe atłasowe kimono, które wisiało na oparciu krzesła. Po chwili odezwała się spokojnym głosem:

– Ktoś cię oszukał. On żyje. To jakaś sztuczka.
Sztuczka. Szkoda, że tak nie jest.
– Przykro mi, ale go widziałem.
– Nie miał najmniejszego powodu, żeby to zrobić! – syknęła. Podeszła do okna i rozsunała zasłony. Księżyc, blade sierp, był wprost przed nimi i oblewał mlecznym światłem kamienną wieżę na morzu. Wskazała palcem. – Wciąż tam jest?
– Tak. – A więc przynajmniej przyjęła to do wiadomości.
– Chcę, żeby tu wrócił. Masz go tu sprowadzić.
– Nie mogę.
– Dlaczego?
– Musimy zawiadomić władze. Wezwać karetkę.
– Co mu to teraz da? – spytała lodowatym tonem.
– Tak należy postąpić.
Zwróciła się w jego stronę i spojrzała mu prosto w oczy.
– Oliver nigdy by tego nie zrobił.
Czuł sól na jej ciele i woń potu w powietrzu.
– Zadzwoń na policję – rzucił. – Musimy ich powiadomić.
Patrzyła, jak wychodzi.

Po dwudziestu minutach nieoznakowany samochód policyjny zjawił się przed domem.

– Detektyw Jakes – przedstawił się burkliwy funkcjonariusz. Był po pięćdziesiątce, miał zaniedbane ciało i rzadkie wąsy, po których drapał się ołówkiem, zupełnie jakby zamalowywał łyse placki. – Gdzie jest? – spytał ze zdziwieniem, gdy usłyszał, gdzie znajduje się ciało. Ken, już w pełni ubrany, zabrał go na plażę i pokazał palcem. – Jezu drogi. A jak tam się w ogóle można dostać, do diabła?

– Motorówką. – Ken wskazał łódź.

Jakes zaklął.

– No dobrze. Policyjna karetka już tu jedzie. Umie pan tym pływać?

– Jasne, ale...

– Ale co?

Ken podniósł wzrok na dom. Zobaczył w oknie ciemną sylwetkę Coraline z żarzącym się papierosem między palcami. Po chwili zaciągnęła zasłony i zniknęła mu z oczu.

- Później panu powiem.
- Jak pan uważa. Ruszajmy.

Wsiedli do motorówki i już po chwili przecinali fale, aż wreszcie wygramolili się na skały, które stały się grobowcem Olivera Tooke’a. Ken puścił detektywa przodem. Lampa oliwna wciąż się świeciła i wnętrze wyglądało tak samo jak wtedy, gdy stąd wychodził: groźnie i krwawo.

Jakes uważnie wszystko obejrzał, a potem popatrzył na Kena i uniósł brwi.

- No właśnie – szepnął Ken.
- Czy zrobił albo powiedział coś, co mogło zasugerować, że tak postąpi?
- Nie.
- No cóż... – Jakes wzruszył ramionami. – Niewiele osób o tym uprzedza. W większości wypadków ludzie mówią: „Był trochę przygnębiony, ale nie aż tak, żeby się zabić”. – Na chwilę umilkł. – Bardzo mi przykro.

To były tylko puste słowa. Ken nie wierzył, że policjantowi naprawdę jest przykro. Ale taki był zwyczaj, jak zdejmowanie kapelusza, kiedy gdzieś się wchodzi.

- Co teraz zrobimy?
- Nie widzę tutaj niczego podejrzanego. Broń leży pod ręką. Po prostu zawieziemy go na ląd. Bardzo mi przykro.
- Tak, już pan mówił. – Kena nie obchodziło, że zabrzmiało to nieuprzejmie.
- Możemy poczekać na karetkę i ponownie tutaj przyplłynąć, ale szczerze mówiąc, nic złego się nie stanie, jeśli sami go zabierzemy. Decyzja należy do pana.

Ken uznał, że potraktuje ciało Olivera z większym szacunkiem, jeśli sam odwiezie je na brzeg, zamiast czekać, aż zrobią to nieznajomi, którzy pewnie zabrali już pięć innych trupów w tym tygodniu. A może nawet dzisiaj – w końcu to było Los Angeles.

Dlatego razem zanieśli ciało do małej motorówki i ruszyli w stronę lądu. Ale przedtem, kiedy Jakes odwrócił się plecami, Ken chwycił ostatnią opowieść Olivera Tooke’a, *Klepsydre*, i schował ją pod ubraniem. Wątpliwości roily się w jego umyśle jak mrówki, więc chciał się dowiedzieć, co skrywają karty tej książki, a nie był pewien, czy policjant to zrozumie.

Po dotarciu na brzeg zanieśli ciało Olivera do jego pokoju, położyli na łóżku i nakryli prześcieradłem aż po szyję, żeby zasłonić obrażenia po pocisku. Jakby teraz miało to jakiekolwiek znaczenie.

Coraline zastali w jej pokoju, siedzącą w fotelu w rogu.

– Chciałabyś zobaczyć Olivera? – spytał Ken.

Bez słowa przeszła do sypialni brata, popatrzyła na ciało i wróciła do siebie.

– Detektywie... – odezwał się Ken, kiedy zeszli do kuchni.

Musiał teraz powiedzieć o tym, co widział wcześniej.

Jakes pisał coś w notatniku.

– Tak? – Nawet nie podniósł wzroku.

– Mam wrażenie, że widziałem, jak płyną tam dwie osoby.

– Jak to? – Policjant wciąż skupiał się na swoich notatkach.

– W motorówce. Kiedy zobaczyłem odpływającą motorówkę, chyba były w niej dwie osoby.

Funkcjonariusz przestał notować.

– Chyba? Czy jest pan pewien?

Ken zamknął oczy i przywołał tamten obraz, wyraźny jak na dłoni.

– Jestem pewien. Widziałem dwie osoby.

Jakes z namysłem postukał ołówkiem w notatnik.

– Jak to możliwe? W nocy świeci tutaj słońce?

– Księżyc był wystarczająco jasny.

Policjant zrobił taką minę, jakby zjadł coś kwaśnego, po czym wrócił do notowania.

– Księżyc, no tak.

Ken spróbował inaczej.

– Kupił dla nas wszystkich bilety do teatru na jutrzejszy wieczór. Czy tak postępuje ktoś, kto zamierza ze sobą skończyć?

– Nie jestem psychiatrą.

– Ale jeśli...

– Proszę posłuchać. – Jakes zamknął notes. – Widzę, że sugeruje pan udział osób trzech. Rozumiem, ale nic na to nie wskazuje. Sam pan powiedział, że pan Tooke wczoraj wydawał się nieszczęśliwy. Popłynął do tego zwariowanego domku na skałach... nie mam pojęcia, jak mógł legalnie wybudować coś takiego... i użył swojego pistoletu.

– Skąd pan wie, że swojego?

– Słucham? Chodzi panu o broń?

– Tak.
– Nie mam powodu myśleć, że należała do kogoś innego.
– To nie wystarczy.
– Do tego kął strzału. – Policjant pokazał ołówkiem. – Pocisk przebił szyję i wyleciał bokiem. Gdyby strzelał ktoś inny, musiałby siedzieć ofierze na kolanach.

– Nie może pan być tego pewien.
– No dobrze. – Funkcjonariusz schował notatnik i ołówek do kieszeni na piersi. – Powiedzmy, że moja opinia na temat tego zdarzenia opiera się na dwudziestu pięciu latach doświadczenia w pracy detektywa. Przez cały ten czas nigdy nie spotkałem się z przypadkiem podrzucenia broni ani samobójstwa, które okazało się czymś więcej niż desperackim krokiem nieszczęśliwego człowieka. Naprawdę bardzo mi przykro, ale nie można dyskutować z faktami.

– Może pan sprawdzić odciski palców?
Detektyw przez chwilę milczał.
– Owszem, panie Kourian, możemy to zrobić. Możemy wyśledzić pochodzenie broni aż do producenta. Możemy zapukać do wszystkich drzwi stąd aż do Tijuany i wypytać ludzi, czy coś widzieli. Ale będę z panem szczerzy: nie zrobimy tego. Ponieważ w tej sprawie nie ma nic podejrzanego.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Ken poszedł otworzyć i zobaczył przed domem policyjną karetkę. Kierowca przeprosił, że tak długo to trwało, i wyjaśnił, że musiał się zatrzymywać przy każdym domu i pytać o drogę, bo nie miał pojęcia, gdzie jest ten dom. A potem zabrano ciało i Jakes odjechał. Ken został sam z Coraline w Domu Klepsydry. Znalazł dziewczynę w jej pokoju – leżała na łóżku w koszuli nocnej w akwamarynowe gwiazdki.

– Już pojechali – powiedział.
– Wiem.
– Chcesz, żebym zadzwonił do waszego ojca?
– Nie sądzisz, że powinien go o tym powiadomić ktoś, kogo spotkał więcej niż dwa razy w życiu? – Była opryskliwa, ale w tych okolicznościach nie mógł jej za to winić.
– Pojadę do siebie, nie będę ci przeszkadzał – oznajmił.

Zebrał kilka swoich rzeczy – portfel, klucze – i zadzwonił po taksówkę, żeby wrócić do miasta. Kiedy wsiadł do samochodu, przez

chwilę miał wrażenie, że kierowca słucha muzyki fortepianowej, i chciał go poprosić, by wyłączył radio, ale potem uświadomił sobie, że dźwięki dobiegają z domu. Coraline grała na białym fortepianie, stojącym w sali balowej. Jakiś melancholijny europejski utwór.



Rozdział 9

Dotarł do pensjonatu około szóstej nad ranem i teraz leżał, wpatrując się w sufit i słuchając kłócej się pary za ścianą. Wstali wcześniej niż zwykle. To pewnie upał wypędził ich z dusznego łóżka.

Detektyw Jakes stanowczo uważał, że to było samobójstwo. Ken nie chciał się z tym pogodzić, bo nie mógł znieść gorzkiej myśli, że jego jedyny prawdziwy przyjaciel odebrał sobie życie. Ale musiał spojrzeć na sprawę obiektywnie, więc próbował znaleźć jakiś powód, dla którego Oliver mógł to zrobić. Z pewnością nie brakowało mu pieniędzy, na jego książki był popyt, a gdyby miał długi, bez wątpienia mógłby poprosić o wsparcie ojca.

Nieudany romans? Nic nie wskazywało na to, by Oliver potajemnie się z kimś spotykał. Nawet nie wydawał się zainteresowany kobietami... ani mężczyznami.

Ale w umyśle Kena zapisał się obraz dwóch osób na motorówce. Owszem, było ciemno, oczy go jednak nie myliły. Pytania brzmiały: kim była ta druga osoba i co tam robili?

No cóż, zabrał z biblioteki przedmiot, który mógł mu pomóc. Oliver powiedział, że coś go trapi i musi o tym porozmawiać z Kenem i Coraline, i że jest to związane z jego nową książką.

Okazało się, że *Klepsydra* to hipnotyczna opowieść o dziewiętnastowiecznym angielskim lekarzu, który bada okoliczności śmierci krewnych w hrabstwie Essex, skąd przecież pochodziła rodzina Olivera. Akcja toczyła się w osobliwym domu na wybrzeżu, który wody przyływu regularnie odcinały od głównego lądu i który nazywał się tak

samo jak rodowa posiadłość Olivera w Kalifornii: Dom Klepsydry. A więc to musiał być dom Tooke'ów. Kolejnym odniesieniem do ich rodziny był fakt, że lekarz nosił imię dziadka Olivera, Simeon, a jeden z bohaterów miał na imię Oliver. Opowieść była pełna okrucieństwa. Najbardziej rzucało się w oczy cierpienie kobiet.

Zerknąłem na zegar w rogu.

– Prawie godzina. Na pewno nie wytrzyma dużo dłużej. Musi być jej zimno.

Zamknąłem książkę i zdjąłem okulary, żeby łatwiej się skupić. Znów rozległo się jej zawodzenie. Początkowo dało się w nim słyszeć gniew, potem smutek, a teraz jawną groźbę.

Dziwna sprawa, ale wewnątrz tej opowieści kryła się kolejna – ponura nowelka *Złote pole*, opowiadająca o kalifornijskiej rodzinie mieszkającej w domu zbudowanym ze szkła. Narrator szukał prawdy o śmierci matki, lecz w tekście pojawiało się tylko kilka fragmentów tej historii. Opisywały podróż statkiem przez Atlantyckie Oceaniczne Wąwózki, wątpliwości bezimiennego narratora, a ostatecznie jego odwet za straszliwą zbrodnię.

Ken zaczął czytać od początku, ale cały czas szukał ukrytych znaczeń. Dotarł do jednej trzeciej opowieści, nie natrafiając na żadne tropy, gdy nagle zadzwonił piekielnie głośny budzik. Była ósma rano i musiał iść do redakcji. Nie miał na to ochoty – ledwie mógł się utrzymać na nogach – jednak zważywszy na to, jak często brał wolne, żeby grać małe znaczące role w filmach, jego posada wisiała na włosku. Schował książkę do szuflady stolika nocnego.

O dziewiątej trzydzieści – niegroźnie spóźniony – usiadł na swoim drewnianym krześle w dziale ogłoszeń redakcji „Timesa”. Miał mętlik w głowie. Czuł, że powinien zbadać kilka dziwnych, wręcz podejrzanych aspektów życia Olivera, jeśli chciał odkryć, co tak naprawdę się wydarzyło. Pierwszym z nich był nieznaną powód, dla którego przyjaciel zapłacił kaucję za Piersa Bellena. Musiał więc namierzyć tego szczekającego psa. Była także kwestia dawnej rodzinnej tragedii Tooke'ów. Ken podszedł do telefonu i poprosił operatorkę o połączenie z działem bibliotecznym, gdzie

przechowywano dawne wydania gazety oraz materiały dotyczące wszystkich tematów, o których pisał „Times”.

– Biblioteka.

– Dzień dobry. Mówi Ken Kourian. Chciałbym zobaczyć doniesienia prasowe o pewnym porwaniu w tysiąc dziewięćset piętnastym roku. – Wymienił gubernatora Olivera Tooke’a i jego dzieci.

– W porządku. To zajmie nam jakieś dwie godziny. Przy którym biurku pan siedzi?

Wiedział, że szczerą odpowiedź może utrudnić mu życie.

– W dziale ogłoszeń.

– Gdzie?

– W dziale drobnych ogłoszeń.

Kobieta przez chwilę milczała.

– Więc po cholere panu te wycinki?

Miał przygotowane wyjaśnienie.

– Potencjalny reklamodawca wydaje książkę o dawnych przestępstwach w naszym stanie. Obiecałem, że mu pomożemy. Chodzi o niezły kontrakt. – To była kiepska historyjka.

Znowu długa cisza.

– Dobrze – odezwała się w końcu z irytacją kobieta. – Za dwie godziny.

– Dziękuję. Mam jeszcze jedną prośbę.

– Co tym razem?

– Może pani sprawdzić, czy w archiwum jest cokolwiek o Oliverze Tooke’u, pisarzu?

– O jaki okres chodzi?

Ken nie był pewien.

– O każdy.

Głos na drugim końcu linii nie wydawał się zadowolony.

– Mam sprawdzić wszystkie wydania?

– Może z ostatnich dwunastu miesięcy?

– Dobrze, dobrze.

Cztery godziny później posłaniec postawił na jego biurku tekturowe pudełko. Zawierało egzemplarze „Los Angeles Timesa” z 1915 roku, w których pisano o porwaniu. Pierwszy pochodził z drugiego listopada.

Trwa policyjna obława po tym, jak małoletni syn magnata z branży szklarskiej, Olivera Tooke'a, został uprowadzony z rodzinnej posiadłości w Anglii.

Chłopca, czteroletniego Alexandra, wyrwali z objęć matki, Florence, dwaj mężczyźni cygańskiego pochodzenia. Pani Tooke spacerowała w ogrodzie ze starszym synem, pięcioletnim Oliverem, gdy napastnicy rzucili się na nią. Angielska policja uważa, że mężczyźni mogli mieć wspólników. Rodzina czeka na żądanie okupu lub inne wieści od przestępców.

Państwo Tooke'owie spędzali lato w hrabstwie Essex z ojcem pana Tooke'a, Simeonem, który wyemigrował do Kalifornii w 1883 roku.

Florence. To imię go zelektryzowało. Nie wiedział, że nosiła je matka Olivera, a w jego opowieści pojawiała się bohaterka o tym samym imieniu. To musiało coś oznaczać.

Dwa dni później w gazecie pojawiła się kolejna notatka.

W ramach dochodzenia w straszliwej sprawie porwania Alexandra Tooke'a policja kontroluje cygańskie obozowiska w całym Essex, szukając zaginionego dziecka. Przesłuchano ponad pięćdziesięciu mężczyzn, a chociaż trzem z nich postawiono zarzuty w innych sprawach, nasz informator związany z policją donosi, że angielscy funkcjonariusze wciąż nie znają miejsca pobytu chłopca. Jego ojciec, Oliver Tooke, założyciel firmy szklarskiej, wyznaczył nagrodę wysokości 10 000 dolarów za wszelkie informacje, które doprowadzą do odnalezienia jego synka.

Do tekstu dołączono rodzinne zdjęcie. Ken już wcześniej je widział: wisiało w bibliotece w Domu Klepsydry. W gazecie było podpisane: *Pan Tooke z żoną, Florence, oraz trójką dzieci, Oliverem juniorem (5 lat), Alexandrem (4 lata) i Coraline (1 rok).*

W pudełku znajdowały się także inne artykuły, ale nie było w nich niczego poza spekulacjami albo uaktualnieniami, które niczego nie wносиły – aż do historii, którą wydrukowano rok później.

Dotknięta tragedią rodzina Tooke'ów opuściła Anglię, by wrócić do swojego domu na Point Dume w Los Angeles. Od czasu porwania

małego Alexa rodzina nie ruszała się ze swojej posiadłości na małej wyspie w hrabstwie Essex na wschodnim wybrzeżu Wielkiej Brytanii, gdzie siedziała za zamkniętymi okiennicami. Oliver Tooke oferował coraz większe sumy za informacje o miejscu pobytu chłopca, tak że obecnie nagroda wynosi 30 000 dolarów. Wszystko na nic. Ich powrót oznacza, że porzucili nadzieję, iż zobaczą jeszcze synka żywego.

Był jeszcze ostatni wycinek: przykry artykuł z 1920 roku, zatytułowany *Rodzinna klątwa ponownie spada na Tooke'ów: topi się matka*.

Florence Tooke, żona magnata z branży szklarskiej Olivera Tooke'a, utonęła podczas rodzinnych wakacji w Anglii, gdzie odwiedzała swoją posiadłość na wyspie Ray w hrabstwie Essex. Osobom z zewnątrz rodzina ta może się wydawać przekłeta; musiała sobie poradzić z porwaniem i być może zabiciem ich najmłodszego synka, Alexa, co zdarzyło się w tym samym miejscu około pięciu lat wcześniej. Pani Tooke podobno spacerowała wzdłuż błotnistej skarpy, gdy pochłonęła ją gwałtownie podnosząca się woda. Przyjaciele jej męża donoszą, że jest „zdruzgotany” i stara się pocieszyć pozostałą dwójkę ich dzieci, Olivera juniora, lat dziesięć, i Coraline, lat sześć.

Dalsza część artykułu znajdowała się pod niewyraźnym zdjęciem, przedstawiającym drobną kobietę ubraną na wieczorne tańce, z ciemnymi włosami, które opadały jej na ramiona.

Pani Tooke była prawdziwą pięknoscią. Przyszła na świat w Nowym Jorku, jako Florence De Waal, i uchodziła za utalentowaną malarkę impresjonistyczną. Organizowała spotkania artystyczne, a po ślubie została mecenasem sztuki. W ostatnich latach urzędowała wystawy dzieł artystów należących do Western Front. Kontrowersyjność niektórych prac wywołała oskarżenia o defetyzm i moralne zepsucie.

Na dnie pudełka leżał jedyny nowszy artykuł, dotyczący Olivera Tooke'a. Pochodził z rubryki towarzyskiej, a anonimowy autor łączył w nim *młodego atrakcyjnego pisarza z dwiema albo trzema*

oszałamiającymi gwiazdkami, z którymi ten spotkał się na jednym czy drugim przyjęciu.

Ale, moi drodzy, nie sądźcie, że życie Olly'ego Tooke'a jest usłane różami. Być może pamiętacie sprawę porwania w rodzinie Tooke'ów sprzed dwudziestu lat, gdy jego braciszek został uprowadzony i nigdy się nie odnalazł. Matka umarła zaledwie kilka lat później z tęsknoty za synkiem. Czy więc Olly jest tak atrakcyjny, bo potrafi błyskotliwie pisać, czy może dlatego, że pochodzi z dotkniętej przez los rodziny oraz ma piękną opaleniznę? Czy jego gwiazda jasno rozbłyśnie, czy spadnie z nocnego nieba? Czas pokaże. Ale wiecie, gdzie będziecie mogli o tym przeczytać!

Jezu Chryste, ale się nad nim znęcali, pomyślał Ken. Dajcie człowiekowi spokój.

Z namysłem bębnił palcami po biurku, gdy wrócił szef.

– Cześć, George. Nie czuję się najlepiej – powiedział Ken.

– Co się stało?

– Chyba czymś się zatruję. Muszę wrócić do domu.

– Jeśli znów wychodzisz wcześniej na przesłuchanie...

– Nie, jestem chory.

George wskazał kciukiem wyjście.

– Zgoda, ale jutro przyjdź wcześniej, żeby nadrobić zaległości.

– Dobrze.

Ken właśnie włożył kurtkę, gdy zadzwonił telefon. George odebrał.

– Dział ogłoszeń drobnych. – Przez chwilę milczał, a potem wyciągnął słuchawkę w stronę Kena. – Do ciebie.

Ken wziął ją.

– Słucham? – odezwał się.

– Cześć, Ken.

Znał ten głos. Bardzo niewiele kobiet do niego dzwoniło – tylko parę sekretarek. Ten głos należał do osoby o trzydzieści lat młodszej od nich.

– Coraline.

Dziewczyna lekko się zawahała.

– Możesz się ze mną spotkać?

Z jakiegoś powodu nie był pewien, co odpowiedzieć. Zwyciężyły jednak dobre maniere. W końcu była pogrążoną w żałobie siostrą.

– Oczywiście. Gdzie?

George podniósł wzrok i zmarszczył czoło, jakby właśnie usłyszał coś, czego nie rozumiał, ale co mu się nie spodobało. Ken udał, że tego nie zauważył.

– Przy Rodeo Drive jest bar Yacht Club. Za pół godziny.

– Dam radę. Do zobaczenia.

Rozłączyła się i on także odłożył słuchawkę.

– Już się lepiej czujesz? – spytał sarkastycznie George.

– Jej brat wczoraj zmarł – odrzekł Ken.

Popatrzył na stertę wycinków z gazet na biurku. Miał nadzieję, że George ich nie zauważy, bo wyglądały podejrzanie.

– W porządku, idź. Ale na przyszłość nie kłam, że jesteś chory. Nie jestem potworem. Musimy dbać o siebie nawzajem.

– Jasne.

Wyszedł, z lekkim poczuciem winy.



Rozdział 10

Bar, w którym się umówili, okazał się ekskluzywnym lokalem, pełnym ludzi z branży filmowej. Kilka marzących o karierze aktorskiej dziewcząt siedziało samotnie przy barze, popijając drogie drinki i licząc, że ktoś je zauważy.

Coraline miała na sobie obcisłą czarną sukienkę i toczek z czarną wstążką dokoła.

– Dziękuję, że przyszedłeś – odezwała się bardzo oficjalnie.

– Nie ma sprawy. – Miał ochotę odrzucić formalności, ale powstrzymał się i przywołał kelnera. – Co się stało dziś rano?

– Pojechałam do kostnicy, żeby go zidentyfikować. Ojciec zorganizuje pogrzeb. – Upiła łyk koktajlu miętowego z whisky.

– Gdzie go pochowacie?

Lekko się wzdrygnęła.

– Mamy własny kawałek ziemi. Oliver nie był religijny... podobnie jak ja... więc nie ma znaczenia, gdzie i jak to się odbędzie. – Czy to była prawda? Nawet dla tych, którzy nie zawracają Bogu głowy, nie jest obojętne, gdzie spoczną po śmierci. Coraline na chwilę zamilkła. – Ostatnio często mówił o poczuciu winy.

– Ze mną też o tym rozmawiał. Wiesz, o co chodziło?

– Miał coś na sumieniu. Nie wiem. – Opróżniła szklanekę i zamówiła kolejnego drinka.

Ken postanowił nie owijać w bawełnę, choć nie było to łatwe.

– Myślisz, że naprawdę popełnił samobójstwo?

Wbiła w niego mleczonebieskie oczy i wytrząsnęła z paczki papierosów Nat Sherman jednego.

– Masz jakiś powód, by w to wątpić? – Głos nawet jej nie zadrżał.

Miał kilka okruchów informacji, które na razie o niczym nie przesądzały.

– W pewnym sensie. Nie sprawiał wrażenia przygnębionego, przynajmniej w moim towarzystwie. Wiedziałaś, że ma broń?

– Nie wiedziałam.

Coś takiego powinno się wiedzieć o bracie. Ale na razie nie drążył tematu.

– Czyli możliwe, że nie należała do niego.

Wypiła duszkiem połowę złocistobrazowego drinka.

– To prawdopodobne – przyznała.

– Poza tym widziałem dwóch mężczyzn w motorówce.

Zatrzymała dłoń z papierosem w połowie drogi do ust. Ken uważnie przyglądał się jej reakcji.

– Płynęli do wieży pisarskiej?

– Tak.

– Jesteś pewien?

– Owszem, ale detektyw Jakes nie jest przekonany. Uważa, że było zbyt ciemno, żebym mógł to zobaczyć.

– Co na to odpowiedziałeś?

– Że księżyc świecił wystarczająco jasno.

Zaciągnęła się papierosem i wydmuchnęła dym kątem ust.

– To niczego nie przesądza – rzuciła.

– Zgadza się.

– A więc mam ci wierzyć na słowo, że widziałeś to, co wydaje ci się, że widziałeś?

– Chyba tak. – Patrzył, jak Coraline ponownie unosi szklankę do ust. – Znalazłem doniesienia prasowe z „Timesa” o twoim braciszku Alexandre. O jego porwaniu.

Skrzywiła się i postawiła ze stuknięciem szklankę na cynkowym blacie.

– No proszę, prawdziwy detektyw z ciebie. – Odzyskała panowanie nad sobą. – To było dawno temu.

– Czy coś...

– Miałam rok. Więc nie, niczego nie pamiętam. – Atmosfera zrobiła się gęsta.

– Kilka miesięcy temu byłem na pewnym przyjęciu. Niejaki Piers Bellen podwiózł mnie do domu... a raczej miał to zrobić. Po drodze zaatakował czarnoskórego mężczyznę w przydrożnej restauracji i wylądowaliśmy na posterunku policji. Oliver wpłacił za niego kaucję. – Słuchała go bez żadnej reakcji. – Ale najbardziej mnie zaszokowało, że kiedy Bellen do niego zadzwonił, powiedział, że Oliver ma go natychmiast wyciągnąć z aresztu, bo inaczej... i tutaj dodał coś dziwnego o tym, że Oliver nawet nie wyobraża sobie, co on odkrył.

Coraline z namysłem strzepnęła popiół do szklanej popielniczki.

– Powinniśmy z nim porozmawiać – rzuciła.

– Tak sądzę.

Najpierw jednak musieli go znaleźć, bo Ken nie miał pojęcia, jak skontaktować się z Bellenem.

Ale znał kogoś, kto to wiedział.

– Kurwa, zostawiłeś mnie z tą świnią! – wrzasnęła Gloria do telefonu.

Ken i Coraline byli w budce telefonicznej w holu i słuchawka o mało nie pękła od tych krzyków. Ken nie rozmawiał z Głorią od czasu tamtego okropnego wieczoru na posterunku.

– Chciałaś z nim pojechać.

– Wcale nie! Spotkałam się z nim jeszcze tylko dwa razy. No, może trzy. To wszystko. Myślałam, że jest znanym producentem.

– A kim jest naprawdę?

– Kim jest? Kurwa, pracuje dla rządu – prychnęła. – Chyba w Departamencie Stanu. Jeśli chcesz z nim porozmawiać, tam go szukaj. – Rozłączyła się.

Departament Stanu. Polityka zagraniczna. Może miało to jakiś związek z pobytem rodziny w Anglii. Ze zniknięciem brata Olivera. Możliwe.

Ken połączył się z informacją, a potem z dwiema waszyngtońskimi centralami, aż w końcu dobił się do Bellena.

– Jaki Ken? – sapnęła mężczyzna. – A, z tamtego przyjęcia. Widziałeś, co tamten bambus mi zrobił...? – wyrzucił z siebie.

– Słyszałeś o Oliverze? – przerwał mu Ken.

– Tooke’u? A co ten osioł znowu zrobił?

– Nie żyje.

Na chwilę zapadła cisza.

– Co? Ale jak?

Czyżby w głosie Bellena pobrzmiwał strach, a nie szok?
Niewykluczone.

– Umarł w tym swoim budynku na skałach niedaleko brzegu, tam, gdzie pisał. Rana postrzałowa.

– Jezu Chr... – Bellen brzmiał, jakby zobaczył zbliżającego się człowieka z pałąk w jednej ręce i stryczkiem w drugiej.

Ale Ken nie zamierzał się z nim cackać.

– Powiedz mi, Piers.

Znów milczenie.

– Co mam ci powiedzieć? – spytał tamten podejrzliwie.

– Co na niego miałeś?

Wahanie.

– Nic.

– Chodziło o Alexandra?

– O Alexandra? – Bellen prychnął drwiąco. – Nie, nie chodziło o Alexandra.

Wiele można było wyczytać z jego tonu. Ale ta arogancja go zgubiła, bo wskazała Kenowi, w którą stronę podążać.

– A więc o coś innego. O kogoś, kto był mu bliski. – Kiedy wypowiadał te słowa, bezwiednie wyjął z kieszeni książkę i zaczął przerzucać kciukiem strony. W powieści wyczytał coś, co nie dawało mu spokoju. Jedna z bohaterek otrzymała imię nieżyjącej matki Olivera. A podczas rozmowy telefonicznej z Oliverem Bellen parodiował wystraszony kobiecy głos. – Chodziło o Florence, prawda? – Cisza. Z pewnością naznaczona poczuciem winy. Ken strzelił na oślep, ale trafił prosto w cel. – Co takiego wiedziałeś o niej, czym mogłeś go szantażować?

– Ty dupku, ja ci... – wybuchnął Bellen.

– Wiedziałeś coś o Florence Tooke i domyślam się, że odkryłeś to dzięki swojej pracy. Więc powiedz mi, co to było, albo powiadomię twoich przełożonych, że w pracy załatwiałeś prywatne sprawy.

W słuchawce rozległ się przeciągły syk.

– Chciał się dowiedzieć... w jaki sposób umarła. Ze szczegółami.

Ken zauważył, że Coraline lekko zeszywniała.

– Utopiła się – powiedział.

Doniesienia prasowe stwierdzały to bez cienia wątpliwości.

– Ano właśnie – rzucił Bellen, a Ken poczuł, że w jego stronę pędzi pociąg towarowy bez hamulców. – Przeprowadzono dochodzenie w sprawie przyczyny śmierci. Poprosiłem o kopię raportu. Przekazałem ją Tooke’owi.

– Co napisano w raporcie? – ponaglił go Ken.

– Ława przysięgłych... – Bellen urwał w pół zdania.

– Co ława przysięgłych?

– Oni... – Znów się zawahał, jakby bał się ujawnić prawdę.

– Mów.

– Wydali orzeczenie otwarte.

Co takiego?

– Co to znaczy, do diabła?

– To znaczy, że mieli podejrzenia. Według jednego ze świadków... chyba gospodyni... pani Tooke tamtego dnia była bardzo radosna. Naszykowała sobie przybory do malowania, by pracować nad nowym obrazem. Nie sprawiała wrażenia osoby, która chce ze sobą skończyć. – Ken zerknął na Coraline; miał nadzieję, że te słowa nie są dla niej zbyt bolesne. – Ława przysięgłych sądziła, że to mógł być wypadek bądź samobójstwo. Albo... coś innego. Właśnie to oznacza ich orzeczenie.

„Albo... coś innego”. Dotarło do niego znaczenie tych słów. Coraline tylko lekko skłoniła głowę. Ken nigdy nie widział, żeby uległa emocjom.

– Co jeszcze wiesz? – rzucił do słuchawki.

– Kompletnie nic. Długo trwało, zanim dotarłem do tych informacji. Chciałem...

Ken się rozłączył. Wydawało się oczywiste, że Bellen chciał jak najwięcej wyciągnąć z Olivera.

Przez niemal minutę Coraline wpatrywała się w filmowców siedzących w towarzystwie o połowę młodszych dziewcząt. W końcu przerwała milczenie.

– Jakiś czas temu Oliver zniknął... na około miesiąc.

– Myślisz, że pojechał do Anglii?

– Kiedy wrócił, był... nieobecny.

– Coś tam odkrył.

– Tak sędzę.

Podpisała rachunek i wyszli z klubu. Ken podążył za nią na pustą działkę, na której w ciągu roku miał zapewne powstać nowy budynek. Na

razie były tam tylko krzaki, w których siedzieli włóczędzy. Postanowił dać dziewczynie trochę przestrzeni.

– Co o tym myślisz, Ken? – spytała, nie patrząc na niego.

– Twój ojciec nigdy nie wspominał, że ma jakieś wątpliwości co do jej śmierci?

– Oczywiście, że nie.

– Więc uważam, że musimy się jeszcze dużo dowiedzieć. A nie zrobimy tego, stojąc tutaj.

Zrozumiała.

– Myślisz, że powinniśmy jechać do Anglii?

– Owszem.

Sięgnęła do torebki, wyjęła nowego papierosa i przytknęła do niego płomień zapalniczki. Wydmuchnęła trzy długie smugi dymu, zanim się odezwała.

– Dawno tam nie byłam. – Na chwilę zamilkła. – Nienawidzę tamtego domu.

– Opowiedz mi coś o nim.

– Co chcesz wiedzieć?

– Zaczynaj od początku.

– Mój dziadek odziedziczył go po jakimś dalekim krewnym...

– Zaraz, to prawda?

– Co masz na myśli?

Wydawało mu się to równie zwariowane jak cała reszta.

– W książce Olivera pojawia się angielski lekarz Simeon, który dziedziczy dom po wuju.

– Naprawdę? Nie czytałam jej. Oliver prosił, żebym na razie tego nie robiła, ale nie chciał powiedzieć dlaczego. Obiecał, że wyjaśni, kiedy będzie mógł.

To samo w sobie było dziwne.

– Opowiedz mi, co się stało w Domu Klepsydry – poprosił Ken. – Tym w Anglii. Czy naprawdę znaleziono tam zwłoki w błocie?

Popatrzyła na niego z zaciekawieniem. Pewnie wydawało jej się dziwne, że ktoś z zewnątrz zna tajemnice jej rodziny.

– Owszem. Dziadek opowiedział nam o tym, kiedy byliśmy wystarczająco duzi, by to zrozumieć.

– A więc to wasza historia. Oliver opisał ją w *Klepsydrze*. Chociaż zmienił nazwisko dziadka.

Roześmiała się na te rewelacje.

– Nasza wielka rodzinna legenda. Chociaż nie tylko legenda, bo to z pewnością prawda. Myślę, że ojciec jest dość dumny ze swojego pochodzenia. W historii wszystkich słynnych rodów kryją się morderstwa i obłąd, podobnie jak wśród średniowiecznych papieży. A wszystko zaczyna się od mojego dziadka. Po odziedziczeniu domu przez jakiś czas w nim mieszkał, zanim przyjechał tutaj.

– Czy w domu była uwięziona kobieta o imieniu Florence? W książce jest szwagierką wujka Simeona.

– Tak, była tam jakaś kobieta. Ale nie nosiła imienia mojej matki. To wymyślił Olivera.

Ken z zadumą pokiwał głową. Co Oliver chciał przekazać, nadając tej bohaterce imię swojej matki?

– Zacząłem czytać tę książkę. Muszę ją dokończyć. Myślę, że ty też powinnaś to zrobić.

– Przeczytam ją w drodze do Anglii.

– W porządku. Jest tylko jeden szkopuł. – W delikatny sposób chciał powiedzieć, że jest biedny jak mysz kościelna.

Nie musiała czytać mu w myślach; znoszone buty mówiły za niego.

– Nie martw się, pokryjemy wszystkie koszty z majątku mojej rodziny.

– Jestem...

– Nie ma o czym mówić.

W porządku. Przeszedł do kwestii praktycznych.

– Mamy dwie możliwości.

– Zamieniam się w słuch.

– Podróż statkiem zajmie tydzień. Samolotem dotrzemy na miejsce w dwa dni.

Gazety rozpisywały się o pierwszych transatlantyckich lotach pasażerskich. Samoloty startowały z Nowego Jorku, tankowały w Nowej Fundlandii, potem jeszcze w Irlandii i wreszcie docierały do portu Southampton na południowym wybrzeżu Anglii. Pasażerowie lecieli na pokładzie ogromnych hydroplanów, które startowały z nadmorskich przystani, a nie z lotnisk w głębi lądu.

– A zatem polecimy – rzuciła Coraline.

– Jeśli uda nam się zdobyć bilety.

– Mój ojciec jest gubernatorem Kalifornii. Dostaniemy bilety.

– Nawet jeśli samolot będzie pełny?

– Postarają się, żeby był mniej pełny.

– Pewnie tak.

A więc wybierali się do Anglii, gdzie zniknął jej brat i utonęła matka. To wszystko musiało być ze sobą powiązane. Ken włożył ręce do kieszeni. Ulica pełna ludzi zmierzających do sklepów i na przystanki tramwajowe nie była właściwym miejscem na taką rozmowę, ale nie miał wyjścia.

– Co pamiętasz z dnia, gdy umarła twoja matka?

Popatrzyła na papierosa, którego trzymała między palcami, i go wyrzuciła.

– Byłam wtedy w bibliotece i czytałam. Coś o angielskich królach i królowych. – Ken nie bardzo umiał ją sobie wyobrazić jako dziewczynkę, a nie modną młodą kobietę, którą teraz widział. – W drzwiach stanął ojciec. Zbliżał się bardzo powoli, dobrze to pamiętam. Powiedział mi wprost, że matki już nie ma. Poszła na błotniste równiny. Nigdy nie znaleźliśmy jej ciała. – Umilkła, a Ken jej nie ponaglał. – Co roku wracaliśmy tam w rocznicę jej śmierci i zostawaliśmy na cały tydzień. Przestałam uczestniczyć w tych wyjazdach, kiedy skończyłam dwadzieścia jeden lat, ale ojciec wciąż tam jeździ. Mniej więcej w rocznicę śmierci mamy. Zawsze nienawidziłam tych podróży... zupełnie jakby jej zależało, żebyśmy się tam pojawiali.

Coraline potrzebowała trzydziestu sześciu godzin, żeby zarezerwować lot. W tym czasie się nie widzieli, ale Ken miał kilka spraw do załatwienia. Wziął dwutygodniowy bezpłatny urlop w redakcji. Poza tym musiał dokończyć książkę Olivera.

Pod pewnymi względami była to historia o duchach. Nie o widmowych straszidłach, ale o duchach przeszłości, które powracają, by dręczyć sumienia żyjących. Te duchy kryły się wszędzie, nawet w muzyce.

Dotknęła palcami swojego serca i znów zaczęła śpiewać hymn:

– *Wspomóż słabych, rozprosz mroki grzechu.*

Simeon nagle zrozumiał, dlaczego ciągle go śpiewa. Słyszał tę melodię, niesioną wiatrem, z dzwonnicy kościoła na Mersei.

Ken podążał za bohaterami, gdy wędrowali po ponurej wyspie i po krętych ulicach Londynu. Towarzyszył im w niebezpieczeństwach

i przeciwnościach losu. W przyjaźniach i konfliktach. A kiedy dotarł do końca, zrozumiał smutne przesłanie tej opowieści: nikt nie wygrał. Nikt niczego nie zyskał, gdy pogrzebana prawda wyszła na jaw, ani nie świętował, kiedy wyjawiono wstydliwą tajemnicę. Nawet bohaterowie, którzy pozostali przy życiu, ostatecznie przegrali. Opowieść mówiła: jeśli ujawnicie przeszłość, zniszczycie teraźniejszość.

To zmusiło Kena do zastanowienia. Skoro Oliver żałował, że odkrył jakiś sekret, czy nie byłoby lepiej nie odgrzebywać go teraz? Ale w Kenie odezwała się mściwa natura. Sprawa była jasna: jego przyjaciel zginął, a on chciał się dowiedzieć, kto powinien za to zapłacić.

Podróż zaczęła się od zwykłego lotu do Nowego Jorku, skąd pociągiem dotarli na Long Island, by w Port Washington wejść na pokład międzykontynentalnego samolotu.

Musieli się przesiąść przy Flushing Main Street. Tego ranka na peronie roило się od wycieczkowiczów i mężczyzn, którzy transportowali skrzynie z owocami i mąką do lokalnych sklepów. Niektóre pociągi zatrzymywały się tutaj i zabierały setki pasażerów, ale najwięcej było ekspresów, przemykających przez dworzec z pełną prędkością.

Ken przez cały poranek miał mętlik w głowie, a teraz rozmyślał o relacji Coraline z ojcem. Nie potrafił jej rozgryźć. Dziewczyna doradzała ojcu w kwestii wyciągania funduszy od politycznych zwolenników, ale z pewnością nie byli ze sobą blisko związani. Tyle że traktowała chłodno wszystkich, może poza Oliverem.

– Znasz kogoś, kto przeleciał nad Atlantykiem? – spytał, żeby nawiązać rozmowę.

– Amelię Earhart.

– Znałaś ją osobiście?

– Trochę.

To było urocze.

Napierali na nich tłoczący się ludzie, którzy koniecznie chcieli się dostać do kolejnego pociągu. Przez dworzec znów przemknął ekspres. Na szczęście Ken i Coraline przyszli na peron odpowiednio wcześniej, więc mogli liczyć na miejsca siedzące, gdy pociąg wreszcie się pojawi. Coraline zerknęła na zegarek.

– Dwie minuty – powiedziała.

– Dobrze, bo... – Urwał, ponieważ nagle coś poczuł.

Ktoś z tyłu kopnął go mocno w kolano, tak że pod Kenem ugięła się noga, a następnie pchnął go ramieniem do przodu i przewrócił. Stopy Kena oderwały się od betonowego peronu i jego ciało obróciło się w powietrzu. To był paskudny upadek. Ale najbardziej przeraził go widok zbliżających się torów i poczerniałych kamieni.

Zobaczył pociąg, oddalony o niecałe dwadzieścia jardów, pędzący w jego stronę. Nie miał czasu odwrócić się ani chwycić krawędzi peronu. Mógł tylko osłonić rękami głowę. Po chwili runął twarzą na metal i żwir; chroniące ją kostki palców wylądowały na stalowej szynie.

Upadek na chwilę go oszołomił, ale czas naglił. Widok zbliżającego się pociągu zmusił jego mózg do walki o przetrwanie i Ken błyskawicznie odtoczył się na bok, pod brązowawe cegły, z których zbudowany był peron. Ktoś wrzasnął. Ryknęła syrena pociągu. Ken czuł żar od pędzących w jego stronę kół i słyszał paniczne krzyki ludzi na dworcu, patrzących na człowieka, który za chwilę miał zginąć. Instynkt przetrwania jest jednak potężny. Ken z całej siły przycisnął się do cegieł, jakby chciał zamienić swoje ciało w płyn i wnikać w najmniejsze szpary. Poczował, jak obok jego głowy przemyka coś twardego i gorącego. Wiedział, że gdyby znajdował się o włos dalej od ściany, tysiące ton stali roztrzaskałyby mu czaszkę na kawałki.

Po chwili pociąg go minął i lokomotywa zahamowała z takim piskiem, jakby miała rozerwać tory. Jakaś kobieta wciąż krzyczała.

– Nie żyje?! Pociąg go uderzył?! Widzieliście?! – wołali pasażerowie. – Niech ktoś go wyciągnie!

Ken zaryzykował drobny ruch, a kiedy obrócił głowę, zobaczył, że pociąg stoi tuż obok niego. Z trudem przewrócił się na plecy.

– Za dwie minuty przyjedzie następny!

Dobrze już, dobrze. Nie miał czasu na odpoczynek. Doskonale to rozumiał.

Zdołał usiąść, po czym ostrożnie wstał – i znalazł się oko w oko z Coraline, której blada twarz stała się jeszcze jaśniejsza, bo odpłynęła z niej cała krew.

Nie miał czasu reagować na okrzyki: „Nic panu nie jest?!”, które dobiegały zewsząd. Chciał tylko dowiedzieć się, kto go przewrócił.

– Zadzwoń na policję – warknął, gramoląc się na peron.

Był gotowy do walki. Marzył o niej.

Z mocno zaciśniętymi, pokrwawionymi pięściami rozglądał się, szukając twarzy, na której malowałoby się poczucie winy. Widział młode matki, starców, dzieci. Wszyscy sprawiali wrażenie wstrząśniętych. Nikt nie był zawstydzony ani rozczarowany tym, że Ken wciąż żyje i jest gotów na wszystko. Nagle w samym środku tłumu na ułamek sekundy zobaczył mężczyznę, który szybko się wycofywał, zmierzając do wyjścia. Wyglądał całkiem zwyczajnie – średni wzrost i budowa ciała, włosy koloru błota. Ale Ken dostrzegł na jego twarzy wyraz determinacji. Po chwili tłum zafalował i mężczyzna zniknął.

– Z drogi! – wykrzyknął Ken.

Zaczął przeciskać się między ludźmi i odepchnął kilka osób, które próbowały go zatrzymać, mówiąc mu, że ma wstrząśnienie mózgu i powinien odpocząć. Dotarł do wyjścia i popatrzył wzdłuż szerokiej nowej ulicy, ale zobaczył tylko dwie matki z dziecięcymi wózkami.

Na peron wbiegł policjant o twarzy czerwieńszej od wiśni. Ktoś musiał go zawołać.

– Nic ci nie jest, kolego? – spytał; chrapliwy oddech rzeźił w jego obwisłym, niesprawnym ciele.

– Żyję. – Ken otarł czoło.

– Tu jest naprawdę niebezpiecznie w takim tłoku – rzekł policjant, zdejmując przepoconą czapkę. Powinien był ją wyjąć. – Od dawna to powtarzam.

– Ktoś mnie popchnął. Rozmyślnie – powiedział Ken groźnym głosem.

Policjant wydawał się zaskoczony, jakby sam został oskarżony o zaplanowanie tego ataku.

– Niemożliwe, nie tutaj. To był wypadek. Ludzie ciągle się popychają. Nieczęsto spadają na tory, ale...

Przerwał im maszynista pociągu, który wysiadł z kabiny i podbiegł do nich.

– Nic panu nie jest? – spytał. Był jeszcze dzieciakiem. – Zacząłem hamować od razu, jak pana zobaczyłem. Tylko że...

– To nie pana wina.

– Zwykły wypadek – rzucił policjant pocieszającym tonem.

– Nic podobnego – odparł Ken. – Czy nikogo pan tutaj nie rozpoznaje? – Wskazał ludzi, którzy szeptali między sobą, przysłuchując się ich rozmowie.

– Rozpoznaje? Owszem, kilka osób. – Ton głosu policjanta stał się wymijający. – To mój rejon. Codziennie widuję tych samych ludzi.

Ken dał za wygraną. Najważniejsze, że przeżył, a zresztą co mógł mu powiedzieć ten krawężnik? Tylko tyle, że okoliczni mieszkańcy nie skrzywdziliby muchy, nawet gdyby usiadła im na nosie. Ken wiedział, że od tej pory musi mieć się na baczności.

– Chce pan pójść ze mną na posterunek i złożyć zeznania? – spytał policjant.

Było oczywiste, że wolałby tego uniknąć. Musiałby się męczyć z papierkową robotą.

Ken pokręcił głową i wprowadził Coraline do budynku dworca, gdzie stał wózek z kawą, a przy nim było pusto, bo wszyscy klienci wcisnęli się na peron, żeby obejrzyć przedstawienie. To tańsze niż kino. Nawet dziewczyna, która sprzedawała kawę, opuściła swój posterunek i wyciągała szyję, nie zdając sobie sprawy, że główna gwiazda stoi za nią. Ken napełnił dwa kubki i wrzucił kilka monet do skrzynki. Nie wiedział, czy to wystarczy, ale nie miał nastroju na sprawdzanie cennika.

– Wiesz, że to nie był wypadek, prawda?

– Wiem – potwierdziła Coraline. – Jak myślisz, co powinniśmy zrobić?

– W tej sytuacji opowiadam się za pozostaniem przy życiu. – Napił się kawy. Była paskudna, ale nie dbał o to. Dziewczyna, która powinna ją sprzedawać, wróciła, lecz trzymała się na dystans, jakby wpadanie pod jadący pociąg było zaraźliwą chorobą. – Masz pojęcie, kto to mógł być?

– Nie – odparła Coraline.

– Nikogo nie widziałaś?

– Nie, a ty?

– Poczulem, że ktoś podcina mi nogi. Ale kiedy wstałem, zobaczyłem...

– Co takiego?

– Kogoś. Jakiegoś faceta.

– Rozpoznałeś go?

– Nie, ale było coś dziwnego w tym, jak na mnie patrzył.

– Co to znaczy?

– Jakby zamierzał następnym razem bardziej się postarać.

W samo południe stanęli na nabrzeżu przed unoszącym się na wodzie samolotem o rozmiarach domu.

– Oto boeing B trzysta czternaście Yankee Clipper, proszę pani – powiedział steward, dumny jak paw. – Największy samolot na świecie i w historii.

– Imponujący – przyznała Coraline. – Zaprowadzi nas pan na nasze miejsca?

– Z miłą chęcią.

Coraline podziękowała mu i weszli do kabiny. Wnętrze samolotu prezentowało się luksusowo, jak przystało na przedsiębiorstwo Cunarda. Na dwóch poziomach stały miękkie kanapy i dobrze wyposażone barki, a członkowie obsługi w białych marynarkach już czekali. Kucharzy podebrano z najlepszych hoteli w Waszyngtonie, obiecując im klientelę złożoną z koronowanych głów, a więc i stosowne napiwki. Dziewiętnastogodzinna nocna podróż zapowiadała się jak wakacje.

Samolot miał siedem przedziałów na pokładzie pasażerskim i w każdym znajdowało się dziesięć siedzeń, które można było zmienić w odgradzane zasłonami kuszetki z wypolerowanego orzechowego drewna.

– Robi wrażenie, prawda? – odezwał się Ken.

– Chyba tak.

– Chociaż zastanawiam się, jak długo będziemy mogli latać tą trasą.

– Co masz na myśli?

– Kilka razy rozmawiałem z twoim bratem o Niemcach i ich nowym kanclerzu. Oliver przewidywał nową wojnę.

– Ty się z nim nie zgadzałeś?

– Wtedy nie, ale teraz nie jestem taki pewien. Myślę, że Polska będzie następna. Nie zdziwiłbym się, gdyby czekała nas powtórka. A co ty o tym sądzisz?

Przez chwilę się zastanawiała.

– Podczas ostatniej wojny mój ojciec był porucznikiem. Jednego dnia stracił połowę swoich ludzi i wciąż pamięta ich nazwiska. Jeśli zostanie prezydentem, podejrzewam, że nie będzie chciał się angażować, niezależnie od tego, co się stanie.

Niezależnie od tego, co się stanie? To idealna recepta na międzynarodową katastrofę.

– A ty myślisz, że powinniśmy coś zrobić? – spytał.

Nie od razu odpowiedziała.

– To, co myślę, nie ma większego znaczenia.

Zawołała barmana i przekonała go, by przyniósł im butelkę żytniej whisky, chociaż ten upierał się, że podaje ją tylko w szklankach. Ken nalał trunek, Coraline wsunęła dziesięciodolarowy banknot do kieszeni barmana, a ten udał, że tego nie zauważył. Nieudolnie. Wyglądali przez okrągłe okno, palili i patrzyli na gwiazdy przesuujące się wzdłuż kadłuba.

– Kim ty jesteś, Ken? – Zadała to pytanie z namysłem, jakby naprawdę zależało jej, by poznać odpowiedź.

– Uwierzyłybyś, że zwykłym chłopakiem z farmy w Georgii?

– Nie uwierzyłabym. – Zaciągnęła się ostatnią porcją srebrnego dymu z papierosa.

– Ale właśnie nim jestem.

– Raczej byłeś – odparła.

– Nie da się uciec od przeszłości, Coraline.

– No to popatrz. – Zgniotła niedopałek w połączonej popielniczce.

Gdy podano brandy, pod sufitem wisiała chmura dymu tak gęsta, że można by się w niej zgubić na tydzień. Przy końcu potężnego hydroplanu znajdował się „apartament dla nowożeńców”, prywatna kabina, którą obecnie zajmował jakiś europejski młody książę ze swoją „przyjaciółką”, jak szepnął im kelner podczas kolacji. Dodał, że w apartamencie wiele par zachowuje się jak nowożeńcy, chociaż tylko nieliczne noszą obrączki. Kręcił się wokół nich, aż Coraline także jemu dała dziesięciodolarowy banknot. Wyglądało na to, że tyle wynosi zwyczajowa stawka.

Ken chciał już odpocząć, lecz myślami wciąż wracał do nocy, którą spędził w domu Tooke’ów, i do uchylonych drzwi sypialni Coraline. Przeszkodziła im krwawa tragedia, ale tamtego wieczoru czuł między nimi coś potężnego, a kiedy wszedł do pokoju dziewczyny, by przekazać jej wieści o bracie, nie mógł nie zauważyć, jak na niego patrzyła.

Teraz stali obok swoich miniaturowych odgradzonych kajut i nie mogli się rozstać.

– Tu jest lepiej, niż się spodziewałem – powiedział. – Chyba wprowadzę się na stałe.

– Lepiej niż w twoim mieszkaniu?

Roześmiał się.

– A czy w pałacu Buckingham jest lepiej niż w przydrożnym rowie?

Przez chwilę milczała.

– Znalazłam coś dla ciebie – rzuciła w końcu.

– Co takiego?

Steward przyniósł jej z szatni zamszową torbę. Nie dostał dziesięciu dolarów za fatygę i wydawał się rozczarowany. Coraline wyjęła z bocznej kieszeni list w jasnobłękitnej kopercie.

– Możesz go przeczytać.

List, na kremowym papierze z papeterii, był napisany przez jej dziadka, Simeona.

Dom Klepsydry, Ray, Essex
6 września 1915

Kochani Oliverze, Alexandrze i Coraline!

Jestem już stary, a Wasze życie dopiero się zaczyna. Dla Was jestem pomarszczonym starcem, a czy dzieci przejmują się pomarszczonymi starcami? Ani trochę! Zresztą tak być powinno. Powinniście myśleć o łowieniu ryb, wspinaniu się na drzewa i lekcjach. Gdybym mógł znów być w Waszym wieku! Ale to wszystko już jest za mną.

Piszę ten list, póki jesteśmy razem, ponieważ chcę, żebyście mnie pamiętali, gdy już odejdę. Ja na pewno będę Was pamiętał, gdziekolwiek będę.

Dalej pojawiały się życzenia na przyszłość oraz rady dotyczące kontaktów z ludźmi i innych spraw. Ale jedna część listu się wyróżniała.

Coraline, pewnego dnia będziesz piękną kobietą. Ale uważaj, żebyś nie stała się zbyt damą. Twoja babcia taka nie była i właśnie to w niej uwielbiałem. Lataj samolotami, o których ciągle opowiada Twój ojciec. A nawet naucz się je pilotować.

Alexandrze, wiem, że kiedyś będziesz dowodził ludźmi. Pewnie zostaniesz żołnierzem. Może znajdziesz swoje miejsce w marynarce. Już teraz widzę, że nie brakuje Ci rozumu. Kariera artysty bądź pisarza również by do Ciebie pasowała.

Oliverze. Och, Oliverze, szczerze Cię przepraszam. Masz takiego silnego ducha, a jednak zawodzi Cię ciało. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Piszę te słowa, siedząc w swoim ulubionym miejscu, patrząc na Ciebie w Twoim szklanym pokoiku w bibliotece, i chciałbym doznać jakiegoś olśnienia.

Wiem, że tak się nie stanie.

Pewnie nie masz pojęcia, po co były te wszystkie badania i obserwacje, ale przez kilka ostatnich miesięcy bacznie Ci się przyglądałem, mając nadzieję – w imieniu własnym i Twojego ojca – że wymyślę jakieś cudowne lekarstwo, które usunie skutki Twojej choroby. Niestety, mój drogi wnuku, wszystko na marne. Dlatego teraz siedzę na starej sofie, patrzę, jak bawisz się zabawkowym rowerkiem, kręcąc kółkami, i wiem, że sam nigdy na takim nie pojedziesz. Wielki smutek ogarnia zarówno mnie, jak i Twojego ojca, który miał takie wielkie nadzieje względem pierworodnego syna.

– O co mu chodzi, kiedy pisze o *szklanym pokoiku w bibliotece*?

– Mój ojciec wierzył, że Simeon zdoła wynaleźć lekarstwo na polio. To nie jest tak absurdalny pomysł, jak może się wydawać. Dziadek jest lekarzem, specjalistą od chorób zakaźnych, i zasłynął sukcesami w leczeniu cholery. Wtedy akurat spędzaliśmy rok w Anglii, więc Oliver musiał pozostawać w izolacji, podczas gdy dziadek próbował rozmaitych sposobów. Żaden nie zadziałał, chociaż jak wiemy, mój brat ostatecznie wyzdrowiał.

Ken sprawdził datę na liście. Napisano go dwa miesiące przed porwaniem Alexandra.

– W książce Olivera... – zaczął.

– Chcesz się czegoś dowiedzieć o szklanej celi. W powieści.

A więc też ją czytała. Szklana komnata była tak istotną częścią *Klepsydry*, że oszołomiła go myśl, iż mogła istnieć naprawdę.

– No tak.

– Jasne. A więc sądzę, że to się naprawdę wydarzyło. Przynajmniej tak wynika z opowieści dziadka.

– Niesamowite. – Niesamowite, że historia się powtórzyła, tylko tym razem to Simeon siedział na sofie i obserwował kogoś dniem i nocą. – Dlaczego twoi rodzice wrócili do miejsca, w którym porwano ich syna? Musiało się to wiązać z wieloma bolesnymi wspomnieniami.

– Pewnie tak. Rodzice i dziadek opuścili ten dom na wiele lat, ale ojciec zawsze powtarzał, że to posiadłość naszych przodków i że rodową tradycję należy szanować. – Z ironią uniosła brwi, co wskazywało, że sama ma tę tradycję za nic. – Dlatego zaczęli jeździć tam w każde lato. Dopóki nie umarła mama. – Spojrzała na list. – Ojciec ubóstwa Simeona. Często

powtarza: „Dziadek będzie z ciebie dumny”... albo rozczarowany, w zależności od tego, co zrobiłam. Chciałam, żebyś to przeczytał i przekonał się, jaki dziadek jest naprawdę, zamiast opierać się na książce Olivera.

– Rozumiem.

Obok Coraline znajdowało się okno, przez które wlewało się nocne niebo. Może stało się tak za sprawą whisky, a może upału, w każdym razie Ken zbliżył się do niej o pół kroku. Światła nad ich głowami odbijały się w jej mlecznoniebieskich tęczęwkach. Uniosła głowę, a on poczuł jej oddech, powolny i głęboki. Położył dłonie na jej biodrach i przyciągnął ją do siebie. Kiedy zbliżył usta do ust, oczy Coraline straciły skupienie i zapatrzyły się w dal. Odwróciła głowę. Powoli nią pokręciła i wbiła wzrok w ciemność.

– Nie teraz – powiedziała cicho i Ken opuścił ręce.

Przez kilka sekund wpatrywali się w siebie w milczeniu, czekając, aż to drugie wykona jakiś ruch, aż kelner przeszkodzi im subtelnym kasznięciem albo samolot runie z nieba. Czekali na cokolwiek. Nic się nie stało. Coraline rozchyliła zasłony i po chwili je puściła.



Rozdział 11

Późnym rankiem obudził ich aromat parującej kawy i herbaty. Umyli się i ubrali – i już byli na miejscu. Kiedy wysiedli z samolotu, powitał ich blask angielskiego lata. Pogoda nie mogła się równać z latem w Kalifornii – bardziej przypominała tamtejszą wiosnę. Poza tym, mimo że kajuta była wygodna, Ken słabo wypoczął i wciąż bolała go głowa od kłębow papierosowego dymu. Słone powietrze zatoki Southampton, które drażniło go w gardło, dodało mu energii, ale nie poprawiło nastroju.

Kiedy szli przez port, by spotkać się z czekającym na nich nadętym dygnitarzem albo starszym pracownikiem linii Pan Am, Ken rozglądał się dookoła. Po raz pierwszy widział Europę prawdziwą, nie w kronice filmowej, i zupełnie nie tego się spodziewał. Jego wizja starego kontynentu stanowiła mieszankę średniowiecznych romansów i powieści Dickensa. Oczekiwał bujnych lasów i sypiących się kamienic. Tymczasem znalazł się w kraju, który przygotowywał się do wojny na lądzie i morzu. Na nabrzeżu cumował ogromny okręt wojenny, wokół którego krążyły niczym osy małe statki pomocnicze. Z portu właśnie wypływał posapujący trałowiec. Wszędzie widać było granatowe mundury marynarskie oraz wojskowe polowe w kolorze khaki.

Wyglądają na pogodzonych z losem, zauważył. Miał nadzieję, że tym razem przetrwają bez pomocy Stanów Zjednoczonych, jeśli gubernator Tooke zostanie prezydentem i nie pozwoli amerykańskim chłopcom wyruszyć do drugiego krwawego teatru wojny w Europie.

Wsiedli do pociągu i wkrótce za oknami przemykał brudny Londyn. Ken był rozczarowany, że nie może zobaczyć stolicy, źródła literackiego wina, którym raczył się przez całe życie. Ale przynajmniej pozostały mu prawdziwe angielskie wioski z kamiennymi kościołami i dziewczętami na rowerach. W końcu dotarli do Colchesteru w hrabstwie Essex – starożytnego miasteczka, zbudowanego przez Rzymian, jak głosiła wyblakła tablica na dworcu. Nie był to ostateczny cel ich podróży, ale Ken chciał coś obejrzeć, zanim ruszą dalej.

– To najbliższe miasteczko, prawda? – spytał.

– Od wyspy Ray? Tak.

– Czyli tutaj znajduje się biuro koronera.

– Tak przypuszczam.

Kasjer w kasie biletowej na dworcu skierował ich do ceglanego budynku oddalonego o dwie ulice.

Urzędnik za biurkiem odpowiedział, że owszem, każdy ma prawo przeczytać transkrypty z procesów sądowych, a jeśli wejdą do trzeciego po prawej stronie pomieszczenia bez okien, to znajdą tam akta opatrzone datami.

– Tutaj – powiedziała Coraline po chwili.

Otworzyła drewnianą szafkę z drucianą siatką na drzwiach i wyciągnęła ze środka ciężką księgę oprawioną w tanią tekturę. W środku znajdowały się akta z roku śmierci jej matki.

Położyła księgę na pustym stole i razem zaczęli czytać, przy świetle pojedynczej żarówki zwisającej z sufitu. Brytyjskie żarówki wydawały się znacznie słabsze od amerykańskich.

Śmierć Florence Tooke. Badanie przyczyny zgonu z dnia siódmego lipca 1920 roku.

Ken i Coraline przeczytali informację o warunkach pogodowych tamtego dnia – było ciepło i jasno – oraz zeznanie modystki, która odwiedziła Florence tamtego ranka i zapewniała, że była ona radosna i nie wyglądała na kogoś, kto zamierza odebrać sobie życie. Znajdowało się tam także zeznanie gubernatora Tooke’a, który oświadczył, że żona czuła się nieszczęśliwa od czasu zniknięcia ich synka, ale miała zrównoważony umysł. Znaleźli jednak również zeznanie pokojówki Carmen, która właśnie sprzątała gabinet gubernatora, gdy nagle zobaczyła, jak jej pani porzuca

sztalugę, gwałtownie idzie na błotniste równiny, wchodzi do wody i znika. Niektórzy z miejscowych potwierdzili, że inni także umarli w tym miejscu. Akta kończyły się słowami:

Werdykt: otwarty

Ken wiedział, że oznacza to podejrzane okoliczności. Coś było nie całkiem w porządku. Zerknął na drzwi, po czym ukradkiem wyrwał z książki kilka kartek i schował je do plecaka.

– Nikt inny ich nie potrzebuje – powiedział.

– To prawda.

Po wyjściu przystanęli na kilka minut w późnopołudniowym słońcu, żeby zastanowić się nad tym, co przeczytali.

– Było tak, jak mówił Piers – zauważył Ken po chwili.

Tak naprawdę liczył na to, że Bellen wszystko zmyślił.

– Miałam nadzieję, że tak nie będzie.

– Rozumiem cię.

Do tej pory śmierć Florence wydawała się oczywista. Bolesna, ale wyjaśniona. A teraz Coraline musiała się pogodzić z tym, że zarówno jej brat, jak i matka umarli w podejrzanych okolicznościach.

Oboje bez słowa wsiedli do taksówki na dworcu w Colchesterze, po czym jechali przez nisko położone bagniste tereny. To była brama, przez którą wikingowie przedostawali się do Anglii, poinformował ich taksówkarz. Kena to nie zdziwiło: w tym miejscu morze łączyło się z lądem i go poślubiało. Miejscami grunt był stabilny, a po chwili przecinał go kanał. Pola opadały ku lodowatemu Morzu Północnemu, a wysepki majaczyły na horyzoncie jak duchy.

W końcu taksówka zatrzymała się przed tawerną. Jej widok ucieszył Kena. Chociaż ominął go stary Londyn, o którym marzył, teraz znalazł się w stojącej tutaj od czterech wieków tawernie, gdzie wciąż podawano słabe piwo w temperaturze pokojowej. Szydł się przekrzywił, ale nazwa Peldon Rose pozostawała dobrze widoczna. Budynek był szeroki i niski, a jego szorstkie, bielone wapnem ściany w kilku miejscach pochylały się ze starości.

To tę tawernę opisał Oliver w książce. Główny bohater, doktor Simeon Lee, wysiadł przed nią z powozu pewnego niespokojnego wieczoru pod koniec dziewiętnastego wieku. Jechał do krewnego, by zbadać tajemnicze

wydarzenia, do których doszło w Domu Klepsydry. Teraz, w dwudziestym wieku, Ken wysiadł z taksówki, by wspólnie z duchem Simeona zbadać okoliczności śmierci Olivera w kalifornijskiej kopii tego domu.

– Już zapomniałam o tym miejscu – odezwała się Coraline.

Wyglądała, jakby było jej niedobrze, kiedy obróciła się, popatrzyła dokoła i zatrzymała wzrok na małej wysepce. To była Ray, scena dochodzenia Simeona Lee, śmierci matki Coraline oraz zniknięcia Alexa. Długa na kilkaset jardów, niska i płaska, niczym najsłabsze młode z miotu. Za nią wznosiła się kolejna wyspa, Mersea, gdzie na skałach przycupnęło małe miasteczko.

Ken podszedł do okna i zajrzał do tawerny. Zobaczył niskie dębowe krokwie i zachęcający kominek. Z radia płynęła muzyka klasyczna.

– Z Londynu? – zapytał szorstko ktoś zza drzwi.

Ken popatrzył po sobie. Jego ubranie musiało wydawać się obce tutejszym mieszkańcom.

– Z trochę dalszych stron! – zawołał wesoło i wszedł do środka.

Kilka osób grało w domino i dzieliło się jedną gazetą przy barze.

– Właśnie słyszę. Amerykanie? – Mężczyzna nie sprawiał wrażenia zachwyconego; właściciel w książce Olivera był bardziej przyjazny.

– Zgadza się – odpowiedział Ken pogodnie, żeby rozładować napięcie.

Coraline szła za nim, rozglądając się dokoła z taką miną, jakby patrzyła na własną trumnę.

– Od dawna żadnych nie widzieliśmy – poinformował go właściciel. – W zeszłym miesiącu był tu jakiś Kanadyjczyk, prawda, Pete? – Pete, nerwowo rudowłosego mężczyzna po czterdziestce albo pięćdziesiątce, pokiwał głową. – Ale tamci są inni, no nie?

– Lubią tak o sobie myśleć – potwierdził Ken. Obie strony zamilkły, bo skończyło im się paliwo do rozmowy. – Możemy poprosić dwa piwa?

Był pewien, że Coraline nie przepada za letnim piwem w brudnych szklankach, ale nie mogli wybrzydzać. Kiedy czekali, w radiu wciąż grała orkiestra.

– Przyjechaliście na ostrygi? – znów odezwał się barman, najwyraźniej zdumiony przybyciem gości z tak daleka.

– Słyszeliśmy, że są wyjątkowe – skłamał Ken.

Dostali piwo i przesunęli po kontuarze kilka monet. Wtedy jakaś kobieta – około pięćdziesiątki, w stroju zapiętym na wszystkie guziki – podeszła do Pete'a i położyła przed nim białe piórko.

– Mój syn służy w marynarce – powiedziała. – Będzie walczył z nazistami. Ty stchórzyłeś podczas ostatniej wojny i teraz też jesteś tchórzem. Tak samo jak wy wszyscy. Macie ładny kościół, ale jesteście tchórzami.

Odwróciła się, a Pete, z twarzą równie czerwoną jak jego włosy, schował piórko do kieszeni spodni i zaczął udawać, że czyta swoją część gazety.

Ken zwrócił się do właściciela:

– Czy moglibyśmy gdzieś się zatrzymać na kilka nocy?

– Chodzi o nocleg? Tak, mamy tu pokoje. – W głosie właściciela dało się wyczuć wątpliwości. – Piętnaście szylingów za noc, wliczając posiłki. Dziesięć bez posiłków. Potrzebujecie jednego... – rozebrał Coraline wzrokiem – czy dwóch pokoiów?

– Dwóch.

Ken przesłonił mężczyźnie widok. Co prawda Coraline nie była jego dziewczyną, ale i tak chciał, żeby ten facet się od niej odczepił.

Właściciel zrozumiał komunikat.

Obejrzeni pokoje, równie luksusowe jak cele trapistów, choć z mniejszą liczbą udogodnień, po czym wrócili na dół. Nadszedł czas zabrać się do pracy. Wieczne światło wtapiało się w dach, a w powietrzu unosił się zapach wilgotnych kwiatów.

– Chcielibyśmy trochę pozwiedzać – oznajmił Ken. – Tamte wyspy po drugiej stronie... Możemy się na nie dostać?

Właściciel popatrzył na zegar, a potem na tablicę przypiętą do ściany.

– Nie teraz. Woda jest zbyt wysoka. Strood... czyli prowadząca na nie grobla... jest zalana. Utonęło wielu ludzi, którzy próbowali tamtędy przejść, gdy woda zakrywa drogę. – Ken poczuł, że Coraline się wzdrygnęła. – Zrobi się ciemno, zanim zdołacie się tam przedostać, więc lepiej zaczekajcie do jutra.

Ken czytał o przyptywach w *Klepsydry* i znał ich bezlitosne zwyczaje.

– Wolelibyśmy przepłynąć się dzisiaj, kiedy tylko zrobi się bezpiecznie.

Właściciel wzruszył kościstymi ramionami. Widocznie uznał, że to nie będzie jego problem, jeśli dwadzieścia cztery godziny później policja wyłowi ich ciała z grzęzawiska.

– Skoro musicie.

Czekając na właściwą porę, zjedli wieczorny posiłek. Ku obrzydzeniu Kena składał się z gumowatego węgorka w zimnej i słonej galarecie, którego podano z grudkowatym ziemniaczanym purée. Z grzeczności zmusił się do jedzenia, chociaż z trudem przełykał kolejne kęsy. Coraline, która nie przejmowała się konwenansami, przez chwilę grzebała widelcem w ziemniakach, a potem odsunęła talerz.

– Nie musisz mi mówić – rzucił Ken.

Wciąż udawali ludzi na wakacjach, którzy wybrali takie dziwne, odosobnione miejsce z przewodnika po wschodniej Anglii, kupionego na dworcu. W końcu właściciel ponownie sprawdził tabelę pływów, zerknął na zegarek i poinformował ich, że mogą bezpiecznie ruszać w drogę. Spytał, czy mają latarkę, a kiedy Ken przyznał, że nie, mężczyzna westchnął, wyjął spod lady latarkę na baterie, upewnił się, że działa, i im wręczył. Niemały koszt wypożyczenia sprzętu miał zostać dodany do ich rachunku.

– Prosto groblą. W ten sposób dotrzecie na Ray, a potem na Merseę. Miasteczko jest po zachodniej stronie. Ale o tej porze, nocą, nie ma tam czego oglądać.

W dzień zapewne też, pomyślał Ken.

Wąska grobla, Strood, prowadziła na obie wyspy, odcięte od stałego lądu szerokimi strumieniami. Śliska wąska ścieżka po około stu jardach docierała na Ray, przecinała wyspę i po kolejnych stu odbijała w stronę Mersei. Podczas odpływu wystawała niecały jard ponad fale, a w świetle latarki Ken widział, że woda się podnosi, gotowa zagarnąć groblę i każdego, kto nią idzie.

Zdawał sobie sprawę, że kroczy po śladach Simeona, bohatera *Klepsydry*. Co za szalona historia. Według słów Coraline opowieść była oparta na przeżyciach dziadka Olivera w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku, chociaż trudno było stwierdzić, jak dużą część książki stanowiły fakty, a co było wymysłem Olivera.

Ray była niską i płaską bezczelną wysepką. Prowokacyjnie wbijała się w morze. Formy życia, które na niej istniały, pasowały do jej natury: kolczaste rośliny, kurczowo trzymające się słonej gleby, oraz hałaśliwe ptactwo, które spędzało na niej tak mało czasu, że trójkątną wyspę można by nazwać jałową.

Nie licząc domu, którego czarna bryła wznosiła się na tle ciemnego jak atrament nieba.

– To tutaj – odezwała się Coraline.

Ken skierował silny snop światła na budynek.

Dom Klepsydry, gdzie według powieści Simeon Lee własnymi rękami odkrył zagadkę, którą wyciągnął z błota. I właśnie w tym świetle zniknęli brat i matka Olivera. Dom stał na południowym końcu wysepki, a od wschodu graniczył z błotnymi równinami. Dobre miejsce, by dyskretnie postradać zmysły.

Głos Coraline się zmienił, gdy światło padło na dom. Była wyraźnie zdezorientowana.

– Co się z nim stało?

To było dobre pytanie. Brakowało szyb w oknach, drzwi w ścianach i części dachu. Sterta równo poukładanych cegieł sięgała wysoko, ale na szczycie poczerniałych ścian znajdowały się tylko resztki belek i dachówek, a okna ziały pustką.

– Pożar – rzekł Ken, bo w świetle latarki dostrzegł czarne zwęglone ściany nad oknami.

– Nie miałam pojęcia. – Wpatrywali się w ruiny. – Czyli mój ojciec, kiedy tu przyjeżdża, widzi coś takiego.

– Widzi coś takiego – powtórzył Ken.

Ruszyli dalej, ostrożnie, jakby ogień czał się gdzieś w ukryciu, by ich zaatakować. Szli wydeptaną ścieżką, ledwie widoczną pośród gęstej roślinności.

– Jeśli był pusty, to znaczy, że ktoś rozmyślnie go podpalił – zauważył Ken, kiedy dzieliło ich dziesięć jardów od stojącego otworem wejścia. – Albo trafił go piorun, choć to mało prawdopodobne.

– Niczego nie można wykluczyć. My, Tooke'owie, mamy pecha.

Ostatnie wydarzenia sprawiły, że musiał przyznać jej rację.

Kiedy podeszli bliżej, Ken szarpnął za sznurek od dzwonka. Chociaż mózg podpowiadał mu, by tego nie robić, spodziewał się, że usłyszy ten sam dźwięk, który usłyszał Simeon. Ale dzwonek oczywiście milczał. Zresztą z drzwi pozostało tylko kilka kawałków dębiny, wiszących na zardzewiałych zawiasach. Dom wyglądał jak poturbowana tylna straż po koszarnej bitwie, o której każdy chce zapomnieć.

Wewnątrz promień światła omiótł zwęglone poprzewracane meble: ogromny fotel, długi palisandrowy stół, który kiedyś musiał być bardzo elegancki, oraz żelazny komin. Podłogę zdobiła wiktoriańska czarno-biała szachownica z delikatnym wzorem gwiazd, obecnie w większości pokryta brudem. Z trzewi domu bił zatechły smród.

Coraline szła przodem, deptąc po rozrzuconej na podłodze ziemi i drzazgach. Jej stopy wciąż o coś zaczepiały. Coś w ciemności zerwało się do ucieczki.

– A więc to jest twoje dziedzictwo – odezwał się Ken.

– Jak mówiłam, my, Tooke'owie, mamy pecha.

W głębi znajdował się niewielki salon z szeroką dziurą wypaloną w podłodze.

– Pewnie tutaj się zaczęło – orzekł Ken.

Boazeria na ścianach podsyciła ogień. W oknach, które musiał wysadzić żar, tkwiło kilka kawałków szkła. Żelazne ramy ocalały. Ken ponownie przypomniał sobie fikcyjną historię, która rozgrywała się między tymi ścianami. Widział chorego proboszcza Hawesa, który krzątał się po domu. Ale jakie cienie kryły się tu obecnie? Czy Oliver znalazł coś, gdy przybył do Anglii? Coś, co doprowadziło do jego śmierci?

– Dokąd idziesz? – spytała Coraline.

Ken ruszył korytarzem w głąb domu. Zatrzymał się pod spalonym obrazem, wiszącym krzywo na ścianie. Scena polowania.

– Tam jest kuchnia – powiedział.

– Skąd... – Urwała. – Oczywiście. Ta cholerna książka. – Światło latarki zamigotało w jej oczach.

W kuchni znajdował się potężny piec z kutego żelaza, który zapewne wciąż działał równie dobrze jak w dniu, gdy go dostarczono.

– Piec większy od mojego pokoju – mruknął Ken. Nie było tutaj niczego poza wspomnieniami zmarłych. – Chodźmy na górę. – Nadszedł czas, by zajrzeć do prawdziwego serca domu.

Cofnęli się do holu i podnieśli wzrok w stronę piętra, nad którym wisały wieczorne chmury i latało kilka hałasujących mew. Na górę prowadziły szerokie drewniane schody. Mimo pożaru pozostały prawie nienaruszone. Kluczyli między pęknięciami i dziurami w drewnie. Zaczęła padać lekka mżawka, która wsiąkała w klepki.

– Zapomniałam o zwariowanych proporcjach tego miejsca – odezwała się Coraline, gdy dotarli na górę.

– To znaczy?

– Zupełnie jak nasz dom w Kalifornii. Z zewnątrz wydaje się, że ma trzy kondygnacje, ale tak naprawdę są tylko dwie. Górna jest po prostu niewiarygodnie wysoka – wyjaśniła Coraline i jej słowa zwilgotniały

w powietrzu. Ken powiódł światłem latarki po górnym rzędzie cegieł i resztkach dachu. – Ciekawe, po co buduje się taki dom.

– Pewnie żeby zyskać więcej światła. – Podniósł wzrok na czarną pustkę, która kiedyś była dachem. – No cóż, komuś się udało.

A potem snop światła wychwycił coś, co spadło z dachu: wspornik z kutego żelaza, na którym tkwił szklany wiatromierz w kształcie klepsydry. Szkło pękło na pół. Piasek już nigdy nie przesypie się z jednej połówki do drugiej.

– Stąd wzięła się nazwa domu – powiedziała Coraline. – Teraz już chyba nic nie znaczy.

Przeszli nad drewnianymi legarami podłogowymi i górnym poziomem dotarli do drzwi, które wciąż były obite zieloną skórą, teraz zwęgloną. Ken domyślał się, co jest po drugiej stronie. To było źródło tajemnicy w opowieści Olivera, strumień, z którego wszystko wypłynęło. Pchnął drzwi, ale wypaczyły się i utknęły w ramie. Napał na nie ramieniem, lecz nawet nie drgnęły.

– Będę musiał je wyważyć – oznajmił.

Podał Coraline latarkę, cofnął się o krok i uderzył w drzwi całym ciężarem ciała. Jeszcze przez chwilę stawiały opór, a potem ustąpiły i pękły na pół. Wtedy to zobaczył, tak jak w opowieści Olivera: na każdej ścianie półki z co najmniej tysiącem tomów. Była tylko jedna podstawowa różnica: w *Klepsydrze* na półkach stały zadbane piękne książki z wszelkich dziedzin ludzkiej wiedzy, a tutaj były osmalone, pokryte kurzem i porostami. Przypominało to raczej kostnicę dla książek niż bibliotekę. I nawet nie dawało się odczytać tytułów.

Ken patrzył w głąb pomieszczenia, zastanawiając się, co może tam znaleźć. Snop światła podążył za jego wzrokiem, gdy Coraline pomyślała o tym samym. Światło ukazało pustkę: spopieloną przestrzeń, bez książek, półek i mebli. Na podłodze leżała tylko sterta strzaskanego szkła, w którym zobaczyli setkę złowieszczych poszarpanych odbić. To miejsce oznaczało kiedyś coś strasznego: więzienie choroby i rozpacz. Teraz dawne duchy zostały uwolnione.

Ken spojrzał na rząd książek i przesunął palcem po ich grzbietach. Zapewne był w dziale poświęconym historii naturalnej, bo natrafił na tomy wyjaśniające tajniki reakcji chemicznych i opisujące żaby w Ameryce Południowej. Delikatnie odkładał je na miejsce pośród gruzów. Sam nie

wiedział, po co się tym kłopotczy, skoro mógłby je rzucić w dowolnym kierunku i niczego by to nie zmieniło.

– Myślałeś, że co tu odkryjemy? – spytała Coraline.

– Nie to. Jestem zaskoczony – odrzekł. – Dziwne uczucie, znaleźć się w miejscu, o którym czytałem. Ale pożar? Nie spodziewałem się tego.

Teraz mógł to być dom tylko dla ptaków i innych stworzeń, które kryły się po kątach. Ale pytanie brzmiało, czy Oliver podczas swojej wizyty coś tutaj znalazł – coś, co popchnęło go ku samozniszczeniu. Ken wyjął z plecaka egzemplarz *Klepsydry* i w świetle latarki przeczytał fragment opisujący to wnętrze.

Wezwał Petera Caina. Ten pojawił się z łopata w dłoniach, z brudnymi rękami.

– Właśnie grzebałem tego martwego żrebaka. Niepotrzebne nam chrome zwierzęta. Chce mi pan pomóc w kopaniu? – spytał bezczelnie.

Simeon kazał mu czym prędzej przyprowadzić Watkinsa, a następnie poszedł na górę do biblioteki. Florence siedziała przy małym ośmiokątnym stole. Stał na nim szklany model domu, w którym byli wszyscy troje – trzy figurki na piętrze, niczym aktorzy czekający za kolorowymi drzwiami na swoje kwestie. W kominku płonął ogień, a blask czerwonych płomieni tańczył na żółtej jedwabnej sukience, którą Simeon dla niej wybrał. Ponownie zaśpiewała fragment hymnu.

– *Wspomóż słabych, rozprosz mroki grzechu.*

Florence. Dzięki tej opowieści Oliver dał matce życie wykraczające poza krótki żywot w prawdziwym świecie. Żyła dalej w historii, którą stworzył. To była smutna lektura.

Nie pozostało tu nic więcej do oglądania, więc otworzyli inne drzwi na piętrze. Dwa pokoje były puste, nie licząc przegniłych od deszczu łóżek. Ostatnie drzwi stawiały opór, ale w końcu ustąpiły bez konieczności ich taranowania, szczęśliwie dla obolałego ramienia Kena.

– To był gabinet ojca, gdy przebywaliśmy tutaj – wyjaśniła Coraline i ostrożnie zajrzała do środka, tak samo jak zapewne robiła to w dzieciństwie. – Wciąż pamiętam, jak stałam w progu i obserwowałam go przy pracy. Tam.

Główne miejsce zajmował tu zasuwany sekretarzyk i krzesło z wysokim oparciem. Biurko osłonił pojedynczy ocalały fragment dachu, nie strawił go też ogień. Przypominało wdowę na pogrzebie, na którym jest jedynym żałobnikiem.

Astronomiczna panorama wyrzeźbiona na blacie biurka wciąż była wyraźna, ale kiedy Ken przejrzał szuflady – co okazało się trudne, bo drewno tak bardzo się wypaczyło, że musiał szarpać z całych sił – niczego w nich nie znalazł.

Nie pozostało mu wiele do zbadania – kilka przewracanych pudeł i regał, którego całą zawartość stanowiły jeden pęknięty wazon, małe ceramiczne pudełko oraz sterta mysich odchodów. Ken usiadł na wysokim krześle i westchnął. Nagle jednak coś rzuciło mu się w oczy: jednej z szuflad nie dało się wsunąć do końca. Myślał, że jest uszkodzona, ale powód mógł być inny. Wyjął szufladę i włożył rękę do otworu. Jest! Na samym końcu coś wymacał. Zacisnął na tym palce i to wyciągnął.

Był to owalny przedmiot, długi na dwa cale, z porcelany. Jego dwie połówki otwierały się jak ostryga i każdą z nich zdobiły złocenia oraz delikatne zakrzywione linie macicy perłowej. Ktoś zapłacił za to sporą sumkę.

– Wiem, co to jest – powiedziała Coraline, gdy tylko zobaczyła ten przedmiot w świetle latarki.

Ale Ken nie czekał na jej wyjaśnienia. Rozłożył obie połówki i zobaczył dwie miniaturowe akwarele, namalowane pewnie malutkim pędzelkiem z włosia sobola. Jedna przedstawiała dom, w którym teraz byli, widziany z oddali pod wieczornym niebem, jeszcze przed pożarem, tak dla niego bezlitosnym. Po drugiej stronie, do góry nogami, widniał obrazek jego kalifornijskiego odpowiednika, który wznosił się na urwisku w pełnym świetle dnia.

– No, powiedz – zwrócił się Ken do Coraline.

– Moja matka czasem je malowała. Ja też mam taki medalion. Ten pewnie należał do Olivera. Nie wiem, dlaczego go tutaj schował.

To było niezwykle ważne pytanie.

– Może chciał, żeby medalion wrócił do waszej matki. W pewnym sensie. – Sam nie był przekonany do tego wyjaśnienia.

– To możliwe.

A więc w tym pokoju rzeczywiście kryła się tajemnica. Ale to nie było coś, co Oliver odkrył; to było coś, co sam tu zostawił.

Coraline wyjrzała przez jedyne tutaj okno, które wychodziło na południe. Ken podążył za jej wzrokiem i zobaczył błotnisty brzeg na krańcu wysepki, ledwie widoczny w blasku księżyca.

– Chcę wyjść – powiedziała. – Tutaj już nic więcej nie ma. – Nic poza złymi wspomnieniami, mogła dodać.

Ruszyła w stronę schodów, a Ken poszedł za nią, ale nagle coś wpadło mu do głowy i znieruchomiał. Wyciągnął z plecaka raport koronera, który zabrał z archiwum.

– Poczekaj! – zawołał.

– O co chodzi?

– Coś tu jednak jest. – Zaczął kartkować dokument. – Tutaj. – Dźgnął stroną palcem. Potem szybko odczytał słowa gubernatora Tooke’a, który twierdził, że rano w dniu śmierci żona nie wydawała się niezrównoważona, oraz zeznanie modystki, że Florence Tooke sprawiała wrażenie radosnej. Potem przeszedł do słów pokojówki. – Popatrz. Zeznanie pokojówki Carmen przed sądem.

– No i co?

– Zaczekaj tutaj. Idę na błotną równinę.

– Słucham?

– Dam ci znak latarką. Krzyknij, kiedy go zobaczysz.

Wypadł na korytarz, a Coraline została sama, w pokoju oświetlonym jedynie słabym blaskiem księżyca. Ken zbiegł do drzwi frontowych i wyszedł na zewnątrz. Oświetlał sobie drogę latarką. Teren stawał się coraz bardziej wilgotny, woda obmywała mu nogi. Zwolnił, bo doskonale wiedział, co może się zdarzyć, jeśli wybierze niewłaściwą ścieżkę, upuści latarkę, da się wciągnąć...

Do diabła z tym. Za dużo przeszedł, by skończyć jak Florence. Przetrwaj to, odkryje, co się stało z Oliverem, i odpłaci się temu, kto ma jego krew na rękach.

Grunt w końcu zaczął bardziej przypominać zmrożone błoto niż glebę. Światło padało na brązową połąć terenu, która mogła być linią brzegową albo brudnym morzem. Po trzech kolejnych krokach stopy Kena się zapadły. Jeszcze jeden krok, dla pewności. Tkwił już po kolana w błocie. Nie mógł ryzykować dalszej wędrówki, więc odwrócił się w stronę domu. Pomachał latarką z lewa na prawo i z prawa na lewo. Potem z góry na dół, tak że nakreślił znak krzyża.

– Coraline! – zawołał.

Usłyszał echo swojego głosu, chociaż nie miał pojęcia, od czego ten mógł się tutaj odbić. Chyba od pustki. Znowu pomachał i zawołał.

Wreszcie z oddali dobiegł go jej głos.

– Tak!

Jeszcze raz nakreślił krzyż w powietrzu, a potem wydobył odrętwiałe stopy z błota i wrócił do domu. Wspiął się na piętro, do gabinetu. Na schodach pozostały za nim brudne ślady.

– Co widziałaś? – spytał, gdy tylko zobaczył Coraline siedzącą przy oknie.

– Nic.

Właśnie tego się spodziewał.

– Tak myślałem. Carmen zeznała przed sądem, że była tutaj, gdy zobaczyła, jak twoja matka idzie przez błotną równinę. Niezła sztuczka, skoro okno wychodzi nie na tę stronę. – Coraline zacisnęła usta. – Opowiedz mi o Carmen – poprosił.

– Była z nami przez całe moje życie.

A zatem знаła więcej rodzinnych sekretów niż ich prawnicy i bankierzy.

– Po powrocie musimy z nią porozmawiać. Ufasz jej?

Przez chwilę milczała.

– A komu tak naprawdę można ufać? – odezwała się w końcu.

Tak, to była prawda.



Rozdział 12

– Ciekawe, co tutaj robią wieczorami, żeby się rozerwać – odezwał się Ken, kiedy siedzieli w kącie tawerny.

– Ubijają krowę, zakopują się żywcem. Nie pytaj mnie. – Coraline musiała być wstrząśnięta kłamstwami, które odkryli.

– Chcesz coś zrobić, żeby nie myśleć o tym wszystkim?

– Na przykład co?

– Zagramy w karty? A może tutaj grywają w kribidż.

– Co to takiego?

– Chyba coś z zapałkami.

– Czyli żadne z nas nie wie, jak się w to gra?

– Nie. A w remika?

Z rezygnacją wzruszyła ramionami. Ken pożyczył od właściciela talię kart i rozdał. Zainteresowało to sporą grupę miejscowych; poprosili o wyjaśnienie reguł, po czym się przyłączyli. Do końca wieczoru przybysze z Ameryki stali się częścią tłumu i wszyscy traktowali Kena jak kumpla, a Coraline okazwali szacunek. Ken czuł się z tego powodu nieco winny, ale dobrze się bawił przez te kilka godzin w towarzystwie Coraline i nowych znajomych. Widział także, że ogień migoczący w kominku oraz ich energiczni kompani nieco ją rozruszali. Uśmiechała się po niektórych żartach i wypła dwie szklanki ginu. Co prawda był tak rozcieńczony, że trzeba by całej beczki, aby się upić, ale Ken podejrzewał, że nawet najmocniejsza wersja ledwie by ją ruszyła.

W nocy nagle się obudził. Wciąż miał przed oczami swój sen: Coraline w czerwonym kostiumie kąpielowym, w którym była na łodzi Olivera, gdy beztrąsko spędzali czas na oceanie. Ale tym razem Ken nie trzymał jej drinka, tylko sięgał w stronę sznureczków, którymi jej kostium był zawiązany na plecach. Sznurki się rozwiązały i oplotły jego nadgarstki niczym węże, tak że go unieruchomiły.

W ciemnej sypialni czuł, jak jego pierś faluje, a ręce wyciągają się przed siebie.

– Jezu Chryste – mruknął pod nosem.



Rozdział 13

Ken rozbudził się na dobre dopiero przed ósmą. Było jeszcze za wcześnie, by zamówić śniadanie, więc wyjął książkę Olivera i zaczął ponownie ją czytać, tym razem bez pośpiechu. Nie ulegało wątpliwości, że kryło się w niej znacznie więcej, niż z pozoru się wydawało. Zaczął się zastanawiać, w jaki sposób Simeon odkrył nowelę *Złote pole*, opowiadającą o mieszkańcu Kalifornii, który wybrał się w podróż do Anglii, by poznać prawdę o swojej matce. Było to odbicie wyprawy Olivera, co mógł zrozumieć każdy, kto znał historię ich rodziny. Właśnie tak, książka Olivera była wiadomością przeznaczoną dla tych, których pozostawił.

Ken czytał ją linijka po linijce, przyglądając się każdemu słowu, na wypadek gdyby coś przegapił. Słyszał, jak na dole właściciel zamiata podłogę i przestawia krzesła. Kiedy dotarł do relacji Simeona z pierwszych dni w domu na Ray, coś mu zaświtało. Zaczął kartkować książkę, szukając opisu zatrudnionych w domu służących. W końcu go znalazł. Było to echo czegoś, co słyszał w prawdziwym życiu, a ściślej, w tej tawernie. Zamknął książkę, rzucił ją na łóżko, roześmiał się i popędził do pokoju Coraline.

– Chodź ze mną na dół – poprosił. – Musimy się z kimś spotkać.

Zerknęła na zegarek.

– Chodzi o listonosza?

– Po prostu chodź.

Zeszli do baru. Właściciel właśnie opowiadał jakąś sprośną historię barmanowi, który pomagał mu w sprzątnięciu, i wcale nie zamierzał przerwać, gdy zobaczył Coraline.

– Wczoraj był tutaj pewien mężczyzna – zagadnął Ken, kiedy opowieść dobiegła końca. – Rudowłosy. Miał na imię Pete.

– Pete Weir? – spytał ostrożnie właściciel.

– Skoro pan tak mówi. Jest kwakrem, zgadza się? Odmówił służby wojskowej.

– Skąd pan to wie? – Mężczyzna sprawiał wrażenie coraz bardziej niezadowolonego z tego, że ktoś go wypytuje, a zwłaszcza Amerykanie, którzy podobno przyjechali tu na ostrygi, co było równie wiarygodne jak twierdzenie, że przybyli podziwiać widoki.

– Kobieta wręczyła mu białe piórko i powiedziała, że członkowie jego Kościoła są tchórzami.

– Owszem, jest kwakrem – przyznał barman. – Nie ma w tym nic złego.

Co to za kwakier, który przesiaduje w tawernie? – pomyślał Ken, ale nie zamierzał tego komentować. Postukał palcami w kontuar, zadowolony, że miał rację, ponieważ dotychczas kręcili się w kółko, a to wreszcie mogło skierować ich na właściwy trop.

– Chcielibyśmy z nim porozmawiać.

– O czym?

– O niczym ważnym.

Właściciel sceptycznie uniósł brwi.

– Gdzie mogę go znaleźć? – nie ustępował Ken.

Mężczyzna z namysłem wytarł brudny drewniany blat – najwyraźniej zastanawiał się, czy powinien udzielać tej informacji ludziom z zewnątrz, którzy przyjechali tu z niewiadomego powodu, choć na pewno nie na wakacje.

– Mieszka na Kamieniach. Na Mersei.

– Dziękuję. Jak rozpoznam jego dom?

– Przed wejściem jest szyld reklamujący ostrygi na sprzedaż. – Ken ponownie podziękował, a właściciel spojrzął na barmana. Ten wzruszył ramionami, jakby przyznawał, że Amerykanów zawsze trudno zrozumieć. Ken już szedł do drzwi, gdy właściciel zawołał za nim: – Teraz go tam nie ma!

– Nie?

– Jest na swojej łodzi i łowi. Ostrygi nie wychodzą same z morza.

– Nie wątpię. Wie pan, kiedy wróci?

– Pewnie koło czwartej albo piątej po południu.

Ken poczuł frustrację, ale nic nie mógł na to poradzić.

– W porządku. Dziękuję.

Właściciel pokiwał głową. Coraline wyciągnęła Kena na zewnątrz.

– O co tu chodzi? – spytała.

– W książce pojawia się pewien służący – wyjaśnił. – Peter Cain. Rudowłosy kwakier, który lubi wypić. Tak samo jak Pete Weir. Myślę, że to nie jest zbieg okoliczności. Może Oliver zrobił to świadomie, a może nie, ale umieścił Pete’a Weira w *Klepsydry*. Musimy się dowiedzieć, co ten człowiek ma do powiedzenia. Przekonamy się, kiedy wróci.

Zjedli śniadanie złożone z makreli i treściwego chleba. Potem wrócili do Domu Klepsydry. Za dnia wyglądał tylko trochę lepiej.

– Pożar naprawdę go zrujnował – zauważył Ken.

– Szkoda, że go nie zburzono.

Rzeczywiście dom aż się prosił o przyjazd buldożera. Ponownie zaczęli przeszukiwać wnętrze, bo światło dzienne ukazywało ich oczom więcej niż latarka, ale nie znaleźli nic użytecznego i odeszli z pustymi rękami.

Pół godziny później przeszli w poprzek wyspy Ray i dotarli na jej siostrę, Merseę. Rosło tu nieco drzew i krzewów, tak że w porównaniu z surową Ray przypominała rajski ogród. Poza tym teren wznosił się ponad poziom morza, dzięki czemu Mersea była tak duża, że mogła udawać miasteczko. Znajdowały się tutaj dwa kościoły, krótka ulica z posępnymi sklepami oraz plaża, którą miejscowi nazywali Kamieniami. Rzeczywiście była kamienista, a dzięki naturalnej zatoczce, osłoniętej falochronem, mogły przy niej cumować kutry rybackie.

Nad brzegiem stało kilka chat, przy których krzątali się mężczyźni z koszami i siatkami. Przed kilkoma domami wyłożono towary na sprzedaż, lecz tylko w jednym zachwalano ostrygi. Tu właśnie mieszkał Pete Weir, ale nie było go w domu, tak jak mówił właściciel tawerny.

Jak mogli zabić czas? Nie mieli wielkiego wyboru, więc postanowili przespacerować się po miasteczku, zajrzeć do kościołów i popatrzeć na odpływające i przyplływające łodzie. Od czasu do czasu zaglądali do domu Weira, ale bezskutecznie.

– Wychowałam się nad oceanem. – Coraline usiadła na betonowej ławce. – Zawsze mnie uspokajał. Teraz już nie.

– Rozumiem.

Późnym popołudniem postanowili znów zajrzeć do Weira.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – spytała Coraline.
– To znaczy?
– Przywiązujesz ogromną wagę do jednego szczegółu z książki Olivera.

Dużo myślał o tej powieści, nawet kiedy siedzieli nad brzegiem i obserwowali rybaków rozładowujących łodzie.

– Takie książki określa się jako *roman à clef*: powieść z kluczem. Bo pozwalają czytelnikowi dotrzeć do prawdy. Zresztą właśnie uświadomiłem sobie coś jeszcze.

– Co takiego?

– „Agent informacyjny”... my pewnie nazwalibyśmy go detektywem... kiedy chce działać incognito, przyjmuje nazwisko Cooryan. Mogę tylko zgadywać, że to nawiązanie do mojego nazwiska. Myślę, że Oliver w ten sposób dał mi jakiś znak, na wypadek gdyby coś mu się stało. Chciał, żebym go wyręczył i przekazał ludziom prawdę.

Coraline przez chwilę się nad tym zastanawiała.

– Myślisz, że wiedział, co go czeka? – spytała.

– Na pewno wiedział, że to możliwe. Jak się z tym czujesz?

Zapatrzyła się na morze.

– Czuję się odpowiedzialna.

Tym razem, kiedy zbliżyli się do rybackiej chaty, zasłony w oknie były odsunięte. Przez pękniętą szybę Ken zobaczył Pete’a Weira, który siedział przy malutkim stoliku w kącie, ze szklanką mleka i talerzem marynowanych ryb. W jedynej izbie stało kilka lichych mebli, a przestrzeń sypialna była odgradzona kotarą. Weir widelcem przesuwiał ryby na talerzu; widocznie nie miał apetytu. Gdy Ken ostrożnie zapukał w szybę – bał się, że ją zbije – mężczyzna wzdrygnął się i popatrzył na boki, zaskoczony, że ktoś mu przeszkadza. Niepewnie zaprosił ich do środka.

W izbie unosiła się silna woń morza.

– Pete, prawda? – odezwał się Ken. Mężczyzna pokiwał głową, nieco podejrzliwie. Rzadko ktoś go szukał. – Nazywam się Ken Kourian. Czy mógłbym o coś pana zapytać? – Weir mruknął potakująco. – Dziękuję. Niech pan powie, czy całe życie mieszka pan na Mersei? – Mężczyzna ponownie mruknął. – To niezwykle. Tam, skąd my pochodzimy, ludzie bezustannie się przeprowadzają. To musi być miłe uczucie mieć stały dom.

– Rzeczywiście, panie Kourian. – Weir sprawiał wrażenie zdziwionego jego osobliwym nazwiskiem i wymówił je bardzo ostrożnie. Wyglądało na to, że nieczęsto ma okazję rozmawiać z ludźmi, i chyba za tym tęsknił. – Państwo spędzają tu miesiąc miodowy?

Coraline parsknęła śmiechem, a Ken uśmiechnął się sztywno. Weir popatrzył na nią z osłupieniem.

– Przepraszam, pani Kourian. Czy...?

– Panno Tooke – rzuciła.

Wyrażnie spochmurniał. Po chwili szeroko rozdziawił usta i zaczął nimi poruszać, jakby coś przeżuwał.

– Panno...

– Tooke. Coraline Tooke. To nazwisko coś dla pana znaczy. – Weir rozejrzał się po izbie, najwyraźniej zaniepokojony, że ktoś mógłby to usłyszeć. – Tak, widzę, że tak jest.

– Co ono dla pana znaczy? – Ken podszedł bliżej do gospodarza. – Pete?

Mężczyzna sięgnął żyłastą dłonią po szklankę, ale zmienił zdanie i cofnął rękę. Ken zastanawiał się, czy w środku jest coś więcej niż mleko.

– Pracowałem dla pani rodziny – wyszeptał Weir.

– Pamięta mnie pan? – spytała Coraline, a on wzruszył ramionami, jakby to pozwoliło mu uniknąć odpowiedzi. – Chyba tak. – Na chwilę zamilkła. – A pamięta pan mojego brata, Olivera? – Weir podniósł i opuścił wzrok. – Był tutaj, prawda? – Znów zapadła martwa cisza. – Co mówił?

– Pete? Proszę, powiedz nam.

Cisza ciągnęła się bez końca. W końcu ją przerwał.

– Pytał o państwa mamę.

Ken aż podskoczył. Wreszcie rozwidlenie na drodze, które dokądś ich doprowadzi.

– O co dokładnie? – spytała ostro Coraline. Tym razem stwardniałe palce Weira chwyciły szklankę i wlał sobie jej zawartość do ust. – Pete?

– Proszę, nie chcę się w to mieszać.

Ken popatrzył Coraline w oczy. Już miał coś powiedzieć, gdy wsunęła rękę do kieszeni i wyjęła portmonetkę. Otworzyła ją i wyciągnęła pięciofuntowy banknot. Położyła go na stole. Weir pewnie zarabiał tyle przez tydzień. Westchnął.

Wystarczyło pięć funtów. Pewnie wystarczyłoby nawet mniej.

– Nie chodzi o to, co on powiedział, prawda? Tylko o to, co ja powiedziałem i widziałem.

Prawda majaczyła na horyzoncie.

– A co to było?

– Nie powinienem mówić.

– Myślę, że teraz już musisz – rzucił Ken.

Weir nerwowo obracał szklankę w palcach.

– To było po tym, jak powiedzieli, że ona utonęła. – Zerknął na Coraline, ale szybko spuścił wzrok, zawstydzony. – Następnego dnia.

– Co się wtedy stało? – spytał Ken.

– Byłem w tawernie.

– No i? – ponaglił go Ken.

– Na zewnątrz zatrzymał się samochód. Duży. Nie rozpoznałem go.

– Mów dalej.

Wtedy nadszedł cios.

– Widziałem pokojówkę, Carmen, która niosła jakieś rzeczy do samochodu.

Ken zaczynał rozumieć.

– Jakie rzeczy?

– Sukienki. Sukienki pani. A także inne rzeczy. Jej kosmetyki. Nie wszystko, tylko to, co najważniejsze. – Weir znów spojrzał na Coraline. – Skoro utonęła, to dokąd je zabierali? Proszę powiedzieć.

Ken pomyślał o częstych wizytach gubernatora Tooke'a w Anglii i popatrzył na córkę kobiety, która utonęła, ale wciąż potrzebowała swoich ubrań. Której ciała morze nie wyrzuciło na brzeg. Której lojalna pokojówka skłamała przed sądem, że widziała śmierć swojej pani.

– Ona żyje – szepnęła Coraline.

A Ken pomyślał o roli, jaką sukienki Florence odgrywały w powieści Olivera. Zapewniały jej namiastkę prawdziwego życia. Może Oliver tak często rozmyślał o strojach matki, że przeniknęło to do jego prozy.

– Dużo o tym myślałem – mruknął pod nosem Weir.

– Ja jeszcze więcej – zapewniła go Coraline.

– Czy komuś o tym mówiłeś? Rozmawiałeś z kimś? – spytał Ken.

– Nikomu nie wspominałem o tym ani słowem. – Weir wydawał się szczerze skruszony. – To sprawa rodzinna. Nic mi do tego. Dopóki pani brat się nie pojawił.

Ken zadał mu jeszcze kilka pytań, ale Weir nie powiedział już nic nowego. Kiedy wyszli stamtąd, było późne popołudnie.

– Gdzie ona jest? – spytała Coraline.

– Nie wiem. Myślę, że Oliver wiedział. Ale posłuchaj. Twój ojciec wracał tu raz do roku. Nie odwiedzał miejsca jej śmierci, tylko widywał się z nią. Możemy więc zakładać, że twoja matka wciąż przebywa w Anglii... pewnie w Londynie, gdzie mógł łatwo do niej dotrzeć. Bardzo też możliwe, że jest tam przetrzymywana.

Znów pomyślał o książce. Wyjął ją z kieszeni i przekartkował. Wiedział, którego rozdziału szuka. Znajdował się w nim opis poszukiwań w Londynie, uwięzienia i ujawnionej tajemnicy.

– A tak właśnie jest. Kilka dni później Nathaniel przyniósł mi to, czego szukałam. To był adres na St George's Fields w Southwark.

St George's Fields. Simeon natychmiast zrozumiał. Widział to miejsce na własne oczy i współczuł każdemu, kto tam mieszkał.

– Domyślam się, o jakim adresie mówisz.

– Nie wątpię. Nathaniel spytał mnie, czy wiem coś o takich miejscach. Odparłam, że czytałam o nich, ale nigdy nie sądziłam, że któreś z nich odwiedzę. „Niewielu ludzi to robi, panienko”, odpowiedział. A jednak już następnego dnia jechałam dorożką do takiego przybytku.

– Szpital dla Nawróconych Prostytutek, prowadzony przez siostry magdalenki – wtrącił Simeon. – Nie da się tego zapomnieć.

– Otóż to. Stałam przed dużym ceglany budynkiem, który przypominał więzienie.

– Ken, chcesz mi powiedzieć...

– Nie wiem. To szalona nazwa, a nie mam pojęcia, czy takie miejsce istnieje, czy też Oliver je wymyślił. Warto sprawdzić.

– Ale jak?

– W tym kraju na pewno mają informację telefoniczną.

Pospiesznie wrócili do tawerny i właściciel wskazał im telefon w kącie. Zapewne jedyny w promieniu wielu mil. Ken wrzucił monety do otworu i po chwili powiedział coś do słuchawki, odczekał kilka sekund, znów coś powiedział, zaczekał, a potem najwyraźniej podziękował i w końcu się rozłączył.

– W Londynie nie ma instytucji o takiej nazwie. Jednak możliwe, że nazywa się jakoś inaczej.

– To co robimy?

– Nie dostaniemy się tam dzisiaj, ale jutro pojedziemy do Londynu i zaczniemy szukać.



Rozdział 14

Przy śniadaniu, na które znów jedli makrełę, zaczęli omawiać podróż do Londynu, gdy właściciel nagle ich zagadnął.

– O czym chcieliście rozmawiać z Pete’em?

Ken nie zamierzał nikomu zdradzać prawdy.

– O niczym konkretnym – odrzekł wymijająco, by uciąć rozmowę.

– A więc nie o Tooke’ach?

Ken przełknął kęs ryby. Nie było sensu unikać tematu.

– No tak, o nich.

– A więc mam przyjemność z panną Tooke? – zapytał spokojnie właściciel.

Coraline skinęła głową, chociaż Ken pomyślał, że ma taką minę, jakby była gotowa spuścić lanie żołnierzowi marynarki.

Właściciel postanowił się do nich dosiąść.

– Dobrze pamiętam pani rodzinę – powiedział. – Mój tata przez jakiś czas dla nich pracował. Dziadek też, o ile wiem. – Pogłaskał się po podbródku. – Pani mama była piękną kobietą. – Na chwilę zamilkł. – Wielka szkoda, że tak się stało. Wszystko z powodu pani brata, prawda?

Był subtelny jak kwarta taniej whisky.

– Możliwe – odezwał się Ken. – Przyjechaliśmy, żeby jak najwięcej się dowiedzieć.

– Dowiedzieć? Rozdrapujecie stare rany?

– Rozdrapujemy stare rany – potwierdziła Coraline.

Właściciel podszedł do baru i z zamyśloną miną wziął dwa talerze.

– Wiecie o Charliem Whicie, prawda?

Czy o nim wiedzą? Charlie White pojawił się w *Klepsydrze* jako agresywny dwudziestolatek. Los jego kuzynostwa, Johna i Annie, był centralną częścią opowieści. Czasem łatwo było zapomnieć, że wydarzenia w książce zostały oparte na tym, co spotkało dziadka Olivera niemal sześćdziesiąt lat wcześniej. Czy te wydarzenia miały jakiś związek z tym, co przytrafiło się rodzinie w 1915 roku? Ken był gotów się założyć, że tak.

– Ja o nim wiem – odparł.

– Z Charliem rozmawiali o... Jak on miał na imię? Alex?

– Kto z nim rozmawiał? – spytał Ken, chociaż się domyślał.

– Policjanci.

– Dlaczego?

Właściciel zwrócił się do Coraline:

– Widziano go koło waszego domu, kiedy zaginął pani brat. Nie miał powodu, by się tam kręcić. Twierdził, że wybrał się na spacer, ale kto spaceruje po Ray? Moim zdaniem tam cuchnie. – Oparł się o bar. – Ale jakie mam prawo tak twierdzić? To było dawno temu.

– Czy on wciąż żyje? Mieszka tutaj?

– Charlie White nie wybiera się nigdzie, chyba że do piekła – mruknął właściciel. – Ja bym się trzymał od niego z daleka.

– Nie ma mowy.

Właściciel westchnął.

– Cóż, pewnie ma już koło osiemdziesiątki. Słyszałem, że ostatnio mieszka z Mags Protheroe. Ma ładną chatkę na Mersei.

Jeśli nawet dom Charliego White'a kiedyś był „ładny”, te dni już dawno minęły. Była to dziurawa rudera, co najmniej bez połowy okien, a drzwi wejściowe wyraźnie zostały wyważone i później nieudolnie połączone deskami. Wyglądało na to, że wielokrotnie.

Kiedy podeszli do drzwi, na zewnątrz buchnął kuchenny smród i w progu pojawiła się kobieta po sześćdziesiątce w brudnym lnianym czepku. Popatrzyła na nich nieprzychylnie.

– Co wy za jedni, u licha? – zaskrzeczała.

– Szukamy Charliego White'a.

Akcent i ton głosu Kena ją sparaliżowały i wbiła w nich wzrok. Potem obejrzała się na chatę.

– Po co?

Ken uznał, że lepszego zaproszenia już nie otrzymają, i wmaszerował do środka.

– Charlie White?! – zawołał.

Do izby wszedł mężczyzna, który kiedyś zapewne był umięśniony, ale teraz wisiła na nim skóra. Na zmianę krzywił się i pluł.

– Znamy się? – warknął.

Charlie White nie był gigantem intelektu, ale z jego twarzy dało się wyczytać zwierzęcy spryt. Ken postanowił być z nim szczerzy. Powiedział mu, kim są. White zrobił jeszcze bardziej cwana minę, a kiedy otworzył zapijaczone usta, zobaczyli rząd dużych zębów.

– Czym mogę służyć? – spytał kpiąco.

Tym razem to Coraline odpowiedziała.

– Policja rozmawiała z panem o zniknięciu mojego brata. Dlaczego?

– A dlaczego nie? Byłem w pobliżu, jak doszło do porwania. To było dawno temu, dziewczynko.

– Widział pan kogoś? Kogoś podejrzanego?

– Ani żywej duszy. – Skrzyżował ręce; wyraźnie dobrze się bawił.

– Co powiedzieli wtedy policjanci?

– Trzeba by ich spytać, prawda?

– Raczej już nie żyją.

– Miejmy nadzieję.

– Na pewno pan coś wie.

– Wiem mnóstwo rzeczy. Ale to nie znaczy, że coś wam powiem.

– Dlaczego pan tam był tamtego dnia?

White nie odpowiedział na pytanie, tylko oparł się o futrynę i zaśmiał kpiąco.

– Wiecie co? Właśnie coś mi przyszło do głowy. Nigdy tu nie mieszkaliście. Wszystko, co wiecie o tym miejscu, słyszeliście z jego ust.

– Czyich?

Przeżuwał to imię niczym tani tytoń.

– Simeona Tooke'a. – Zamilkł i przyglądał się im małymi oczkami. – Co wiesz o swoim dziadku, dziewczynko? Tak naprawdę.

– Znacznie więcej niż pan.

Roześmiał się.

– Doprawdy? No cóż, w takim razie muszę ci o nim coś opowiedzieć.

– Słucham.

– Był oszustem. – Na jego twarzy pojawił się grymas, który miał być uśmiechem. – Wiecie, że zawsze chciał mieć ten dom? – Wskazał w kierunku wyspy Ray. – Przynajmniej tak mi mówili. Bawił się tam jako dzieciak, a potem go sobie upatrzył. Mówią, że nie przebierał w środkach. Podobno załatwił swojego wujka, kuzyna czy kogoś w tym rodzaju, żeby dopiąć swego. Nie obchodziło go, komu stanie się krzywda i kto zostanie biedakiem.

Coraline zmrużyła oczy. To była nie lada informacja, jeśli miała cokolwiek wspólnego z prawdą. Ale nie było o tym nawet wzmianki w opowieści Olivera.

– Komu „stała się krzywda”? – spytał Ken.

– Jak to komu? – White znów zaczął żuć niewidoczny tytoń. – Mojemu kuzynowi Johnowi. Słyszeliście o nim?

– To mój dziadek go znalazł – rzuciła Coraline.

– Tak, tak. Ciekawa historia. Akurat pojawił się tam, gdzie powinien, i wtedy, kiedy powinien. Ciekawe, że znalazł kogoś w takim miejscu.

– Chce pan powiedzieć, że miał z tym coś wspólnego? Nawet nie znał pańskiego kuzyna.

– Naprawdę? Mówił, że go znał. Skąd mamy wiedzieć, co jest prawdą? – White spochmurniał. – Mam już tego dosyć. Spadajcie.

Rozpiął brudny kaftan i zobaczyli drewnianą rękojeść noża zatkniętego za pas.

Rozmawiali o tym w drodze powrotnej do tawerny. Sytuacja stawała się mroczna jak morze otaczające wyspę. Co konkretnie odkrył Oliver? Co próbował powiedzieć ludziom? Było tak wiele rodzinnych tajemnic: Alex, Florence, Oliver, Simeon. Ale w sumie wszyscy mogli być powiązani z tym samym sekretem. Nie można było tego wykluczyć.

Kiedy weszli do tawerny, właściciel przywołał ich do siebie.

– Macie tutaj jakichś przyjaciół? – spytał.

– Przyjaciół? – powtórzył ze zdziwieniem Ken. – Nie. – Już mu się nie podobało, dokąd zmierza ta rozmowa.

– No tak. – Właściciel skrzyżował ręce na piersi. – Tylko że ktoś o was pytał.

– O nas?

– Zgadza się. Też mówił jak jankes. Przyszedł jakąś godzinę temu i spytał, czy tutaj mieszkanie. Podobno zgubił nazwę gospody, w której się zatrzymaliście. Kłamstwo szyte grubymi nićmi. W promieniu wielu mil jest tylko jedna gospoda. Powiedziałem, że nigdy o was nie słyszałem. Nie wiem, czy mi uwierzył, ale odszedł.

– Jak wyglądał? – W gruncie rzeczy Ken już to wiedział.

Właściciel wzruszył ramionami.

– Mniej więcej mojego wzrostu. Brązowe włosy. Wyglądał zwyczajnie.

– Pytał o nas z nazwiska?

– Tak.

Ken wziął Coraline na bok. To były złe wieści. Najwyraźniej znów pojawił się człowiek, który na dworcu zepchnął go na tory.

– Co robimy? – spytała.

– Trzymamy się planu i jedziemy prosto do Londynu.

Pojechali taksówką do Colchesteru, a potem pociągiem do Londynu. Zabrali ze sobą trochę rzeczy, na wypadek gdyby mieli zostać na noc. Ken nie mógł się opędzić od myśli, że kroczy po śladach Florence z *Klepsydry*. Kiedy dotarli do dworca przy Liverpool Street, oczami wyobraźni zobaczył sprzedajnego pocztowca, który wyciągał rękę po monety, oraz ubranego na czarno proboszcza wysiadającego z pociągu.

Dalej podążali tym śladem, jadąc taksówką na St George's Fields w Southwark – ta dzielnica wciąż istniała, choć bardzo się zmieniła, i to wcale nie na lepsze. Zamiast dawnych pól była tam teraz sieć brudnych ulic, po których krążyły autobusy i niedożywione dzieci o twarzach katów. O dziwo, wiatr niósł jakąś muzykę i Ken bezwiednie zaczął nucić pełne nadziei święte słowa.

Coraline zwróciła na to uwagę.

– Co robisz? – spytała.

Zreflektował się. Melodia wygrywana przez kościelne dzwony przypominała mu o pewnej pieśni, która zawładnęła jego umysłem.

– Nic. Popytajmy ludzi.

Pierwszy człowiek, do którego podeszli – chłopak sprzedający owoce z wozu – nigdy nie słyszał o Szpitalu dla Nawróconych Prostytutek, prowadzonym przez siostry magdalenki. Tak naprawdę rozbawiła go ta

nazwa i popatrzył lubieżnie na Coraline, za co spotkała go ostra reprimenda ze strony Kena. Kolejni przechodnie – gospodyni domowa, która liczyła drobne przed trafiką, pijak opierający się o sklepowe drzwi, dziewczyna ciągnąca wyliniałego psa – także im nie pomogli. Zapytali jeszcze jedną osobę i Ken znów zwrócił uwagę na tę samą muzykę – kościelny dzwon co kwadrans wygrywał jeden takt.

Zrobili sobie przerwę w narożnej kawiarni. Dostali tak zwane herbaciane ciastka, czyli małe tosty ozdobione pojedynczymi rodzynkami, oraz słabą kawę. Popijali i jedli. Nie odzywali się do siebie, bojąc się, że przyniesie im to pecha w dalszych poszukiwaniach. Gdy wyszli na ulicę, znowu zagadywali kolejnych ludzi, którzy patrzyli na nich jak na szaleńców. Rozgniewaną parę, starszą kobietę, która nie wiedziała nawet, jaki jest dzień, rodzinę, która przeprosiła, że nie ma pojęcia. Jakiś mężczyzna parsknął śmiechem i krzyknął na nich w języku, który brzmiał jak grecki, kilka innych osób pokręciło głowami i dopiero pewien staruszek o pałakowatych nogach coś wiedział.

– Tak jest. Było coś takiego – oznajmił z takim akcentem, że trudno było go zrozumieć. Wskazał rząd osiemnastowiecznych budynków. – Ale już nie ma. Teraz tam są domy. Od jakichś pięćdziesięciu lat.

Przytułek z opowieści Olivera zmieniono w mieszkania pół wieku wcześniej. Matka Coraline już nie mogła tam mieszkać. Kolejny ślepy trop.

– Czy on się przeniósł? – spytała Coraline.

– Przeniósł? Szpital?

– Tak.

Mężczyzna pogładził się po brodzie.

– No, myślę, że tak. Ale przy okazji się zmienił.

– W jaki sposób?

– Stał się szkołą. Dla dziewcząt. Oczywiście zmienił też nazwę. – To było raczej oczywiste. – Chyba przeniósł się do Streatham.

Coraline zakląła z irytacji. Tam jej matka też nie mogła przebywać.

Ken słuchał ich rozmowy, ale część jego umysłu błędziła gdzieś indziej. Skupiała się na melodii w powietrzu. Słyszał kościelne dzwony oraz pasujący do nich tekst. *Wspomóż słabych, rozprosz mroki grzechu...* Te słowa zaczęły wypełzać na jego usta. Coraline wpatrywała się w niego. Zignorował ją i zaśpiewał kolejny kawałek pieśni. Potem podniósł głowę i wyteżył słuch. Muzyka go otaczała. Nie, dobiegała od strony ulicy przed nimi. Ale to nie była zwykła piosenka, tylko hymn, który w opowieści

Olivera Florence stale śpiewała, słysząc odgrywające go kościelne dzwony. A teraz tę samą melodię grały dzwony gdzieś w okolicy.

– Tędy! – zawołał i wbiegł w następną uliczkę.

Wiedział, że muzyka zaraz ucichnie. Kościelny dzwon wybijał już ostatni kwadrans. Coraline posłała mu spojrzenie, które mówiło, że postradał zmysły, ale ruszyła za nim.

Ken przebiegł dwadzieścia kroków, potem gwałtownie się zatrzymał i nadstawił uszu. Właśnie rozbrzmiewały ostatnie nuty melodii. Skręcił w prawo, w wąską uliczkę, gdzie stała tylko para staruszków, którzy płacząc, przytulali się do siebie. Muzyka umilkła, a on zaczął się rozglądać.

– Skąd ona płynie, do diabła? – rzucił do Coraline, która pojawiła się przy wlocie ulicy.

– Co?

– Ta... – Nagle jego modlitwy zostały wysłuchane i ten sam dzwon wybił pełną godzinę: dwanaście uderzeń. Ken podążył za muzyką przez wilgotne przejście i dotarł do kolejnej ulicy. I wreszcie zobaczył ten budynek. – Tam. Ona tam jest.

Na końcu ulicy, za bramą z kutego żelaza, widać było niewielką posiadłość. Żółty wiciokrzew piął się po ścianach muru, a stara metalowa tabliczka przy bramie informowała, że znajduje się tutaj Szpital Zakonny Sióstr od Świętej Agnieszki z Jerozolimy. Wydawało się, że to miejsce czeka na przebudzenie ze snu.

Przez kratę Ken zobaczył rozłożysty budynek, wzniesiony w kilku różnych stylach. W każdym razie szpital sprawiał wrażenie zadbanego. Ken zastanawiał się, co Coraline teraz myśli, wiedząc, że jej matka prawdopodobnie jest w środku i że powróciła z martwych, choć niekoniecznie do życia.

Podobnie jak w Domu Klepsydry na Ray, przy bramie wisiał sznur od dzwonka. Ken mocno go szarpnął. Zapewne wywołało to dzwonienie gdzieś w środku, bo po chwili młoda kobieta w uproszczonej wersji habitu zakonnicy szybkim krokiem podeszła do bramy.

– Czym mogę służyć? – Jej akcent nie mógłby brzmieć bardziej po irlandzku.

Irlandczycy zawsze kojarzyli się Kenowi z pijakami, brutalnymi policjantami i zakonnicami, chociaż nie umiałby powiedzieć, jaki musi być kraj, który wydaje na świat wyłącznie te trzy rodzaje ludzi.

– Przyszliśmy się zobaczyć... – zaczął.

– ...z moją matką – dokończyła Coraline. To była jej historia rodzinna, nie jego. – Florence Tooke.

Młoda zakonnica popatrzyła na nią obojętnie.

– Nie mieszka tu nikt o tym nazwisku. – Pokręciła głową.

Ken zobaczył, że policzki Coraline czerwienieją.

– Wiem, że ona tu jest. Proszę mnie do niej zaprowadzić, bo inaczej zrobi to policja.

Zakonnica zamrugła nerwowo.

– Zapewniam, że nie ma tutaj nikogo o takim nazwisku. Jeśli chce pani wezwać policjanta, proszę bardzo, i...

– Jeśli mnie pani zmusi, zrobię to.

– To niczego nie zmieni. Zaręczam pani.

Ken położył dłoń na ramieniu Coraline. W wyrazie twarzy zakonnicy było coś, co przekonało go, że mówi prawdę. Podróż, która poprowadziła ich przez zakurzone archiwa, ponad lodowatą wodą i błotnistymi szlakami, miała właśnie się zakończyć przy żelaznym ogrodzeniu w Londynie. Trudno było przełknąć taką gorzką pigułkę.

– Co? – burknęła do niego Coraline.

– Myślę, że ona nie kłamie.

– No to gdzie jest moja matka, do diabła?

Zakonnica obserwowała ich, zdeorientowana.

– Nie wiem. Chodźmy stąd. Może... – Nagle urwał, bo coś zaskoczyło w jego umyśle. Słowa zakonnicy: „Nie ma tutaj nikogo o takim nazwisku”. Zrozumiał, co z nich wynika. – Ona powinna być martwa. Nic dziwnego, że zarejestrowano ją pod innym nazwiskiem!

– Słucham? – Zakonnica była wyraźnie zaskoczona.

– Ona tu jest. Gdzieś w waszym zakonie mieszka kobieta w wieku mniej więcej pięćdziesięciu lat, która jest tutaj od tysiąc dziewięćset dwudziestego roku.

– Hm... mamy wielu pacjentów, którzy przebywają u nas od tak dawna. – Teraz, gdy okazało się, że jedna z tych osób wcale nie musi być szalona, zakonnica wydawała się bardziej zdenerwowana.

– Ale w tej kobiecie jest coś wyjątkowego – ciągnął Ken. – Mówi z amerykańskim akcentem. – Zakonnica szerzej otworzyła oczy i szybko obejrzała się przez ramię. – Nie mylę się, prawda?

Młoda kobieta zawahała się, a potem kiwnęła głową.

– To pani matka? – spytała.

– Tak. Chciałabym się z nią zobaczyć. – Coraline zachowywała spokój, chociaż Ken miał przecucie, że kobieta za kratą nie powinna zbyt długo tego przeciągać.

– Znam ją tylko jako Jessicę, ale... – Urwała.

– Nie ma żadnego „ale”. – Coraline zbliżyła twarz do czarnego żelaza. – Nie będę prosiła ponownie.

Grożenie zakonnicy to było coś nowego, ale nie mieli wielkiego wyboru.

– Muszę... porozmawiać z matką przełożoną.

– Musi siostra otworzyć tę bramę.

Ken postanowił się wtrącić, by uspokoić sytuację.

– Niech ją siostra spyta – poprosił. – Podejrzewam, że zna jej prawdziwe nazwisko. Proszę jej powiedzieć, że przyszła córka pani Tooke. Zakładam, że najbliższa rodzina może odwiedzać krewnych?

– No... t-tak – wyjąkała zakonnica, po czym z trudem przełknęła ślinę i pośpiesznie ruszyła w stronę budynku.

– Mam ochotę zabić ojca – szepnęła Coraline. – Jak śmiał zrobić coś takiego?

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków – ostrzegł ją Ken.

Czuł, że sytuacja nie musi być tak czarno-biała, jak sądzili. I chociaż szalały w nich emocje, powinni zachować rozsądek.

W czasie, gdy czekali na odpowiedź, Coraline wypaliła aż dwa papierosy.

W końcu młoda zakonnica wróciła, ale nie była sama. W ich stronę szła korpulentna kobieta w dużym czepku, okalającym jej twarz.

– Dzień dobry – odezwała się, ale jej ton mówił, że ten dzień wcale taki nie jest.

– Dzień dobry – odpowiedział Ken, zanim Coraline zdążyła wyrzucić z siebie ostrzejsze słowa, które z pewnością kłębiły się w jej głowie. – Chcielibyśmy zobaczyć się z Florence Tooke, czyli Jessicą, jak ją siostry nazywają. To jej córka, Coraline.

– A pan kim jest?

– Przyjacielem rodziny. Ken Kourian.

– Prawnik? Lekarz?

– Ani jedno, ani drugie.

– W takim razie dlaczego miałabym się panem przejmować? – Nie czekała na jego odpowiedź, tylko zwróciła się do Coraline: – Nie

pozwolimy pani rozmawiać z żadną z naszych pacjentek. Przede wszystkim nie mam żadnego dowodu, że rzeczywiście jest pani osobą, za którą się podaje.

Coraline tak gwałtownie otworzyła torebkę, że o mało jej nie rozerwała. Wyjęła zmiętą paczkę papierosów Nat Sherman i odrzuciła ją w kolczaste zarośla pod bramą, aż wreszcie znalazła książeczkę czekową. Młodsza z zakonnicy pochyliła się i dyskretnie podniosła papierosy. Coraline pokazała plik przekazów bankowych.

– Tutaj jest moje nazwisko – oznajmiła.

Starsza zakonnica wzięła książeczkę do ręki i dokładnie się jej przyjrzała, jakby potrafiła wykryć ślady fałszerstwa, a następnie oddała ją z taką miną, jak gdyby było to coś nieczystego.

– Pokazała mi pani książeczkę bankową. Amerykańską. Nie mam pojęcia, czy należy do pani.

– A co z twoim paszportem? – zasugerował Ken.

– Został w walizce, w tawernie.

– Jeśli rzeczywiście jest pani tą osobą, może pani napisać do szpitala list, a my odpowiemy, również listownie, na podany adres do korespondencji. Oczywiście jeśli ta kobieta naprawdę tutaj przebywa.

– Cholera, dobrze siostra wie, że tak jest – mruknął Ken.

– W takim razie nie będzie żadnych problemów, prawda? – odparła zakonnica z kpiącym uśmiechem. – Chodź, siostrze Julio.

Siostra Julia, która przytrzymała się kraty, podążyła za starszą kobietą. Ale kiedy się odwracała, wypuściła coś z dłoni, którą ścisnęła żelazny pręt. To była paczka papierosów.

– Niech je szlag trafi – zaklęła Coraline pod nosem. – Nic jej nie obchodzi.

– Nie – rzucił Ken, zaabsorbowany opakowaniem papierosów.

– Moja matka mogłaby tutaj umrzeć, a one i tak mnie nie wpuszczą.

Ken wciąż wpatrywał się w papierosy.

– Zaczekaj, spójrz.

– Na co?

Pochylił się, wsunął dłoń między metalowe pręty i podniósł paczkę. Była zielona, z nazwą marki wypisaną złotymi literami. Ale niżej widniały słowa skreślone ołówkiem: *Wschodnia brama. Za godzinę.*

– Chyba nasza młoda przyjaciółka ma bardziej wrażliwe sumienie niż jej przełożona – rzekł i pokazał napis Coraline.



Rozdział 15

– Pamiętasz w ogóle swoją matkę? – spytał Ken, kiedy czekali przed grubymi wrotami po wschodniej stronie.

– Pamiętam, że była serdeczna. – Coraline na chwilę zamilkła. – Nie chodzi mi o jakieś konkretne działania, ale stwarzała taką atmosferę. Pewnie na tym polega bycie matką. – Zerknęła na sosnę, lśniąca zielono w słońcu, które o tej porze, w południe, świeciło ostro.

– Pewnie tak.

Czekali, aż w końcu usłyszeli metaliczny odgłos – ktoś był po drugiej stronie bramy. Szczęknął odsuwany rygiel. Brama się uchyliła i siostra Julia ostrożnie wyjrzała na zewnątrz. Kiedy upewniła się, że są sami, cofnęła się bez słowa.

Podążyli za nią szybko, z wdzięcznością. Przemykali przez teren klasztoru, trzymając się zarośli i drzew na skraju, aż dotarli do surowo wyglądającego budynku, który z głównym domem łączyła zadaszona kładka. Dobiegały stamtąd przytłumione dźwięki. Zakonnica wyjęła spod habitu pęk kluczy i otworzyła drzwi do bielonego wapnem korytarza, w którym odgłosy stały się wyraźniejsze, tak że dało się słyszeć nucenie i śpiew.

– To czas popołudniowych modlitw – wyjaśniła szeptem.

– Kto się modli? – spytał Ken, choć właściwie już wiedział.

– Pacjenci. Proszą Boga o miłosierdzie.

Coś zapłonęło w oczach Coraline.

– Gdzie jest moja matka? – rzuciła ostro.

Zakonnica poprowadziła ich za róg. Po drodze minęli kilkoro drzwi z potężnymi zamkami i numerami przykręconymi do drewna. Wszystkie drzwi były pomalowane rozwodnioną białą farbą. Zatrzymała się przed tymi z numerem pięć. Ze środka dobiegł ich szept, pośpieszny i cichy, jakby mówiąca osoba chciała coś pilnie przekazać, ale nie miała na to czasu. Młoda zakonnica przez chwilę nasłuchiwała, po czym włożyła klucz do zamka.

Zawahała się, zanim go przekręciła.

– Proszę wziąć pod uwagę, że ona przebywa tutaj od bardzo dawna. Jest inna, niż ją pani pamięta. – Rząd elektrycznych świateł nad ich głowami zabrzączał.

– Miałam sześć lat, kiedy oznajmiono mi, że umarła.

Zakonnica próbowała coś odpowiedzieć, ale zdumienie wręcz odebrało jej mowę. W końcu dała za wygraną i zapukała do drzwi.

– Jessico – odezwała się, a potem rzuciła z wahaniem: – Florence? – Szept ucichł. W powietrzu czuło się chłód, pomimo upału na zewnątrz. – Florence, ktoś przyszedł się z tobą zobaczyć. Masz gości.

Znów rozległ się szept, jeszcze bardziej pośpieszny niż poprzednio. Klucz obrócił się w zamku i drzwi otworzyły się pod wpływem własnego ciężaru. Zobaczyli mały pokój, przypominający celę zakonną. Przez małe okno pod sufitem wpadał promień bursztynowego światła. Drobiniki kurzu unosiły się w powietrzu, gdy światło padało na ścianę pokrytą wizerunkami ukrzyżowanego Chrystusa z przebitym bokiem i głową poranioną od cierniowej korony. Twarz Zbawiciela, barwy popiołu, odzwierciedlała cierpienie człowieka przygniecionego wszystkimi grzechami świata. A także ból kobiety, która ozdobiła w ten sposób ściany.

Kobieta klęczała na betonowej podłodze naprzeciwko drewnianego krucyfiks przybitego do ściany pod oknem. Światło sprawiało, że jej żółta sukienka płonęła jak słońce. W prawej dłoni trzymała różaniec zwieszający się do podłogi. Widzieli tylko jej pochylone plecy.

– Jess... Florence? – odezwała się siostra.

Kobieta znów zaczęła szeptać, tym razem wolniej, a jej palce dotknęły koralików.

– Tajemnica czwarta bolesna. Dźwiganie krzyża.

Modlitwa odbijała się echem od ścian. Nawet one jej nie chciały.

– Florence, jesteśmy tutaj.

– ...łaskiś pełna, Pan z tobą...

– Mamo. – To słowo padło jak kamień rzucony w wodę.

Wszyscy czekali. Klęcząca na podłodze kobieta zeszywniała. Przycisnęła dłoń z różańcem do piersi.

– Kto tu jest? – Mówiła z nowojorskim akcentem.

– Ja, mamo.

Kobieta wyprostowała plecy i uniosła głowę. Ken pomyślał, że kiedyś miała kasztanowe włosy. Teraz były całkiem siwe.

– Coraline. – Już nie szeptała; jej głos stał się czujny.

– Tak. – Coraline zbliżyła się o krok.

Jej matka odwróciła głowę. Twarz Florence Tooke, niegdyś tak delikatna i piękna dzięki wygodnemu życiu w luksusie, teraz, przez upływ czasu i troski, obwisła i pokryła się zmarszczkami. Ale z pewnością była to ta sama kobieta, której zdjęcia publikowano w gazetach. Spojrzenie jej ciemnych oczu przesunęło się po ścianach, w stronę trzech osób stojących z tyłu. Prześlizgnęło się obojętnie po młodej zakonnicy oraz Kenie i spoczęło na jej najmłodszym dziecku.

– Coraline – powtórzyła z satysfakcją, jakby czekała całe życie, by wypowiedzieć to imię.

Patrzyły na nich twarze Jezusa, żywe i martwe. Florence uniosła różaniec, pocałowała go i zawiesiła sobie na szyi, ale nie spuszczała wzroku z trojga intruzów.

W końcu cała obróciła się w ich stronę. Światło otaczało ją jasną mgłą, która przypominała rozżarzone iskry pożaru. Kiedy rozpostarła ręce, ten ogień spłynął na ziemię.

– Modliłam się do Niego, żebyś przyszła – powiedziała. Coraline bez wahania zbliżyła się do niej. – Pocałujesz mnie?

Dziewczyna chciała ująć matkę za rękę, ale nosiła w sobie pytanie, które nie mogło czekać ani chwili dłużej.

– Dlaczego tutaj jesteś?

Jej matka uśmiechnęła się, jakby nie oczekiwała innej reakcji.

– No właśnie, dlaczego?

– Ojciec cię tutaj umieścił?

Florence spojrzała na krzyż wiszący na ścianie.

– W pewnym sensie.

Ken zobaczył, że pośród wizerunków Jezusa z Nazaretu jest też inny obrazek. To była kopia rodzinnego portretu. Widział ją już dwukrotnie: na ścianie w ich rodzinnym domu i na ziarnistym zdjęciu w gazecie.

– W jakim sensie? Zmusił cię do tego?

Starsza kobieta przygładziła włosy. Były idealnie ułożone, jakby poświęciła temu mnóstwo czasu.

– Zmusił? – odezwała się.

– Chyba pani nie rozumie – wtrąciła siostra Julia.

– Czego nie rozumiem?

– Pani matki nikt tutaj nie więzi. Jest tu z własnej woli. Tak jak wszyscy pacjenci.

Florence podeszła do łóżka w kącie pokoju, a Ken przy każdym jej kroku słyszał osobliwy odgłos: mechaniczne pobrzękiwanie, którego nie potrafił zidentyfikować. Usiadła na posłaniu, elegancka i nieruchoma, jakby przez lata nauczyła się cierpliwości.

– Myślałam o tobie bez przerwy – powiedziała rozmarzonym głosem. – Pytałam o ciebie Alexandra.

Porwanego syna. A więc rozmawiała z umarłymi. To nie był dobry znak.

– Rozmawiasz z Alexandrem? – ostrożnie spytała Coraline.

Florence zwróciła wzrok na rodzinny portret. Byli na nim wszyscy: gubernator, ona, ich troje dzieci. Ale w prawdziwym świecie dwie z tych osób nie żyły, a jedna przebywała w odosobnieniu.

– Przyszedł się ze mną zobaczyć.

– Kiedy to było?

– Kiedy? – powtórzyła nieprzytomnie. – Och, w zeszłym tygodniu. W zeszłym roku. W tym miejscu czas jest taki ulotny.

Owszem, brak zegara i kalendarza może tak wpływać na człowieka. Ken zerknął na zakonnicę, ale ta milczała.

Coraline usiadła na łóżku obok matki.

– Alex umarł, mamó. Ponad dwadzieścia lat temu.

Ken wiedział, że to tylko pierwszy z dwóch ciosów. Na razie nie zamierzali mówić jej o śmierci drugiego syna, bo zrzucenie na nią takiego ciężaru mogło mieć poważne konsekwencje.

– Czy moglibyśmy porozmawiać o jej stanie z jakimś lekarzem? – spytał szeptem zakonnicę.

– Nie teraz. Przyjdzie jutro.

– Co ty mówisz? – zwróciła się Florence do córki.

– Alex umarł, kiedy miał cztery latka.

Florence wyprostowała plecy i lekko się uśmiechnęła.

– Nie, kochanie. Odwiedził mnie w zeszłym miesiącu. Rozmawialiśmy. Długo go nie widziałam.

– Mamo, jego już z nami nie ma.

– Dlaczego tak mówisz? – Uśmiech zniknął z jej ust.

– Przykro mi, taka jest prawda.

– Siedział w tym samym miejscu, w którym ty teraz siedzisz.

Coraline się zawahała.

– Nie sędzę.

– Wiem, że tak było.

– Mamo, skąd wiesz, że to był on?

– Skąd wiem, że to był Alexander?

– Tak.

– Matka zawsze pozna swoje dziecko – odpowiedziała Florence spokojnie, z pewnością w głosie.

Nagle Kenowi coś zaświtało. Być może rozpoznała swoje dziecko, ale pomyliła je z innym.

– Pani Tooke – odezwał się – a może odwiedził panią Oliver, pani drugi syn? Czy to możliwe?

Podniosła na niego wzrok.

– Ależ nie, to nie był Oliver. To był Alexander, na pewno.

– Nie, mamo.

– Czy ona przyjmuje jakieś leki? – spytał Ken zakonnicę.

Florence się rozluźniła, wyraźnie dumna z siebie.

– Przez jakiś czas dawali mi tabletki, ale po nich trudno mi było myśleć.

– Przestała je zażywać – wyjaśniła siostra Julia. – Postanowiłyśmy, że bezpieczniej będzie jej nie zmuszać.

– Bezpieczniej! – Florence się roześmiała. – Dla was.

W artykułach prasowych, które czytał Ken, opisywano ją jako duszę towarzystwa i osobę lubiącą malować akwarelami. Czy zawsze była takim wcieleniem łagodności, czy też może od początku nosiła w sobie jakiś mroczny płomień? Upieranie się, że odwiedził ją nieżyjący syn, mogło świadczyć, w zależności od punktu widzenia, o głębokiej wierze religijnej albo o równie głębokim obłędzie.

– Lekarze chcą ci pomóc – powiedziała Coraline.

– Żadnych więcej lekarzy – odparła Florence z niepokojem. – To oni mnie tu wsadzili. Stoją za tym wszystkim. Knują. – Wściekle przeszła na

drugą stronę pokoju i znowu towarzyszyło temu ciche pobrzękiwanie.

– To zwykłe urojenia – wyjaśniła jak najciszej zakonnica.

– Co ty możesz o tym wiedzieć, dziewczyno? – warknęła Florence i spojrzała na nią ze złością. – Co wy wszyscy o tym wiecie?

– Twój lekarz...

– Tak, lekarz – przerwała jej Florence. – Spytajcie go. To wszystko jego sprawa. Uknuł to z moim mężem.

– Który lekarz? – spytał Ken.

Florence jeszcze bardziej się zezłościła.

– Ten z pękniętymi ustami. Mówiłam o nim Alexandrowi. O zastrzyku.

– Wie siostra, o kim ona mówi? – zwrócił się Ken do siostry Julii.

Zakonnica pokręciła głową.

– Coś ci się pomieszało, Florence?

Matka Coraline zignorowała to pytanie. Kiedy się poruszyła, znów rozległ się ten osobliwy metaliczny odgłos, zupełnie jakby ktoś stukał w blaszaną puszkę.

– Co to za dźwięk? – spytał Ken zakonnice.

Ale odpowiedziała mu Florence.

– To mój grzech – szepnęła. – Przypomnienie o mojej winie.

– Co takiego?

Florence chwyciła rąbek sukienki i podciągała ją, wciąż patrząc Kenowi w oczy.

– Mamo.

– Cicho, dziecko. – Spod materiału wyłoniła się goła łydka, a potem różowe udo. – Proszę, oto moja winna. – Sukienka wciąż się unosiła. Zakonnica spuściła głowę, jakby wiedziała, co się zaraz wydarzy, ale nie chciała tego przyznać. W końcu pod sukienką zobaczyli metal najeżony ostrymi kolcami. Wszystkie były zwrócone do wewnątrz i wbijały się w podrażnione ciało, pozostawiając na nim kropelki krwi. – Udręczam swoje ciało, by odpokutować to, co zrobiłam. – Spojrzała z radością na dziwny przyrząd. – A dzięki temu, że nie zapominam o swoim grzechu, zasiądę przy stole Pana. – Kolejno przenosiła wzrok na trzy osoby w jej pokoju. – Wy także odpokutujecie za wasze grzechy.

– Co to jest, do diabła? – zwrócił się Ken do siostry Julii.

Był zarazem wściekły i zdumiony, ale gniew zwyciężył.

– Włosiennica. Z religijnego punktu widzenia Florence ma rację, ale...

– Ale co?

– Nie stosujemy ich wobec pacjentów. Są przeznaczone tylko dla członkiń zakonu. – Dotknęła własnego uda i Ken zrozumiał. – Błagała nas, żebyśmy też jej taką dali. W końcu matka przełożona uznała, że nie ma nic złego w tym, że Florence pragnie żyć tak samo jak my. Dlatego dałyśmy jej to, o co prosiła.

Florence uniosła różaniec do ust i powróciła do modlitwy.

– Pierwsza tajemnica bolesna... – Płonący w niej ogień wycofał się i przygasł.

– Czasami to, czego pragniemy, może nas zabić – rzekła Coraline, obserwując matkę. – Więc jeśli nie jest tutaj przetrzymywana wbrew własnej woli, czy może stąd odejść? Nawet teraz, gdyby tego zapragnęła?

Wydawało się, że zakonnica żałuje swoich słów. Może powinna była się domyślić, o czym od razu pomyśli córka.

– Owszem, ale nie jestem pewna, czy...

Coraline nie zamierzała pozwolić, żeby ktokolwiek jej przerywał.

– Mamo, chciałybyś stąd odejść?

– Proszę, czy możemy pomówić na korytarzu? – pośpiesznie spytała zakonnica.

Wyszły z pokoju i Ken został sam z Florence. Ta uśmiechnęła się do niego, a on nie mógł nie zauważyć na jej ustach cienia dawno zapomnianej kokieterii, która była jak woń perfum unosząca się w powietrzu po skończonym przyjęciu. Nie był to miły widok.

– Jak masz na imię?

– Ken – odparł. – Ken Kourian.

– Zabierzesz mnie stąd? – spytała schrypniętym głosem. – Tylko ty i ja?

Stała w pomarańczowym promieniu popołudniowego słońca. Ken zastanawiał się, czy kiedyś zdarzyło się w jej życiu coś podobnego. Gazety nigdy nie wspomniałyby o tym, ponieważ wyższe sfery zawsze zwierały szeregi w obliczu takich skandali. Kobieta się zbliżyła.

– Będziemy tylko we dwoje? – Zauważyła, na co patrzy Ken, który podniósł wzrok na rodzinny portret. – To już odeszło.

Zbliżyła się do niego jeszcze bardziej, a on uniosł dłoń, żeby ją zatrzymać.

– Chyba nie jest to najlepszy pomysł – powiedział.

– To będzie dobre dla nas obojga.

– Nie.

– Dlaczego nie? – Wysunęła dolną wargę, jak kiepska aktorka odgrywająca kapryśną damę.

– Tutaj jest pani bezpieczna.

Przez chwilę milczała.

– Ken mówi, że mnie stąd zabierze – oznajmiła w końcu. – Będziemy tylko we dwoje.

Zgadł, co się stało. Obejrzał się przez ramię i zobaczył, że Coraline i zakonnica wchodzą do pokoju.

– Co pan jej powiedział? – spytała siostra, nawet nie ukrywając oskarżycielskiego tonu.

– Nic – odrzekł.

Nie było sensu tego tłumaczyć, zresztą cała sytuacja była w złym guście. Florence usiadła na łóżku, wciąż uśmiechnięta.

– Wyjdźmy – rzuciła Coraline i wszyscy troje wycofali się na korytarz. – Chcę ją zabrać do domu – oświadczyła.

– Ale to będzie dla niej straszliwy szok – odparła zakonnica. – Trudno przewidzieć, jak sobie poradzi.

– Bierzemy za to odpowiedzialność.

– Musi pani porozmawiać z matką przełożoną.

Coraline milczała przez chwilę.

– Chcę wiedzieć, kim jest lekarz, o którym wspominała.

– Przykro mi, ale nie mam pojęcia.

Florence znów zaczęła pośpiesznie szeptać.

– Spróbujemy go znaleźć – odezwał się Ken. – Ale jesteś pewna, że chcesz ją zabrać? Już teraz?

– Jeśli będę zwlekała i ojciec dowie się, że tu byliśmy, może nam przeszkodzić. Może przenieść ją do jakiegoś miejsca, w którym nigdy jej nie znajdziemy.

Ken nie był przekonany. Nie wiedział, jak należy postąpić, a nie chciał zrobić czegoś, co później okazałoby się szalone.

– Wciąż nie wiemy, dlaczego to zrobił – zauważył.

– Niezależnie od powodu lepiej, żeby nie spędzała całych dni w otoczeniu tych obrazków. – Coraline wbiła w niego wzrok. – Nawet jeśli wcześniej nie postradała zmysłów, to wystarczy, by ją do tego doprowadzić. Pójdzie z nami.

Ale zanim Ken zdążył odpowiedzieć, usłyszeli nowy głos, który wstrząsnął ścianami.

– To nie jest wasza decyzja!

Matka przełożona pośpiesznie szła w ich stronę wąskim korytarzem, a za nią ktoś podążał.

– A więc czyja? – spytała Coraline.

Odpowiedział jej mężczyzna, który szedł za matką przełożoną, a którego Ken dwukrotnie spotkał po drugiej stronie Atlantyku. W jego głosie pobrzmiwała lodowata furia.

– Moja – warknął. – Jeśli ją stąd zabierzecie, podetnie sobie żyły. Albo się powiesi. Albo wejdzie do morza, tym razem skutecznie.

– Okłamywałeś mnie przez dwadzieścia lat – wyrzuciła z siebie Coraline.

Gubernator Tooke był dziesięć kroków od nich i szybko się zbliżał.

– Ukryłem przed tobą prawdę, bo sprawiłaby ci niewyobrażalny ból – odparł ze złością. Starsza zakonnica, która najwyraźniej go wezwała, zdawała się równie rozwścieczona. – W odróżnieniu od ciebie ja muszę z tym żyć. – Posłał Kenowi mordercze spojrzenie. – Mój syn sprowadził pana do mojego domu i teraz widzę, że wtrąca się pan w nasze sprawy rodzinne. Wynocha, zanim każę pana aresztować.

Ken chciał mu odpowiedzieć, gdzie sam może się udać, ale Coraline go uprzedziła.

– On jest ze mną, ojczy. A ty masz tutaj taką samą władzę jak chłopiec na posyłki.

– Proszę – odezwała się błagalnie siostra Julia. Próbowwała stanąć między nimi. – Proszę, niech się państwo uspokoją. To zaszkodzi pani matce oraz innym pacjentom.

– Dostyc tego! – syknęła matka przełożona.

Gubernator obrzucił córkę i Kena ponurym spojrzeniem, po czym wszedł do pokoju żony i zatrzasnął za sobą drzwi. Florence natychmiast przestała szeptać.

– Witaj, moja droga – odezwał się gubernator. – Niestety, mam złe wieści.

Potem jeszcze coś jej powiedział, lecz tak cicho, że go nie usłyszeli, a po chwili rozległ się kobiecy krzyk. Coraline otworzyła drzwi, ale ojciec stanął w progu i wypchnął ją z pokoju.

Czekali w dusznym korytarzu, rozmyślając o tym, co zrobili. Młodsza zakonnica oddaliła się kilka kroków, by dyskretnie zdystansować się od nich obojga. Ken nie miał jej tego za złe. Próbowwała postąpić właściwie,

a teraz miało się to na niej zemścić. Matka przełożona posyłała im surowe spojrzenia.

– Muszę się napić – odezwała się Coraline.

– Ja też – rzucił Ken.

Przez następne kilka minut słyszeli przytłumioną rozmowę, w której od czasu do czasu przebijały się takie słowa jak „Oliver” czy „pogrzeb”. Potem znów zapadła cisza.

W końcu gubernator wyszedł na korytarz. Miał twarz ciemną jak węgiel.

– Za mną – rozkazał.

Coraline zignorowała jego polecenie i weszła do pokoju matki. Florence siedziała na łóżku i wznosiła oczy ku wyrzeźbionej podobiznie ukrzyżowanego Chrystusa, który miał na czole krople drewnianej krwi. Wyglądało na to, że nawet nie zauważyła obecności córki. Uszło z niej życie, jakby wieść o śmierci Olivera ostatecznie ją wyczerpała.

Coraline usiadła na pościeli i objęła matkę. Ken wiedział, że nie miała okazji tego zrobić, odkąd skończyła sześć lat. Zapewne czuła się, jakby przytulała obcą osobę. A jednak to zrobiła i przywarła policzkiem do twarzy matki.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego przekonałem ją, żeby tu przyjechała – odezwał się gubernator Tooke i poprawił krawat.

Szli przez teren klasztoru. W powietrzu unosił się ciężki zapach fuksji. Gniew gubernatora ustąpił miejsca znużeniu.

– Lepiej, żeby to była dobra historia, ojcze – ostrzegła Coraline.

– Och, wcale nie muszę koloryzować, dziecko. – Usiadł na powalonym drzewie i rozprostował szyję. – Zawsze uważałaś się za taką sprytną. No cóż, zobaczymy. Zobaczymy. – Zamilkł, jakby powrócił do jakiegoś wspomnienia, które długo wypierał z pamięci. – Kiedy Alexander został uprowadzony, twoja matka powiedziała policji, że dwaj Cyganie zabrali go z ogrodu przy Domu Klepsydry i uciekli na stały ląd.

– Wiem – rzuciła. – Wiem o tym wszystkim.

– Tak ci się wydaje.

– Do czego zmierzasz?

Zignorował jej pytanie.

– Ale czy w ogóle się nad tym zastanawiałaś? Tak po prostu podeszli do domu i nikt z nas ani żaden ze służących ich nie zobaczył, a potem spokojnie sobie poszli, podczas gdy twoja matka wrzeszczała wniebogłosy?

Coraline nieco spochmurniała, jakby powoli docierało do niej, ku czemu zmierza jej ojciec.

– Oho, widzę, że zaczynasz myśleć. Już nie czujesz się taka cwana? – Rozłożył ręce. – Powiedzieli, że to było zabójstwo dla dreszczu emocji. Już wtedy mówiło się o takich zdarzeniach. Dla dreszczu emocji. – Ze złością pokręcił głową. – Co za bzdury. Jasne, czasem trafia się jakiś szaleniec, ale oni najczęściej zabijają tasakiem własne matki, a nie porywają dzieci bogaczy. No i nigdy nie działają w parach. Nie mówiąc o tym, że nie zapuszczają się w tym celu do takich miejsc jak Ray. – Opanowało go znużenie. – Nie, nie wierzę w teorię, którą wymyślili policjanci, bo byli bezradni, i pismaki próbujące poprawić sprzedaż swoich szmatławców. Szkoda, ponieważ wszystkim byłoby łatwiej, gdyby zrobił to jakiś nieznany szaleniec, którym nie musielibyśmy więcej zawracać sobie głowy. – Ostrożnie dobierał słowa. – Oczywiście miałem nadzieję, że jeden z tych Cyganów po pijaku przyzna się do zbrodni albo zostanie zatrzymany za coś innego, a wtedy sam mógłbym zawiązać sznur. Ale tak się raczej nie stanie. Nic z tego. – Zdjął marynarkę, starannie ją poskładał, położył obok siebie na pniu i przez chwilę na nią patrzył.

– Sądziłam, że to było porwanie dla pieniędzy – odezwała się Coraline.

– To dlaczego nie było żądania okupu? – Wyrzucał z siebie złość, którą powstrzymywał przez ćwierć wieku. – Czekaliśmy całymi tygodniami. Jeśli porywasz kogoś dla pieniędzy, to ich żądasz. Nawet jeśli coś poszło nie tak i Alexander nie przeżył, mogli się z nami skontaktować, przesłać fragment jego ubrania, a my i tak byśmy zapłacili, licząc na to, że go odzyskamy. Ale nikt się nie odezwał. Więc jaki mogli mieć motyw?

Coraline długo nic nie mówiła. Wreszcie splotła palce i spytała:

– Myślisz, że mama miała z tym coś wspólnego? – W jej głosie pojawił się strach, którego wcześniej tam nie było.

– Naprawdę nie wiem. – Westchnął. Kenowi zrobiło się go żal, chociaż dotychczas uważał tego człowieka za despotę. – Od jakiegoś czasu była... niezrównowazona. A potem stało się coś takiego, a policja nie mogła znaleźć żadnych śladów.

– Ktokolwiek to zrobił, uważał, że ujdzie mu to na sucho?

Gubernator podniósł wzrok i przez chwilę się zastanawiał, zanim odpowiedział.

– Twój dziadek nauczył mnie, że mężczyzna powinien zawsze robić to, co uważa za słuszne. Nawet jeśli wszyscy mówią mu, że się myli. Kierowałem się tą dewizą przez całe życie.

Ken popatrzył na gubernatora, człowieka, który stracił dwóch synów. Kto mógłby przetrwać coś takiego bez żadnych blizn? Niewielu ludzi.

– Powiedziała, że Alex ją odwiedził – oznajmiła Coraline.

– Dobry Boże – szepnął Tooke. – Ona wierzy w tyle dziwnych rzeczy. Kiedyś czuła się lepiej... przynajmniej pod pewnymi względami.

– Co masz na myśli?

Wyjął z kieszeni na piersi chustkę i otarł szyję.

– Kiedy brała leki. Wprawdzie ją... otepliały, ale nie miała takich zwariowanych myśli. Pogorszyło jej się. Lekarze mówią, że tak bywa.

Siedzieli przez chwilę, słuchając ptaków i spoglądając na budynek, gdzie w małych zakratowanych pokoikach mieszkały kobiety.

– Ona chce wrócić do domu, ojciec. Już czas. To mogłoby jej pomóc. Skandal dawno przycichł. Jeśli znajdzie się pod stałym nadzorem, będzie bezpieczna. Może nawet wrócić do nas.

– Nie będzie chciała.

– Niekoniecznie.

Zawahał się.

– Jak miałbym ją zawieźć do domu?

– Nie złamałeś żadnego prawa, przynajmniej w Stanach. Poza tym umiesz działać dyskretnie.

– Ona nawet nie ma paszportu.

– To idź do ambasady i wyrób jej nowy. Wszyscy urzędnicy zgodzą się, że Amerykanka, żona gubernatora Kalifornii, potrzebuje nowego paszportu. Nie będą jej sprawdzać, a nawet jeśli tak, to nie odważą się robić zamieszania. Jesteś wpływowym człowiekiem. Możecie znaleźć się na pokładzie samolotu w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Zrób to, ojciec.

– A co potem?

– Potem? Prywatny dom opieki. Gdzieś na uboczu.

– Nigdzie nie uda się zachować pełnej dyskrecji.

– Gdzieś na pewno się uda. Zresztą będziemy się tym martwić później. Jeśli nie chcesz, sama to zrobię. Ale wtedy rozpęta się znacznie większa afera.

Tooke ponownie otarł pot z szyi.

– No dobrze, niech będzie. Pewnie rzeczywiście już na to czas.

– Myślę, że twojemu ojcu zależy na niej. A także na Oliverze – powiedział Ken.

Byli w holu hotelu Savoy przy Strandzie. Gubernator, który już miał tam zarezerwowany apartament, polecił im wynająć pokoje, podczas gdy sam został jeszcze w klasztorze, by załatwić formalności związane z wypisaniem żony. Zamierzali wrócić na Merseę po bagaże, kiedy sytuacja już będzie opanowana. Portier w zielonym aksamitnym stroju z migoczącymi wojskowymi medalami zaszalutował im, gdy weszli, a Ken wreszcie mógł zasmakować tradycyjnych londyńskich manier, chociaż nie był w nastroju, by się nimi cieszyć.

– Wiesz, co kiedyś mawiał? – odezwała się Coraline. – „Silny dom budują całe pokolenia”. Powiedział Oliverowi, że to on pójdzie w jego ślady i doprowadzi do końca dzieło dziadka, czyli wyniesie naszą rodzinę na sam szczyt. Właśnie dlatego nadał mu takie imię.

Recepcjonista wypełniał dla nich formularz pobytu.

– To się często zdarza – zauważył Ken. – Wielu mężczyzn pragnie, by ich synowie byli tacy jak oni.

– Ojciec chce zostać prezydentem. A gdyby mu się nie udało, Oliver miał to osiągnąć. Co mu teraz pozostało? Bez niego Tooke'owie wymrą.

Kenowi naprawdę zrobiło się żal gubernatora, który na pierwszym miejscu zawsze stawiał rodzinę. Ale bardziej współczuł jego żonie, której umysł nie poradził sobie ze stratą, jaką poniosła.

– To Oliver ją odwiedził – zwrócił się do Coraline. – Wzięła go za Alexa.

– Wiem.

– Coraline... – Obrócił się tak, by móc patrzeć jej w oczy. – Myślę, że to nie był przypadek. Twój brat odkrył, że matka żyje, a zaraz potem umarł.

Oblizwała usta.

– Masz rację.

Zapadła długa cisza. Jeden z gości narzekał na odgłos samolotów latających nad Londynem. Portier wyjaśnił, że kraj jest zagrożony wojną, ale klient uznał to za tanią wymówkę.

– Czy kiedykolwiek myślisz o dziadku i domu na Ray? – spytał Ken.

– W jakim sensie?

Przeciagnął dłonią po włosach.

– Cały czas coś mnie dręczy.

– To znaczy?

– Mam poczucie, że wszystko, co się przydarzyło... tobie, twojemu bratu, nam... jest jak klocki domina. Pierwszy przewrócił się w tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym roku, drugi w tysiąc dziewięćset piętnastym, kolejny pięć lat później. Teraz mamy do czynienia z ostatnim.

– Wiesz, że to brzmi jak wariactwo.

– Jasne. Ale myślę, że to prawda.

Recepcjonista kazał wnieść ich skromne bagaże do pokoi, a oni poszli do amerykańskiego baru napić się martini. Barman postawił kieliszki na cynkowym kontuarze.

– Będę z tobą szczery – rzekł Ken, po tym, jak wychylili w milczeniu po trzy drinki. – Przez większość życia marzyłem, żeby pojechać do Londynu.

– I jak wrażenia?

– No cóż, nie tego się spodziewałem.

Spojrzał na oddział żołnierzy, którzy przemaszerowali za oknem. Wielka Brytania okazała się zaskakująco chaotyczna. Wyczuwało się w niej mieszkankę buntu i lęku o przyszłość. Dwadzieścia lat wcześniej przeszła koszmarną wojnę i nie cieszyła jej perspektywa kolejnej.

– A czego?

Popatrzył na żołnierzy i samochody, które trąbiły jak odurzone narkotykami gęsi.

– Czegoś spokojniejszego.

Napili się. A kilka godzin później, kiedy zapalono światła elektryczne, otrzymali wiadomość, że gubernator Tooke wrócił i chce się z nimi zobaczyć. Opróżnili kieliszki i poszli do windy. Ken wyczuwał, że alkohol i upływ czasu rozbudziły w Coraline gniew, który powstrzymywała w klasztorze. Miała surowe spojrzenie i stawało się ono coraz bardziej twarde, gdy wjeżdżali na kolejne piętra.

Goniec hotelowy zaprowadził ich do królewskiego apartamentu, który urządzono zaskakująco gustownie. Gubernator właśnie rozmawiał przez telefon. Mówił głośno i powoli i Ken podejrzewał, że jego głos wędruje kablami leżącymi na dnie Atlantyku.

– ...oczywiście, że tak. Śmiało. – Chwila ciszy. – Nie ma o czym mówić. Po prostu do mojego sekretarza zadzwonił jego stary przyjaciel z „The Globe” i spytał go, czy wie coś o wypadku drogowym na Florydzie. – Znów na chwilę zamilkł, a potem odezwał się bardziej poufnym tonem: – Nie lubię tego rodzaju polityki, Sam. Ale jeśli zamierzasz wystąpić przeciwko mnie... – Gdy gubernator czekał na odpowiedź, Ken słyszał trzaski w słuchawce, ale nie rozumiał słów. – Nie, nie, oczywiście, że nie jesteś. Dobrze wiedzieć. Mój sekretarz zapewni swojego przyjaciela, że dziewczyna kłamie... miała kilka siniaków, nic więcej. Doniesienia były przesadzone i nie warto zajmować nimi prasy. Zgoda. A więc w listopadzie. Miło było z tobą rozmawiać, Sam, jak zawsze. Pozdrów ode mnie Beatrice.

Rozłączył się, wstał, przez chwilę o czymś rozmyślał, po czym usiadł w wysokim skórzanym fotelu i czekał, aż Coraline zacznie mówić. Atmosfera wyraźnie uległa zmianie od czasu ich ostatniej rozmowy w klasztornym ogrodzie, kiedy Tooke się wręcz kajał, niemal zawstydzony swoim postępowaniem.

Coraline odezwała się dopiero po dłuższej chwili. Zadała trudne pytanie:

- Ojciec, jak mogłeś coś takiego zrobić?
- Nalał bourbona dla całej trójki.
- Musiałem myśleć o rodzinie – powiedział, patrząc na butelkę.
- Ona należy do rodziny.
- Mam przodków, a pewnego dnia spodziewam się kolejnych potomków. Mam wobec nich pewne powinności.
- Powinności? – Wciąż nie tknęli szklanek z bourbonem.
- Tak, moje dziecko. Powinności. Wypowiadasz to słowo, jakby było nieczyste, a nie jest.
- Znów będziesz mi opowiadał o tym, że zostaniesz prezydentem?
- Wydawał się rozdrażniony, ale panował nad głosem.
- Tak, w ten sposób spełnię swoją powinność wobec ojczyzny.
- Coraline powoli szarpała niebieskie giemzowe rękawiczki. Ken widział, że robiąc to, daje sobie czas do namysłu.
- Po prostu porozmawiajmy o matce i o tym, jak przewieziemy ją do domu.

Pół godziny później Ken padł na miękkie łóżko i powtórzył w myślach wszystko, co wiedział i czego nie wiedział. Tego drugiego było więcej. Oliver został zamordowany, to nie ulegało wątpliwości. Zabójstwo prawdopodobnie było powiązane z umieszczeniem jego matki w szpitalu psychiatrycznym, gdzie z poczucia winy wpadła w religijną obsesję. Ale dlaczego miałyby to kogoś skłonić do zabicia Olivera? A jeśli...

Coś nagle przyciągnęło jego uwagę.

Klamka w zaryglowanych drzwiach poruszała się w górę i w dół, a na zewnątrz skrzypiała podłoga. Patrzył na poruszającą się klamkę. To mogła być ta sama osoba, która wypytywała o nich w Peldon Rose. Albo to była Coraline. W myślach wciąż odtwarzał scenę w samolocie, gdy prawie się pocałowali.

Klamka zmieniła kierunek, znów się uniosła i wróciła do pierwotnego położenia. Czekał. Usłyszał cichy oddech, a potem delikatny tupot stóp.

Chwilę później ktoś szarpnął klamkę w sąsiednim pokoju, gdzie mieszkała Coraline.

Ken zerwał się z łóżka, bosy i bez koszuli, odryglował drzwi i otworzył je na oścież. Nikogo nie zobaczył, ale wiedział, że sobie tego nie wymyślił. Zapukał do jej drzwi. Żadnej odpowiedzi. Nie było słyhać, żeby ktoś poruszał się w środku. Popatrzył w dół schodów i spróbował ponownie, tym razem mocniej.

– Coraline! – zawołał.

Nagle usłyszał jakiś ruch i szelest ubrania, zakładanego bądź zdejmowanego. Drzwi uchylły się na długość mosiężnego łańcucha. Ponad nim pojawiły się jej oczy. Wiedział, że mają mlecznoniebieski kolor, ale w tym świetle wydawały się ciemniejsze od węgla.

Zamierzał wyjaśnić, że ktoś próbował dostać się do ich pokojów i może to nie jest nic niepokojącego, a może wręcz przeciwnie, ale w końcu się nie odezwał, tylko czekał, aż Coraline coś powie.

Milczała. Odczepiła łańcuch i pozwoliła mu opaść.



Rozdział 16

Zostali w Londynie jeszcze dwa dni, potem wrócili na Merseę po swoje bagaże, a następnie przelecieli nad Atlantykiem. W Sacramento wsiedli w pociąg do Los Angeles. Światła samotnych miasteczek przemykały za oknami jak kształty i cienie na stronach szybko kartkowanej książki. Stopniowo było ich coraz mniej, aż całkowicie zniknęły, ustępując miejsca pustkowiom amerykańskiego zachodu. Było tu niewiele domów i gospodarstw. Kalifornia słynęła z dużych miast. Reżyserzy przyjeżdżali tutaj ze względu na światło, aktorzy dla sławy, a Simeona Tooke'a pół wieku wcześniej przywiódł tu optymizm. W Kalifornii wszyscy spoglądali w przyszłość.

Wjechali na główny dworzec sześć dni po opuszczeniu Mersei, gdy słońce już zachodziło.

– Od razu porozmawiamy z Carmen? – spytała Coraline.

Wiedzieli, dlaczego skłamała, że Florence utonęła na jej oczach, ale Ken chciał ją spytać, co powiedziała Oliverowi tamtego dnia, gdy on po raz pierwszy spotkał Coraline. Cokolwiek to było, bardzo zdenerwowało ich oboje.

Popatrzył na zegarek.

– Późno już. Porozmawiamy z nią jutro.

Życzyli sobie dobrej nocy i Ken wrócił tramwajem do pensjonatu. Po raz pierwszy od kilku tygodni spędził noc we własnym łóżku.

Spał jak kamień, a kiedy się obudził, nawet nie potrzebował kawy, by pognać do domu Tooke'ów.

Coraline czekała na niego w bibliotece, w której znów panowała żałobna atmosfera, zupełnie jakby wszyscy czekali na złe wieści. Posłano po Carmen i ta przyszła po chwili, wyraźnie speszona. Wieści o wychodzących na jaw rodzinnych sekretach zapewne dotarły do służących.

– Moja matka żyje – oznajmiła Coraline po długim milczeniu. Carmen przygryzła wargę i wbiła wzrok w swoje dłonie. – Wiedziałaś o tym? – Oczy starszej kobiety napełniły się łzami i szybko pokiwała głową. – Wiedziałaś od początku.

– Gubernator Tooke mi powiedział, ale tylko mnie – wyszeptała. – Czasami musiałam posyłać jej różne rzeczy. Ubrania albo drobne pamiątki. – Podniosła załzawione oczy. – Chciałam tylko się nią zaopiekować, panienko. Tak jak wami wszystkimi.

Coraline podeszła do okna wychodzącego na ogród, tak że pokojówka musiała patrzeć na jej plecy.

Ken podjął wątek.

– Oliver się dowiedział, prawda? – Carmen znów przytaknęła. – I rozmawiał z tobą.

– Tak, proszę pana.

– Mówił coś jeszcze?

– Poprosił o stare rodzinne zdjęcia. Przedstawiające wszystkich krewnych – dodała z naciskiem.

Nie chciała wymawiać imienia Alexandra, zaginionego dziecka. Stawało się jasne, że jego imię było zakazane w tym domu.

– To wszystko?

– Tak. No i pytał jeszcze, jaki był w dzieciństwie. Jakiego go zapamiętałam. Czy był radosnym chłopcem, czy raczej czuł się nieszczęśliwy, bo musiał jeździć na wózku.

– I co odpowiedziałaś?

– Zaczęłam tu pracować już po tym, jak Alex... – zerknęła nerwowo na plecy Coraline – zniknął. Więc nie znałam panicza Olivera jako małego dziecka. Ale żaden chłopiec nie może być szczęśliwy, gdy jeździ na wózku.

Odprawili ją. Kenowi było jej żal, bo została wciągnięta w spisek, którego nie rozumiała i z którego nic nie miała.

Zabębnił palcami o regał.

– Twoja matka wspomniała o jakimś lekarzu. Powiedziała: „To wszystko jego sprawa. Uknuł to z moim mężem”. – Zamyślił się. Podążanie śladami Simeona z *Klepsydry* doprowadziło go do Florence. Oliver zostawiał trop z okruszków w ciemnym lesie. Dokąd jeszcze udał się Simeon? – Lekarz... – urwał, gdy coś sobie przypomniał – z pękniętymi ustami – dodał, zwracając się bardziej do siebie niż do Coraline. – Pokaż mi swój egzemplarz książki Olivera.

Poszła do swojego pokoju i wróciła z powieścią. Ken poszukał właściwego fragmentu: Simeon w zadymionym porcie Limehouse.

Zatrzymał wzrok na kolejnym mężczyźnie, który leżał na posłaniu, ale w odróżnieniu od innych nie palił opium, tylko popijał coś z zielonej butelki. Miał zajęczą wargę, przez co płyn spływał mu po brodzie.

– Tutaj! – wykrzyknął Ken i odczytał kolejne linijki.

– Chciałby pan spróbować? – spytał i wyszczerzył w uśmiechu bezzębne dziąsła. Brzmiał jednak jak człowiek wykształcony. Zapewne absolwent uniwersytetu. – Pospółstwo w tym przybytku lubi gonić za smokiem, ale ja wolę topić go w brandy.

– Właśnie widzę – odrzekł Simeon. – Ale musi pan zrozumieć, że laudanum jest równie uzależniające.

– Och, nie musi mi pan tego mówić. Jestem członkiem Królewskiego Kolegium Chirurgów.

– Pamiętasz kogoś, kto pasuje do tego opisu? – spytał.

– A powinnam?

– Lekarz z zajęczą wargą – podpowiedział Ken, ale twarz Coraline nie zdradzała żadnych emocji. – Tamten lekarz, którego sprowadził twój ojciec, żeby nastraszyć senatora Burrowsa, wkrótce przed śmiercią twój brata. Miał zajęczą wargę. To nie może być zbieg okoliczności. Oliver umieścił go w swojej opowieści, bo ten człowiek odegrał ważną rolę w tym, co się stało, a twoja matka powiedziała, że lekarz, który za tym stoi, ma pęknięte usta, i wspominała też coś o zastrzykach.

Coraline pokiwała głową.

– Nazywał się Kruger, ojciec go tu sprowadził.

– Sprawdźmy, czy uda nam się go namierzyć. I właśnie uświadomiłem sobie coś jeszcze.

– Co takiego?

– To wszystko pochodzi z książki. Ale pisarze tworzą wiele wersji tekstu.

– Więc...

– Więc może Oliver napisał wcześniej inną wersję? – Coraz bardziej zapalał się do tego pomysłu. – Może musiał ją przyciąć, żeby zmieścić się w limicie stron czy coś w tym rodzaju. Niewykluczone, że opisał inne szczegóły, które mogą nam pomóc.

– To możliwe.

– Właśnie. Ale najpierw spróbujemy znaleźć doktora Krugera.

Telefon do stanowej rady medycznej pozwolił im potwierdzić, że taki człowiek rzeczywiście praktykuje medycynę, a także zdobyć adres jego gabinetu i numer telefonu. Ken triumfalnie uderzył dłonią w ścianę.

– Gabinet chirurgiczny doktora Krugera – odezwał się w słuchawce przyjemny, matczyzny głos z południowym akcentem.

– Chciałbym umówić się na wizytę – powiedział Ken.

– Oczywiście, proszę pana. Poproszę o nazwisko.

Podał fałszywe dane.

– Kiedy najprędzej mógłbym przyjść?

– Mogę panu zaproponować termin jutro o czternastej. Czy to panu pasuje?

– Miałem nadzieję, że uda mi się zapisać wcześniej.

– Przykro mi, ale wcześniejsze terminy są zajęte.

– Rozumiem. Dobrze, proszę mnie zapisać.

Podał fałszywy adres, recepcjonistka go zapisała i Ken się rozłączył.

– Myślisz, że coś z tego wyjdzie? – spytała Coraline.

– Może tak, może nie. Teraz chciałbym sprawdzić, czy znajdziemy inne wersje książki.

Zgodnie ze stroną tytułową egzemplarza Coraline musieli się skontaktować z wydawnictwem Jaques Publishing, którego redakcja była w Los Angeles, więc tam pojechali. Okazało się, że to młoda spółka, której nie brakowało ambicji, sądząc po rozmiarach ich siedziby. Po rozmowie z recepcjonistką, a następnie sekretarką, w końcu wpuszczono ich do sali konferencyjnej, gdzie stały fotele obite srebrzystą skórą, długi stół oraz regały pełne książek. Po drugiej stronie stołu, przed plikiem kartek, na

których kreślił coś czerwonym długopisem, siedział mężczyzna w zawadiacko lśniących okularach. To był redaktor Olivera, Sid Cohen. Wysłuchał ich prośby.

– Panie Kourian, panno Tooke, jestem w kropce. – Cohen odchylił się na oparcie fotela i złożył dłonie w piramidkę. – Proszę mi wierzyć lub nie, ale nie państwo pierwsi zwracają się do mnie z taką prośbą.

– Co takiego? – rzucił ze zdziwieniem Ken.

To była nieprzyjemna niespodzianka.

– No cóż, mieliśmy niemal identyczny przypadek w ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin.

Coraline posłała mu mordercze spojrzenie.

– To znaczy? – spytał Ken.

– Jakiś człowiek przyszedł tutaj trzy dni temu, powiedział, że występuje w imieniu rodziny Tooke'ów, i grzecznie, ale stanowczo zażądał przekazania wcześniejszych wersji ostatniej książki Olivera.

– Moja rodzina nie udzieliła nikomu takiej zgody – odparła Coraline z goryczą. – Kim on był?

Cohen z namysłem postukał długopisem o blat.

– Problem w tym, że jeśli chodzi tu o jakiś podstęp, to nie wiem, komu mam wierzyć. Zanim tamten człowiek się pojawił, dostałem list zapowiadający jego wizytę, napisany na papierze firmowym znanej firmy prawniczej. Oczywiście mógł zostać sfałszowany, i to bez większych problemów. Wprawdzie nie zachowałem czujności i nie sprawdziłem, czy ta firma rzeczywiście go wysłała, ale równie dobrze mógł to być autentyk. Stąd mój dylemat: czy to on mówił prawdę, czy też mówią ją państwo?

– Chce pan zobaczyć moje prawo jazdy? – spytała Coraline.

Ken wiedział, że od czasu wydarzeń w prowadzonym przez zakonnicę szpitalu miała dosyć obcych ludzi, którzy domagali się od niej potwierdzenia tożsamości.

– Tak, myślę, że to wystarczy.

Coraline rozpięła torbę podróżną i wyjęła z niej torebkę. Położyła na blacie prawo jazdy i jakieś zdjęcie. Cohen wziął je do ręki, obejrzał, po czym jej oddał. Ken dostrzegł, że fotografia przedstawiała Coraline i jej brata, oświetlonych fleszem, trzymających się pod rękę na jakimś przyjęciu.

– Wierzę pani. Ale obawiam się, że to niewiele pomoże. Uwierzyłem tamtemu człowiekowi i przekazałem mu poprzednie wersje tekstu Olivera.

– Jak ten człowiek wyglądał? – spytał Ken.

Cohen wzruszył ramionami.

– To było kilka dni temu, więc nie pamiętam szczegółów. Ale wyglądał, no cóż... zwyczajnie.

– Zwyczajnie?

– Tak, ale właśnie to go wyróżniało. Był tak zwyczajny, że aż nierzeczywisty.

– Czy istnieje więcej kopii tych tekstów? – spytał Ken.

Znał człowieka, o którym była mowa.

– Niestety, nie.

– Pamięta pan z nich cokolwiek? Jakież istotne zmiany?

– Będę z państwem szczerzy. Pracuję jednocześnie przy dziesięciu książkach. Ledwie pamiętam ich tytuły, a co dopiero zmiany w tekście. Tak więc przykro mi, ale nie mogę państwu pomóc. – Z namysłem wsunął długopis do ust jak papierosa. – Dlaczego to państwa interesuje?

– Teraz to bez znaczenia. Dziękujemy za poświęcony czas.

Wrócili do samochodu.

– Odbiliśmy się od ściany – mruknął Ken ze złością i szarpnięciem otworzył drzwi.

– Na to wygląda.

– Psiakrew. No dobrze, po cholere czekać do jutra. Jestem wkurzony. Od razu jedziemy do gabinetu Krugera.

– Skoro tak mówisz.

Po piętnastu minutach jazdy dotarli do gabinetu, który mieścił się przy eleganckiej uliczce odchodzącej od Olympic Boulevard. W takiej okolicy trudno było sobie wyobrazić, że ludzie mogą mieć jakiegokolwiek problemy zdrowotne poza skutkami zbyt obfitej diety. Zatrzymali się przed wejściem.

– Co mu powiesz? – spytała Coraline. Nawet nie próbowała ukryć sceptycyzmu.

– Spytam, czy leczył jakichś członków twojej rodziny.

– Pewnie odeśle cię do diabła.

– Jeśli tak, nic nie stracimy.

Kiedy tak rozmawiali, z budynku wyszedł sympatyczny mężczyzna w okularach, z czarną torbą lekarską w dłoni. Ken go rozpoznał i ruszył w jego stronę, ale mężczyzna uniósł rękę i zatrzymał taksówkę. Wskoczył do środka i odjechał.

– Wsiadaj – rzuciła Coraline.

Podążali za taksówką, trzymając bezpieczny dystans. Nie było to trudne o tej porze dnia, w niewielkim ruchu ulicznym. W końcu zatrzymali się przed biurowcem, który otwarto tak niedawno, że pewnie jeszcze nie było w nim szcurków. Przykręcona do ściany mosiężna tabliczka oznajmiała, że w środku mieści się siedziba Amerykańskiego Stowarzyszenia Eugenicznego. Ken słyszał o tej państwowej instytucji, która postulowała usunięcie z populacji osób z „defektami” fizycznymi i psychicznymi. Pomyślał o Florence i o jej odizolowaniu.

Kruger pośpiesznie wspinał się po schodach. Ken wyskoczył z auta i go zawołał.

– Doktorze Kruger!

Lekarz zatrzymał się i obejrzał. Ken się do niego zbliżył i wtedy zobaczył zajęczą wargę, o której pisał Oliver.

– Nie wiem, czy pan pamięta, ale kiedyś mieliśmy okazję się poznać.

– Naprawdę?

– To było w domu gubernatora Tooke’a.

Kruger uniósł brwi, wyraźnie zainteresowany, ale i zaskoczony, że ktoś zaczepia go na ulicy.

– Tak?

– Poprosił mnie, żebym o czymś z panem porozmawiał.

Brwi opadły i na twarzy lekarza odmalowała się podejrzliwość.

– Gubernator Tooke chciał, żeby pan ze mną porozmawiał?

– Tak.

– O czym? – burknął bez cienia sympatii.

– O tym, w jaki sposób pan leczył panią Tooke – odparł Ken, na co lekarz bez słowa zmierzył go wzrokiem. – Moja żona ma podobne dolegliwości.

– Czyżby? – Kruger zachowywał czujność, niczego nie zdradzając.

– Możliwe, że będę musiał umieścić ją w zamkniętej placówce.

– Zatem proszę to zrobić – uciął Kruger. – Nie jestem lekarzem, którego pan potrzebuje. Więc niech pan wraca do gubernatora... jeśli rzeczywiście to on pana wysłał... i ponownie poprosi go o pomoc. – Odwrócił się i ruszył w stronę wejścia do budynku.

Potężny ochroniarz, który opierał się o drzwi, wyraźnie się nimi zainteresował. Z jego twarzy dało się wyczytać, że ma ochotę coś zniszczyć własnymi pięściami.

- Doktorze Kruger.
- Nie mam nic więcej do powiedzenia.
- Doktorze, proszę zaczekać!

Ken poszedł za nim, ale ochroniarz stanął mu na drodze i położył mięsistą dłoń na jego piersi.

- Cofnij się, człowieku – rzucił ostrzegawczo.
- Ken odepchnął jego rękę i chciał go wyminąć.
- Kru... – zaczął.

Nie zdołał dokończyć, bo masywna ręka chwyciła go od tyłu za szyję. Odruchowo ją złapał, ale mocno go trzymała i po chwili poczuł, że się przewraca. Zobaczył, że Kruger, zaskoczony, upuszcza torbę lekarską.

Ken czuł, że muskularna ręka jest silna, ale nie był w nastroju na zabawę z bohaterami. Szybki cios łokciem w żołądek zmusił ochroniarza do zwolnienia uścisku. Ken okręcił się na pięcie i zdzielił męczyzną pięścią w mostek, pozbawiając go tchu. Po chwili rozpoczęła się między nimi regularna walka zapaśnicza, a Ken był cholernie zmotywowany.

– Przestańcie! – odezwał się ktoś, kto przywykł do wydawania rozkazów, i po chwili rozdzielił ich policjant. – Co tu się dzieje, do licha?

Kruger cofnął się od wejścia do budynku.

- Ten człowiek mnie nęka. – Wskazał na Kena.
- Czyżby? W jaki sposób?
- Zadaje mi pytania.
- Zna go pan?
- Ani trochę. Proszę zabronić mu zbliżać się do mnie.

Ken już widział, że niczego nie dowie się od lekarza, ale przynajmniej mógł narobić mu trochę kłopotów.

– Chcę się tylko dowiedzieć, co pan zrobił Florence Tooke. – Pomasażował się po szyi. Miał dosyć tego, że ciągle obrywa za kogoś. – To żona gubernatora Tooke’a – dodał na użytek policjanta.

Zawsze warto wspomnieć o powiązaniach politycznych, jeśli chcemy, by policja rzeczywiście się nami zainteresowała.

- Nigdy jej nie leczyłem – odparł Kruger.
- Naprawdę? – rzekł Ken przeciągle. – To dlaczego właśnie powiedział mi pan coś innego?
- Niczego takiego nie mówiłem. – Kruger wydawał się roztrzęsiony. Najwidoczniej nie spodziewał się takiego obrotu spraw tego ranka.
- Jasne – rzucił Ken.

– Mam tego dość. Panie władzo, ten człowiek mnie nęka. Proszę go zabrać.

– Chce pan, żebym go aresztował?

– Dobrze, załatwmy to w oficjalny sposób. – Ken wyciągnął nadgarstki.

Kruger rozdziawił usta i zawahał się, niepewny, czy rzeczywiście tego chce.

Policjant się wyprostował. Nie miał ochoty się w to pakować.

– W takim razie poproszę pana o nazwisko i adres i będzie pan mógł odejść.

Gdy Ken podał swoje dane, funkcjonariusz poprowadził go ulicą, trzymając mocno za ramię, by dać mu jasno do zrozumienia, że będzie dla niego lepiej, jeśli się oddali. Coraline uniosła wąską brew, kiedy Ken wrócił do niej w takiej eskorcie.

– Dobra robota – powiedziała.



Rozdział 17

Po powrocie do mieszkania, z obolałą szyją, Ken zobaczył kartkę z wiadomością telefoniczną od szefa, który pytał, czy jeszcze kiedyś wróci do pracy, czy też mają go od razu zwolnić. Zmiał i wyrzucił papier. Nie, nie wróci.

Wziął kąpiel, słuchając radia. Nadawano słuchowisko o mężczyźnie, który miał dosyć przestępczości w swojej okolicy, więc razem z przyjaciółmi utworzył organizację samozwańczych stróżów prawa, ale w jej szeregach przeniknęła korupcja, tak że grupa stała się gorsza od przestępców, których miała powstrzymywać. Potem nadano serwis informacyjny, w którym donoszono o dalszych zbrojeniach w Europie oraz niekorzystnej prognozie pogody dla kalifornijskiego wybrzeża. Nad oceanem zaczynał się tropikalny sztorm, który wkrótce mógł dotrzeć do lądu. Przygotujcie się na najgorsze, mówił reporter, może być niebezpiecznie.

Przez kilka kolejnych godzin Ken rozmyślał, jaki powinien być jego następny ruch. Florence próbowała odpokutować za jakiś grzech, o którym tylko ona wiedziała. Ale jeśli chodziło o uprowadzenie Alexandra Tooke'a, to warto było dowiedzieć się o tej zbrodni więcej, niż zdradzały nieliczne artykuły w gazetach.

Zszedł do budki telefonicznej i zadzwonił do domu Tooke'ów.

– Słucham? – odezwał się cichy głos.

– To ja. – Czuł się zdeterminowany.

Chwila ciszy.

- Spodziewałam się.
- Chcę do ciebie przyjść.
- Czekam o siódmej.

W tle rozległ się inny głos.

- Dokąd, panno Tooke? – spytał jakiś mężczyzna.

– Do Yacht Clubu – odpowiedziała obok słuchawki. Rodzinny szofer był na posterunku. – Ken? – odezwała się znów do niego.

- Tak?

– Jak myślisz, co się stało w tysiąc dziewięćset piętnastym?
Z Alexem?

– Wygląda na to, że twoja matka była za to odpowiedzialna. A Kruger jest zamieszany w jej późniejsze ukrycie. Myślę, że twój ojciec postanowił, że lepiej umieścić ją gdzieś w Anglii, bo tam mniej ludzi ją zna i nikt nie będzie interweniował. To ma sens, jak się nad tym zastanowić.

Wygląda na to.

Myślę.

Jak się nad tym zastanowić.

Jedyną czarno-białą rzeczą w tej sprawie była podłoga w holu Tooke'ów.

– O siódmej – powtórzyła, po czym rozłączyła się, a jej głos zastąpiło brzęczenie w słuchawce.

Czuł się jak dziecko we mgle. I zdał sobie sprawę, że wcale nie zna Coraline lepiej niż pozostałych członków jej rodziny. Znał tylko te jej uczucia i myśli, które chciała mu ujawnić.

Tego wieczoru, gdy wskazówka godzinowa na jego zegarku dotarła do siódemki, a minutowa do dwunastki, odprawił taksówkę i zbliżył się do szklanego domu. Światła były zgaszone, więc w szybach odbijał się migoczący ocean. To nie był właściwy dom dla rodziny Tooke'ów. Każdy mógł zajrzeć do środka, podczas gdy zamieszkujący go ludzie za wszelką cenę starali się ukryć swoje życie.

Pociągnął za sznur dzwonnka, lecz nikt nie otworzył drzwi. Pewnie Coraline jeszcze nie wróciła, ale to był pogodny wieczór, więc Ken okrążył dom i poszedł na plażę, żeby tam zaczekać.

Usiadł na piasku, w tym kalifornijskim upale, tak odmiennym od europejskiego chłodu, i zerknął na wieżę pisarską, która stała w wodzie

niczym ostatnia debiutantka na letnim balu. Czy ktoś ją zamknął albo opróżnił z książek Olivera? To byłoby jak żywienie się padliną, resztką czyjegoś życia. Obejrzał się na dom. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej tańczyli tam ludzie i grały trąbki, a teraz wydawało się, jakby to nigdy nie miało miejsca. Nagle coś rzuciło mu się w oczy: tylne drzwi były niedomknięte.

Podszedł bliżej.

– Coraline?

Żadnej odpowiedzi. Otworzył drzwi szerzej. W słabym miedzianym świetle szyby zmieniły się w przyciemniane lustra, a blask słońca odbijał się w różnych powierzchniach, znacząc je czerwonymi krążkami. Pod każdym z nich widać było falujący niebieski ocean, tak że to miejsce wydawało się odcięte od lądu, tak jak inny, starszy dom. Przez chwilę Ken współczuł Oliverowi, że całe życie spędził w tym szklanym potrzasku.

Fale przewalały się za jego plecami, gdy wślizgnął się do środka. Ale coś je zagłuszało. Muzyka. Klasyczna. Skrzypce. Pewnie Vivaldi, pomyślał. Ktoś gdzieś w domu słuchał płyty albo radia. Ponownie wykrzyknął imię Coraline, lecz nikt mu nie odpowiedział.

Okrążył fortepian, przeszedł przez pokój i ruszył korytarzem. Zatrzymał się, żeby posłuchać – smyczki rozbrzmiewały głośniejsze, gdzieś na piętrze. Białe marmurowe schody lekko lśniły, a muzyka zmierzała do agresywnej kulminacji, w miarę jak się wspinał.

– Coraline?! – zawołał jeszcze raz.

Narastało w nim podejrzenie, że stało się coś złego.

Jego buty stukały o marmur, jak bęben wybijający rytm do dźwięków skrzypiec. Nie potrafił stwierdzić, skąd dobiega muzyka. Czerwone drzwi prowadziły do dawnego pokoju Olivera. Za oknem zachodziło słońce, jasno oświetlając pozostałości przerwane go życia: łóżko, wciąż wiszące w szafie ubrania, lornetkę na haczyku przy oknie. Nikogo tutaj nie było.

W następnym pokoju, za zielonymi drzwiami, mieściła się biblioteka, która miała przypominać gościom, że mieszka tu rodzina na poziomie, a telefon i teleks w kącie dowodziły ich bogactwa i nowoczesności.

Pozostały dwa pokoje gościnne i sypialnia Coraline. Smyczki rozbrzmiewały coraz głośniejsze, gdy Ken szedł korytarzem. Dotarł do drzwi z przydymioną niebieską szybą, za którymi było źródło muzyki. Zapukał. Nikt mu nie odpowiedział.

– Coraline. – Wciąż żadnej reakcji. Ale nagle usłyszał nowy dźwięk: odległe skrzypienie. Chwycił za klamkę i uchylił drzwi. Ostrze światła przeszło szparę. – Jesteś tam?

Znów coś zaskrzypiało. Pchnął drzwi i całe jego pole widzenia wypełnił ocean: ciąg okien wychodzących na urwisko, a przed nimi biała sofa. Skrzypce grały ponad szumem fal i skrzypieniem drewna, ale coś zaburzało ten widok, coś, co zwisało z sufitu. Obracało się na wietrze wpadającym przez otwarte okno: bosa stopa, smukłe ciało w bawełnianej sukience, zwieszona głowa.

– Coraline! – Rzucił się naprzód, aż przewrócił stolik, spadły z niego buteleczki perfum i utworzyły na podłodze małe kałuże złotego płynu.

Ciało kobiety wisiało na sznurze przywiązany do lampy pod sufitem. Zwłoki były zwrócone plecami do Kena, głowa zwisała ze skrzyconego karku. Chwycił ją za nogi, wiedziony rozpaczliwą nadzieją, że ciągle żyje. Pod nią na podłodze leżał miękki skórzany but. Ale kiedy Ken zacisnął dłonie na łydkach kobiety i podniósł wzrok na jej twarz, zrozumiał dwie gorzkie prawdy.

Po pierwsze, życie, które kiedyś jasno płonęło w tym ciele, zgasło i już nigdy nie wróci, niezależnie od wznoszonych modlitw i talentów lekarzy. Odeszło niczym światło minionego dnia.

Drugą prawdą, która odebrała mu oddech, był fakt, że kobietą, którą trzymał i która obracała się na wietrze, nie była nieprzenikniona Coraline Tooke.

Nie. To była jej matka, Florence. Tragiczna, maltretowana, dręczona wyrzutami sumienia Florence. Wisiała na białym przemysłowym sznurze, którego używano do wiązania drewna lub łodzi.

Puścił ją. Metalowy przedmiot, który wbijał się w jej udo, by pomóc jej odpokutować grzechy, pobrzękiwał z każdym jej ruchem. W niczym jej nie pomógł. Bóg nie był po jej stronie, nigdy nie wspierał rodziny, która mieszkała w tym domu. W domu, który oglądał już dwie śmierci.

Nagle uderzyła go nowa myśl: oby tylko dwie.

Pobiegł przez korytarz i wpadł do obu nieużywanych pokoi gościnnych, a następnie do sypialni gubernatora i do kuchni – szybko omiótł je wszystkim wzrokiem. Nie znalazł Coraline. Ani nikogo innego. A kiedy wrócił do wiszącej kobiety, zrozumiał, że są sami w szklanym domu Tooke'ów. Podeszedł do radia w kącie pokoju i je wyłączył. Skrzypce umilkły i słychać było tylko skrzypienie liny.

Nie pozostało mu nic innego, jak powiadomić władze i donieść, że w Domu Klepsydry doszło do kolejnego zgonu. Pozwoli im zdjąć ciało. Miał wrażenie, że w ten sposób okaże mu większy szacunek, chociaż nie wiedział dlaczego. Idąc do telefonu na korytarzu, cały czas zastanawiał się, co dokładnie powie: „Przyjechałem do domu przyjaciółki. Tutaj jest jakaś kobieta. Powiesiła się”.

Nagle znieruchomiał. Czy na pewno to zrobiła? Nie mógł być tego pewien. Jeśli chodziło o Tooke'ów, im więcej się dowiadywał, tym więcej miał wątpliwości.

Co prawda nie widział śladów obecności nikogo innego. A jeśli wziąć pod uwagę, że Florence zapewne była zamieszana w zniknięcie Alexa, wnioski same się nasuwały. Grzech i wina nie dawały jej spokoju przez dziesięciolecia, do tego stopnia, że widywała nieżyjącego syna, jak przychodzi do niej w odwiedzinach. Kto nie chciałby tego zakończyć?

Podniósł słuchawkę telefonu w korytarzu.

– Centrala – odezwał się metaliczny głos.

– Proszę z policją.

– Chwileczkę.

Usłyszał kilka trzasków. Jak długo potrwa...

Zamarł. Usłyszał kroki za drzwiami i szcęk klucza w zamku. A potem Coraline weszła do domu. Już miała się odezwać, ale ją powstrzymał.

– Coraline – zaczął gorączkowo, lecz zaraz złągodził ton głosu. – Muszę ci coś powiedzieć.

Popatrzyła na niego z zagadkowym wyrazem twarzy, jakby coś ukrywała. Zawsze czegoś nie mówiła.

– Jak tu wszedłeś? – spytała.

– Tylne drzwi były otwarte. Ale posłuchaj...

– Zamknęłam je.

– Wszedłem i coś tutaj znalazłem. – Coraline czekała. – Znalazłem twoją matkę.

– Mamę? Ona tu jest? – Już chciała iść dalej. – Ojciec przywiózł ją dopiero kilka dni temu. Mówił, że trzyma ją w jakimś bezpiecznym miejscu.

Zagroził jej drogę.

– Coraline, tak mi przykro.

– Z jakiego powodu?

– Znalazłem ją martwą.

Cofnęła się o krok, wbiła wzrok w jego twarz i próbowała coś z niej wyczytać.

– O czym ty mówisz?

O poczuciu winy, pomyślał. Mówię o poczuciu winy.

Położył dłonie na jej ramionach, jakby chciał ją podtrzymać. Po raz drugi musiał jej powiedzieć o śmierci kogoś bliskiego. Po raz drugi to on znalazł ciało.

– Powiesiła się.

Przez chwilę panowała cisza. Potem usłyszał jedno słowo, które bardziej przypominało lodowaty oddech.

– Gdzie?

– W twoim pokoju.

– Wciąż tam jest?

– Tak. Przyjechałem kilka minut temu. – Dotknął jej dłoni, by okazać współczucie, ale nie doczekał się żadnej reakcji, jakby ciało Coraline również było zrobione ze szkła.

Postawiła torebkę na mahoniowym stoliku przy drzwiach i nie patrząc na Kena, jak gdyby zapomniawszy o jego istnieniu, ruszyła na górę, do swojej sypialni. Zobaczył, że przystanęła na progu i zajrzała do środka. Stała przez moment, zwrócona w stronę ciała obracającego się na sznurze, a następnie weszła do pokoju. Ken dał jej chwilę na osobności z matką, zanim do niej dołączył.

To był okropny widok.

– Musimy ją zdjąć – powiedziała obojętnym głosem.

– Tak.

Widział fałdy na ubraniu Florence i jej potargane włosy. Jej twarz powoli obróciła się w jego stronę. Kiedyś była piękna, ale upływ czasu ją postarzył, a śmierć rozděła. Chwycił za brzeg sukienki, żeby unieruchomić ciało.

– I co? – Głos Coraline wypełnił cały pokój.

– Jest ciepła – zauważył.

– To znaczy...

– Jest ciepły dzień. Nie wiem, jak to działa, może ma to duże znaczenie. Ale owszem. – Wiedział, o co jej chodzi, i popatrzył jej w oczy. – Myślę, że umarła niedawno.

Coraline usiadła na sofie w kącie pokoju i oparła łokcie na kolanach.

– Czyli gdybyśmy pojawili się kilka minut wcześniej, moglibyśmy ją uratować.

– Nie wolno ci tak myśleć.

– Nie wolno? Za kogo ty się uważasz, że mówisz mi, co mam myśleć?! – wybuchła, co rzadko jej się zdarzało. – Trzeba ją odciąć.

– Wiem, ale...

Przerwał mu dzwonek do drzwi. Coraline gwałtownie spojrzała w stronę holu.

– Kto to? – rzuciła.

– Nie wiem.

Dzwonek znów się odezwał. Potem ktoś zabębnił pięściami w drewno.

– Policja – rozległ się chrapliwy głos. – Proszę otworzyć.

Kiedy otworzył drzwi, rozpoznał policjanta. To był Jakes, detektyw, który przybył tu, gdy znaleziono ciało Olivera.

– Detektywie – odezwał się Ken, zaskoczony.

– Co się dzieje? – Jakes od razu przeszedł do rzeczy.

– Kobieta popełniła samobójstwo. – Ken nie rozumiał, dlaczego Jakes przyjechał, zanim on zdążył zadzwonić na policję, ale postanowił spytać o to później.

– Tutaj? – Detektyw był tylko trochę zaskoczony, bo zapewne widział już wszystko.

Ken zaprowadził go na górę.

– Na Boga – mruknął Jakes pod nosem, kiedy zobaczył linę i wiszące na niej ciało. – Kto to jest?

– Moja matka – odpowiedziała Coraline.

– Pani matka? – Ponownie spojrzał na ciało, które było teraz nieruchome, bo wiatr za oknem ustał.

– Przebywała w szpitalu psychiatrycznym w Anglii. Mój ojciec niedawno przywiózł ją do domu.

Na twarzy policjanta odmalowało się zrozumienie. Nie pierwszy raz miał do czynienia z samobójstwem.

– Powiedziała jej pani o śmierci swojego brata?

– Tak.

Jakes westchnął ze smutkiem.

– No tak. Przykro mi to mówić, ale widziałem już takie przypadki. Żadna matka nie powinna grzebać własnego dziecka. To pani do nas zadzwoniła?

– Zadzwoń! – spytała ze zdziwieniem Coraline.
– Ktoś zadzwonił do centrali pół godziny temu. Powiedział, że muszę natychmiast tu przyjechać, ale nie wyjaśnił powodu.

A więc ktoś wezwał policję, jeszcze zanim Ken zjawił się tutaj.

– Kto to był? – spytał Ken.

– Nie mam pojęcia. – Jakes popatrzył na Coraline. – Na pewno nie pani?

– Już mówiłam, że nie.

Podniósł wzrok na ciało.

– Myśli pani, że sama to zrobiła?

– Skąd znałaby pańskie nazwisko? – wtrącił się Ken.

– Trudno powiedzieć, ale nie możemy tego wykluczyć. W końcu prowadziłem sprawę śmierci pańskiego przyjaciela. – Lina zaskrzypiała. – Zdejmijmy ją.

Ken podtrzymał tułów Florence, a Jakes odwiązał sznur i opuścił zwłoki na podłogę. Coraline cały czas siedziała na sofie, z łokciami na kolanach. Ken zastanawiał się, czy otaczający ją lodowaty mur to nieodłączna część jej charakteru, czy też stawia go na nowo każdego ranka, by się chronić.

– Zgłoszę to – odezwał się Jakes. Zatrzymał się na progu. – Przykro mi. Żadna rodzina nie powinna przechodzić przez coś takiego. – Zszedł na parter i wezwał policyjną karetkę.

Czekali bez słowa, od czasu do czasu spoglądając na ocean.

Kiedy pojawiła się karetka, dwaj funkcjonariusze, którzy nią przyjechali, z szacunkiem weszli do pokoju, obejrzelili ciało i rozłożyli nosze.

– Ktoś musi powiadomić twojego ojca – zwrócił się Ken do Coraline.

– Zadzwoń do niego i mu powiem. Już to raz robiłam.

– Detektywie! – zawołał jeden z funkcjonariuszy, którzy układali Florence na noszach.

Jakes zapisywał coś w notesie.

– Chwileczkę, jestem zajęty.

– Powinien pan to zobaczyć.

Ken zbliżył się do ciała.

– Proszę nie podchodzić – ostrzegł go funkcjonariusz.

– Co się stało? – spytał Jakes.

– Niech pan popatrzy. – Mężczyzna z karetki uniósł nadgarstki martwej kobiety.

Jakes przykucnął i podwinął bawełniane mankiety. Po chwili skinął głową na drugiego policjanta i ten ułożył ręce kobiety przy jej ciele.

– Panie Kourian, to pan znalazł ciało Olivera Tooke’a, zgadza się?

– Wie pan, że tak. – Kenowi nie podobało się, że gliniarz zadaje pytania, na które obaj znają odpowiedź.

– Powiedział pan, że przyjaciel był już martwy, kiedy pan tam przybył?

– Co w związku z tym?

– A teraz twierdzi pan, że pani Tooke była martwa, gdy ją pan znalazł?

– Zgadza się. – Ken słyszał zbliżające się do niego tornado.

– Czy ktoś tu pana wpuścił?

– Nie, wszedłem tylnymi drzwiami. Były otwarte.

– Otwarte? Czy to normalne? – Jakes spojrzał pytająco na Coraline, ale nie czekał na odpowiedź. – A pani Tooke się powiesiła.

– Ona...

Tornado zaatakowało.

– W takim razie czy może nam pan wyjaśnić, dlaczego ma ślady po sznurze na nadgarstkach? – Detektyw pozwolił, by to pytanie dobrze wybrzmiało, a następnie podniósł ręce Florence, podwinął jej rękawy i pokazał czerwone ślady na ciele. W miejscach, gdzie skóra pękła, była krew. Ściszył głos. – Powie nam pan, gdzie teraz jest ten sznur?

Ken wiedział, że Florence niekoniecznie sama pozbawiła się życia, ale nie pomyślał, jak w tym kontekście będzie wyglądała jego obecność w tym domu, zakradnięcie się do środka tylnymi drzwiami, jak złodziej, i anonimowy telefon do Jakesa. Nie zapowiadało się to najlepiej.

– Ktoś chce, by pan pomyślał, że to ja ją zabiłem – oznajmił.

– I doskonale mu idzie. Ktoś wiedział, że ma pan tu dzisiaj przyjść?

Ken próbował sobie przypomnieć, ale miał mętlik w głowie, bo właśnie został oskarżony o dwa zabójstwa. O jego wizycie tutaj wiedziała tylko Coraline.

– Nie. Ale mogli mnie śledzić.

Jakes wstał i zbliżył się do niego o pół kroku.

– Śledzić? A potem wbiec do domu, zabić ją i uciec, tak że niczego pan nie zauważył? Szybka robota.

Oczywiście miał rację. Ken musiał teraz błyskawicznie myśleć.

– No dobrze, może to nie o mnie im chodziło. Może próbowali zrobić Coraline.

Wszyscy na nią spojrzeli.

– Zna pani kogoś, kto mógłby to zrobić? – spytał Jakes.

Pokręciła głową.

– Niech pan posłucha, nie może pan mieć pewności, że te ślady powstały, kiedy umierała – powiedział stanowczym głosem Ken. – Możliwe, że miała je już wcześniej. Albo rzeczywiście ktoś ją zamordował, ale to nie byłem ja!

Jakes patrzył mu w oczy.

– Ktoś dzwoni do mnie i mówi, że muszę jak najszybciej tu przyjechać. A kiedy się pojawiam, znajduję pana, bardzo zaskoczonego moim widokiem, oraz martwą kobietę. Zdaje pan sobie sprawę, jak to wygląda w moich oczach?

– Jakby ktoś mnie wrobił!

Detektyw mówił dalej, udając, że tego nie słyszał.

– Poza tym zastanawia mnie jeszcze jedno.

– Co?

– Tamten stolik. Przewrócił się i wszystko się rozbiło.

Ken spojrzał na stolik z buteleczkami perfum, który wywrócił, kiedy wszedł do pokoju i zobaczył wiszącą Florence.

– Co z nim?

– To tak zwane ślady walki. Wyglądają bardzo podejrzanie. – Jakes wymierzył palec w Kena. – Pójdzie pan z nami.

– Nic z tego. – Ken był wściekły i zmartwiony, bo nie mógł zaprzeczyć, jak to wygląda.

– W takim razie aresztuję pana jako podejrzanego.

– Podejrzanego o co?

– Dobrze pan wie.

Pozostali funkcjonariusze stali za plecami Jakesa i wpatrywali się w Kena. Jeden z nich – mógł mieć dwadzieścia, może dwadzieścia pięć lat – wystąpił naprzód, jakby chciał zrobić na wszystkich wrażenie. Chwycił Kena za ramię, ale ten się wyrwał. Gdy policjant przysunął się bliżej, w Kenie zagotowała się krew.

– Lepiej niech pan się cofnie – warknął.

– Albo co? – Funkcjonariusz pchnął go do tyłu, prowokując go do stawienia oporu.

– Powiedziałem...

– Albo co? – powtórzył policjant i chciał go znowu popchnąć.

Jednak Ken już stracił panowanie nad sobą, więc kiedy gliniarz ruszył do przodu, zamachnął się prawą pięścią po łuku, trafił policjanta w podbródek i powalił go na kolana. Funkcjonariusz natychmiast się zerwał i złapał Kena za szyję, ale Jakes skoczył między nich i w porę ich rozdzielił.

– Spokój – rzucił ostrzegawczo. – Niech żaden z was nie zrobi czegoś, co będę musiał opisać w raporcie.

Ken przez chwilę rozważał ucieczkę przez otwarte drzwi. Nie miał wątpliwości, że za dwa zabójstwa groziła mu kara śmierci. Mógłby umknąć do lasu i się ukryć. Ale co potem? Spędzić całe życie w krzakach? Nie, na razie musiał grać w tę grę.

– W porządku, nie traćmy czasu – mruknął.

Założyli mu kajdanki i pociągnęli do wyjścia. Zdążył jeszcze zobaczyć twarz Coraline. Patrzyła na niego, jakby widziała go po raz pierwszy.

Kiedy przyjechała policyjna furgonetka, kazali mu usiąść na metalowej ławce przykręconej do blachy. Stalowa przegroda oddzielała kierowcę od miejsca, w którym zamknięto Kena.

– Miej na niego oko – polecił Jakes policjantowi za kółkiem.

– Nie ucieknie daleko w obręczkach – odparł kierowca.

Młody funkcjonariusz, który rwał się do bitki, usiadł z przodu.

– Po prostu miej na niego oko. – Po tych słowach Jakes wsiadł do swojego samochodu, żeby pojechać przodem.

Z rykiem silników wyjechali na drogę. Młody gliniarz zajrzał do Kena.

– Byłeś kiedyś na wyboistej przejażdżce? – spytał ze złośliwym chichotem. Nie czekał na odpowiedź. – Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Zamknął aresztowanego i po kilku sekundach furgonetką zarzuciło. Ken uderzył ramieniem o przeciwległą ścianę. Nie miał się czego przytrzymać. Po chwili samochód odbił w drugą stronę, a on grzmotnął tyłem głowy w stalową ławkę. Prawie zemdlał z bólu. Potem furgonetka gwałtownie skręciła i uderzył policzkiem o metalowe kajdanki, choć prawie tego nie zauważył, bo znów podskoczyli na wybojach, wzleciał pod sufit i ciężko opadł na podłogę. W końcu kierowca gwałtownie zahamował i Ken zderzył się ze stalową przegrodą. W nosie coś mu chrupnęło i ciepła ciecz spłynęła mu po brodzie. Usłyszał śmiech z przodu pojazdu, gdy furgonetka ponownie ruszyła.

Śmiejcie się, chłopaki, pomyślał. Pewnego dnia was znajdę i też zabiorę na przejażdżkę.

Spaliny i agresywny hałas samochodów świadczyły o tym, że dotarli do miasta. Każdy odgłos mógł być sygnałem ostrzegawczym i Ken traktował je poważnie. Był niewinny, ale nie byłby pierwszym człowiekiem bez winy, który wylądował w więziennym grobie. Siedział skulony pod ścianą, z rozbitą twarzą.

Co za szaleństwo. Jeszcze kilka tygodni wcześniej żył jak w bajce: grał w filmach, bawił się na łodzi z przyjaciółmi. Teraz jego twarz pojawi się na ekranach w całym kraju, a kronika filmowa pokaże, jak siedzi przywiązany do krzesła, czekając na trujące opary.

Do diabła z tym wszystkim. Nie zamierzał się nad sobą użalać. Ktoś odpowie za te zbrodnie, ale na pewno nie on.



Rozdział 18

Na posterunku policji Jakes obejrzał poobijane policzki Kena i zerknął na dwóch policjantów, którzy go transportowali. Nie wydawał się zadowolony. Ken dotknął opuszkami palców poduszki z tuszem i zostawił odciski na kartce. Następnie zaprowadzono go do pomieszczenia na tyłach, w którym był tylko stół z czterema krzesłami przykręconymi do podłogi. Jakes stanął nad nim ze skrzyżowanymi rękami.

– Chcę się widzieć z prawnikiem – odezwał się Ken.

– Kiedy ktoś mi mówi, że potrzebuje prawnika, zaczynam myśleć, że zrobił coś, czego nie powinien.

– Sprytnie, ale i tak chcę rozmawiać z prawnikiem.

Jakes oparł się palcami o stół.

– Jeśli jest pan niewinny, wcześniej czy później i tak będzie pan musiał wszystko wyjaśnić.

– Chcę rozmawiać z prawnikiem. – Ken powiedział to tak wolno, że zrozumiałby go nawet najbardziej tępy glina, a Jakes nie wydawał się tępy.

Detektyw zaklął pod nosem i wyszedł. Przez godzinę Ken na zmianę to siedział, to krążył dokoła stołu. Nie miał nic do roboty poza myśleniem. Czy ktoś celowo go zrobił? Telefon do Jakesa z pewnością na to wskazywał. Możliwe, że jakiś przechodzień albo sąsiad usłyszał dobiegające z domu krzyki i wezwał policję, ale wtedy podałby swoje nazwisko.

Jakes w końcu wrócił, prowadząc ze sobą ciemnowłosego mężczyznę, otyłego jegomościa w poplamionej koszuli, z płócienną torbą pełną

zmiętych papierów.

– Pański prawnik – oznajmił. – Mają panowie dwie minuty, potem porozmawiamy.

Kiedy tylko zamknął za sobą drzwi, mężczyzna, który przedstawił się jako Vincenzo Castellina, zaczął mówić z prędkością karabinu maszynowego.

– Nie chcę słyszeć, czy pan to zrobił, czy nie. To mnie nie obchodzi. Jestem pańskim prawnikiem. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pana wydostać na wolność.

– Nie zrobiłem tego – rzekł Ken.

– Właśnie złamał pan pierwszą zasadę. Od tej pory proszę robić to, co panu każe. Zrozumiano?

– Dobrze.

– Gliniarze tak pana urządzili? – Castellina wskazał poobijaną twarz Kena.

– W pewnym sensie. Dwaj policjanci i dziesięcotonowa furgonetka.

– No tak. Wyboista przejażdżka. Nic się na to nie poradzi. – Castellina niemal nie nabierał powietrza. – Policjanci powiedzieli mi, co na pana mają. To za mało, żeby postawić zarzuty. Ale najpierw musi pan przetrwać przesłuchanie. Bez obaw, w mojej obecności nie będą brutalni.

– Często tacy są?

– Brutalni? Jasne. Zazwyczaj wobec ćpunów i ciot. Ale najgorzej mają czarni. Panu nic nie robią. Taki porządny biały chłopak. A więc...

Prawniki przymknęli się, kiedy wrócił Jakes.

– Zdążyliście porozmawiać? Dobrze. – Policjant usiadł po drugiej stronie stołu. – Dlaczego to zrobiłeś, Ken? Czym ci zawiniła?

– Po zasięgnięciu porady prawnej mój klient postanawia skorzystać z prawa do milczenia, zgodnie z piątą poprawką do konstytucji – oświadczył kategorycznym głosem Castellina. – Nie popełnił żadnego przestępstwa.

– To prawda, Ken?

– Po zasięgnięciu porady prawnej mój klient postanawia skorzystać z prawa do milczenia, zgodnie z piątą poprawką do konstytucji.

Wydawało się oczywiste, że nieugiętość jest ulubioną taktyką prawnika i zapewne pozwoliła mu przetrwać setki podobnych przesłuchań. Sytuacja powtarzała się przez kolejną godzinę. W pewnym momencie inny

policjant wszedł i wręczył Jakesowi jakąś wiadomość. Ten uważnie ją przeczytał, po czym oznajmił:

– Rozmawialiśmy z gubernatorem Tookiem. – Nie widać było po nim ani śladu zmęczenia, które już dawało się we znaki Kenowi i jego prawnikowi. – Twierdzi, że prawie cię nie zna, ale często kręciłeś się wokół jego rodziny.

– Po zasięgnięciu porady prawnej mój klient postanawia skorzystać z prawa do milczenia, zgodnie z piątą poprawką do konstytucji. – Nawet głos Castelliny zaczynał słabnąć po wygłoszeniu tych samych słów po raz szesnasty.

Jakes złożył kartkę i schował ją do kieszeni.

– Ty i jego syn. Coś się między wami wydarzyło, prawda? Pokłóciliście się? A co z jego mamą? Próbowaleś się do niej dobierać? Chciałeś, żeby wszystko zostało w rodzinie? Wydawała się łatwym kąskiem?

Ken nie wytrzymał tych oszczerstw.

– Proszę posłuchać, nie miałem nic wspólnego ze śmiercią Olivera i Florence Tooke'ów – wybuchnął.

– Niech pan niczego nie mówi – nakazał mu Castellina.

Ken go zignorował.

– Ktoś mnie wrabia.

Castellina załamał ręce, a Jakes postanowił zadać zabójczy cios.

– Jasne. Dlaczego nie zadzwoniłeś po karetkę, kiedy ją znalazłeś? Tylko się przyglądałeś.

– Chciałem to zrobić, ale wtedy przyszła Coraline. A potem pan się pojawił.

– No tak, tego się nie spodziewałeś. Zabawne, że prawie nie znałeś tej rodziny, a znalazłeś dwoje jej członków martwych. Bez żadnych świadków – dodał Jakes z groźbą w głosie.

– To wcale nie jest zabawne.

– A skoro już ucinamy sobie pogawędkę, to może powiesz mi, co się stało z panem Tookiem? Tym, który nie żyje?

Ken liczył na to, że będzie miał okazję przedstawić swoją wersję wydarzeń. Nie do końca tak to sobie wyobrażał, ale nie było rady.

– Dobrze – odrzekł. – Myślę, że tamtego wieczoru był z kimś umówiony. Gdyby jego gość wszedł do domu, Coraline i ja byśmy go

usłyszeli, więc musieli się spotkać na zewnątrz. Oliver zapewne ufał temu człowiekowi, bo inaczej nie zabrałby go do wieży pisarskiej.

– Oczywiście. To wszystko było częścią planu zamordowania pana Tooke’a, a ofiara brała w tym udział.

– Nie, nie uważam, żeby taki był plan.

– A dlaczego tak nie uważasz?

– Ponieważ wtedy zabójca zrobiłby to w mniej dramatyczny sposób. Na przykład ogłuszył Olivera, gdy byli na łodzi, i zepchnął go do wody, żeby to wyglądało na wypadek. Wątpię, by tak to zaplanował od początku. Podejrzewam, że chodziło o jakieś nieudane negocjacje.

– Negocjacje. – Jakes był o krok od jawnej kpiny.

– Coś w tym rodzaju. Potem ten człowiek zabrał motorówkę i odpłynął. Łódź stała na plaży... pewnie mogłaby tam zdryfować, gdyby Oliver jej nie przywiązał, ale odpływ raczej zabrałby ją w inne miejsce na wybrzeżu.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Jesteś żeglarzem?

– Nie.

– To skąd, do cholery, wiesz tak dobrze, co się dzieje podczas odpływu?

– Nie jestem idiotą. A skoro już rozmawiamy o transporcie, jest jeszcze jedna kwestia.

– Nie wątpię.

– Dzisiaj wieczorem przyjechałem do tego domu taksówką. Kierowca może wam powiedzieć, że dotarłem na miejsce kilka minut... tylko kilka minut... przed panem. Nie zdążyłbym zrobić tego, o co mnie pan podejrzewa. Proszę go odszukać.

– Może odszukamy, a może nie.

Ich klatki piersiowe falowały, jakby toczyli prawdziwą walkę.

Castellina najwyraźniej uznał, że musi interweniować.

– Czy ma pan jakieś dowody łączące pana Kouriana z którymkolwiek z tych dwóch przestępstw? – spytał. – Prawdziwe dowody, a nie puste spekulacje?

– Puste spekulacje, co? – Jakes podszedł do ściany i skrzyżował ręce na piersi. – W tej chwili? Nie.

– W takim razie...

– Ale to, co mamy, wystarczy, żeby cię zatrzymać, póki dokładniej się nie rozejrzemy.

– O czym on mówi? – zwrócił się Ken do prawnika.

Castellina jakby przygał.

– Wsadzicie go do aresztu? – Zerknął kątem oka na zasiniony policzek Kena.

– To najlepszy hotel w Los Angeles. Do tego darmowy. I wiesz co, Ken? Kiedy już znajdziemy dowody, czeka na ciebie komora gazowa.

Słowa detektywa brzmiały jak proroctwo.

Zastukał w drzwi i sierżant zabrał Kena.

Poprowadzono go obok recepcji, gdzie siedziała grupa awanturujących się pijaków, którzy uczestniczyli w barowej bójce, a potem dalej, w głąb posterunku. Posadzki cuchnęły wybielaczem, jakby trzeba je było dezynfekować kilka razy dziennie. Nie docierało tu naturalne światło; wszystko oświetlały osłonięte siatką żarówki, które wyglądały, jakby najlepsze lata miały już za sobą. Od czasu do czasu jeden z krążących komarów dawał za wygraną i lądował na żarówce, żeby się usmażyć.

Sierżant zabrał Kena do pomieszczenia, które było tak jasne, że bolały oczy. Dopiero po chwili Ken uświadomił sobie, że świeci na niego co najmniej tuzin lamp stołowych. Czyjeś ręce wepchnęły go do celi, gdzie opadł na drewnianą ławkę okrytą poplamionym białym prześcieradłem, które cuchnęło ludzkimi odchodami.

Znajdował się w środkowej z trzech cel zajmujących część większej przestrzeni, a kilkunastu policjantów wpatrywało się w niego jak sępy. Jeden z nich, krępy mężczyzna z bujnymi bokobrodami, odezwał się do niego:

– Byłeś tam, gdzie nie powinieneś. – Powiódł wzrokiem wzdłuż krat, jakby widział je pierwszy raz w życiu. – Zwierzęta powinny siedzieć w klatce. – Ken zmarszczył nos. Obok ławki stało wiadro, z którego śmierdziało jak z kanału. – Będziemy cię mieli na oku. Przez całą noc. – Gliniarz przeciągnął pałką po kratkach i odszedł.

Jego kroki odbijały się echem na korytarzu, aż w końcu ucichły, a pozostali funkcjonariusze kolejno wrócili do papierkowej roboty, czytania gazet i dłubania w zębach.

Cisza przed burzą, pomyślał Ken. Gdzie, do cholery, teraz trafi?

– Hej, chłopcze – usłyszał czyjś szept. Zwracał się do niego starszek o potarganych siwych włosach i ciemnej skórze, która wskazywała na to, że miał w sobie nieco indiańskiej krwi. Siedział na identycznej poplamionej ławce, w celi po lewej stronie. – Naprawdę się na ciebie uwzięli! – Rozdziawił usta, ukazując rząd czarnych zębów.

Oparł się o kraty i zaśmiał histerycznie, a jeden z gliniarzy mu zawtórował.

Nikt nie zaproponował Kenowi jedzenia ani picia, a on o nic nie poprosił. Położył się na ławce, próbując nie myśleć, do czego była używana okrywająca ją szmata. „Byłeś tam, gdzie nie powinienes”. Tak powiedział policjant. Czy chodziło mu o dom Tooke’ów tego wieczoru, czy raczej chciał powiedzieć, że komuś nie podobało się, że zaczął węszyć po śmierci Olivera?

Co teraz robiła Coraline? Czy postawią mu jakieś zarzuty? Czy prawnik zdoła wyciągnąć go za kaucją? Mnóstwo pytań i ani jednej odpowiedzi.

Czas się dłużył. W końcu został tylko jeden funkcjonariusz, który cuchnął czosnkiem, co było czuć, gdy spacerował wzdłuż krat, pyszniąc się wolnością, jakby nie miał innych rozrywek. Nie działało tu nawet radio, a stary pryk nie wyglądał na amatora książek. O dziesiątej zgaszono światła. Po dwóch godzinach umysł Kena wreszcie przestał miotać się pomiędzy Anglią, lekarzami, tajemniczymi książkami oraz ludźmi na motorówkach i zmorzył go sen.

Nie był pewien, co go obudziło. Może oddech, który poczuł na twarzy, a może czyjeś dłonie, przytrzymujące go za nadgarstki i kostki. Ale raczej ręka, która przyciskała jego gardło, odcinając dopływ powietrza.

Całe ciało Kena wzdrygnęło się, jakby trafił go piorun. Ale ciężar przytrzymujących go mężczyzn nie pozwolił mu wstać z ławki. Miał otwarte oczy, lecz widział tylko poruszające się nad nim mroczne cienie. Wykręcił szyję i spróbował krzyknąć, zakląć albo wezwać pomoc, ale wtedy wcisnęli mu do ust coś mokrego, o smaku benzyny, co unieruchomiło mu język. Po chwili poczuł uderzenie pięścią w bok głowy. A potem kolejne, w żołądek. Jęknął, ale wilgotna szmata w gardle zagłuszała wszystkie dźwięki. Walczył z całych sił o życie, zdołał uwolnić jedną pięść i trafił nią w miękkie ciało nad sobą. Ktoś wrzasnął jak kopnięty pies, ale napastnicy zaraz znów przyszpilili rękę Kena do ławki.

Nagle coś owinęło się i zacisnęło wokół jego szyi. Było szorstkie i drażniło mu skórę, coraz głębiej się w nią wrzynając. Sznur.

– Byłeś tam, gdzie nie powinieneś. – Szept zabrzmiał donośnie w nieruchomym powietrzu. Ken czuł węzowe sploty zaciskające się na jego szyi. Wkrótce odetną dopływ krwi. To śmierzące podziemie stanie się jego trumną. – Ale niedługo to przestanie mieć znaczenie.

Czuł, jak krew w żyłach opiera się sznurowi, ale jego puls słabł. Mózg pracował coraz wolniej bez tlenu. Świat ciemniał mu przed oczami. Co mógł zrobić? Pozostało mu tylko kilka oddechów, zanim straci przytomność. To jego ostatnia szansa. Czystą siłą woli odzyskał koncentrację. Musiał zmienić zasady gry. Nie mógł mówić ani odeprzeć napastników. Ale mógł ich zbić z tropu. Dlatego nagle przestał się szarpać, zrobił się całkowicie bezwładny i wstrzymał oddech. Opadł na ławkę i zwiesił głowę na bok. Po chwili w zachowaniu mężczyzn zaszła zmiana.

– Co się stało? – spytał któryś z nich cicho. – Dostał zawału czy co?

Ręce się nie cofnęły – policjanci nie byli głupi – ale uścisk nieco zelżał. Po chwili Ken zobaczył nad sobą plamę czerni, przesuwaną się na tle szarości. Usłyszał czyjs oddech tuż przy swojej twarzy. Poczował woń potu i przetrwanego jedzenia. Mężczyzna jeszcze bardziej się przybliżył, nasłuchując jego oddechu. Wtedy Ken z całej siły szarpnął się do przodu i uderzył go czołem w twarz z siłą młota. Rozległ się ryk bólu i gliniarz zatoczył się do tyłu.

– Zabijcie tego...! – wrzasnął.

A potem rozbłysło oślepiające światło, od którego wszyscy się skrzywili.

– Wystarczy – warknął Jakes z progu i odjął rękę od włącznika.

– On tylko... – zawył gliniarz, trzymając się za twarz, jakby to było pęknięte jajko.

– Żadne „tylko” – odparł Jakes. Spojrzenie, które posłał tamtemu, mogło zabić. – Żadne „tylko”.

Pozostali mężczyźni zaburzeli coś pod nosem, splunęli na podłogę i się wycofali. Ken zdarł sznur z szyi. Zawiązano na nim pętlę. Rzucił go pod nogi funkcjonariusza, którego zdzielił głową – krępego mężczyzny z bokobrodami.

– No nic – mruknął gliniarz. – Nie szkodzi. Jak nie teraz, to kiedy indziej.

Chwiejnym krokiem wyszedł z celi, a jego kompani podążyli za nim. Usiedli na swoich miejscach, jakby nic się nie stało.

– Wychodzisz – oznajmił Jakes i wskazał głową korytarz. – Ale jeszcze tu wrócisz. Nie znaleźliśmy tego twojego taksówkarza i coś mi mówi, że go nie znajdziemy.

Ken dźwignął się na nogi. Przyduszenie wywołało u niego zawroty głowy, tak że z trudem szedł przed siebie. Kiedy mijał Jakesa, detektyw ponownie się odezwał:

– Powiedz mi prawdę o tym, co zrobiłeś, bo następnym razem mogę się nie pojawić.

Ken pokręcił głową. Nie było co liczyć na jakiegokolwiek zrozumienie.

Kiedy dotarł do korytarza, jeden z policjantów zawołał za nim:

– Chcesz wnieść oskarżenie?!

Pozostali parsknęli śmiechem.

Gliniarze byli skorumpowani, leniwi, często głupi. Ken wiedział o tym. Ale kiedy wychodził na zewnątrz, wciąż nie mógł uwierzyć, że byli gotowi go zabić. Czy zgłaszanie tego miało jakiś sens? Żadnego. Poskarżenie się ich przełożonym poskutkowałoby jedynie tym, że znalazłby się na szczycie ich listy.

Nie, najlepszym wyjściem było dokończyć to, co zaczął. Ktoś poszczuł go psami. Musiał dowiedzieć się, kto trzyma smycz.

Kiedy dotarł do pensjonatu, czuł się, jakby ktoś spuścił z niego całą krew. Policjanci uznali, że zawartość jego portfela powinna wesprzeć ich fundusz emerytalny, więc musiał wracać pieszo, pośród pijaków i prawdziwych przestępców, którzy nocami zmieniali Los Angeles w swój plac zabaw. Chciał tylko położyć się i zasnąć. Nawet w ubraniu. Na korytarzu zatrzymała go właścicielka, w idealnym makijażu, z różem na policzkach, jakby zaczynał się wieczór, a nie budził ranek. Z jej pokoju dobiegała muzyka, a przez szparę w drzwiach widać było nogi siedzącego tam mężczyzny.

– Panie Kourian, wygląda pan, jakby miał się za chwilę przewrócić – zauważyła.

– To był ciężki dzień, madame Peche.

Na szczęście w słabym świetle nie mogła zobaczyć jego posiniaczonej twarzy. Wyglądał strasznie, a nie miał ochoty się tłumaczyć.

– Pracował pan do późna, a może znalazł sobie jakąś przyjaciółkę? – spytała z błyskiem w oku.

Nie było sensu wyprowadzać jej z błędu.

– Za dużo pracuję.

– Och, jaka szkoda.

Wróciła do swojego pokoju, a on zaczął się wspinać po schodach. Każdy stopień wydawał się bardziej stromy niż poprzedni. Kiedy już chciał wsunąć klucz do zamka, znieruchomiał. Miał wrażenie, że usłyszał w środku jakiś odgłos. Coś przesunęło się po skrzypiącej podłodze. Wyteżył słuch. Cisza. Przekręcił gałkę, ale drzwi były zamknięte na klucz, tak jak powinny. Odprężył się, włożył klucz do zamka i zamierzał go przekręcić, lecz ponownie zamarł. Tym razem dźwięku nie dało się z niczym pomylić: szuranie po drewnie. Otworzył drzwi na oścież i ogarnął wzrokiem cały pokój. Wciąż panował w nim porządek, ale okno było otwarte. Podbiegł do niego i wyjrzał. Początkowo nie zobaczył nic poza okolicznymi budynkami i dachami, na które padał blask ulicznych latarni i światła z domów. Potem popatrzył w dół. Pod jego oknem znajdowała się niewielka dobudówka, gdzie madame Peche trzymała uszkodzone meble, pudła z zimowymi ubraniami i tym podobne rzeczy. Kucał na niej jakiś mężczyzna, próbując wcisnąć się w jeden z kątów. Miał na sobie jasny garnitur i zamszową czapkę z daszkiem, nasuniętą na czoło. Nagle zerknął w górę i pokazał swoją niezwykle zwyczajną twarz – zupełnie jakby wyhodowano go specjalnie po to, by nikt nie był w stanie opisać go policji.

Kiedy zobaczył Kena, doskoczył do krawędzi budynku i opadł na ziemię, a następnie pomknął w stronę głównej ulicy.

Ken przez ułamek sekundy rozważał, czy nie wyskoczyć przez okno i nie pobiec za mężczyzną, ale przy skoku z tej wysokości mógłby złamać sobie kostkę albo skrzyć kark, a nie zamierzał wyświadczać swojemu prześladowcy takiej przysługi. Zamiast tego popędził więc w dół po schodach.

– Panie Kourian, co... – zaczęła oszołomiona właścicielka, kiedy ją mijał.

Wypadł z domu i rozejrzał się na wszystkie strony.

Tam! Po drugiej stronie ulicy szedł pośpiesznie – lecz nie biegł – mężczyzna w jasnoszarym garniturze. Nie miał czapki, ale pewnie ją wyrzucił.

– Hej! – zawołał Ken.

Ruszył biegiem w stronę mężczyzny. Ten także poderwał się do biegu i skręcił w długą uliczkę między wysokimi budynkami. Ken pognał jego śladem; serce bębniło mu niczym wojskowy dobosz.

W uliczce było pełno śmieci i stado szcurów zapiszczało, kiedy nad nimi przeskoczył. Mężczyzna, którego gonił, z pewnością był szybki, ale zamiast dobiec do końca uliczki, zanurkował w bramę opuszczonego drewnianego domu, w przeważającej części przegniłego.

Ken zatrzymał się przed wejściem. Facet mógł być uzbrojony – w Los Angeles obecnie więcej ludzi kupowało broń niż słodycze – a w pobliżu nie było nikogo. Ale wojna dotarła pod jego drzwi, więc Ken nie mógł się wycofać i liczyć na to, że wszystko będzie dobrze.

Stąpił ostrożnie. To był duży budynek – kiedyś mieścił się w nim magazyn albo fabryka. Kawałki szkła pękały pod jego butami. Wszystkie okna były brudne albo wybite, do środka przedostawał się przytłumiony blask ulicznych latarni. Pod ścianą stała jakaś potężna maszyna przykryta płachtą, a po drugiej stronie znajdowały się otwarte drzwi, które zapewne prowadziły na klatkę schodową.

Ken zatrzymał się i wyteżył słuch. Usłyszał coś, co mogło być wiatrem hulającym w zrujnowanym budynku albo oddechem zdyszanego człowieka. Ruszył przed siebie, prawie bezszelestnie. Musiało istnieć co najmniej jedno inne wyjście z budynku, a on chciał złapać tego szcúra w potrzask. Skierował się ku drzwiom w głębi, ale zatrzymał się tuż przed nimi. Jego uwagę przyciągnął cichy szelest, jakby poruszającej się tkaniny. Popatrzył na przykrytą maszynę. Powoli do niej wrócił. Zajmowała powierzchnię siedmiu albo ośmiu jardów kwadratowych i miała ze dwa jarde wysokości. Okrywająca ją brudna płachta była w kilku miejscach podarta. Ken podniósł kamień, taki, jakimi miejscowi chłopcy wybijali szyby. Mógł mu posłużyć jako broń.

Czy jego cel ukrywał się wewnątrz maszyny? Ken chwycił płachtę i szarpnął. Nie chciała się zsunąć. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że coś spada w jego stronę. Został uderzony w skroń ciężkim metalowym narzędziem i runął jak długi na podłogę. Ostry ból przyszpilił go do ziemi. Gdy zelżał na tyle, że Ken zdołał podnieść głowę, napastnik już zniknął mu z oczu.

Ken mógł wstać, ale nie byłby zdolny ruszyć w pogoń. Położył się na tłuczonym szkłe i pozwolił, by zalały go fale bólu.

Przyszło mu do głowy, żeby zgłosić to wszystko Jakesowi, tylko czy detektyw by mu uwierzył? Na pewno nie.

Kiedy wrócił do swojego pokoju, zaciągnął zasłony i odczekał kilka minut, by upewnić się, że nikt nie wparuje do środka, po czym sięgnął pod łóżko. Wyciągnął przedmiot, który przywiązał nicią do środkowej listwy. Był to mały owalny porcelanowy medalion wyłożony wzorzystą macicą perłową, który znalazł w domu na wyspie Ray. W środku były miniaturowe akwarele, namalowane przez Florence. Ostrożnie go otworzył i popatrzył na obrazki domów w Essex i Kalifornii, odwrócone względem siebie.

Florence miała talent. Ken obrócił przedmiot w dłoni, tak że domy zamieniły się miejscami. Ale kiedy to zrobił, usłyszał coś, na co wcześniej nie zwrócił uwagi: ciche tykanie, jakby ktoś uderzał paznokciem w cienki kawałek drewna. Ponownie obrócił medalion i ten dźwięk znów się rozległ. Coś kryło się za jednym z obrazków.

Delikatnie podważył krawędzią łyżki wizerunek domu w Kalifornii. Niczego nie znalazł. Zrobił to samo po drugiej stronie. Tym razem natrafił na coś pod obrazkiem przedstawiającym dom na Ray. To był malutki model konia, wyrzeźbiony z drewna. Miał długość zaledwie pół cala. Taka figurka mogła stanowić część kolekcji dziecięcych zabawek. Konik był owinięty cienkim paskiem papieru. Ken go rozwinął.

Oliverze, mój bracie. Śpij dobrze!
Alexander

Alexander.

Co ciekawe, pismo było kształtne, pochyłe. Nie przypominało bazgrołów czterolatka. To musiała napisać osoba dorosła.

Ken ujął małą figurkę konia między palec wskazujący a kciuk i podniósł ją do światła lampy. Drewno miało czerwonawobrązowy kolor i lekko pachniało dojrzałymi jabłkami. Co Oliver napisał w swojej książce o źrebaku? Ken wyjął egzemplarz z kufra. Tak, źrebakowi skrócono cierpienia, a Simeon zobaczył jego truchło.

– Kulawy od urodzenia. Tak będzie dla niego lepiej – wyjaśnił.

Ken długo wpatrywał się w figurkę. W jej cieniu kryła się prawda o tym, dlaczego umarł Oliver. Ken zaczynał ją dostrzegać.



Rozdział 19

Ken jadł śniadanie, a w tle grało radio, na zmianę nadając piosenki i ostrzeżenia pogodowe. Spodziewano się, że wieczorem nadciągnie tropikalna burza, która przybierała na sile nad oceanem. Nikt nie wiedział, jak będzie poważna, ale z godziny na godzinę prognozy stawały się coraz gorsze. Mieszkańcy mają zabezpieczyć okna przeciwsztormowymi okiennicami. Dzieci powinny zostać w domu, a dorośli wychodzić tylko wtedy, jeśli będzie to absolutnie konieczne. Ludzie z pewnością nie byli zadowoleni.

Jadł tost z dżemem, rozmyślając o tym, że zrezygnował – w pewnym sensie – z pracy. Wiedział, że nie będzie za nią tęsknił, ale żałował, że stracił dostęp do prasowego archiwum. Chciał znów przeczytać artykuły o rodzinnej tragedii Tooke'ów. Nie, musiał je przeczytać.

Odświeżył się i ruszył do biura. Uważał, by nie wpaść na nikogo, z kim pracował, kto mógłby zakwestionować jego obecność w budynku. Udało mu się niepostrzeżenie dostać do środka i zejść do biblioteki.

– Dostarczyliście mi wycinki gazetowe dotyczące pewnego porwania w tysiąc dziewięćset piętnastym roku – powiedział niedożywionemu mężczyźnie w zielonym daszku na głowie.

– Chce pan złożyć reklamację? – Chudzielec siedział przy biurku przed rzędem półek wypchanych dużymi pudłami. – Mamy za mało ludzi. Nie jesteśmy w stanie wszystkiego przesyłać. Jeśli chce pan dostać wycinki z innych gazet, musi pan złożyć zamówienie i czekać.

Ken się ożywił.

- Czyli może ich być więcej?
 - Jasne. Mamy archiwalne egzemplarze „Examinera”, „Press” oraz „Express”.
 - Może mi je pan przynieść?
 - Jak to, wszystkie?
 - To możliwe? Tylko te z tysiąc dziewięćset piętnastego. No, może też z szesnastego.
 - Mam jeszcze inne rzeczy do roboty.
 - Dobrze, sam się tym zajmę.
- Mężczyzna w zielonym daszku wskazał kciukiem regały.
- Miłej zabawy.

Samo znalezienie właściwych tomów zajęło mu sporo czasu. W „Press” i „Examinerze” nie było żadnych nowych informacji, ale „Express” poszedł na całość. Reporter porozmawiał ze wszystkimi osobami, które miały jakiś związek z tą sprawą, a redakcja wracała do tematu przy każdej możliwej okazji. W jednym z artykułów Ken natrafił na znajome nazwisko. Tekst pochodził z 1916 roku i został napisany, gdy rodzina już wróciła z Europy. Na zdjęciu pchali Olivera na wózku w stronę gabinetu, który Ken dobrze rozpoznawał.

Nareszcie dobre wieści dla dotkniętej przez los rodziny Tooke'ów. Po szokującym porwaniu jego młodszego brata Oliver Tooke trafił do gabinetu chirurga Arniego Krigera (reporter zrobił błąd w nazwisku, ale było jasne, o kim pisze). Kriger jest specjalistą od chorób dziecięcych. Jedna z jego pracownic powiedziała nam, że stan chorego na polio chłopca znacznie się poprawił w czasie jego pobytu w Europie i niewykluczone, że wkrótce będzie mógł chodzić, choć nie bez trudności. Wszyscy w redakcji modlimy się, żeby tak było!

Ken zastanawiał się, która pielęgniarka albo recepcjonistka dostała garść pogniecionych banknotów w zamian za tę informację. Zabrał wycinki i wrócił do domu, by przemyśleć, co ta historia oznacza. Nagrał się na automatyczną sekretarkę Coraline, prosząc, by do niego oddzwoniła. Musieli porozmawiać.

Wieczorem rozpętała się burza.

Strumienie deszczu zalewały miasto, wpychały drzewa na ściany, rozbijały szyby. Wszyscy, którzy dali się zaskoczyć na ulicy – osoby, które przegapiły komunikaty radiowe i ostrzeżenia w prasie – kulili się w bramach i szukali jakiejś drogi wyjścia. Kiedy próbowali się nawoływać, prawie się nie słyszeli.

Ken stał w swoim pokoju. Właścicielka wcześniej biegała po pensjonacie, rozdając wszystkim deski, na wypadek gdyby nawałnica roztrzaskała szyby – było już za późno, żeby przybić je od zewnątrz. Kiedy wyłączono prąd, Ken wyszedł na półpiętro i znalazł świeczkę.

Właśnie zastanawiał się, w jaki sposób najlepiej powstrzymać potop, gdy ktoś rozpaczliwie zapukał do drzwi, a potem zaczął szarpać klamkę.

– Kto tam?! – zawołał.

Nikogo się nie spodziewał i miał się na baczności po ostatniej niezapowiedzianej wizycie.

– Coraline.

Odsunął rygiel. Ubranie miała całe przemoczone i woda spływała jej po skórze. Już nie wyglądała elegancko, ale odzyskała naturalne piękno.

– Wejdz – rzucił.

– Nie. Musisz się stąd wynosić. Natychmiast.

Zaniepokoił się. Przeżył już wystarczająco dużo, by wiedzieć, że to nie były czcze słowa.

– Dlaczego?

– Policja. Jakes do mnie zadzwonił. Mają świadka, który ponoć widział, jak przyjeżdżasz do domu razem z moją matką. Spyтали, czy potrafię to wyjaśnić.

– To kłamstwo – warknął. Wciągnął ją do środka i zamknął drzwi. – Powinienem być się tego spodziewać.

– Wiem, że to kłamstwo, ale powiedzieli mi coś jeszcze.

– Co?

– Znaleźli w domu nóż, scyzoryk. Podobno leżał pod jednym z mebli. Miał na ostrzu białe włókna, które mogą pochodzić z takiego samego sznura jak ten, na którym... ją powieszono.

– No cóż... – Już miał powiedzieć, że scyzoryk nie należy do niego, ale nagle coś przyszło mu do głowy. Podszedł do kufra ze swoimi rzeczami i zaczął w nim grzebać.

– Czego szukasz?

Usiadł na łóżku. Teraz już rozumiał, po co ktoś włamał się do jego pokoju.

– Miałem taki nożyk. Używałem go do krojenia jedzenia. Ktoś go zabrał. – Na twarzy Coraline pojawił się cień sceptycyzmu. – Nic nie mów. Wiem, jak to brzmi. Wczoraj w nocy kilku policjantów próbowało mnie zabić.

– Co takiego? – Pomimo wszystkiego, co się wydarzyło, i tak sprawiała wrażenie oszołomionej.

– Może tylko chcieli mnie nastraszyć, bo uderzyłem gliniarza. Nie wiem. W każdym razie przytrzymali mnie w celi i założyli mi pętlę na szyję. Nie było mi wesoło. – Potarł gardło. – Możliwe, że są w czyjejś kieszeni.

– Jak każdy. – Na chwilę zamilkła. – Czy twoje odciski palców mogą być na tym nożu?

– Jest ich tam pełno.

– Musimy uciekać. Natychmiast. Przyjechałam samochodem Olivera.

Wziął płaszcz przeciwdeszczowy i oboje szybko wyszli z pokoju. Starali się nie zwracać na siebie uwagi innych lokatorów, którzy stali z lampami sztormowymi i deskami w dłoniach. Madame Peche, która niosła naręczce przemoczonej pościeli, zatrzymała go na schodach.

– Panie Kourian, chyba nie zamierza pan wyjść w taką pogodę?

– Nie mam wyboru.

Popatrzyła na Coraline i uniosła brew.

– No tak. Kiedy pan wróci wieczorem, drzwi będą zamknięte. Jeśli pan wróci.

– Rozumiem.

Wyszli na ulewny deszcz. Lodowata woda lała się z czarnych chmur, które zasnuwały niebo nad Los Angeles. Nigdzie nie było prądu, a jedynym źródłem światła były latarnie gazowe oraz błyskawice.

– Nie ma prądu – zauważyła Coraline.

– Pewnie padły linie wysokiego napięcia. Kiedy tak się dzieje, wysiada prąd w całym mieście! – odrzyknął. – Gdzie masz samochód?

Wskazała na drugą stronę ulicy. Cadillac stał przed sklepem monopolowym. Coraline poślizgnęła się w rwącym strumieniu na chodniku i Ken w ostatniej chwili ją podtrzymał.

Zatrzasnęli się w samochodzie w tej samej chwili, gdy przez ulicę przeleciała niesiona wiatrem gałąź, a tuż za nią różne śmieci: gazeta, jakieś

opakowanie, billboard, który już nigdy nie miał nikogo przekonać do kupna proszku do mycia zębów Johnson & Johnson.

Coraline uruchomiła silnik. Zapewne wciąż był rozgrzany, ale bali się, że ulegnie zalaniu.

Ken sięgnął do kieszeni i wyjął porcelanowy medalion.

– Pamiętasz? Zabraliśmy go z domu w Essex.

– Oczywiście. To akwarele mojej matki. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego Oliver chciał je zostawić w ruinach. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego ktokolwiek chciałby się tam znaleźć.

Ken otworzył medalion i wyjął obraz domu na posępnej wyspie Ray. Pod spodem leżał miniaturowy konik. Podniósł go do światła.

– Myślę, że to ma coś wspólnego z tym przedmiotem. Znalazłem go wczoraj wieczorem. Początkowo myślałem, że to koń.

– A tak nie jest?

– Niezupełnie, to żrebak. – Nie pokazał jej papierka, którym był owinięty model. Papierka z napisem: *Oliverze, mój bracie. Śpij dobrze! Alexander.*

– Na czym polega różnica?

– W książce Olivera pojawia się żrebak, który zdycha. Przypomniałem sobie o tym, dopiero gdy to znalazłem. Kiedy czyta się opowieść, ten fragment wydaje się nieistotny, ale teraz zaczynam rozumieć, co on oznacza. Oliver był sprytny. W jego książce kryje się wiele subtelnych wiadomości. Niektóre jednak są tak subtelne, że mogą je zrozumieć wyłącznie osoby, dla których są przeznaczone.

– Wyjaśnij mi tę – poprosiła Coraline.

– Najpierw trzeba dowiedzieć się jeszcze jednej rzeczy, ale zrobimy to jutro. Na razie musimy się ukryć.

Włączyli się do ruchu. Metanowe latarnie uliczne pozwalały im widzieć drogę, lecz zalewająca asfalt, głęboka na sześć cali woda ich spowalniała. Mijali zamknięte, targane wiatrem restauracje i sklepy, ale kilka ulic dalej Coraline zaczęła się oglądać przez ramię.

– O co chodzi? – spytał Ken, chociaż się domyślał.

– Dziś wieczorem na ulice wyjechało tylko kilka samochodów – odrzekła. – Mam wrażenie, że ten, który za nami jedzie, wcześniej stał przed twoim pensjonatem.

Obrócił się i zobaczył ciemnozielonego sedana desoto. Ktoś dybał na jego życie, to nie ulegało wątpliwości. Może to był policjant albo tamten

facet z pospolitą gębą, w szarym garniturze.

– Jesteś pewna?

– Nie.

Ken mimo wszystko bacznie obserwował samochód przez kolejne dwie przecznice. Kiedy Coraline ostro i niespodziewanie skręciła, zalewając chodnik falą brudnej wody, kierowca sedana nie podążył za nimi. Może udało im się go zgubić, a może tylko wyobrazili sobie jakieś nieistniejące zagrożenie.

– Uciekamy dalej – rzuciła Coraline.

– Posłuchaj, kimkolwiek oni są, chcą dopaść mnie, a nie ciebie. Mogę się stąd wydostać. Znajdę sposób. Będiesz bezpieczniejsza.

Skręciła i wcisnęła gaz.

– Wątpię.

Jechali, chłostani wiatrem. Drewniane płotki wzlatywały w powietrze i z trzaskiem spadały na ziemię. Zaparkowane samochody kołysały się na kołach, a odsłonięte szyby rozpadały się na kawałki.

– Powinniśmy gdzieś się zatrzymać – powiedział. – Skręć teraz w prawo. Jest tam kilka tanich hoteli.

– Cudownie – prychnęła.

Skręcili i pokonali jeszcze kilka przecznic, aż w końcu dotarli do paru hoteli, których nazwy obiecywały urojone luksusy: Królewski, Shangri-La, Excelsior. Zazwyczaj jasno oświetlone, teraz, gdy nie było prądu, wyglądały jak cmentarze.

Zatrzymali się przed jednym z nich, który chwalił się parkingiem. Był to wąski ceglany budynek z niedokończonymi schodami przeciwpożarowymi. Nie wiadomo było, czy dopiero ma się otworzyć, czy może już się zamknął, ale postanowili zaryzykować.

W recepcji, słabo oświetlonej lampą naftową, mężczyzna spał na materacu. Miał na nosie druciane okulary. Ken trzepnął dłonią w dzwonek i nocny recepcjonista, który cuchnął tanią whisky, podniósł się z jękiem.

– Dolar pięćdziesiąt za noc. Dodatkowa dopłata za ciepłą wodę. Proszę tu podpisać – wymamrotał. – Macie samochód?

– Nie.

Recepcjonista mógłby wyjść i spisać numer rejestracyjny.

– Dobrze. Gotówka z góry.

Ken wręczył mu pieniądze. Mężczyzna albo nie zauważył, że nie mają bagaży, albo go to nie obchodziło. Podał im brudną lampę i wspięli się po

schodach do swojego pokoju.

Była to klitka bez żadnych zabezpieczeń przeciwpożarowych. Na łóżku leżały tylko dwa prześcieradła.

– Co o tym myślisz, Ken?

Jej włosy ociekały wodą, małe krople spadały na podłogę. Płomień lampy oświetlał jej oczy w taki sposób, że odbijał się w nich cały pokój. Ken podszedł do niej i nie bacząc na nic, przyciągnął ją do siebie, po czym mocno przywarł ustami do jej warg. Była ciepła i uległa, ale po chwili odsunęła się i otarła usta rękawem.

– Przepraszam – powiedział.

– Nie musisz – rzuciła szybko. – Gdyby to było w innym momencie...

– Wiem. Rozumiem wszystko.

– Widocznie po prostu mam pecha.

– Oboje go mamy – odrzekł i wbił wzrok w ciemność.

Ken już odpływał w sen, gdy nagle usłyszał nowy głos, dobiegający z recepcji.

– Cześć, Mick.

– Cześć – odpowiedział nocny recepcjonista.

– Ktoś do nas zadzwonił. Szukamy pewnej pary. Po dwadzieścia kilka lat. Eleganci. Mogą poruszać się autem. Ktoś tu był w ciągu ostatnich kilku godzin?

Ken gwałtownie usiadł.

– Spałem przez ostatnie kilka godzin.

– Naprawdę?

– Tak.

Zapadła cisza.

– No nic, daj znać, jeśli się pojawią.

– Jest jakaś nagroda?

– Nagroda? Pewnie, że jest. W nagrodę nie zamkniemy twojej budy.

Głosy umilkły. Potem Ken usłyszał skrzypienie schodów. Ktoś szedł na górę. Zerwał się na nogi. Okna były zakratowane, więc nie mógł uciec. Kroki zatrzymały się przed drzwiami. Ken z zapartym tchem czekał, że zaraz do pokoju wpadnie policjant. Ale rozległ się głos recepcjonisty:

– Spierdalajcie stąd. Nie widziałem was.

Potem schody znów zaskrzypiały – recepcjonista wrócił na swój posterunek.

Ken włożył kurtkę. Oddali klucz, pobiegli do samochodu i pojechali przez brudną rzekę, która płynęła ulicami Los Angeles. Znaleźli zaciemniony pusty parking i spędzili tam kilka godzin, skuleni z zimna na tylnym siedzeniu. Recepcjonista zatrzymał ich pieniądze.



Rozdział 20

Wichura szalała przez całą noc, a rano nie przyniósł poprawy. Tropikalna burza – która według podekscytowanego prezentera radiowego mogła się wkrótce zmienić w huragan – zasnuła całe niebo ciemnoszarymi chmurami i zalała miasto ulewnym deszczem. Chociaż nastał świt, wokół panował półmrok, a nieliczne samochody, które przemierzały ulice, miały zapalone światła i wyglądały jak upiorne owady. Ulicą płynęła głęboka błotnista woda. Ken zaparkował w miejscu, z którego widział ich cel.

– Jak długo będziemy musieli czekać? – spytała Coraline.

– Dopóki się tu nie pojawi.

Zapaliła papierosa. Wiatr porywał dym od razu, gdy tylko ten docierał do uchylonego okna samochodu.

Bez namysłu przysunęli się do siebie, żeby się ogrzać. Nie było widać słońca, ale zegarki mówiły im, że musi być nad ich głowami.

– Jest. – Ken wskazał przez przednią szybę.

Padający deszcz rozmywał obraz. Coraline pokiwała głową. Na jej twarzy odcisnęły się przejścia ostatniej nocy.

Ken wysiadł z samochodu i zaczekał, aż mężczyzna po drugiej stronie ulicy otworzy drzwi swojego gabinetu. Wtedy puścił się biegiem, wpadł za nim do środka, wepchnął go do szerokiego korytarza i zatrzasnął za sobą drzwi.

– Co pan...

Ken uciszył go pięścią. Lekarz pisnął z bólu i uderzył plecami o ścianę.

– Cisza – ostrzegł go Ken. Kruger uniósł dłoń na znak, że się poddaje. – Chcę poznać prawdę o rodzinie Tooke’ów.

– Co... co mogę panu powiedzieć?

– Matka. W jakim była stanie psychicznym po tym, jak uprowadzono jej syna?

Lekarz zaczął się jąkać, jakby nie potrafił znaleźć właściwych słów.

– Nie jestem specjalistą od chorób umysłu.

– To niech pan, kurwa, zgaduje. – Ken ponownie uniósł pięść.

– Już dobrze! – zawołał Kruger błagalnym tonem. – Była zrozpaczona.

To zrozumiałe. W końcu zniknął jej syn.

– Zżerało ją poczucie winy, doktorze. Dobrze pan wie dlaczego. Wie pan, co zrobiła.

– Nie wiem – zaprotestował.

Ken chwycił go za koszulę i przyszpilił do ściany.

– A chłopcy? Jak oni się czuli?

Kruger z wyraźną ulgą przyjął zmianę tematu.

– Alexander... był zdrowy. Oliver zdradzał ostre objawy *poliomyelitis*.

– Jakie były wobec niego prognozy?

– Jakie to ma znaczenie?! – wykrzyknął Kruger.

– Niech pan odpowie.

Kruger ponownie uniósł ręce w geście uległości i przekonująco udał, że z trudem przypomina sobie fakty sprzed dwudziestu pięciu lat.

– Miał być kaleką do końca życia.

– Jakie leczenie pan zaproponował?

Lekarz nerwowo zamrugał. Ale to było sedno sprawy. W tym miejscu wszystko się popsuło: dla Olivera, Alexandra, Coraline i Kena.

Ken wolał wydusić z Krugera ostatni oddech, niż mu pozwolić, by zataił prawdę.

– Niech pan odpowie albo skręcę panu kark na dziesięć sposobów.

Kilka minut później Ken wyszedł z budynku. Udał się do budki telefonicznej na końcu ulicy i wybrał numer. Gdy Jakes odebrał, Ken opowiedział mu całą historię.

– Książka Olivera – rzucił, wróciwszy do cadillaca. – Wszystko tam jest, jeśli wie się, gdzie szukać.

– To znaczy co?

- Wszystko.
- Dokąd jedziemy?
- Wracamy do twojego domu.

Uruchomił silnik i wyjechał na zalaną ulicę. Z boku samochodu wystrzeliła w górę fala. Miasto tonęło, oświetlane bursztynowym blaskiem gazowych latarni ulicznych.

– Ktoś za nami jedzie – powiedziała Coraline, tak cicho, że jej głos prawie zagubił się pośród deszczu.

- Ten sam samochód?
- Tak.

Zerknął w lusterko i zobaczył ciemnozielone desoto. Tym razem na ulicy było wystarczająco jasno, by mógł dostrzec mężczyznę za kierownicą. Miał twarz osłoniętą szalem, ale Ken wiedział, kto to jest.

– Myślałem, że zniknął – mruknął pod nosem. – Przekonamy się, jakim jest kierowcą.

– Trzyma się nas – zauważyła Coraline, oglądając się przez ramię. Ken obrócił kierownicę i wszedł w zakręt tak ostro, że dwa koła cadillaca uniosły się w powietrze na kilkanaście cali, po czym gwałtownie opadły, aż wstrząsnęło całym samochodem. Cadillac miał mocniejszy silnik od desoto i szybko zaczął zwiększać dystans, ale trudne warunki nie pozwalały mu rozwinąć pełnej prędkości i drugie auto znów zaczęło się zbliżać. – Czego on chce?

- Nas.

Zielony samochód nagle przyśpieszył, wystrzelił naprzód i uderzył przednim zderzakiem w tył cadillaca, tak że Ken stracił na chwilę panowanie nad pojazdem.

- Co on robi? – spytała Coraline.
- Próbuje nas zepchnąć z drogi.

Samochód ponownie ich dogonił i staranował, jednak tym razem zderzaki szarpały się ze sobą i auta zmieniły się w jedną wielką maszynę. Ken na zmianę wciskał i puszczał gaz, lecz cadillac ciągnął za sobą potężny ciężar. Ken kręcił na boki kierownicą, próbując się uwolnić, ale na próżno. Zbliżali się do skrzyżowania.

Kiedy uczył się jeździć konno, dowiedział się, że podczas skręcania należy się przechylić i spaść wierzchowca piętami, żeby ten przyśpieszył. W przeciwnym razie koń zrzuci jeźdźca. Podobnie było z samochodami. Zakręty wymagały przyśpieszenia, więc kiedy dotarli do skrzyżowania,

wcisnął pedał do oporu. Silnik zawył, ale desoto wciąż ich spowalniało. Ken ponownie dodał gazu, o mało nie przebijając stopą podłogi. A potem w ostatniej chwili skręcił kierownicę w prawo.

Rozległ się huk i odgłos rozrywanego metalu i cadillac wystrzelił do przodu. Wskazówka prędkościomierza przekroczyła pięćdziesiąt mil na godzinę. Kiedy Ken się obejrzał, zobaczył, że ścigający ich samochód wiruje, odrzucony siłą odśrodkową. Sunął po mokrym asfalcie prosto ku nadjeżdżającym pojazdom. Inni kierowcy zaczęli hamować, ale desoto wpadło w poślizg. A potem dwa jego koła jednocześnie uderzyły o krawężnik i samochód wyskoczył na jard w powietrze, uderzył w latarnię, tak że złamała się na pół jak gałązka, po czym opadł bokiem na chodnik.

Ken zdjął nogę z gazu i wdusił hamulec. Opony piszczwały, zostawiając smugi na asfalcie, i cadillac zatrzymał się około dwudziestu jardów dalej. Ken wyskoczył z samochodu, otworzył bagażnik i wyjął ze skrzynki z narzędziami ciężki klucz francuski. Unosząc go wysoko, pobiegł w stronę przewróconego auta. Dwadzieścia jardów, piętnaście, dziesięć. Potrzebował tylko kilku sekund, by pokonać tę odległość. Kiedy się zbliżył, zobaczył kierowcę przez dziurę ziejącą w miejscu przedniej szyby. Mężczyzna miał krew na twarzy i przez chwilę Ken nie wiedział, czy żyje. Ze złamanej latarni ulatywał gaz, tak że powietrze cuchnęło gnijącym jedzeniem.

Mężczyzna leżał bezwładnie na dwóch siedzeniach.

– Kim jesteś?! – zawołał Ken i zerwał szal z jego twarzy. Zakrwawione usta próbowały coś powiedzieć, ale zamknęły się bezgłośnie. – Mów! – Uniósł klucz, z wyraźną groźbą, że zada ofierze jeszcze gorszy ból, jeśli nie pozna odpowiedzi.

Mężczyzna zmrużył oczy. Wyciągnął rękę w stronę Kena i pchnął drzwi. Były uchylone, a ich dolna część oderwała się podczas wypadku i zostały tylko kawałki poskręcane metalu. Drzwi nie chciały się otworzyć do końca, a nierówne krawędzie szorowały o siebie ze zgrzytem. Kierowca znów napał na drzwi i wtedy spomiędzy dwóch pasków metalu strzeliły iskry, osłonięte przed wiatrem przez karoserię.

Ken upuścił klucz i cofnął się o krok. Widział, że zagrożeniem nie jest kierowca. Kolejna fontanna iskier załatwiła sprawę. Gaz w powietrzu zapłonął i Ken padł na ziemię, gdy kula ognia o średnicy pięciu jardów ogarnęła samochód. Gdyby słońce spadło z nieba, nie byłoby tak jasne. Ken poczuł podmuch rozpalonego powietrza, a kiedy podniósł głowę, zobaczył, jak słup ognia z latarni wnosi się na trzy jardy w ciemne burzowe niebo.

Położył głowę na asfalcie. Mężczyzna w samochodzie już nie stanowił zagrożenia. Ken poczuł ciepłą krew. Skaleczył się w policzek. Miał wrażenie, że cały świat na chwilę zapadł się w sobie. Mógł tylko chrapliwie wciągać powietrze.

– Nic panu nie jest?

To była jakaś kobieta w kapeluszu na głowie.

– Czy trafił pana ten... ten... – Szukała właściwych słów, by opisać to, co właśnie widziała.

– Nie – odpowiedział cicho, czując rżenie w płucach. – Nie trafił mnie.

Otarł twarz rękawem, rozsmarowując na niej popiół. Powlókł się do cadillaca. Zobaczył Coraline, wyraźnie wstrząśniętą.

– To on zabił Olivera i mamę? – spytała.

– Pewnie tak.

– Nas też próbował zabić?

– Teraz to już bez znaczenia.



Rozdział 21

Samochód wjechał za żelazną bramę Domu Klepsydry. Przez przezroczyście ściany widać było sztorm szalejący na oceanie.

Carmen otworzyła drzwi, a potem skuliła się, pewnie przypomniawszy sobie ich ostatnią rozmowę, podczas której wyjawiała głęboko skrywane tajemnice.

– Gdzie jest mój ojciec? – spytała Coraline.

– W bibliotece, panienko. Ale właśnie udziela wywiadu dla radia i...

Zignorowali ostrzeżenie i weszli na górę. Gubernator Tooke siedział na wysokim fotelu obitym czerwonym aksamitem, a przed nim stał mikrofon i sprzęt do nagrywania. Młody prezenter trzymał własny mikrofon.

– ...radio KQW, rozmawiamy z gubernatorem Oliverem Tookiem, faworytem Partii Republikańskiej do uzyskania nominacji na prezydenta. Panie gubernatorze, wokół nas szaleje burza, ale przed Ameryką roztacza się świetlana przyszłość, czyż nie?

– No cóż, panie Willett, można tak powiedzieć. A to dlatego...

– Ojczy, musimy z tobą porozmawiać. – Coraline spojrzała mu prosto w oczy.

– Moja droga, właśnie rozmawiam z...

– Chodzi o Olivera. Oraz Alexa.

Tooke popatrzył na nią jak na skorpioną.

– Proszę pana, czy możemy... – zaczął radiowiec.

– Sądzę, że muszę porozmawiać z córką.

Prezenter wydawał się niezadowolony z sytuacji, ale posłusznie opuścił pokój.

Coraline podeszła do okna, wyjęła z torebki paczkę papierosów, zapaliła ostatniego i wyjrzała na zewnątrz. Gubernator zwrócił wzrok na Kena.

Pokonali ponurą i wyboistą drogę. Ken rozpoczął tę podróż u boku przyjaciela, któremu potem odebrano życie. A wszystko zaczęło się od pechowego losu pewnego chłopca.

Ken usiadł na krześle prezentera.

– Czeka nas trudna rozmowa, panie Kourian. Nie uważa pan?

– Rzeczywiście.

– Cóż, trochę późno, ale prawda musi wyjść na jaw. Napije się pan czegoś?

– Czy się napiję? Nie, dziękuję, panie gubernatorze.

– Jeszcze wcześniej, ale ja chyba się skuszę.

Tooke podszedł do dużego globusa i podniósł jego górną połowę, odsłaniając lśniące butelki. Wyjął dwie i postawił na stoliku, ale żadnej nie otworzył. Wydawał się niezdecydowany i pewnie źle się z tym czuł. W końcu wrócił na miejsce bez żadnego trunku.

Od czego powinni zacząć?

Ken postanowił zacząć od opowieści.

– Przeczytałem ostatnią książkę Olivera. Osobliwa lektura. Naprawdę wyjątkowa.

– Mój syn był rozczar...

Ken mu przerwał.

– Pana syn był bardzo bystry, ot co. Musiałem naprawdę zagłębić się w jego książkę.

– Więc niech mnie pan oświeci – odrzekł gubernator Oliver Tooke, znów wyraźnie niezadowolony.

Zerknął na córkę. Wytrzymała jego spojrzenie.

– Chętnie. W istocie jest to opowieść o tożsamości. O byciu dwiema osobami jednocześnie. O nieświadomości tego, kim się jest. A także o chromym źrebaku, którego zabito w stajni. – Te szczegóły powinny być Kenowi wystarczyć, ale prawda okazała się tak niezwykła, że wręcz niewyobrażalna. Zamilkł i wyjrzał przez okno. Miał wrażenie, że po szybach ścieka deszcz z Essex. W końcu już nie mógł dłużej zwlekać. – Dlaczego pan to zrobił?

– Dlaczego co zrobiłem? – Tooke miał zaciśnięte szczęki.

Dym z papierosa Coraline snuł się między książkami. Wydawało się, że ostre słowa i potępienie rodzą się nie w tym pokoju, ale na zewnątrz, pośród ulewnego deszczu.

– Panie Tooke, wiele przeszedłem. Mam już tego serdecznie dosyć. Kazał pan swojemu człowiekowi zabić pana kalekiego starszego syna. Potem pana drugi syn zajął jego miejsce, a pan przez dwadzieścia pięć lat przekonywał świat, że to on jest starszym z braci. Dlaczego?

Tooke wrócił do stolika z trunkami. Wziął do ręki butelkę słomkowej whisky i rozlał połowę jej zawartości do dwóch kryształowych szklanek. Podał jedną Kenowi, ale ten odmówił.

– No cóż... – Gubernator westchnął i odstawił szklanę. – Nadszedł czas. – Opadł na wysoki fotel i pociągnął długi łyk. Taka ilość wystarczyłaby, żeby w mgnieniu oka odurzyć większość ludzi. – Dlaczego, dlaczego, dlaczego. – Wycelował w Kena kościsty środkowy palec. – Wie pan co? Czasy się zmieniają, oto dlaczego. Kiedyś prezydenta wybierali ludzie na jego poziomie, którzy widzieli, co jest najlepsze dla kraju. Ludzie, którzy potrafili czytać, pisać i myśleć. Rozumieli tajniki handlu oraz prawa i wiedzieli, jakie prawa powinien mieć człowiek. Ale to się zmieniło. – Wyglądało na to, że naprawdę wierzy w to, co mówi. Był całkowicie przekonany o słuszności swoich poglądów. – Teraz prawo głosu ma każdy mężczyzna i każda kobieta, którzy potrafią postawić krzyżyk na karcie, a zwycięża ten, kto najlepiej się prezentuje w kronice filmowej i najpiękniej przemawia w radiu. Nie wybiera się ludzi na podstawie inteligencji ani zdolności, tylko robi się przesłuchanie, jak do tych filmów, w których koniecznie chce pan występować. A to niebezpieczna dla kraju sytuacja.

– Czyżby?

– Oczywiście. – Tooke niemal się roześmiał. Był w swoim żywiole. – Ale ja coś sobą reprezentuję. Chcę ulepszyć ten kraj dla dobra jego obywateli. – Splótł dłonie, by zilustrować zjednoczone społeczeństwo. – A naród jest tylko tak potężny jak tworzący go ludzie, więc musimy uczynić ich silniejszymi. Wzmocnić ich umysły i ciała. – Ken wyobraził sobie, jak Kruger wchodzi do siedziby Amerykańskiego Stowarzyszenia Eugenicznego. W tym budynku było pełno takich, którzy myśleli jak gubernator Tooke, a niedawne wydarzenia w dalekich Niemczech zachęciły ich, by otwarcie domagać się tego, w co wierzyli. – Nie zamierzam być

hipokrytą. Nic z tego. Dlatego musiałem postąpić zgodnie ze swoimi przekonaniem. – Wypił kolejny łyk.

– A więc?

– A więc... – Na chwilę pogрузzył się w myślach. – A więc kazałem zabrać swojego kochanego syna i pozwoliłem, żeby młodszy zajął jego miejsce i przyjął jego imię. – To było gorzkie zwycięstwo. Słowa Tooke'a na chwilę zawisły w powietrzu. Ken słyszał ich echo. – Tak jak Abraham poświęciłem syna. Alexander wkrótce uwierzył, że jest Oliverem. Miał cztery latka, w tym wieku dziecko może błyskawicznie uwierzyć we wszystko. Zapomniał, że kiedykolwiek nazywaliśmy go inaczej. – Zakręcił trunkiem w szklance. – Może w głębi jego umysłu pozostał jakiś okruch dawnych wspomnień, tego nie wiem.

Burza atakowała ściany domu i tylko jej odgłosy było słychać w pokoju. Dopóki nie odezwała się Coraline. Ken widział, że wypełniała ją zimna nienawiść.

– Zawsze byłeś taki pewny siebie, ojczy. Pewny swojej moralności. Wręcz promieniowała z ciebie. – Podeszła do stolika z trunkami, wzięła odstawioną tam szklankę z whisky i nie oglądając się na nikogo, opróżniła ją do połowy.

– Czy to Kruger go zabrał? – spytał Ken.

– Tak było dla niego najlepiej.

– Skąd to panu przyszło do głowy? – Ken nie mógł uwierzyć, że siedzą tutaj i rozmawiają o zabójstwie dziecka, a Tooke mówi o tym jak o nieprzyjemnym obowiązku.

– Życie kaleki to nie życie. – Tooke obrócił szklankę w palcach. – Chciałby pan, żeby ludzie musieli pana wszędzie wozić? Ubierać? Odprowadzać do ubikacji? Chciałby pan patrzeć, jak pana brat biega po boisku sportowym, na którym pan nigdy nie postawi nogi? – Najwyraźniej wierzył w każde swoje słowo.

– A co z mamą?

Tooke zerknął na Coraline.

– Oczywiście tego nie chciała. Musiałem ją bardzo mocno przekonywać.

– Postradała od tego rozum.

– Zrobiłem dla niej wszystko, co mogłem. Umieściłem ją gdzieś, gdzie dobrze się nią zaopiekowano. Odwiedzałem ją, kiedy tylko miałem czas.

Ken po raz pierwszy usłyszał w jego głosie cień wstydu. Gubernator uniósł szklankę do ust, po czym postawił ją na stole, ale zachwiała się i przewróciła. Nie próbował jej podnieść.

– Chryste – szepnęła Coraline.

– Po co te wszystkie oszustwa? – spytał Ken.

– Co pan ma na myśli?

Ken czuł się paskudnie, zadając kolejne pytanie, jakby liczył się dla niego przede wszystkim mechanizm działania gubernatora, a nie skutki jego czynów.

– Kiedy Kruger zabrał chłopca, dlaczego pan udawał, że porwano młodszego syna? Dlaczego nie powiedział pan po prostu, że uprowadzono dziecko chore na polio?

Wiatr przybierał na sile. Deszcz bębnił w okno, wprawiając szybę w drżenie, grożąc, że zaraz się przez nią przebije.

– Niech pan sam mi powie, panie Kourian.

Ken zastanawiał się nad tym od kilku godzin. Tylko jedna odpowiedź miała sens.

– Ponieważ pana poglądy na eugenikę były powszechnie znane. Gdyby kaleki syn zniknął w dziwnych okolicznościach, padłoby podejrzenie na pana. Nawet gdyby niczego nie udało się udowodnić, byłby to koniec pańskiej politycznej kariery. Ale w ten sposób... w ten sposób wzbudził pan w ludziach współczucie. – Gubernator milczał. Kenowi trudno było znieść myśl, że to rzeczywiście prawda. Właśnie dlatego jego przyjaciel, Oliver, mówił o poczuciu winy, które w sobie nosił: jego życie było nieodłącznie związane ze śmiercią brata. – Ale wszystko się zmieniło, kiedy zobaczył pan książkę Olivera. Przeczytał ją pan i zrozumiał, że syn odnalazł matkę i wszystkiego się domyślił. Tak było?

Tooke odpowiedział dopiero po chwili.

– Tak naprawdę nie całkiem ma pan rację.

– Nie?

– Nie do końca. Pomimo całego sprytu kilka niuansów panu umyka.

– Jakich niuansów?

Gubernator prychnął pogardliwie.

– Mój syn. Ostatnia szansa na przedłużenie naszego rodu, a on okazał się nie lepszy niż te cioty, z którymi się prowadził. – Odwrócił wzrok, jakby szukał wyjaśnienia, dlaczego jego dziecko okazało się takim rozczarowaniem. – A potem, kiedy już dowiedział się tego, czego się

dowiedział, i zebrał się na odwagę, by stawić mi czoło, co zrobił? Przedobrzył. Za wysoko zalicytował.

– O czym pan mówi, do diabła?

Tooke zmierzył Kena takim wzrokiem, jakby szacował wartość zwierzęcia.

– Mówię o tym, panie Kourian, że mój syn mięczak mi groził.

– W jaki sposób?

Błada dłoń gubernatora sięgnęła do szuflady biurka i wysunęła ją z piskiem. Tooke pokazał Kenowi egzemplarz *Klepsydry*, a potem odrzucił go na bok, jakby książka była skażona.

– Powiedział, że to dopiero namiastka tego, co się stanie. Zamierzał donieść o wszystkim policji, kiedy będę się ubiegał o prezydenturę. – Celował w Kena palcem wskazującym, a w jego głosie coraz wyraźniej pobrzmiwał gniew. – Sądził, że zobaczy mnie w kajdankach. Teraz! Kiedy miałem uratować ten naród przed wyniszczającą wojną z przyjaznym i godnym podziwu krajem. Nie mogłem na to pozwolić.

Deszcz obmywał szybę.

– A więc wysłał pan człowieka, który miał go nastraszyć i zmusić do milczenia, ale sprawy wymknęły się spod kontroli. Może Oliver się bronił, w każdym razie stracił życie.

Gubernator sięgnął po przewróconą szklanę, ale tylko musnął ją opuszkami palców; stoczyła się z blatu, spadła na podłogę i roztrzaskała na sto kawałków.

– Kogo pan posłał? – spytał Ken.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – Złość wyparowała z głosu Tooke'a.

– Pewnie nie. Chyba dzisiaj go spotkałem.

– I co?

– Więcej go pan nie zobaczy.

– Rozumiem. – Gubernator popatrzył na rozbitą szklanę. – Jego rodzina dla nas pracowała. Jego babka nawet pojawiła się w książce Olivera. Jako gospodyni. Zawsze byli lojalni, a ja starałem się, by tak pozostało. – Nagle coś przyszło mu do głowy. – Co prawda to nie jest takie ważne, ale co pan zrobił z Krugerem?

Gwałtowny podmuch wiatru wstrząsnął oknem. W narożniku szyby pojawiła się pajęczyna pęknięć i woda zaczęła przesączać się do środka.

– Zadzwoiłem do znajomego policjanta – oznajmił Ken.

– Przyjadą tutaj?

– Tak.

Gubernator westchnął ze znużeniem, jakby nie spał od miesiący. Zegar w kącie pokoju przeskoczył na kolejną minutę.

– Dziadek by cię utopił, gdyby wiedział, co zamierzasz – odezwała się Coraline.

– Czyżby, panienko? – rzucił Tooke z goryczą. – Otóż bardzo się mylisz. Wiesz, kto tak naprawdę stoi za tym, co zrobiłem?

– Powiedz.

– Twój dziadek we własnej osobie.

Ken był zaszokowany.

– Simeon?

– Wiem, co Oliver napisał o naszej małej rodzinnej intrydze z zeszłego stulecia – ciągnął Tooke. – Ale niech pan zada sobie następujące pytanie: skąd znał tę opowieść? Oczywiście od mojego taty. A czy pan myśli, że staruszek mówił samą prawdę o tym, co się wydarzyło? Na pewno nie. Szczerze wątpię. Czytał pan tę historię. Wierzy pan w nią? Kobieta biegająca po Londynie niczym jeździec znikąd i starzec, który wszystkie swoje doczesne dobra zostawia w spadku jakiemuś prawie nieznanemu chłopcu? Czy to nie wydaje się panu naciągane? O nie. Mój ojciec potrzebował pieniędzy na swoje badania nad cholera i oto spadł mu z nieba doskonały sposób na ich zdobycie. Wystarczyło kilka dni specjalnej terapii i spadek należał do niego. A wtedy kto mógłby zakwestionować jego wersję?

Ken miał mętlik w głowie. Książka, ze wszystkimi zawołowanymi informacjami, była dla niego skarbnicą prawdy. Ale czy słusznie? Może należało przekopać się przez kolejną warstwę kłamstw.

Tooke spokojnie mówił dalej:

– Zatem widzi pan, panie Kourian, że to, co mój ojciec robił w tym domu przede mną, było dla mnie inspiracją. Ponieważ dobrzy ludzie robią to, co trzeba, niezależnie od opinii innych. Tak jak mój ojciec, tak jak Abraham.

Ken przez chwilę mu się przyglądał. Światło w oczach tego człowieka zaczynało przygasać. W końcu się odezwał.

– Abraham nie dopełnił swojego dzieła.

– Słucham?

Ken popatrzył gubernatorowi w oczy.

– Nie dopełnił swojego dzieła. Anioł Pański zstąpił z nieba i go powstrzymał. Izaak przeżył. To była tylko próba wiary.

Rozległ się przytłumiony odgłos silnika samochodu. Ktoś podjechał pod dom.

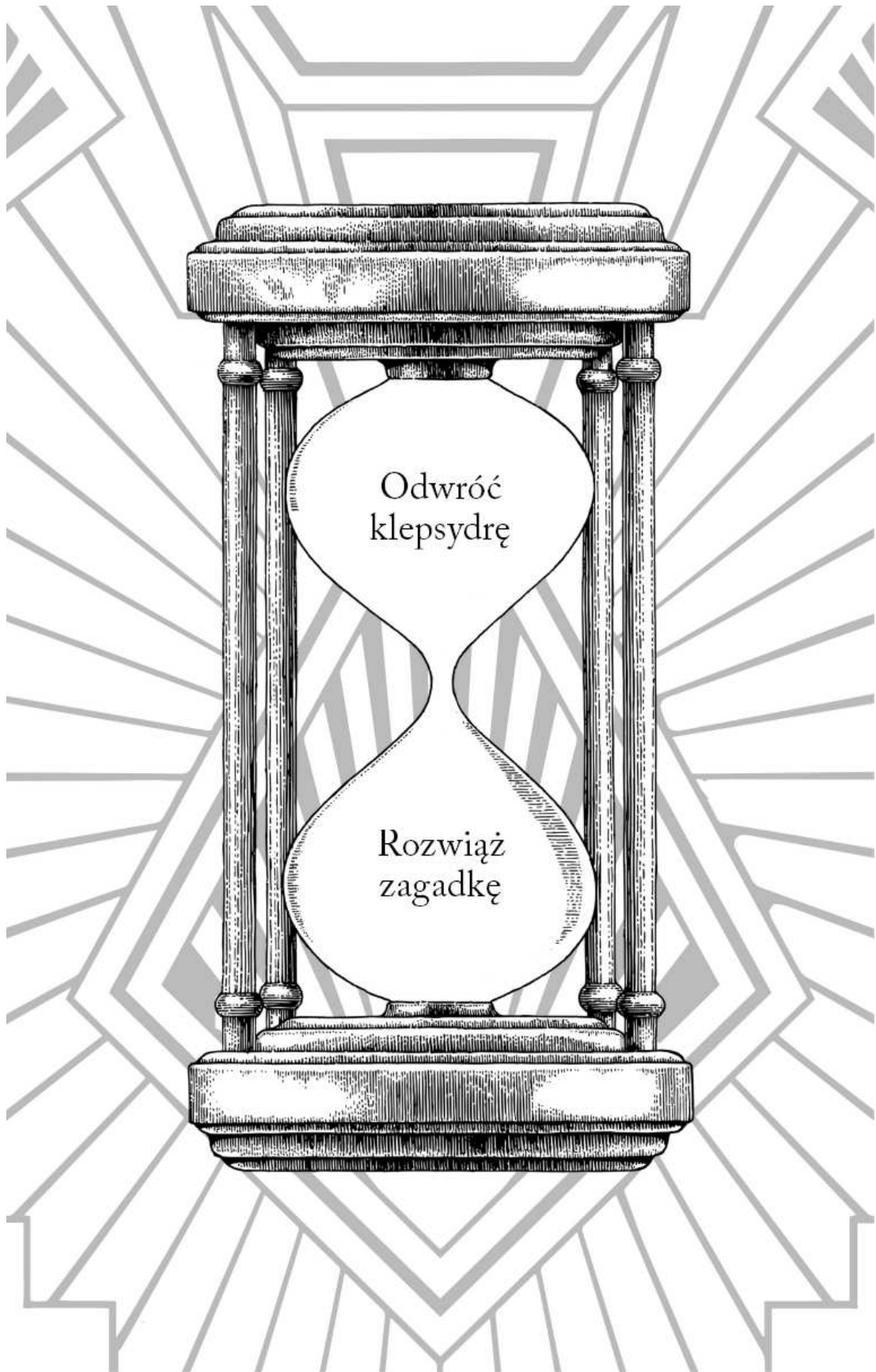
Tooke zacisnął dłonie.

– Tak się może wydarzyć w Biblii, ale w prawdziwym życiu... – nachylił się, by podkreślić wagę swoich słów – człowiek musi ubrudzić sobie ręce.

Kena nie obchodziła tania duma tego człowieka. Nic nie znaczyła.

– Dopiero teraz zrozumiałem, o czym tak naprawdę jest opowieść Olivera – rzekł. Gdzieś w domu słychać było kroki. Odbijały się echem od pękających szyb. – Nie o panu ani o pańskim synu, ani nawet ojcu. Tak naprawdę jest o przeszłości, która żyje własnym życiem i domaga się oczyszczenia. Oraz kary. Przeszłość zawsze tego chce. – Kartki książki Olivera, leżącej na zimnej podłodze, poruszyły się lekko na wietrze. – Więc może ją pan ukryć za szkłem, pod kamieniami albo w błocie, ale wtedy tylko daje jej pan więcej czasu, gubernatorze.

Ken patrzył, jak pajęczyna pęknieć rozprzestrzenia się po szkłe. A teraz niech wszystko runie, pomyślał.



Odwróć
klepsydrę

Rozwiąż
zagadkę